

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYZ

Nr 2/28—3/29

1950



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI—Finał klasycznej Europy • Ł. MAŁECKI
— Refleksje wtórnego emigranta • J. BURNHAM — Walka o
świat • C. BAUDOIN DE COURTENAY JĘDRZEJEWICZO-
WA — Baśnioznawstwo • Z. HAUPT — Czuwanie i stypa •
ARKUSZE POETYCKIE • KLUB TRZECIEGO MIEJSCA
• ARCHIWUM POLITYCZNE • NAJNOWSZA HISTORIA
POLSKI: K. MORAWSKI — Wspomnienia z pracy w Minis-
terstwie Skarbu • STRATY KULTURY POLSKIEJ • KRO-
NIKA KULTURALNA • KSIĄŻKI • LISTY do REDAKCJI

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Final klasycznej Europy</i>	3
Ł. Małecki:	<i>Refleksje wtórnego emigranta</i> ..	12
James Burnham:	<i>Walka o świat</i> (c. d.). Autoryzowany przekład Józefa Ur- syna	21
♦		
C. Baudouin de Courte- nay Jędrzejewiczowa:	<i>Bańszczyzna</i>	97
Zygmunt Haupt:	<i>Czuwanie i stypa</i>	119
ARKUSZE POETYCKIE		
Marek Gordon:	<i>Samotność</i>	131
» »	<i>Zabawki</i>	132
Janina Węgrzyńska- Kościalkowska:	<i>Grzybobranie na św. Wacława</i> ..	133
KLUB TRZECIEGO MIEJSCA		
Antoni Krystek:	<i>Chłopski rozum</i>	134
ARCHIWUM POLITYCZNE		
—	<i>Sytuacja międzynarodowa wi- dziana z Paryża</i>	139
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Kajetan Morawski:	<i>Wspomnienia z pracy w Minis- terstwie Skarbu</i>	151
Lech Maria Borzęcki:	<i>List do redakcji</i>	189
Stefan Korboński:	» » »	190
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Tymon Terlecki:	<i>Stefan Essmanowski</i>	192
KRONIKA KULTURALNA		
Jerzy Zawadzki:	<i>Kronika muzyczna</i>	200
Wiesław Żyliński:	<i>Dorobek Kursu Spraw Wschod- nich</i>	209
KSIAŻKI		
J. Lebieziewski:	<i>Lista katyńska</i>	213
Tadeusz Wasilewski:	<i>Kampania wrześniowa w krzy- wym zwierciadle</i>	218
Ryszard Wraga:	<i>O subiektywnym obiektywizmie pewnej książki</i>	227
Kazimierz Zamorski:	<i>Książka o Kołymie</i>	235
—	<i>Teki Beyruckie</i>	238
LISTY DO REDAKCJI		
Z. Ossowski:	<i>List do redakcji</i>	239
Tadeusz Nowakowski:	» » »	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Février - Mars 1950

INSTYTUT



LITERACKI

Następny numer „Kultury” ukaże się w pierwszych dniach kwietnia w normalnej objętości i po normalnej cenie.

Po ukończeniu druku „Walki o Świat” Jamesa Burnhama redakcja „Kultury” wyda tę pracę w książce w ograniczonej ilości egzemplarzy. Czytelnicy, którzy by chcieli tę książkę nabyć, proszeni są o jej zamawianie w Redakcji lub Przedstawicielstwach.

Książka ukaże się w kwietniu br.

Redakcja zawiadamia, że posiada ograniczoną ilość kompletów «Kultury» za rok 1949, które można zamawiać bądź bezpośrednio w Redakcji bądź w Przedstawicielstwach.

Od następnego numeru wprowadzamy w „Kulturze” nowy dział pt. „Oficyna poetów i malarzy”, redagowany przez członków „Grupy 49”.

Ze względów technicznych nie zamieszczamy w numerze bieżącym dalszego ciągu «Bibliografii polonistów niemieckich», zamieścimy go natomiast w numerze kwietniowym.

Finał Klasycznej Europy

Wszystkich nas, Europejczyków, cechuje „europo-centryzm”. Nawykem, na który złożyły się wieki, rozpatrujemy wszystkie sprawy tego świata pod kątem widzenia Europy. Mówiąc — „cywilizacja”, mamy na myśli cywilizację europejską, mówiąc — „nauka” mamy na myśli naukę europejską, mówiąc — „sztuka” mamy na myśli Correggio czy Renoir’a, w każdym wypadku nie Hokusai’a. Nasz europo-centryzm posuwamy znacznie dalej; mówiąc czy pisząc patetyczną frazę: „zbawienie świata” zależy od takiego czy innego faktu, myślimy oczywiście o „zbawieniu” Europy. Rozważając ewentualność trzeciej wojny światowej zakładamy z góry jej europejski charakter, ufając, że wybuchnie w sercu Europy jako nowa wyzwolenicza wojna ludów.

Tymczasem nie trzeba być jasnowidzem, aby przewidywać, że owa trzecia wojna światowa, jeżeli wybuchnie — wybuchnie pomiędzy dwiema poza europejskimi potęgami. I w tym sensie nie będzie to wojna europejska. Będzie to wojna Azji z Ameryką między innymi i o prymat nad Europą.

Zastanawiałem się wielokrotnie jak na Europę patrzy zeuropeizowany, wykształcony Indus, Chińczyk czy Filipińczyk jakich wielu widuje się w Anglii. Człowiek związany z Europą cywilizacyjnie, a nie narodowościowo i uczuciowo. Być może, że taki zeuropeizowany cudzo-plemieniec stawia sobie pytania, których Europejczyk nie zadaje sobie nigdy. Czy cywilizacja europejska przeżyje Europę, czy też upadnie wraz z nią? Europejczyk przyjmuje za pewnik, że upadek Europy byłby równoznaczny z upadkiem europejskiej cywilizacji. Sądzę, że wielu nie-Europejczyków, patrząc na obecny polityczny i gospodarczy upadek Europy, myśli sobie w duszy: cóż w końcu, że upada stara Europa skoro cały świat staje się europejski. Nas taki pogląd nie pocieszy.

Wszystko stało się tak szybko, że ów ruch historycznego rozwoju nabrał w naszej epoce cech ciekliwej płynności. Jak na zbyt szybko kręconym filmie obrazy zlewają się z sobą i tracą nie tylko ostrość konturów, ale i sens. Od trzech dziesiątków lat znajdujemy się na historycznej karuzeli i cierpimy wszyscy na permanentny zawrót głowy.

Zaledwie 35 lat temu świat składał się z ośmiu tzw. wielkich

IMPRIME EN FRANCE.

potęgę z trzech pięć, powtarzam pięć — było państwami europejskimi. Z trzech poza europejskich potęgę — Rosja była zacofanym, nie uprzemysłowionym krajem, Stany Zjednoczone notorycznym dłużnikiem Europy, a Japonia na cywilizacyjnym dorobku. W trzy i pół dekady skarłała Europa zapadła w głąb sceny, a na pierwszy plan wysunęły się nagle dwa giganty spoza-europejskich peryferii świata — Rosja i Ameryka.

Jak się tyle historycznej treści pomieściło w 35 latach? Jak się to wszystko stało?

Nie sądzę, aby to apokaliptyczne przemeblowanie można było wytłumaczyć w całości i bez reszty dwiema wojnami światowymi. Wojny mogły odegrać rolę wielkich dojrzewalni, ale załączki dramatu tkwić musiały głęboko już w pogodnym dziejnostawie klimacie.

Patrząc wstecz trudno oprzeć się wrażeniu, że w dużej mierze sami stworzyliśmy obecną sytuację. Europejska cywilizacja naukowa pozwoliła innym stworzyć potęgę w oparciu o dwa czynniki, których nam brak: przestrzeń i bogactwa naturaine. Wydaje mi się, że Pax Britannica został pogrzebany nie na polach bitew, lecz w laboratoriach naukowych angielskich, francuskich i niemieckich. I dziś europejska cywilizacja naukowa doprowadziła do paradoksalnego rezultatu, że prawdziwe i suwerenne są tylko dwie poza-europejskie potęgi — Rosja i Stany Zjednoczone.

W publicystyce i literaturze politycznej powtarza się do znudzenia efektowne powiedzenie, że "nie my zrewolucjonizowaliśmy technikę — tylko, że technika zrewolucjonizowała nas". Jest to typowy przykład poświęcenia sensu dla "bon-mot". Dramat polega niestety na tym, że technika, którą wynaleźliśmy wcale nas nie zrewolucjonizowała. Układamy sobie życie obok tej techniki, tkwiąc w przesądach, nawykach, tradycji — którą żyliśmy przy świeczkach i lampach naftowych. Technika rewolucjonizuje sytuacje, układy sił — znacznie wolniej ludzi o wieloletniej kulturze. Przystosowują się do niej najszybciej ludzie o błym zapleczu kulturalnym, ludzie bez wczoraj, bez własnego XVIII i XIX wieku.

Jak wygląda ta "rewolucja" w polityce? Gdy przed godziną zabrałem się do pisania tego artykułu rozłożyłem przed sobą komplety kilku periodyków angielskich zakreśliwszy w skorowidzu wszystko co dotyczy "European Unity". Trudno o bardziej żalostną lekturę. Krytyki federalistów, którym przeciwstawia się funkcjonalistów, litanie zastrzeżeń i lęk przed nowymi formami życia, lęk przed utratą już nie suwerenności, ale odrębności. Jako — zapytuje na łamach "The Listener" W. N. Ewer — cudzoziemcy mieliby w parlamencie europejskim decydować o naszych sprawach? To doprowadziłoby w Anglii do rewolucji nacjonalistycznej...

A przecież, jeżeli spojrzymy na mapę to musimy stwierdzić, że w tej chwili nie chodzi już o taki czy inny program, lecz po

prostu o sojusz wojskowy, sojusz obronny montowany w ostatnich godzinach, o komitet ocalenia resztek europejskiego kontynentu.

Sean O'Faolain w interesującym artykule pt. "The Emigrant Looks Back"¹⁾ powiada, że ten sam Amerykanin irlandzkiego pochodzenia, który by się roześmiał na samą myśl o odrębnym parlamencie dla stanu Massachusetts — skoczy do oczu każdemu, kto by wspomniał o możliwości sfederalizowania Anglii z Irlandią. Ten sam Amerykanin, który już sam nie mówi słowa po irlandzku, będzie gorąco i zawzięcie protestował, gdyby w czymkolwiek język jego przodków miał być w "starym kraju" zagrożony. Wydaje mu się natomiast całkowicie logiczne i oczywiste, że całe Stany Zjednoczone mówią po angielsku, jak niemniej logiczne i oczywiste mu się wydaje, że Stany są sfederalizowane.

Czy należało by zatem wnioskować, że Ameryka przeszła poprzez ową "rewolucję" dopasowania się do cywilizacji naukowej i technicznej? W Ameryce cywilizację się buduje. — Nie potrzeba było nic w tym celu "rewolucjonizować", burzyć czy federalizować. Nowe budowle, odpowiadające nowoczesnym wymagom — jak mówi prof. Toynbee²⁾ — łatwiej jest budować na dalekich peryferiach i pustkowiu niż w centrum wielkich miast, gdzie trzeba by burzyć stare historyczne zabytki. Amerykański kontynent był wolny od budowl dwudziestu wieków kultury.

Wielcy pan-amerykanie, potężni kapitanowie finansów i przemysłów patrzą na Europę inaczej niż irlandzki emigrant z opowiadania O'Faolain'a. Mając za swymi plecami sfederalizowany, jedno-języczny, najbogatszy kontynent świata patrzą niecierpliwie na szachownicę państw zachodnio-europejskich wikłających się we własnej nędzy i niewypłacalności. Program wydaje im się jasny: zjednoczyć. Przemawiając ostatnio, Paul Hoffman, administrator planu Marshalla użył 15 (!!) razy owo słówko "integration", będące magiczną formułą Amerykanów dla Europy³⁾.

Byłoby to proste i logiczne, gdybyśmy nie byli ...Europą. Ale jak pięknie zauważył Denys Smith — 100 mil w Europie to jest ogromna odległość a 100 lat krótki okres czasu — 100 mil w Ameryce to zaledwie spacer, ale 100 lat to niemal cała historia.

Ponieważ gospodarze "integration" idzie jak po grudzie — wielu pisarzy i publicystów (również i polskich) wysuwa postulat zjednoczenia politycznego jako właściwą drogę do zjednoczenia ekonomicznego. Przez polityczne zjednoczenie rozu-

1) "The Emigrant Looks Back", Sean O'Faolain, *The Listener*, 16. Dec. 49.

2) *Civilization on Trial*, A. J., Toynbee, London, 1949.

3) Przemówienie P. Hoffmana na posiedzeniu O.E.E.C. w Paryżu w dn. 31. X. 49. w/g tekstu BBC.

mie się najczęściej "wytworzenie poczucia europejskiej wspólnoty moralno-politycznej".

Owo poczucie wspólnoty w dostatecznym dla "integration" stopniu nie wytworzyło się wprawdzie na przestrzeni ostatnich kilkuset lat — sądzi się natomiast, że wytworzy się między 1950-52, kiedy skończyć by się miała era marshallowska w Europie.

Sytuacja jest niestety przerażająco jasna. Decyzje dotyczące losów Europy nie zapadną w Europie. Na naszych oczach, po tamtej stronie "żelaznej kurtyny", odbywa się "zjednoczenie" połowy Europy. Los nas wszystkich zależy od tego czy ta druga połowa Europy zjednoczy się pod egidą Stanów Zjednoczonych. Leży to w interesie nas wszystkich. Ale powtórzyłbym za prof. Toynbee: dlaczego proces ten mamy nazywać zjednoczeniem Europy?⁴⁾

Sądzę, że termin "rozbiór" byłby słowem znacznie właściwym.



Ruchem, który miał szansę dziejową przetworzenia się w europejski ruch międzynarodowy—był socjalizm. Nie pomniejszając olbrzymich zasług i osiągnięć europejskiego socjalizmu trzeba powiedzieć, że jako ruch międzynarodowy czy tylko międzyeuropejski — zawiódł. Obecnie partie socjalistyczne są narodowymi partiami socjalistycznymi z Labour Party, jako klasycznym przykładem w tej dziedzinie, na czele. Pozostał komunizm, który mimo, że jest narodową partią rosyjską — nie wyrzekł się międzynarodówki. Jest to w każdym bądź razie pierwsza w dziejach narodowa partia, która ma swoje rozgałęzienia poza granicami kraju macierzystego i, co więcej, skupia zagranicą w swych komórkach członków innych narodowości. Z chwilą, gdy jakiś ruch międzynarodowy pokrywa się w całości i bez reszty z polityką zagraniczną potężnego państwa nie istnieje możliwość rozróżnienia agresywnego, egoistycznego imperializmu od żarliwego apostołstwa. Dla mnie będzie to tylko imperializm rosyjski — dla komunisty francuskiego czy chińskiego będzie to żarliwe apostołstwo. Sprawa jednak nie wyczerpuje się w subtelnościach dialektycznych. Słabość tej koncepcji leży przede wszystkim w zagadnieniu podwójnej lojalności.

Obywatel angielski, należący do partii komunistycznej jest dzięki tej koncepcji związany z ośrodkiem dyspozycyjnym obcego państwa. Zagadnienie podwójnej lojalności prowadzi nieuchronnie do konfliktów i zdrady. Historycznie problem ten nie jest bez precedensów. Gdy przypomnimy sobie dzieje reformacji angielskiej, to odnajdziemy w nich wiele dramatycznych powikłań, również wynikłych z tła dualistycznego lojalizmu. Wśród różnorodnych swoistych przyczyn, które leżą u podstaw wyspiarzkiego anglikanizmu ważną rolę odegrał fakt, że nacjonalizm

angielski buntował się przeciw jurysdykcji, która czerpała swą moc z cudzoziemskich ośrodków dyspozycji. Jest to tym zrozumialsze, że w oczach ówczesnego Anglika papieństwo występowało jako sojusznik raz Francji, raz Hiszpanii. W początkach nie chodziło bynajmniej o inną niż rzymska interpretację artykułów wiary a parlament reformacji, który uchwalił między innymi ustawę zabraniającą apelowania do Rzymu i nazywał papieża już tylko "biskupem rzymskim" — był jeszcze ciągle parlamentem katolickim.

Zwyciężył nacjonalizm — lojalność pierwsza i najbliższa. Gdyby dzisiejszy komunizm nie dysponował "świeckim państwem" — jego nie-rosyjscy wyznawcy nie byłiby postawieni przed dylematem podwójnej lojalności. Tito odrzucił lojalność wobec Moskwy i stworzył narodowy komunizm jugosłowiański. I tak oto komunizm się unarodowił. Nacjonalizm w całej pełni zatriumfował nad marksistowskim internacjonalizmem. Co więcej, dziwną ironią losu marksizm stał się sprężyną najpotężniejszego współcześnie narodowego imperializmu rosyjskiego — innymi słowy stał się motorem swojej własnej historycznej antytezy. Widowisko jedyne w swoim rodzaju.

Używam w tym artykule słowa "nacjonalizm". Prasa, radio, "zimne wojny" i propagandy wynaturzyły tak terminologię, że właściwie każdy artykuł należałoby zaopatrywać w słownik definicji.

Słowo "nacjonalizm" kojarzy się z "faszyzmem", "reakcją", "stronnictwem narodowym", "ksenofobią", "ciasnotą", "parafianstwem". Nacjonalizm może być tym wszystkim i zwykle po trochu jest tym wszystkim — ale mimo to termin ten ma i szersze znaczenie. Jeżeli mówimy o kulturze europejskiej, to możemy wyodrębnić pewne elementy kulturalne, wspólne Anglikom, Francuzom czy Włochom. Możemy jednak również wyodrębnić swoiste cechy kultur francuskiej, angielskiej czy włoskiej. Pojęciem "kultura angielska" obejmujemy całość zarówno owych odrębności jak i elementów wspólnych w sztuce, w ustroju socjalnym, w tradycji, w światopoglądzie. Elementy europejskie plus rdzenie angielskie tworzą swojszczyznę, która Anglik określa mianem "English way of Life" — angielski sposób życia. Naród o starej kulturze posiada niezmiernie rozbudowane odrębności, oparte o nieprzerwany ciąg tradycji setek lat. To wszystko jest nacjonalizmem — bo w chwilach wielkich decyzji czy niebezpieczeństwa ów ogrom różnorodnych wartości zamyka się w jednym słowie: British.

Nacjonalizm wykazał dobitnie, że ma niezmiernie twarde życie i trudno go będzie dostosować do "zrewolucjonizowanej" sytuacji europejskiej. Niechętnie położyłby głowę pod topór za lecaną nam "integration". Mimo, że dziś bronić samoistnie swej narodowej suwerenności mogą właściwie tylko dwa super-państwa pozaeuropejskie.

Nacjonalizmy są niewątpliwie anachronizmem, ale anachro-

4) Jak pod 2)

nizmem jest niemal wszystko co wywodzi się w Europie sprzed 1914 roku.

Do znużenia pisze się o zagadnieniach gospodarczych, które racjonalnie rozwiązane być mogą tylko w ramach wielko-prze-strzennej gospodarki światowej. Znacznie mniej natomiast i rzadziej zwraca się uwagę na fakt, że cywilizacja naukowa zachwiała fundamentem dotychczasowej struktury społecznej, a mianowicie prawem równowagi między rządzącymi a rządzonymi. Nigdy w historii żaden rząd nie dysponował środkami tak uwielokrotniającymi władzę. Nigdy też tyran czy dyktator nie miał takich możliwości jak obecnie. Dawniej powstańcy, buntownicy czy rewolucjoniści, gdy zdobyli karabiny szli z karabinami przeciw karabinom. Dziś gdyby nawet zdobyli karabiny szliby przeciw czołgom, samolotom, broni maszynowej. Rewolucja — stała się również anachronizmem.

Cywilizacja naukowa wzmocniła niepomierne tych, którzy rządzą automatycznie osłabiając pozycję rządzonych. Wydaje mi się, że nie można dość docenić tego stanu rzeczy. Dawniej tyranów obalały spiski i rewolucje. — Dziś należy przyjąć za pewnik, że jeżeli w jakimś kraju raz ustanowiony jest rząd totalistyczny — obalenie tego rządu jest możliwe tylko na drodze interwencji z zewnątrz. Żaden nowoczesny rząd totalistyczny nie został do tej pory usunięty inaczej. Nigdy też wolność jednostki nie była cenniejsza i bardziej krucha...

W obliczu totalnych zmian jakie się dokonały — rosną dwie zmory: osamotnienie i bierność. 80% nawyków, tradycji, norm oceny — krótko owej "Way of Life" zachodniego Europejczyka wywodzi się sprzed 1914 r. nawet jeżeli on sam urodził się po tej dacie.

Mieszkańcy zachodniej Europy składają się dziś w bardzo znacznym procencie z ludzi, których epoka umarła przed nimi. Wielu zachodnich Europejczyków to duchowi "displaced persons" — emigranci ze stulecia, które przyszło z pierwszym wybuchem atomowym.

Okres międzywojnia w Europie — mimo kapitalnych przemian — był, jak to dziś dopiero widzimy, rozpaczliwą próbą nawrotu. Próba ta skończyła się katastrofą. Lecz ludzie nie mogli uwierzyć, nie mogli zrozumieć.

Dopiero z książki Grigore Gafencu można wyczytać jak logiczny Beck całkowicie nie rozumiał Hitlera⁵⁾. Nie rozumieli go również angielscy i francuscy mężowie stanu. Hitlera rozumiał natomiast Stalin.

O ile po pierwszej wojnie światowej pragnienie powrotu do dobrych "normalnych" czasów było w Europie dominujące — o tyle po drugiej wojnie światowej powszechne jest poczucie tymczasowości. Ten pięcioletni pobyt Europejczyków w "obozie

5) "Podróż pociągiem z płk. Beckiem", Grigore Gafencu, **Wiadomości** z dn. 25. XII. 49. Nr. 194/5.

przejściowym" z epoki do epoki anarchizuje życie. Ludzie godzą się apatycznie z najbardziej absurdalnymi sytuacjami od przełomienia Berlina zaczawszy na mieszkaniu w barakach skończywszy. Z każdym dniem pogłębia się świadomość, że rośnie lista absurdalnych zagadnień, które w obecnym prowizorium nigdy nie będą mogły być rozwiązane. Do takich zagadnień należy powstanie nowego "narodu", który liczy 12 milionów obywateli⁶⁾. To są uchodźcy polityczni, emigranci.

Do tego typu problemów "węzła gordyjskiego" należy 90 proc. zagadnień gospodarczych zachodniej Europy z "głodem dolarowym" na czele.

Na tym tle postępujący ustawicznie rozwój cywilizacji naukowej budzi w masach ludzkich niepokój. Gdy prasa zamieściła fotografie przedstawiające kilka matematycznych formuł z niedawno ogłoszonej przez Einsteina "The General Theory of Gravitation" — reporterzy pism zanotowali, że wielu czytelników w listach do redakcji wyrażało lęk czy ta nowa teoria nie przyniesie czegoś jeszcze groźniejszego niż bomba atomowa.

Ogólną dezorientację pogłębia kryzys skali wartości moralnych. Polityka nigdy nie była oparta na wskazaniach ewangelii, ale raczej na zasadzie: "right or wrong" — my country". Gdyby się nawet przyjęło, że polityka europejska do roku 1914 nie była bardziej moralna niż polityka obecna — to stwierdzić należy, że wielką pociechą polityków z okresu poprzedzającego pierwszą wojnę światową był fakt, że daleko łatwiej przychodziło wówczas ocenić co było istotnie korzystne, jeżeli nawet nie było słuszne. Obywatele danego kraju oceniając linię polityczną swych mężów stanu przyzymkali oko na momenty moralne, jeżeli korzyści danej polityki były oczywiste i namacalne. Polityka, która przynosi konkretne korzyści i zyski w każdym społeczeństwie znajduje znakomitych "adwokatów diabła".

Obecnie sytuacja wyraźnie się skomplikowała. Niezmiernie często polityka niemoralna okazuje się na dobitkę głupia — przynosząca szkodę zamiast korzyści. Polityka niemoralna i nie przynosząca korzyści — powoduje przygnębienie i pogłębia dezorientację społeczeństwa. Albowiem, gdy polityka nie przynosi korzyści — ludzie przypominają sobie natychmiast o moralności.

Przykładów z tej dziedziny można by cytować dziesiątki. Weźmy pierwszy z brzegu. Rząd angielski uznał komunistyczny rząd chiński. Poświęciło się pewne momenty moralne dla spodziewanych korzyści. Równocześnie ze względów czysto moralnych bojkotuje się dyplomatycznie rząd gen. Franco w Hiszpanii. Dla ocalenia czystej moralności całą Europę Zachodnią pozbawia się natychmiastowych, konkretnych korzyści, jakie by płynęły z włączenia Hiszpanii w zachodnio-europejski system obronny.

Gdzie tu jest sens czy logika?

W londyńskim "Times" ukazał się artykuł profesora uniwer-

6) "The Problem the Dispossessed", Elfan Rees, **The Listener**, 5. I. 1950.

sytetu w Cambridge H. Lauterpachta. Artykuł ten stanowi naukowo-prawne potwierdzenie zasady uznawania rządów, które faktycznie sprawują władzę i według wszelkiego prawdopodobieństwa zdolne będą ją utrzymać.

Wydaje mi się, że rząd gen. Franco odpowiada w znacznie większym stopniu wymogom prof. Lauterpachta niż komunistyczny rząd w Chinach. Jest oczywiste, że z moralnego punktu widzenia nie powinno się uznać ani rządu generała Franco ani rządu Mao-Tse-Tung. Jeden i drugi nie mają bowiem nic wspólnego z demokracją.

Przy całym szacunku dla naukowego autorytetu prof. H. Lauterpachta zauważyłbym jednak, że polityka uznawania faktów dokonanych ma tylko w jednym wypadku sens, a mianowicie, gdy się samemu te fakty dokonane stwarza. Uznawanie natomiast faktów dokonanych przez wroga — jest legalizowaniem własnej klęski.



Wszystko wskazuje na to, że cywilizacja europejska doszła do stadium, w którym wiekowe ramy naszego bytowania stają się anachronizmem. Skala norm geopolitycznych sprzed 35 lat — jest całkowicie zdewaluowana. Suwerenność państw, które tworzyły przez stulecia koncert europejski — jest dziś pojęciem nierealnym. Rozwój techniki produkcji i komunikacji wytworzył zagadnienia ekonomiczne, które są nie do rozwiązania wśród państw poodgradzanych zasiekami zakazów datujących się z epoki ideału samowystarczalności.

Ta sama cywilizacja europejska, która Europę zdeklasowała — uczyniła ze Stanów Zjednoczonych pierwszą potęgę świata. I dziś amerykańska gospodarka, obrona i "prosperity" wymagają, aby Europa została przebudowana. Stosując wielkie uproszczenie można powiedzieć, że to co określamy terminem zachodnio-europejskiej polityki jest sumą wysiłków dopasowania zachodniej Europy do wymagań i celów polityki pan-amerykańskiej.

Cóż wreszcie w tym dziwnego — zapyta Czytelnik — że tak olbrzymi i bogaty kontynent, który przejął od nas dosłownie wszystko od pieniędzy poprzez miliony robotników na geniuszach jak Einstein — prześcignął Europę.

Dziwnego w tym nie ma nic — jest to nawet całkowicie naturalne. Jednak problem jaki rysuje się przed nami, to pytanie: czy Europa po owym "integration" (w takiej czy w innej formie) — będzie mogła być nadal tym czym była dla ludzkości przez 2000 lat — czy też nie?

Sądzę, że nie.

Cywilizacji naszej — pomijając, a raczej nie dyskutując katastrofy atomowej — nie grozi upadek. Przestanie być tylko tym czym była — to jest cywilizacją europejską. Wątpić bowiem należy, aby Europa przepołowiona — na wschodzie "zjednoczona"

przez Rosję, a na zachodzie przez Anglosasów — mogła być nadal centralnym ogniskiem cywilizacyjnym, promieniującym na cały glob ziemski. Wydaje się prawdopodobne, że powstanie kilka wielkich ognisk cywilizacyjnych z najaktywniejszym na kontynencie amerykańskim. Iluż wybitnych uczonych, specjalistów, muzyków a nawet pisarzy emigruje rok-rocznie z Europy zachodniej do Ameryki. Najpierw emigrowali tam robotnicy — dziś emigruje tam europejska elita.

Może ktoś powie, że to o tyle jest wszystko bez znaczenia, że cywilizacja europejska jako pierwsza w dziejach cywilizacja uniwersalistyczna już wcześniej utraciła piętno lokalnie europejskie.

Tak, to prawda. Cywilizacja europejska jest cywilizacją uniwersalistyczną. Ale dopóki Europa utrzymywała w świecie swój prymat, dopóty można było mówić o nieprzerwanej historycznej ciągłości świetnego rodu, który rozpoczął się Chrześcijaństwem w oparciu o Grecję i Rzym. Otóż wydaje mi się, że rozdział ten dobiegł końca.

Kto wie — może historyk z A. D. 2500 patrząc z półtysiącletniej perspektywy na chwilę obecną spostrzeże, że kultura klasyczna w najogólniejszym, lecz i najistotniejszym tych słów znaczeniu zamknęła swój okres około połowy XX wieku.

Ja jeszcze poświęciłem 8 najchłonniejszych lat życia studium autorów rzymskich i greckich. Gdy w jesieni 1939 r. żegnałem się we Lwowie na zawsze z moim ojcem leżał przed nim na biurku otwarty tom Horacego.

Paweł Hostowiec opisuje, że Niemcy w pierwszych latach powojennych wrócili do lektury Iliady⁷⁾ czytanej bez przerwy przez 2500 lat. Ci z Niemców, którzy wzięli Iliadę do ręki po barbarii hitlerowskiej i grozie wojny — pragnęli powrotu do Europy, pragnęli wzmóc w sobie poczucie ciągłości i trwania europejskiej kultury, której źródła antyczne zdawały się być zawsze tak świeże i żywe.

Nie sądzę, aby w sytuacji jaka rysuje się przed nami — kontynuacja tego rozdziału była możliwa. Cywilizacja amerykańska jest bowiem nie tylko kontynuacją naszej cywilizacji. Jest nową i odrębną cywilizacją.

Być może, że taki jest naturalny bieg rzeczy. Być może, że ów "kryzys", o którym się tyle pisze, wypływa z tego, że Europejczycy nie zdali sobie dość wcześnie sprawy z konsekwencji przemian ostatnich lat 35 — być może, że cywilizacja ludzka dojdzie do najwspanialszego rozkwitu dopiero na kontynencie amerykańskim i stamtąd obejmie świat pokojem Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli jednak ów rozwój przynieść ma szczęście, to pokoleniom przyszłym — nie nam, urodzonym i wychowanym w prastarym europejskim zaścianku.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

7) "Niemcy Zimą 1948/49", Paweł Hostowiec, *Kultura*, Nr. 3/20, 49.

Refleksje wtórnego emigranta

W październiku r. 1945 zdecydowałem się wbrew opinii bardzo znacznej części emigrantów, którzy opuścili Polskę w okresie drugiej wojny światowej, na wyjazd z Paryża, aby osobiście zapoznać się z sytuacją w kraju, przekonać się o nastrojach społeczeństwa i wybrać dalszą linię postępowania. W październiku r. 1949 znalazłem się ponownie "na paryskim bruku" w charakterze wtórnego emigranta. Obecnie, mimowoli, myśli biegną wstecz, — starają się wyprowadzić osobisty bilans tego czterolecia oraz wyciągnąć na zasadzie własnych doświadczeń i obserwacji bardziej ogólne wnioski. Redaktor "Kultury" uznał, że te wrażenia i wnioski mogą zainteresować czytelników jego czasopisma, dlatego je kreślę.



Przez cztery ostatnie lata zajęty byłem całkowicie pracą, która miała, w moim przekonaniu i według jednolitej opinii, z którą spotykam się w Polsce, pozytywne znaczenie dla rozwoju gospodarczego kraju; obecnie musiałem z działalności tej zrezygnować, dla przyczyn, których tu rozwijać nie mogę, i które skazały mnie na wtórną emigrację. Przyznam się, że uczuciem, które na razie u mnie dominuje, jest żal, że pracy mej nie mogę już kontynuować, a nadto obawa, że liczni koledzy i przyjaciele, z którymi przed wojną i po wojnie pracowałem, uznać mogą fakt mej wtórnej emigracji za rodzaj dezercji. W Paryżu natomiast spotykam się na każdym kroku z emigrantami, pozostającymi przeważnie zagranicą od r. 1939, którzy mi mówią: "A jednak mieliśmy rację, odradzając powrotu w r. 1945, — a jednak nie można było przez czas dłuższy wpływać na bieg wypadków, nawet w wąskiej dziedzinie pańskiej specjalności, — czy warto było w tym stanie rzeczy wzmocnić reżim warszawski, stawiając mu swoje nazwisko do dyspozycji, — czy warto było wzmagać u czynników zagranicznych wrażenie, że za reżimem tym stoją jednostki znane im z przedwojennych czasów, zamiast przez całkowity bojkot tego reżimu solidaryzować się z akcją zbiorowego protestu emigracji przeciwko narzuceniu Polsce od zewnątrz rządu, którego skład i ideologia nie odpowiadały przygniatającej większości narodu". Wszystkie te

uwagi wzmocniają we mnie wrażenie, iż w zasadniczych sprawach istnieją daleko idące różnice poglądów między tym, co odczuwa i uznaje olbrzymia większość społeczeństwa w kraju, a tym, co wydaje się słuszne licznym niewątpliwie kołom na emigracji. Te różnice poglądów przeistaczają się czasem w kompletny brak wspólnego języka w sprawach, które w Polsce wydają się idealnie proste i bezsporne. Przykładów istniejącego nieporozumienia cytować mogę już wiele po krótkim pobycie na wtórnej emigracji. Jedna z czołowych osobistości polskich, która na pewno z największą troską myśli na emigracji o losach kraju, zapytuje, czy prawdą jest, że społeczeństwo w kraju z entuzjazmem odnosi się do dzieła odbudowy stolicy i dumne jest z wyników w tym zakresie osiągniętych przez reżim warszawski. — Inni pytają, czy prawdą jest, że kolejarze, "którzy wszakże zawsze stanowili element tak patriotyczny", ułatwiają reżimowi pracę przez bezprzykładny wysiłek w zakresie odbudowy ruchu kolejowego. Jeden z przedstawicieli nauki polskiej, przebywający od 10 lat na emigracji pyta, czym należy tłumaczyć fakt, że niektórzy przedwojenni profesorowie przyjmowali jeszcze w zeszłym roku funkcje rektorów i dziekanów na wyższych uczelniach, choć fakt piastowania tych funkcji zmuszał ich do czynnego występowania na różnych galonkach reżimowych. — Dawni wysocy urzędnicy ministerialni z oburzeniem stwierdzają, że ten lub ów ich były kolega nie waha się zajmować obecnie odpowiedzialnego stanowiska w tym lub innym urzędzie i zapytują, jak się do tych jednostek odnosi społeczeństwo w kraju. Jeszcze inni dodają, że prowadzą możliwie ścisłą rejestrację odnośnych "kolaborantów", z którymi "kiedyś trzeba będzie się policzyć".

Po trzymiesięcznym pobycie na wtórnej emigracji wynoszę wrażenie, że wszystkie te pytania, myśli i opinie nie są ani oderwane, ani przypadkowe, lecz że są naturalnym przypuszczeniem następstwem faktu długiej emigracji, dla której każdy emigrant, a zwłaszcza jednostki nie mogące znaleźć na obczyźnie istotnej możliwości produktywniej pracy, szuka logicznego uzasadnienia. Uzasadnienie to wyraża się w sposób możliwie skrócony w następującym rozumowaniu: "Gdybym był wrócił do kraju, wzmocniłbym reżim warszawski, czego ze względów patriotycznych nie wolno mi było uczynić. Tułaczka na emigracji była w tych warunkach nakazem sumienia narodowego. Rozumować inaczej nie było wolno, — kto inaczej rozumował, naruszył zasady dla mnie święte". Na tle tego rozumowania powstała specyficzna ideologia emigracyjna, z którą trudno jest polemizować, jak z każdym przejawem wiary, lecz która stanowi podłoże zasadniczego nieporozumienia, istniejącego między znaczną częścią emigracji, a opinią przygniatającej większości społeczeństwa w kraju.

W ciągu czterech lat byłem aż zbyt często świadkiem tego nieraz tragicznego nieporozumienia, ponieważ należałem do

nielicznych jednostek, które poruszały się względnie swobodnie między Polską a krajami zachodnimi. W tych warunkach przy każdym wyjeździe i powrocie otrzymywałem misje tłumaczenia najróżniejszym żonom, dzieciom lub rodzicom pozostającym w kraju, dlaczego ten i ów uważa powrót do kraju za niemożliwy; często błagano w kraju, abym namówił emigranta do powrotu; zdarzało się nieraz, że emigrantowi, który z największym wysiłkiem wszystko przygotował, aby ściągnąć żonę i dzieci, oświadczyć musiałem, że ci, których chciał sprowadzić, odmawiają wyjazdu z kraju. Nie mogąc nic innego zrobić, starałem się i tu i tam tłumaczyć i uzasadniać postępowanie strony drugiej, lecz nie mam przekonania, abym w akcji tej miał dużo powodzenia. Rozdźwięki były za duże nawet wśród najbliższych, i w gruncie rzeczy były identyczne z tymi, z którymi spotykałem się teraz na bardziej ogólnej płaszczyźnie. Chciałbym podjąć próbę ich wytłumaczenia.

Program jednostkowy i narodowy tej większości społeczeństwa w kraju, która uważa obecny reżim za obcy i narzucony, redukuje się do hasła: "przetrwąć i dotrwąć". Ulica warszawska ujęła ten program ze zwykłym jej humorem w sloganie: "Przeżyliśmy okupację, przeżyjemy demokrację", — ale to jędrne i czupurne zdanie nie tłumaczy istoty zagadnienia. Kto nie widział Polski w r. 1945, z trudem tylko może wyobrazić sobie, jak trudny do zrealizowania był ten program przetrwania. W r. 1945 w ogóle nie można było mówić o społeczeństwie polskim, — istniało jakby olbrzymie, rozdeptane mrowisko, złożone z bezdomnych jednostek, — istniał gigantyczny obóz cygański, wypełniony milionami wędrujących żebraków, nie posiadających dosłownie nic. Przypomnijmy sobie kilka faktów: Miasta polskie liczyły w r. 1939 około 11 milionów mieszkańców. W r. 1945 nie żyło z tej liczby 45%. Z pozostałych 6,5 milionów co najmniej dwie trzecie wygnano z miast zachodnich, wcielonych podczas wojny do Rzeszy, z miast wschodnich, wcielonych do Rosji Sowieckiej, a wreszcie z nieszczęsnej Warszawy, która w chwili wybuchu powstania liczyła dwa razy więcej mieszkańców, niż w r. 1939. Odsetek mieszkańców miejskich, który pozostać mógł w mieszkaniach zajmowanych w r. 1939, był w r. 1945 znikomy, wśród inteligencji dochodził może do 10%. Reszta wyrzucona została z prawem zabrania 20 kilogramów ze sobą, a "warszawiacy" nawet tego nie posiadali. Środki komunikacyjne w r. 1945 właściwie w ogóle nie istniały, czynny tabor spadł do 10% stanu przedwojennego, ruch kolejowy odbywał się w potwornych warunkach, zdobycie miejsca siedzącego w nieoświetlonym i nieogrzwanym wagonie osobowym uchodziło za niebywałe szczęście, — z Warszawy do Krakowa jechało się około 30 godzin, — przed zerwanymi mostami kolejowymi trze-

ba było wysiadać i piechotą dochodzić do pociągu stojącego nieraz w kilkukilometrowej odległości po drugiej stronie zerwanego mostu. Warszawa, Poznań, Wrocław, Gdańsk, większość pozostałych miast należących przed wojną do Polski lub leżących na terenie "ziem odzyskanych" leżała w gruzach. Warszawa ze swym 95%-wym zburzeniem budynków, tak dominowała w wyobraźni jako miasto największych zniszczeń, iż zapominano często, że np. w Poznaniu, o zniszczeniach którego niemal się nie mówiło, przeszło połowa zabudowanej przestrzeni uległa zniszczeniu. Zdolność przedawankowa portów spadła do 5% przedwojennej normy, fabryki, zwłaszcza na zachodzie, były unieruchomione; dziewięć dziesiątych fabryk nie posiadało ani właścicieli, ani administracji, państwowego aparatu w ogóle nie było, cały system szkolnictwa został przez okupantów zniszczony. Trzeba o tym wszystkim pamiętać, aby zrozumieć całą głębię programu, który zamykał się w hasle "przetrwąć", trzeba było przeżyć następstwa potwornego braku ludzi w społeczeństwie, jak żadne inne zdziesiątkowanym podczas wojny, aby zrozumieć uczucia ludzi w kraju, gdy się dowiadawali, że emigranci nie chcą wracać i pomóc w realizacji programu przetrwania. "Ideologii emigracyjnej" nie rozumiano wówczas na ogół, tłumaczono ją często błędnie, wierzono, że wypadki potoczą się ewolucyjnie we właściwym kierunku, byle nie kapitulować przedwcześnie, byle nie wypuszczać cugli z rąk, byle być obecnym. Na tle tego nastawienia psychicznego wyrósł doraźny program społeczeństwa, które ani na chwilę nie zrezygnowało z programu całkowitej niepodległości, ale rozumiało, że przede wszystkim należy w istniejących ramach odtworzyć materialne podstawy dla zapewnienia fizycznego bytu narodu.

Nastawienie powyższe tłumaczy, dlaczego ludzie w kraju wręcz nie rozumieją przeprowadzania tak częstej na emigracji analogii między tzw. "collaboration", której symbolem stało się podczas drugiej wojny światowej "Vichy", a współpracą podejmowaną w kraju z narzuconym reżimem. — "Collaboration" francuska miała miejsce podczas wojny, tj. w czasie gdy walka toczyła się w pełni między programem hitlerowskim, a akcją państw, które mu się przeciwstawiały. Sensem istotnym "collaboration" było słynne zdanie Laval'a stwierdzające, że pragnie zwycięstwa niemieckiego. Współpraca społeczeństwa polskiego z narzuconym mu reżimem zaczęła się natomiast w chwili, gdy wojna zakończyła się. Im bardziej społeczeństwo uważało, że zakończyła się w sposób dla Polski i Europy tragiczny, im głębiej wierzyło, że stan rzeczy, wytworzony w r. 1945 jest prowizoryczny, tym bardziej narzucał się program przetrwania i dotrwania do chwili, gdy międzynarodowa sytuacja znów będzie bardziej pomyślna dla realizacji programu pełnej i istotnej niepodległości.

Po czterech latach nastawienie to trwa, choć sens wyrazu "przetrwąć" rozszerzył się znacznie. W miarę jak ustały węd-

rówki ludów w Polsce, jak zaczęły się dźwigać ruiny, jak ruszyły koleje, jak zorganizował się aparat państwowy, nastąpiło pogłębienie poglądów, wzmocniło się zrozumienie konieczności podjęcia psychicznej walki z narzuconymi Polsce formami bytu, ale wzmogło się również przekonanie, że wyniszczony i zrujnowany kraj, że zdziesiątkowane społeczeństwo nie tylko musi fizycznie przetrwać okres obecny, ale musi mimo olbrzymich przeszkód i trudności przeżyć z możliwie wielkim dorobkiem okres, który jeszcze dzieli Europę od ostatecznego wyjaśnienia się sytuacji politycznej. Nastawienia tego nie rozumieją często ani ludzie reżimu, ani liczni emigranci, ani też niektórzy zagraniczni dziennikarze doraźnie przebywający w Polsce. Toteż dla propagandy reżimowej, dla niektórych kół emigracyjnych, oraz dla autorów niektórych powierzchownych artykułów zagranicznych — materialne osiągnięcia polskie ostatnich lat są wyłącznie zdobyczami i osiągnięciami obecnego reżimu; w oczach przygniatającej większości społeczeństwa w kraju są to po prostu osiągnięcia narodu polskiego. Dlatego ludzie w kraju cieszą się, gdy Warszawa powstaje z gruzów i powstaje piękna, dumni są z tego, że pociągi lepiej kursują, że obroty handlowe ze światem zewnętrznym rosną, — że budują się nowe fabryki, choćby byli jak najbardziej negatywnie nastawieni do całej politycznej rzeczywistości w kraju. Jest to zresztą całkowicie naturalne, gdyż pogląd przeciwny musiały mieć za punkt wyjścia hasło "im gorzej, tym lepiej", i byłby w kraju tym bardziej niezrozumiały, że wszyscy tam wiedzą, że zmiana politycznej rzeczywistości w Polsce nie zależy od trudności, z którymi reżim walczyć musi w kraju, ale od zmiany sytuacji międzynarodowej.

W ciągu ubiegłego czterolecia pogłębił się wyraźnie sposób odnoszenia się społeczeństwa w kraju do całego zagadnienia emigracji. Coraz rzadziej wysuwana jest opinia, że ci, co pozostali zagranicą wolą nie wracać, bo w Polsce byłoby im materialnie gorzej, — bo nie chcą dusić się w dzisiejszej polskiej atmosferze lub po prostu, bo się boją, a coraz powszechniej rozumie się, że istnienie takiej emigracji jest dziejową koniecznością, w celu zachowania zagranicą jednostek mogących swobodnie myśleć i występować w imieniu narodu polskiego. Zrozumienie to wzrasta, odkąd polityczna sytuacja w kraju zaczęła się od kilkunastu miesięcy gwałtownie pogarszać i odkąd pogłębia się przekonanie, że interesów polskich bronić trzeba dziś przede wszystkim od zewnątrz. Równocześnie jednak występować zaczyna zjawisko wtórne, całkowicie zrozumiałe i polegające na tym, że coraz powszechniej narasta pytanie, co się zagranicą robi, jak się broni interesów polskich, jakimi się przy tym operuje atutami. Na tym tle powstaje może podłoże albo do wyrównania, albo do pogłębienia rozdźwięków między kra-

jem a emigracją, i dlatego chcę temu właśnie zagadnieniu poświęcić więcej uwagi.

W roku 1945 odniosłem, jak o tym już wspomniałem, wrażenie, że opinia w Polsce uważa powrót emigrantów za wskazany z wyjątkiem kilku nielicznych kategorii. Do tych zaliczano powszechnie ludzi politycznie zagrożonych skutkiem przedwojennej działalności antyrosyjskiej lub antykomunistycznej, — zawodowych wojskowych, a zwłaszcza osoby reprezentujące w wojsku szczególne techniczne kwalifikacje, a wreszcie kształcąca się młodzież, która w kraju nie znalazłaby należytych warunków studiów. Najlepiej oświetlił mi ówczesne nastawienie społeczeństwa jeden z czołowych przedstawicieli episkopatu polskiego, do którego zwróciłem się na prośbę kilku kleryków wyświęconych podczas wojny we Francji z zapytaniem, czy mają wracać do kraju. Przywiozłem odpowiedź następującą: "Generalnej wskazówki dać nie mogę. Jeżeli w polskim i kapłańskim sumieniu uważają, że z większą korzyścią dla kraju zużytkują swój czas zagranicą, niech tam zostaną, ale dokonując wyboru, niech wiedzą, że wobec katastrofalnego wyniszczenia duchowieństwa obsadzić możemy w zachodniej Polsce zaledwie jedną parafię na trzy". Mam wrażenie, że odpowiedź ta odzwierciedlała niezmiernie wiernie ówczesne poglądy bardzo znacznej części społeczeństwa w kraju. Od tego czasu, nastawienie kraju do emigracji stało się na ogół bardziej pozytywne, ale równocześnie bardziej wymagające.

Czego domaga się społeczeństwo w kraju od emigracji? Wydaje mi się, wbrew licznym opiniom wygłaszanym zagranicą, że nikt nie spodziewa się po niej zachowania na obczyźnie kultury i tradycji polskiej, bo byłoby to zadaniem, przekraczającym jej siły; wymaga się natomiast należytej reprezentacji narodowych interesów polskich. Nastawienie kraju jest tu skrajnie trzeźwe. W odnoszeniu się do kierowniczych czynników emigracyjnych nie ma ani tego zaufania, z jakim poszczególne ugrupowania polityczne odnosiły się bądź do Komitetu Narodowego, bądź też do reprezentacji zagranicznej ruchu legionowego podczas pierwszej wojny światowej, — ani tym bardziej tego bezwzględnego podporządkowania się, z jakim wszyscy, poza komunistami, odnosili się podczas drugiej wojny do Rządu Emigracyjnego, ani wreszcie tej miłości, z jaką odnoszono się osobiście do ś. p. gen. Sikorskiego. Istnieje natomiast nadzieja, że grupa ludzi, która szczęśliwie znalazła się zagranicą, okaże się na tyle silna, że będzie mogła przy pełnym wykorzystaniu posiadanych atutów, reprezentować istotne dążenia narodu i zdobyć dla nich posłuch u czynników decydujących. Tylko pod tym kątem widzenia sądzi się w kraju całą polską akcję emigracyjną, przywiązując bez porównania mniejszą wagę do nazwisk, albo nawet do kierunku politycznego czołowych działaczy emigracyjnych, niż to się czyni na obczyźnie. Społeczeństwo wie, że w dzisiejszej polskiej rzeczywistości nie ma

nazwisk o takiej sile przyciągającej, jak te, które Polska mogła wystawić przed odrodzeniem Państwa w r. 1918 i z faktem tym się liczy. Myślę, że w Polsce trzecioplanową rolę odgrywa również sprawa podstawy prawnej, na której wspierać się winna struktura emigracyjnej reprezentacji. Trudno byłoby wytułmaczyć w kraju istotę sporu między zwolennikami konstytucji r. 1921 i 1935. Konstytucja z r. 1921, która doprowadziła do niewątpliwych przerostów władzy ustawodawczej, nigdy nie uchodziła za ideał, a na pewno nie zyskała na sympatii, odkąd się stała odskocznią dla akcji czynników lubelskich. Konstytucja z 1935 r. przedstawiona była już przed wojną, zresztą niesłusznie, jako twór myśli faszystowskiej, i wypaczona została całkowicie przez ordynację wyborczą i parodię wyborczą r. 1935, w której większość społeczeństwa odmówiła udziału. Fakty te wykorzystane były znakomicie przez propagandę reżimową, która w tym zakresie na pewno nie trafiła w próżnię. Wspomnienia tego tragicznego błędu politycznego, który zaciążył nad całą polityczną sytuacją w Polsce po śmierci Marszałka Piłsudskiego, jest żywsze, niż się na ogół przypuszcza.

W ogóle odnoszenie się społeczeństwa do całego 20-letniego okresu niepodległości jest dalekie od wszelkiego apoteozowania ówczesnej rzeczywistości. Wspomnienie wieloletniego, niebywałego bezrobocia, charakteryzującego polskie stosunki gospodarczo-społeczne w latach 1931/1936, stanowi do dnia dzisiejszego zmorem świata robotniczego, — zmorem, którą czynniki reżimowe wykorzystują oczywiście na wszelki sposób. Podobnie zmorem na wsi jest wspomnienie niebywałego kryzysu cen artykułów rolnych ośmiu ostatnich lat przedwojennych. Toteż wśród czołowych polityków dwudziestolecia niepodległości nikt nie może pretendować do popularności, zwłaszcza nikt spośród żyjących. Legendą i wciąż otoczone jest w najszerzych kołach wspomnienie Marszałka, ale legenda ta ma już w sobie coś z aureoli, otaczającej nazwisko Kościuszki, — powszechnym szacunkiem otoczone są nazwiska Witosa, Paderewskiego, Niedziałkowskiego, Dmowskiego, Starzyńskiego, Bartla i kilku innych, — dumą i miłością napawa cała bohaterska epopeja wojenska polskiego na emigracji, ale wszystko to już nie ma znaczenia pod kątem widzenia zagadnień polityki bieżącej.

Mam wrażenie, że nie ma też żadnego zrozumienia dla sporów, które przed wojną lub na schyłku drugiej wojny światowej roznamiętniały społeczeństwo w kraju, a i dziś jeszcze roznamiętniają znaczną część opinii emigracyjnej. — Opowiadano mi w kraju w r. 1945, że po wybuchu wojny min. Beck był rzekomo najbardziej nienawidzonym człowiekiem w Polsce, którego politykę niemiecką uważano za źródło wszelkich nieszczęść. Odkąd Hitler napadł kolejno na Czechosłowację, która zawsze stawiała na zachodnich aliantów i na Związek Sowiecki, i na Węgry, które były zawsze wiernym Rzeszy aliansem, — i na Rumunię i Jugosławię, prowadzące politykę bardziej

elastyczną, a wreszcie na Rosję, mimo jej paktu zawartego z Rzeszą w r. 1939, rozumiano jednak, że taka lub inna polityka polskiego ministra spraw zagranicznych doprowadzić musiała niezmiennie do identycznego wyniku, z chwilą, gdy demokracje zachodnie przez swe rozbrojenie rozwiązały Hitlerowi ręce dla jego akcji. Podobnie istnieje dzisiaj przekonanie, że takie lub inne pociągnięcia emigracyjnego Rządu w latach 1944 i 1945 nie mogły w niczym wpłynąć na bieg wypadków, z chwilą gdy anglosasi przyjęli mimo nienagannego stanowiska zajętego przez naród polski podczas wojny, tragiczną dla Polski i Europy formułkę, zamieniającą Europę Wschodnią w strefę wpływów sowieckich. Do lutego r. 1948, tj. do czasu, gdy Czechosłowacja mogła jeszcze względnie swobodnie istnieć, można było w kraju słyszeć zdanie: "Czemu myśmy nie mieli takiego Benesa?" Od komunistycznego zamachu stanu, dokonanego i w tym kraju, rozumiano jednak, że i Beneszy nie pomogł. Toteż kraj nie rozumie tak modnych na obczyźnie "linij podziału", według których raz jedni, raz drudzy dzielić pragną społeczeństwo. Linij podziału na "my i oni" przeprowadza społeczeństwo w kraju w codziennej walce, ale według innych zgoła sprawdzianów.

Fakty te należy mieć w pamięci, jeśli się chce należycie zrozumieć reakcję społeczeństwa w kraju na wiadomości o nieustannych niesnaskach i walkach, staczanych przez różne ugrupowania emigracyjne, — walkach, o których społeczeństwo skrzętnie informowane jest przez prasę reżimową. Oświadczenia czołowych polityków emigracyjnych, potępiających się wzajemnie, wykluczających jedni drugich od prawa bronięcia zagranicą interesów polskich, — dewaluujących wzajemnie atuty, którymi ten lub ów może zagranicą dysponować, wszystko to wzbudza uczucia protestu, a równocześnie potęguje w społeczeństwie uczucie niewiary, że poprawa przyjdzie od zewnątrz. Myślę, że liczni przedstawiciele polscy zagranicą zrozumieliby lepiej niebezpieczeństwo tych publicznych "wzajemnych żalów i potępieńskich swarów", gdyby choć jeden dzień spędzić mogli w kraju.

Rok 1949 zmienił sytuację w kraju bardziej, niż zmienił ją cały okres zaczęty 1 września 1939, a zakończony jesienią r. 1948. Warunki bytu materialne, a zwłaszcza moralne pogorszyły się znacznie. Wiara w samoczynną, ewolucyjną zmianę na lepsze stopniała do minimum. Nad każdą jednostką ciąży niepewność jutra, nie ma Polaka w kraju, który może być pewny, że wszechmocny aparat reżimowy nie zniszczy z godziny na godzinę podstaw jego materialnej egzystencji. Społeczeństwo jest bezgranicznie zmęczone i po raz pierwszy od 10 lat w masach swoich biernie. Jeśli hasło "przetrywamy i dotrwamy" obowiązuje nadal, to coraz powszechniej uzupełniane jest tragicznym pytaniem, "jak długo mamy czekać?" oraz "do czego mamy do-

trwać?" Społeczeństwo jest niemniej zwarte, i to więcej niż w r. 1939, bo nigdzie nie ma tendencji do obarczania swoich odpowiedzialnością za przebieg wypadków, — bo wszyscy przekonali się naocznie, do czego prowadzą tępo stosowane hasła bezwzględnej walki grup politycznych lub walk społecznych.

W tych warunkach dwa hasła jednoczą obecnie społeczeństwo w kraju: niepodległość państwa i wolność jednostki, a śmiem twierdzić, że tkwi wszędzie przekonanie, że nie może być trwałego pokoju w świecie, póki połowa Europy skazana jest na wegetację w gigantycznym obozie koncentracyjnym, odciętym od świata zachodniego żelazną kurtyną. W kraju rozumieją, że największym atutem polskim w dobie obecnej jest to, że nie ma już, jak w okresie Kongresu Wiedeńskiego, "problemu polskiego", a istnieje tylko wielki problemat bytu i niebytu Europy. Złączenia sprawy polskiej z problematem europejskim, — wywalczenia dla Polski należytego miejsca w przyszłej Europie, oto postulaty, których realizacji domagać się będzie kraj od swej emigracji. Jeśli ludzie w kraju zobaczą pierwsze wyniki tak pojętej akcji, naborą ponownie wiary w przyszłość i sił do przetrwania.

Ł. MAŁECKI.

Walka o świat

ROZDZIAŁ VI.

Od internacjonalizmu do wielonarodowego bolszewizmu

W czasie ostatnich lat zastanawiano się często nad pytaniem: czy komunizm objął w posiadanie Rosję czy Rosja komunizm? Czy w komunizmie należy dopatrywać się ruchu międzynarodowego, nie uznającego ojczyzny, a którego największe dotychczasowe zwycięstwo umiejscowiło się przypadkowo w Rosji, czy też należy wierzyć, w ślad za wieloma pisarzami, że komunizm jest, czy stał się, nową formą starego nacjonalizmu i imperializmu rosyjskiego?

Oba te punkty widzenia wydają się przeczyć sobie wzajemnie, a doświadczenia ostatnich dziesięciu lat wydają się przemawiać na korzyść drugiego. Jest faktem, że komuniści rosyjscy kierują światowym ruchem komunistycznym. Jest faktem, że na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat tradycyjny nacjonalizm rosyjski odżył w Rosji sowieckiej. Kult bohaterów historii Rosji, carów, żołnierzy, a nawet postaci legendarnych rozwinął się ponownie za oficjalną zgodą. Literatura i sztuka mówią z dumą o tematach rosyjskich. Dekoracje wojskowe z okresu carów, mundury i formuły grzecznościowe ponownie powołano do życia. Kościół prawosławny uzyskał zezwolenie na rozwijanie swej działalności, która jest mniej utrudniana. Podczas wojny propaganda wewnętrzna nawoływała do patriotycznej obrony świętej matki ojczyzny. Poza tym szereg celów polityki zagranicznej sowieckiej zarówno już osiągniętych jak i tych, do których ciągle jeszcze się zmierza, jest przedłużeniem linii polityki zagranicznej Rosji imperialnej.

Tym niemniej fakty te wprowadzają w błąd. Prawda polega na tym, że oba te punkty widzenia wzajemnie sobie nie przeczą. Komunizm jest jednocześnie ruchem międzynarodowym i imperializmem rosyjskim.

Światowy ruch komunistyczny stanął po raz pierwszy całkowicie u władzy w ogromnym i zaludnionym imperium rosyjskim. Nic więc dziwnego, że komuniści rosyjscy zapanowali nad ruchem światowym. Nad ruchem tym zapanowałiby Niemcy, gdyby Niemcy podbite zostały przez komunistów, Anglicy, gdyby miało to miejsce w Anglii. I następne stadium rozwojowe komunizmu ulegałoby wpływom niemieckim czy angielskim. Od 1917 roku komuniści rosyjscy dysponowali największym procentem substancji materialnej władzy — ludźmi, funduszami, ziemią,

fabrykami, wojskiem. I oczywiście, głos ich, mając za sobą takie oparcie, był na międzynarodowych zebraniach komunistycznych znacznie potężniejszy od wszystkich innych głosów. A dalej jest rzeczą równie oczywistą, że gdy chodziło o powzięcie decyzji — w sprawie Niemiec, Chin, Austrii czy Argentyny — mieli oni tendencję do kierowania się przede wszystkim swym własnym interesem, nawet gdyby decyzja taka miała wywołać trudności dla komunistów w Niemczech, Chinach, Austrii czy Argentynie. Poza tym rosyjscy komuniści odkryli, że symbole nacjonalizmu rosyjskiego i rosyjskiej religii były pożytecznymi instrumentami w panowaniu nad masami, w przyzwyczajaniu ich do znoszenia niekończącego się cierpienia i w zaprawianiu ich do ofiarnej śmierci podczas wojny.

Ale wyciągnięcie z tego wniosku, że komunizm międzynarodowy jest wyłącznie "partią państwa rosyjskiego", że jest przedłużeniem na przestrzeni całego świata polityki Ministerstwa Spraw Zagranicznych rosyjskiego i że jest "niczym więcej tylko rosyjskim imperializmem" — byłoby poważnym błędem.

Z punktu widzenia samych komunistów Rosja komunistyczna nie jest "narodową ojczyzną" w zwykłym sensie tego słowa, lecz "twierdzą rewolucji światowej", podobnie jak opływany przez nich syndykat w kraju niekomunistycznym uważany jest za zbrojną placówkę, a komórka komunistyczna w Departamencie Stanu za posterunek. Nieporozumienie między Trockim a Stalinem, w granicach gdzie wychodziło ono poza osobistą walkę o władzę, nie dotyczyło przeciwstawienia "rewolucji światowej" nacjonalizmowi. Trocki i Stalin, jak również wszyscy komuniści, wierzyli jednocześnie w rewolucję światową i obronę Rosji komunistycznej. Sprawa która ich dzieliła była zagadnieniem czysto taktycznym. Jaki procent zapasu i energii komunistycznej należało bezpośrednio przeznaczyć na obronę fortecy rosyjskiej, a jaki na działania na nieopanowanych jeszcze terenach? Trocki stał na stanowisku szybszej akcji i większych przydziałów na rzecz zaplecza nie-komunistycznego. Stalin pragnął poświęcić więcej czasu i większych udziałów w zbrojeniach i umocnieniach murów już zdobytej fortecy.

Wewnętrzna konsolidacja dyktatury proletariatu w Z.S.R.R., osiągnięte sukcesy w pracy nad konstrukcją socjalizmu, zwiększenie wpływów i autorytetu Z.S.R.R. między masami proletariatu i uciemiężonymi ludami kolonii oznaczają kontynuację, wzmocnienie i ekspansję międzynarodowej rewolucji socjalizmu... Z.S.R.R. staje się nieuchronnie bazą światowego ruchu wszystkich klas uciemiężonych, ośrodkiem rewolucji międzynarodowej, najpotężniejszym elementem w historii świata. Dzięki Z.S.R.R. proletariat światowy wchodzi po raz pierwszy w posiadanie kraju, który naprawdę należy do niego... Z.S.R.R. jest jedyną ojczyzną międzynarodowego proletariatu, głównym stróżem jego zdobyczy, najistotniejszym elementem jego emancypacji międzynarodowej....

Słowa te nie zostały wypowiedziane przez Trockiego; wchodzi one w skład programu międzynarodówki komunistycznej z roku 1938 i napisane zostały pod bezpośrednim kierownictwem Stalina.²¹⁾

21) Program ten, konstytucja i reguły Międzynarodówki mają duże znaczenie i powinny być przeczytane w całości.

Patriotyzm sowiecki z jego składnikami rosyjskimi jest więc nie tylko konsekwencją internacjonalizmu komunistycznego lecz obowiązuje także autentycznych komunistów. Z chwilą gdy komuniści objęli władzę w jednym kraju strategia światowego komunizmu, zmierzająca do zagarnięcia monopolu władzy na całym świecie, uległa z konieczności zmianie. Przedtem komuniści występowali przeciwko rządowi wszystkich narodów i żądali ich obalenia. Po roku 1917 komuniści weszli w posiadanie własnego państwa i każde rozszerzenie się władzy czy granic tego państwa stawało się automatycznie rozszerzeniem się światowego komunizmu.

Obecnie Rosja sowiecka w przekonaniu komunistów podjęła się roli podżegacza i pioniera. Wyzwolenie "uciemiężonych ludów" stało się zadaniem państwa, a nie partii rewolucyjnej (uprzednio odróżnianej od wszelkiego państwa).

A więc, w latach 1939-40 (w podbitych krajach bałtyckich) zorganizowano socjalizację w sposób całkowicie odmienny od klasycznej koncepcji rewolucyjnej. W świeżo zdobytych krajach robotnicy nie objęli w posiadanie fabryk, odwrotnie, nowy reżim tępił w sposób bezlitosny wszelkie próby tego rodzaju. Całkowity plan "socjalizacji społeczeństwa" ustalony został zawczasu i stosowany był systematycznie przez nowe władze. Stworzono więzy między centrami przemysłowymi Moskwy i odpowiednimi fabrykami świeżo zdobytych terytoriów. Opublikowano specjalne instrukcje przewidujące sankcje polityczne skierowane przeciw komukolwiek, który stałby się winnym opozycji.²²⁾

Imperializm sowiecki "neo-rosyjski" jest więc identyczny z "emancypacją rewolucyjną". Nie ma też nic w tym dziwnego, że imperializm sowiecki jest kontynuacją imperializmu carskiego, gdyż ogólna linia postępowania zarówno jednego jak i drugiego dyktowana jest przede wszystkim oczywistymi względami geo-politycznymi. Polityka państwa sowieckiego jest identyczna ze światową polityką komunistyczną. Dla tych względów też lektura "Daily Worker'a" z New Yorku i obserwacja działalności komunistów amerykańskich rzucić nam może światło na politykę sowiecką i odwrotnie, postępowanie rządu sowieckiego wyjaśni nam przyczyny zachowania się komunistów amerykańskich.

Chciałbym w dwu następnych paragrafach rozpatrzyć pewne posunięcia polityki sowieckiej, na które patrzeć będę nie jako na "wydarzenia rosyjskie", lecz które ujmę we właściwym sensie, to znaczy ukażę ją jako sowiecki wyraz aktów światowej polityki komunistycznej, mających w każdym wypadku swe uzależnienia międzynarodowe.

2

Od czasów rewolucji charakterystyczną cechą polityki sowieckiej (to znaczy polityki międzynarodowego komunizmu) były periodyczne gwałtowne zmiany, wskutek których to, co było przedtem dobre stawało się złe, to co było prawdziwe za

22) David J. Dallin: *Soviet Russia's Foreign Policy, 1939-42*. Str. 247. Cytowane za zezwoleniem wydawcy, Yale University Press. Uwagi te naturalnie dotyczyć mogą również dobrze Polski, Niemiec wschodnich, Austrii i państw bałkańskich.

mieniało się w kłamstwo, to co było białe zostawało nagle uznane za czarne. Zmiany te wywołały u wielu ludzi uczucie, że jest coś tajemniczego i nie dającego się zrozumieć w polityce i intencjach sowieckich. Są one także przyczyną powstania setek książek wprowadzających nas w błąd. Przy każdej nowej zmianie kilku tuzinom pisarzy wydaje się, że w końcu znaleźli potwierdzenie dla swej ulubionej teorii, że zmiana ta będzie długotrwała; piszą też książkę, w której interpretują pod tym kątem widzenia historię i perspektywy sowieckie. Nim jednak książka taka zostanie napisana a najczęściej w chwili gdy ukazuje się w druku, następują w Sowietach nowe przemiany. W ten sposób książki te stają się przestarzałe zanim nawet zostały przeczytane. Wśród podobnie "złapanych" autorów znajdują się często wybitni komuniści, których książki wycyfane zostają pośpiesznie z obiegu i których nieraz nie omijają czystki.

Polityka światowa komunistyczna i sowiecka od czasów rewolucji 1917 roku dzieli się na siedem głównych wyraźnych okresów przedzielonych gwałtownymi zmianami w orientacji.

Oto ich lista:

- | Okres lewicowy | Okres prawicowy |
|--------------------------------|----------------------------------|
| 1. Komunizm wojenny (1918-21). | 2. N. E. P. (1921-28). |
| 3. Okres trzeci (1928-35/36). | 4. Front popularny (1935/36-39). |
| 5. Pakt z Hitlerem (1939-41). | 6. Okres Teheranu (1943-45). |
| 7. Okres siódmy (1945-). | |

Okres od czerwca 1941 aż do końca 1943, to znaczy od wybuchu wojny rosyjsko niemieckiej do Stalingradu, był okresem bezkrólewia. Rosja sowiecka walczyła o swe istnienie i wynik wojny był niepewny. Walka zbrojna absorbowwała wszystkie energie i "polityka" ograniczała się w większości wypadków do bezpośrednich, rozpaczliwych reakcji dyktowanych przebiegiem bitew. I dopiero po zwycięstwie pod Stalingradem perspektywa zwycięskiej wojny stała się na tyle prawdopodobna, że umożliwiła wprowadzenie do polityki ważnej i pozytywnej zmiany. Z końcem też roku 1943 okres Teheranu przybrał swą formę definitywną. Tym niemniej podstawy tego okresu zarysowane zostały w czasie poprzedzającego go półtora roku.

Nazwy pierwszych sześciu okresów zostały ustalone przez terminologię komunistyczną. Ponieważ nie powstał jeszcze tytuł dla okresu ostatniego nazywam go, nie biorąc odpowiedzialności, "okresem siódmym".

Pierwszy okres obejmuje lata otwartej rewolucji i wojny domowej w Rosji. Drugi odpowiada powołaniu do życia na małą skalę prywatnych przedsiębiorstw. Trzeci rozciąga się na początki planu pięcioletniego i kolektywizacji rolnej. Czwarty jest nieco spóźnioną reakcją na zwycięstwo Hitlera w Niemczech. Piąty jest paktem z Hitlerem. Szósty jest politycznym odpowiednikiem wspólnej walki z Aliantami przeciwko Niemcom i woli zakończenia wojny w sposób najbardziej korzystny dla Związ-

ku sowieckiego. Siódmy jest pierwszym etapem specyficznych przygotowań do trzeciej wojny światowej.

Wspomniałem powyżej, że zmianie czy przejściu z jednego okresu do drugiego towarzyszą pełne terroru czystki. Przejście z okresu pierwszego do drugiego związane było z likwidacją "lewicowych" opozycyjnych partii i grup, które przetrwały już zlikwidowaną opozycję prawicy; przejście z drugiego na trzeci zaznaczyło się procesem "Szachty" i tak zwanymi "procesami inżynierów", oraz likwidacją odłamów w łonie partii; przejście od trzeciego do czwartego charakteryzuje fala czystek i procesów, które nastąpiły po zamordowaniu Kirowa (1934); zmiana z czwartego na piąty towarzyszyły na mniejszą skalę przeprowadzane eliminacje tych wszystkich, którzy przeciwstawiali się utworzeniu wspólnego frontu z hitleryzmem; przesunięcie z piątego na szósty połączone było z zyską chłopów nadwołańskich niemieckiego pochodzenia i sankcjami w stosunku do tych wszystkich, którzy posługiwać się mogli wojną dla celów opozycyjnych. Nowa czystka poprzedzająca okres siódmy, nieco spóźniona na skutek zamieszania powojennego była przeprowadzana na wielką skalę w roku 1946.²³⁾ Należy zaznaczyć tutaj, że wielkie procesy inscenizowane przeważnie w Moskwie z udziałem dwudziestu czy trzydziestu oskarżonych są tylko spektakularnymi aktami dramatu, którego aktorzy liczą się na miliony i który rozgrywa się w każdym mieście i w większości wiosek w Rosji, jak również we wszystkich partiach komunistycznych całego świata.

Przyglądając się wykazowi okresów, łatwo jest zauważyć, że polityka komunistyczna przerzucała się kolejno raz w kierunku lewicowym, a raz prawicowym. Pierwszy, trzeci, piąty i obecny siódmy były okresami "lewicowymi". Charakteryzują je krańcowe, wyraźnie rewolucyjne slogany "walki klasowej". Okresy te były pełne pogardy dla "demokracji burżuazyjnych", denuncjowały "socjal-faszystów", napadały na "wojnę imperialistyczną", wzywały do "buntów w koloniach" i kładły nacisk na prawomyślność "proletariacką" w naukach, filozofii i sztuce. W przeciwieństwie do nich okresy drugi, czwarty i szósty posługiwały się sloganami znacznie łagodniejszymi, wzywały do tworzenia frontów popularnych i zjednoczonych, mówiły o "poko-

23) Pierwsze publiczne deklaracje dotyczące czystki powojennej ukazały się w prasie moskiewskiej w czerwcu 1946. Podczas lata i jesieni kilka pism amerykańskich, a szczególnie "New York Times" podawały w swych depe szach częste wiadomości na ten temat (nie nadając im charakteru sensacyjnego). Pierwsza fala czystki zagarnęła oczywiście personel administracyjny i techniczny przemysłu, syndykaty i w mniejszym stopniu kolektywizowane gospodarstwa chłopskie, pod pretekstem "niewypełnienia kontyngentu", "wstrzymania wypłat", "fałszowania statystyk" itd. Na Ukrainie poważna część aparatu partyjnego została wyliminowana. Korespondenci amerykańscy zwrócili specjalną uwagę na trzecią falę czystki, która objęła liczne i znane osobistości ze świata literatury, teatru i kina, oskarżone o "dewiację burżuazyjną". Sergiej Eisenstein, do niedawna jeden z największych reżyserów filmowych na świecie, tragiczny i złamany, zmuszony został nie po raz pierwszy do publicznej spowiedzi ze swych grzechów politycznych. Nawet Dimitriego Szostakowicza, międzynarodowego komunistycznego bohatera muzycznego z czasów wojny, nie ominęło oskarżenie o "antysowiecką banalność" w swych ostatnich utworach.

jowym współzyciu" socjalizmu i kapitalizmu i wypowiadały się za umiarkowanymi w swych środkach "reformami".

Tym niemniej błędem byłoby wyciągnięcie wniosku, że ewolucja polityki komunistycznej ogranicza się do ruchu wahadłowego między prawicą a lewicą. Cztery okresy lewicowe nie są podobne do siebie jak również i trzy prawicowe. Linia, która miałaby zobrazować ten ruch byłaby raczej spiralą, która oscylując między kierunkiem prawym i lewym posuwa się stale naprzód, oddalając się od swego punktu wyjścia.

Zmiany w kierunku lewym do prawego i odwrotnie mają w rzeczywistości charakter drugorzędny, stanowią mniej ważny element ruchu. Są one wyrazem "taktyki", która ulega periodycznym zwrotom w zależności od rzeczywistych czy wymaganych zmian w wewnętrznym położeniu Sowietów lub przekształceń w sprawach światowych. Fundamentalna "strategia" z jej jednokierunkowym celem zagarnięcia monopolu władzy nie posuwa się naprzód w formie zygzaków, lecz w formie nieprzerwanego procesu. Różnica ta tłumaczy pewien fakt, który budzi zastanowienie wśród obserwatorów z zewnątrz: fakt ten to łatwość z jaką wyćwiczeni komuniści przyjmują niespodziewane zmiany w "linii postępowania". Komuniści w przeciwieństwie do ludzi z zewnątrz rozumieją, że zmiany mają charakter taktyczny, lecz że podstawowa strategia nie ulega przekształceniom.

Najlepszą ilustracją owego kumulatywnego ruchu strategicznego będzie analiza poważnego kontrastu, który powstaje w poszczególnych okresach z okazji stosowania zasady frontu zjednoczonego. Pierwszy raz zaczęto posługiwać się frontem zjednoczonym w okresie drugim (N.E.P.) i ograniczyło się to wtedy do współdziałania z innymi niekomunistycznymi organizacjami "robotniczymi". Przykładem tego będzie angielsko-sowiecki Komitet syndykalny, który w owym czasie tworzył blok syndykalny robotników angielskich i rosyjskich. W okresie czwartym (drugim prawicowym) "front zjednoczony" stał się "frontem popularnym", to znaczy blokiem, który obejmował nie tylko niekomunistyczne organizacje robotnicze, lecz także liberalno-demokratyczne grupy burżuazyjne. Francuski *Front Populaire*, od którego wzięto nazwę dla tego okresu jest także jego najlepszym przykładem. Tworzył on blok obejmujący komunistów francuskich, socjalistów i burżuazyjno-demokratycznych radyków-socjalistów.

W okresie szóstym (Teheran) front popularny przekształcił się z kolei we "front narodowy". Do frontu narodowego komuniści gotowi są włączyć jakąkolwiek grupę czy osobę i nie tylko proletariuszy i burżuazyjnych demokratów lecz i konserwatystów, reakcjonistów, monarchistów i faszystów. W moskiewskim Komitecie Wolnych Niemiec, stworzonym w 1943 znajdują się obok komunistów, socjalistów, liberałów i antyhitlerowskich faszystów, Junkrzy z krańcowej reakcyjnej prawicy w osobach generałów von Seydlitz'a i von Paulus'a. We Włoszech w drugim rządzie Badoglio komuniści zasiadali w Gabinetcie Króla obok faszysty Badoglio. Hiszpańska "Najwyższa rada zjednoczenia narodowego" stworzona przez komunistów w kwietniu 1944 składała się z komunistów, monarchistów, konserwatywnych katolików i reakcyjnych przemysłowców. Komuniści nie

mieli żadnych trudności w nawiązaniu stosunków z królem Borysem bułgarskim i z byłym królem Karolem rumuńskim. Podtrzymywali oni Perona w Argentynie, a dzisiaj w Niemczech wschodnich posługują się milionami nazistów, których dziesiątki tysięcy wciągają do własnych szeregów. Jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone, Earl Browder²⁴) w 1944 ujął w sposób następujący sprawę nowego znaczenia frontu zjednoczonego: "Jeżeli J. P. Morgan podtrzyma koalicję i będzie z nią współpracował to ja jako komunista, gotów jestem uściśnić mu dłoń i pomóc mu w jej realizowaniu". I w wywiadzie udzielonym dziennikowi PM (15 marzec 1944) dodał: "Jestem zadowolony gdy mówi pan, że poważni członkowie N.A.M. (narodowe stowarzyszenie fabrykantów) są tego samego zdania co ja".

Istnieje jeszcze inna ogólna i pełna znaczenia różnica pomiędzy pierwszymi i ostatnimi okresami. Cztery pierwsze były w skali światowej jednolitymi i mechanicznymi ruchami w kierunku prawicy czy lewicy. W okresach lewicowych każdy komunista, bez względu na to gdzie się znajdował, mówił i zachowywał się tak, jakby już jutro miał wejść na barykady i parzyć z lekceważeniem na czystą koszulę i obcięte włosy jako na poniżające symbole burżuazyjnej dekadencji. Nawet zawieszano działalność frontu zjednoczonego jako podejrzanego o "kolaborację". W okresie prawicowym każdy komunista na całym świecie stawał się człowiekiem godnym szacunku, czyścił buty i nie przestawał poszukiwać przyjaźni i współpracy u niekomunistów.

Począwszy od okresu piątego daje się zauważyć znacznie większą elastyczność. Współpraca z Hitlerem może istnieć równocześnie z "kierownictwem sił antyfaszystowskich" w krajach demokratycznych. Przyjaźni z J. P. Morganem towarzyszy otwarta rewolucyjna walka na Bałkanach. W 1946 komuniści z New Yorku głosują na kandydatów partii demokratycznej, podczas gdy gdzie indziej w Stanach Zjednoczonych i innych krajach, ich koledzy partyjni oskarżają rząd, kierowany przez tę właśnie partię demokratyczną, o montowanie światowej imperialistycznej kontrrewolucji.

Ta zmiana znaczenia frontu zjednoczonego i zwiększenie elastyczności w stosowaniu "generalnej linii postępowania" są odbiciem wewnętrznej ewolucji światowego ruchu komunistycznego począwszy od rewolucji 1917 roku. Ewolucja ta jest po prostu potężnym rozrostem zarówno jakościowym jak i ilościowym władzy i niezależności światowego komunizmu.

Tymczasowe okoliczności towarzyszące powstaniu komunizmu wytworzyły specjalne stosunki między nim a klasą robotniczą i najbiedniejszą warstwą chłopów. Komuniści sami byli zawsze

24) Jest ważne, by nie dać się wprowadzić w błąd przez usunięcie Browdera z partii komunistycznej za tak zwaną "dewiację marksizmu-leninizmu". Browder, jako kierownik partii, nie uległ w okresie Teheranu "dewiacji", lecz, jak zawsze, dokładnie spełniał rozkazy. Jego oficjalne usunięcie było częścią zmiany, poprzedzającej okres siódmy. Jest on jednak trzymany przez komunistów w rezerwie, jako "druga cięciwa łuku Stalina" mająca ukazać Stanom Zjednoczonym perspektywę nowej, "kolaboracyjnej" linii postępowania, która zastępując siódmy lewicowy okres, byłaby zwrotem zupełnie niewykluczonym w kierunku okresu ósmego prawicowego.

elitą zawodowych rewolucjonistów; lecz te dwie klasy były główną bazą socjalną, na której się opierali (tak jak bezrobotni i niektóre odłamy klas średnich tworzyły pierwotnie główną podstawę socjalną hitleryzmu) i dzięki którym przeprowadzili rewolucję 1917 roku. W czasie porewolucyjnym komuniści byli mniej lub bardziej związani z tą początkową bazą socjalną i w konsekwencji posiadali ograniczoną swobodę działania. Dla tych względów też, pierwsze fronty zjednoczone przestać musiały na organizacjach proletariackich i chłopskich i dlatego też wczesna propaganda i taktyka miały względnie wąski tylko zakres klasowego działania.

Dysponując władzą i szerszymi możliwościami mogli komuniści pozwolić sobie na zerwanie pierwotnych więzów (z wyjątkiem tylko wypadku, gdyby chcieli użyć ich dla podbicia nowych ludów) i odzyskać w ten sposób prawie całkowitą wolność ruchów. Zerwanie to dokonane zostało przy pomocy terroru i miało miejsce w epoce, w której mechanizm wielkich procesów i czystek, sprzyjających zresztą temu zerwaniu, osiągnął swój punkt kulminacyjny (lata 1936-38).²⁵⁾

Ta emancypacja w stosunku do pierwotnej bazy socjalnej może być uważana jako przedwstępny socjologiczny warunek nowego stylu i taktyki komunistycznej. To ona właśnie umożliwiła socjologicznie komunistom tworzenie bloków z każdą grupą społeczną, z każdą osobą należącą do każdej klasy, oraz pozwalała na niezmiernie łatwe przerzucanie się z polityki strajków na politykę "antystrajkową", z podtrzymywania i prowadzenia wojny imperialistycznej na ligę pacyfistyczną.

Przedwstępnym warunkiem technicznym tego nowego stylu był fakt osiągnięcia dojrzałości przez kadry światowego ruchu komunistycznego, włącznie z N.K.W.D. Światowy komunizm posiada obecnie, zarówno w Rosji sowieckiej jak i na zewnątrz, liczne grupy absolutnie pewnych, stalowo nieczułych kobiet i mężczyzn, zaprawionych ideologicznie i praktycznie. Te właśnie grupy zdolne są do wykonania natychmiastowego zwrotu politycznego (pakt z Hitlerem, wojna z Niemcami, atak na Perona czy podtrzymanie Perona, podtrzymanie Badoglio czy monopolu, współpraca ze Stanami Zjednoczonymi czy usiłowanie ich zmiądzenia, strajki wszędzie, czy nigdzie). Elita ta ciągnie za sobą warstwy różnych członków partii, mniej świadomych, mniej wyrobionych politycznie, sympatyków i ludzi naiwnych. "Przed wszystkim — pisze w 1944 przywódca francuskiej partii komunistycznej André Marty — partia nasza wykazała absolutną siłę, gdyż od września 1943 przeprowadziła trzykrotne zmiany taktyki i nie zarysował się najmniejszy znak rozłamu".

Ten przedwstępny warunek techniczny wypełniony także został w dużej mierze w latach 1936-38. Czystki zmierzały do wyeliminowania całej rzeczywistej, ewentualnej czy wymagowanej opozycji. Ci, którzy pozostali w wewnętrznych komórkach komunistycznych są prawdziwymi, twardymi i elastycznymi "stalinistami" — to znaczy "ludźmi ze stali". Tylko przy równie dokładnym przygotowaniu organizacyjnym podobnie rady-

25) Oblicza się, iż w tej serii czystek od ośmiu do dziesięciu milionów osób rozstrzelano, uwięziono, zesłano i skierowano do obozów koncentracyjnych i obozów przymusowej pracy.

kalna zmiana w polityce jak pakt z Hitlerem, przejść mogła bez żadnych prawie strat.

To techniczne przygotowanie umożliwiła kierownikom komunistycznym pominięcie pewnych zwykłych formalności organizacyjnych. Pozwolić sobie oni mogą na rozwiązywanie międzynarodówki komunistycznej, na rozwiązywanie i odbudowywanie komunistycznych sekcji narodowych, na łączenie się z innymi partiami i zrywanie z nimi, na wchodzenie w skład rządów i opuszczanie ich — będąc pewni, że scementowanie ich własnych szeregów będzie zawsze silniejsze od każdej formuły organizacyjnej. A dalej, ponieważ podlegają oni w stopniu minimalnym zewnętrznemu hamulcowi socjalnemu, poruszać się mogą w dziedzinie polityki z tą zadziwiającą szybkością, która olśniewa ich światowych rywali i utrzymuje inicjatywę w ich rękach.

Jednym słowem, są gotowi.

3.

Niezależnie od poszczególnych zmian taktycznych w przejściach z jednego okresu na drugi, w światowym komunizmie, począwszy od rewolucji 1917 roku, zaznaczyła się pewna powolna faza rozwoju o dużej wadze. Jest to przekształcenie się "internacjonalizmu" komunistycznego w to co Mołotow nazwał "multi-nacjonalizmem". "Przekształcenie to — wyjaśnił Mołotow w swym przemówieniu, wygłoszonym w dniu 1 lutego 1944 na zebraniu Najwyższego Sowietu — jest całkowicie zgodne z zasadami naszej polityki narodowej, ustalonej przez Lenina i Stalina". Jest ono jedną z owych współzależności osobistych tak często spotykanych w historii. Stalin od samego początku swej pracy w partii zrobił siebie specjalistą od spraw narodowych". Mołotow powiedział — Stalin "jest największym autorytetem w sprawach narodowych nie tylko w naszej partii i nie tylko w naszym kraju". Multi-nacjonalizm jest istotnie najbardziej twórczym i wyraźnym postępem w teorii i praktyce komunistycznej, dokonany pod rządami Stalina.

Internacjonalizm wczesnego komunizmu — wtedy gdy komunizm był jeszcze stosunkowo słaby i tworzył względnie izolowaną sektę — miał charakter abstrakcyjny i doktrynalny. Opierał się on na domniemanej identyczności międzynarodowych "sił klasowych", niezależnych od wszelkich podziałów narodowych. Komuniści głosili, że masy nie posiadają prawdziwej ojczyzny, że nacjonalizm jest tylko podstępem przy pomocy którego starano się zakuć je w tym cięższe kajdany, że głównym wrogiem jest zawsze własny rząd, że patriotyzm jest godną potępienia zdradą rewolucji. Idee te były sprzeczne z rzeczywistością, szczególnie jednak z głębokimi, tradycyjnymi nastawieniami mas. W konsekwencji, ten wczesny internacjonalizm, a raczej anty-nacjonalizm wchodził często w kolizję z uczuciami narodowymi, zawsze potężnymi, które dalekie od zaniknięcia, zyskały w naszych czasach na nowej intensywności. Anty-nacjonalizm obrażał i odpychał potencjalnych rekrutów i sympatyków komunizmu; była to trudna bariera, która wyrosła między komunizmem a "nastawieniem mas".

Socjal-demokracja w myśl wskazówek samego Marksa była u swych początków również międzynarodowa w tym samym doktrynalnym sensie i napotykała na te same trudności. W

1914, w chwili, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, socjal-demokracja położyła kres temu problemowi, poddając się nacjonalizmowi. W każdym z wojujących narodów socjaliści porzucili abstrakcyjne formułki o jedności świata pracującego, o obowiązku zwalczania "własnego rządu", o przeciwstawieniu się "wojnom imperialnym" itd. Postanowili stać się patriotycznymi obywatelami i żołnierzami, walczącymi pod rozkazami własnych rządów z wrogami narodowymi. Wynikiem końcowym tej decyzji był rozkład socjal-demokracji jako niezależnej siły historycznej. Socjal-demokracja (zwana po prostu "socjalizmem" w Stanach Zjednoczonych) podporządkowała się odtąd w okresach kryzysów, wojen i rewolucyj poszczególnym rządóm narodowym. Dzięki temu też w czasie drugiej wojny światowej partie socjalistyczne objęły w całym szeregu państw alianckich kierownictwo rządów w walce o narodową egzystencję. Po wojnie angielska partia pracy (socjaliści) i francuska partia socjalistyczna są w pierwszym rządzie Anglikami i Francuzami, a dopiero później socjalistami.

Komunizm obrał inną drogę o szczególnie wielkim znaczeniu historycznym. Nie podporządkowuje się on nacjonalizmowi, lecz go absorbuje, zespalaając w ten sposób w jednym ruchu dwie wielkie — a może największe — siły historyczne naszej epoki. Jest to typowym "zwycięstwem realizmu Stalina". Metoda Stalina polegała zawsze na usiłowaniu pływania z prądem, nigdy przeciw niemu i na utrzymywaniu się na powierzchni wody, by nie dać się wciągnąć w głąb.²⁶⁾ Skoro uczucia narodowe istnieją, nie osłabiajmy się i nie odsuwajmy się od nich obrażając je, lecz odwrotnie, starajmy się je wyeksploatować tworząc z nich pomost, który zbliży nas do mas, a nie mur, który by nas dzielił.

Dziesięć lat temu w każdym kraju sztandary narodowe ukazywać się zaczęły na estradach partyjnych obok czerwonego sztandaru; towarzysze partyjni śpiewali hymn narodowy amerykański, "God save the King" i "Międzynarodówkę"; portrety tradycyjnych bohaterów narodowych umieszczano obok portretów Marksa, Stalina, Lenina; komunistyczną szkołę w New Yorku nazwano szkołą imienia Jeffersona, a N.K.W.D. brygadę ochotników, których rekrutowała na wojnę cywilną w Hiszpanii ochrzciła "Brygadą Abrahama Lincolna". Podczas wojny armia czerwona organizowała dywizje czeskie, polskie, węgierskie, hiszpańskie, a nawet niemieckie. Komunizm stał się rodzajem światowego kameleona politycznego, bardziej amerykańskim niż Washington czy Lincoln ("komunizm jest amerykańszem dwudziestego wieku") bardziej francuskim niż Jeanne d'Arc, bardziej chińskim niż Sun-Yat-Sen, bardziej niemieckim niż Fryderyk I — nie potrzebujemy dodawać — bardziej rosyjskim niż Piotr Wielki.

26) Pewien rewolucjonista, którego znałem i który stał się później wybitnym komunistą, mówił o metodzie tej w formie osobistej anegdotki. "W czasie pierwszej wojny światowej — opowiadał — byłem wojującym pacyfistą. Jednego wieczoru tłum złożony z kilku tysięcy osób zebrał się przed moim domem by mnie zlinczować i z trudem tylko udało mi się uratować życie. Tego wieczoru zdecydowałem, że następny tłum z którym będę miał do czynienia zamiast napadać na mnie, będzie przeze mnie kierowany".

Jako instrument polityki światowej zasada "bolszewizmu wielonarodowego" daje komunizmowi poważną przewagę nad "narodowym socjalizmem", z którym ma on wiele cech wspólnych. Narodowy socjalizm wzmacniając nacjonalizm niemiecki, stał się w bezpośrednim konflikcie z współzawodniczącymi nacjonalizmami, z chwilą gdy wyszedł poza granice narodu niemieckiego. Komunizm, który rozpoczął od wyznawania ideologii nienarodowej, obecnie dostosowuje się do istniejących nacjonalizmów i w licznych okolicznościach udaje się mu wciągnąć i zużytkować ich dynamizm dla własnych celów.

Stalin napisał dziesiątki tysięcy słów na temat sprawy narodowej, a jego komentatorzy poświęcili miliony słów temu zagadnieniu. Tym niemniej jego "rozwiązanie" tej sprawy ująć możemy w niezmiernie prostej, następującej formule: przyznać nacjonalizmowi wszystko, co jest im dogodne, z wyjątkiem władzy. Niech zachowują stroje, śpiewy, język, dania narodowe, tańce (wszystko to sprawia, że wielkie konferencje w Moskwie są tak kolorowe²⁷⁾ wszystko — pod warunkiem jednak, by nie posiadały władzy. Władza w systemie komunistycznym jest monopolem; i to jest rzecz niezmienna. Metodę tę zastosowano stopniowo w stosunku do nacjonalizmów pierwszych dwunastu republik sowieckich; potem rozciągnięto na cztery nowe republiki, stworzone podczas wojny; a używana jest, z odpowiednimi wariantami i w różnych swych fazach, w stosunku do podporządkowywanych narodów w miarę, jak wpływ komunizmu się rozciąga. Wiele cech charakterystycznych polityki komunistycznej, dotychczas niezrozumiałych i pozornie ze sobą sprzecznych, stanie się dla nas jasnymi, gdy spojrzymy na nie pod kątem widzenia multi-nacjonalizmu. Poza tym popełnilibyśmy poważny błąd gdybyśmy nie doceniali możliwości tego godnego uwagi stworu. Kariera jego nie dobiega końca, lecz się dopiero rozpoczyna.

Oficjalne uznanie multi-nacjonalizmu i formalne wprowadzenie go do praktycznej doktryny komunizmu miało miejsce wtedy gdy Najwyższy Sowiet, z początkiem roku 1944, przyjął (jednogłośnie oczywiście) poprawki, zwane federalistycznymi, do konstytucji sowieckiej. W prasie w owym czasie ukazały się, jak zwykle idiotyczne, komentarze, omawiające znaczenie tych poprawek. Wielu komentatorów w poprawkach tych odkryło wówczas, jak to zresztą jest ich częstym zwyczajem, symptomy "decentralizacji" i "demokratyzacji". ("Federacja — pisał w 1920 r. Lenin — jest formą przejściową bezwzględnej jedności²⁸⁾ mas pracujących wszystkich krajów"). Wkrótce potem o wydarzeniu tym zapomniano.

Tego rodzaju brak pamięci, jeżeli chodzi o rytuał komunistyczny, nie jest rzeczą wskazaną. Poprawki te służyć miały do dwu celów bezpośrednich. Jeden z nich (mniej ważny)

27) I to, że ludzie tacy jak Corliss Lamont, będący pod ich wrażeniem, śpiewają w swych książkach hymny pochwalne o Rosji sowieckiej, która systemem swym gwarantuje wolność ras i narodów. Wystarczającym dowodem istnienia tych wolności jest fakt, iż w czasie czystek 1936-1938 r. cały personel kierowniczy "rządów", tak zwanych autonomicznych republik sowieckich i "okręgów autonomicznych" został zlikwidowany przez N.K.W.D.

28) W języku komunistów słowo "jedność" oznacza "całkowite podporządkowanie się zjednoczonej władzy komunistycznej".

przygotowywał teren do przyjęcia Ukrainy i Białej Rusi do O.N.Z. w charakterze niepodległych narodów. Drugi zmierzał do stworzenia wygodnej struktury prawniczej dla włączenia w obręb Rosji sowieckiej czterech nowych republik: republiki Łotewskiej, estońskiej, litewskiej i mołdawskiej. Najwyższy Sowiet głosował nad ich przyjęciem podczas sesyj, które nastąpiły po przyjęciu poprawek.

Lecz te cztery republiki nie są jedynymi kandydatkami, które wyczekują w napięciu szczęścia znalezienia się na coraz to zwiększającej się liście Związku Socjalistycznego Republik Radzieckich. Piąta — Mongolia — została już wpisana. Tuzin innych w Europie wschodniej i Azji, jak to okaże się w niedługim czasie, niecierpliwie się w tej samej mierze. Klub sowiecki nie jest ekskluzywny. I dlaczego przypuszczać mamy, że pozostałe na świecie narody, skoro przejdą przez okres szkolenia przez N.K.W.D., miałyby być kandydatami opornymi?

Prawdą jest natomiast, że poprawki te, a raczej wyrażana przez nie polityka multi-nacjonalizmu, stanowią część integralną i ważną pochodną w kierunku realizacji celu ostatecznego, który dzisiaj kierownikom komunistycznym wydaje się o wiele bliższy: celem tym jest światowe imperium komunistyczne, nazwane w terminologii komunistycznej — Światowym Związkiem Socjalistycznych Sowietkich Republik.

ROZDZIAŁ VII.

Cele polityki sowieckiej.

Posuwanie się kilkoma zbieżnymi drogami doprowadziło nas do odkrycia, że celem ostatecznym polityki komunistycznej, a co za tym idzie polityki sowieckiej — jest podbój świata. Odkrycie to nie jest ani nowe, ani zadziwiające, a sekretem mogło być tylko dla ignorantów, czy naiwnych, ewentualnie dla tych, którzy chcieli zachować go w tajemnicy.

Od samych początków komunizmu, i nie tylko od chwili stworzenia frakcji bolszewickiej w 1903, ale już w epoce "Manifestu" Marksa i Engelsa cel ten był omawiany w teorii i stosowany w praktyce. Marks mówił do swych uczniów: "Macie cały świat do zdobycia", a Stalin w swej czołowej książce głosi: "Największa trudność rewolucji rosyjskiej, jej najważniejszy problem historyczny — to konieczność rozwiązania zagadnień międzynarodowych, konieczność wzniesienia rewolucji światowej". Program Międzynarodówki w swoim wstępie chwali się, że "Międzynarodówka jest jedyną siłą Międzynarodową, mającą w swym programie dyktaturę proletariatu i komunizmu, która przyznaje się otwarcie do tego, że jest organizatorką światowej rewolucji proletariackiej". Program ten głosi z zadowoleniem i otuchą "nieuniknioną katastrofę kapitalizmu". Część trzecia programu Międzynarodówki posiada następujący tytuł: "Cel ostateczny Międzynarodówki komunistycznej — komunizm światowy". "Oficjalna historia partii komunistycznej" — lektura obowiązująca wszystkich komunistów, stwierdza: "Studiowanie historii partii komunistycznej wzmacnia przekonanie o ostatecznym powodzeniu wielkiego zadania partii Lenina - Stalina, to jest zwycięstwie komunizmu na całym świecie".

Fakt, że podbój świata wchodzi w skład wiary komunistów i

że w ich przekonaniu stanowi ich cel, nie jest jeszcze sam w sobie szczególnie ważny. Istniały i ciągle istnieją osoby i grupy ludzi, wierzące w podbój świata. W każdym zakładzie dla wariatów znajdziemy takich kilku. Lecz w zakładzie, wiara ta nie jest brana pod uwagę obiektywnie i poważnie, traktuje się ją jako mrzonkę, która nie pozostając w uzasadnionym związku z ogólnym postępowaniem wariata, jest symptomatyczna dla konfliktu między jego chorym mózgiem, a otaczającym go społeczeństwem.

Sytuacja jest podobna, gdy cel ten — jak to często bywa — ogłoszony jest przez małe i słabe sekty. Wówczas również można mówić o nim jako o mniej lub więcej żenującej iluzji. Sekta nie ma materialnej możliwości osiągnięcia swego celu i reszta świata nie ma potrzeby troszczyć się jej działanością. Zdarza się często, że aktywność sekty nie ma żadnego pozytywnego związku z zadaniem, które pragnie spełnić: piękne zadanie jest tylko odwróconą odpowiedzią na jakąś nieokreśloną potrzebę psychotyczną. Gdy przyjmujemy jedną z tych interpretacji, znajdziemy również w doktrynach mahometanizmu, judaizmu, a nawet kalwinizmu tkwiące w nich myśli o podboju świata; żadna jednak z tych grup nie usiłuje spełnić w praktyce podobnych marzeń, i żadna z nich w obecnej chwili nie znajduje się w sytuacji, materialnie umożliwiającej jej wykonanie podobnego zadania, nawet gdyby to było jej celem.

Gdy jednak wiara w podbój świata łączy się z dostatecznymi środkami, by stworzyć możliwość sukcesu, i z akcją, która zmierza w tym kierunku, wówczas zadanie to, nabiera rzeczywistej wartości i traktować je należy dosłownie. Tak było z hitleryzmem; wydaje mi się, że podobnie miała się rzecz, z jedną w każdym razie, sektą japońskich Szintoistów, militarystów. Ale jeszcze bardziej oczywiste jest to w wypadku komunizmu. W doktrynie komunistycznej nie ma najmniejszej dwuznaczności, jeżeli chodzi o cel podboju świata. Komuniści zawsze i wszędzie pracują nad realizacją tego zadania. A w chwili obecnej środki, którymi dysponują w ludziach, bogactwach materialnych i wpływach psychologicznych są wystarczające, by stworzyć poważne prawdopodobieństwo ich akcji.

Chociaż jednak często o prawdzie tej się mówi, bardzo niewiele ludzi i kierowników państw demokratycznych w nią wierzy. Mam wrażenie, iż niewiara ich wypływa z tego, iż nie chcą w nią wierzyć. Zgadzałem się z nimi, że wiara taka nie jest rzeczą przyjemną, bo w obliczu wycelowanego rewolweru nieprzymiennie jest odpowiadać na pytania tylko — tak, albo — nie. Tym niemniej, wbrew wszelkim zapewnieniom Henry Wallace'a i dziekana katedry Canterbury tak wygląda prawda i pozostanie niezmienną, aż do ostatecznej decyzji.

2.

Doktryna komunistyczna, zakrzepnięta dzięki wiekowej tradycji w ideologicznym schemacie, nie jest jedyną siłą popychającą komunizm w kierunku stworzenia imperium światowego. Co najmniej trzy inne aktywne przyczyny stwarzają presję:

1. Zaznaczyliśmy powyżej, podając szereg szczegółów, przyczyny, dla których powiedzieć możemy, że współczesne społeczeń-

stwo dojrzało do imperium światowego. Oczywiście tego stwierdzenia nie nasunie wątpliwości żadnemu z obserwatorów, stanie się jednak uderzająca, gdy spojrzymy na nią z punktu widzenia analizy marksistowskiej i sposobu w jaki komuniści patrzą na świat. Międzynarodowy podział pracy, stale zwiększająca się szybkość transportów i komunikacji, zawiła współzależność przemysłów świata, nieuchronna kolizja każdej części kuli ziemskiej z wszystkimi innymi, uwarstwienie klas ignorujących granice narodowe — wszystko to stwarza fakt, który marksiści nazywają "warunkami materialnymi" powstania państwa światowego. Państwo światowe — rozumują marksiści — powstać musi, gdyż "super-strukturę polityczną" determinują z konieczności "warunki materialne". Należy dodać, iż bez wątpienia warunki te działają nie tylko na komunistów, lecz także na wszystkie inne potężne grupy i państwa, w formie obiektywnego nacisku prowadzącego do politycznej integracji świata. Niezależnie od swych idei sami komuniści podlegają działaniu tego nacisku. A dalej, logiczne rozumowanie prowadzi ich do wniosku, że o ile sami nie zorganizują imperium światowego dla własnej korzyści, zrobią to inni, ich kosztem.

Omówiliśmy nieco wyżej sprawę, jak dalece wykrycie broni atomowych zaostrza i zbliża w czasie zagadnienie imperium światowego.

2. Drugą siłą pchającą komunistów w kierunku ekspansji światowej, siłą o typie często spotykanym w historii — są skutki niepowodzenia ich w dziedzinie socjalnej i ekonomicznej w łonie samego Związku Sowieckiego, a więc w zakresie najważniejszej podstawy władzy komunistów.

Opowiadane przez komunistów historyjki o nadzwyczajnych sukcesach przemysłu socjalistycznego w ojczyźnie socjalizmu, duma ich z powodu "rozwiązywania problemów ekonomicznych" są oczywiście legendą. Faktem jest, że ogromna masa ludów rosyjskich żyje w reżimie komunistycznym na jeszcze niższym poziomie materialnym, niż za czasów carskich i że poziom ten obniżył się jeszcze w czasie planu pięcioletniego. Głód, zimno, brud, jak również terror i niewolnictwo są dla ludów rosyjskich rezultatem zwycięstw komunistycznych, trwających od pół wieku. Przemysł sowiecki w ogromnej części jest niekompetentny, niewydajny i jakościowo na niskim poziomie. Poza tym sterroryzowana masa ludów w równej mierze nienawidzi co boi się swoich władców komunistycznych²⁹⁾.

W tych warunkach ekspansja panowania komunistycznego stwarza szereg obiecujących i zasadniczych możliwości.

Po pierwsze, dzięki wypróbowanej już zasadzie, służy ona do odwrócenia uwagi od trudności wewnętrznych. Zwycięstwa na zewnątrz kompensują porażki na wewnątrz. Powstaje doskonałe usprawiedliwienie dla nędznych warunków życiowych i gniew ludów odwraca się od głów kierowników komunistycznych.

Po drugie, polityka rabunkowa na terytoriach podbitych dostarcza chwilowo chociaż, pewnego zapasu artykułów, których brak odczuwany jest dotkliwie. Od samego początku zagarnięcia państw bałtyckich, komuniści wypróżniali systematycznie magazyny, stodoły i domy podbitych terytoriów. Żołnierzom,

29) Omawiają to uwagi na końcu rozdziału.

którzy rozpoczęli rabunek na własną rękę zezwolono na zatrzymanie tylko tego, co już znalazło się w ich własnych żołądkach. Zostali oni obrabowani z kolei przez państwo, które zagarniętą zdobycz rozdzielało w myśl ustalonego planu.

Po trzecie, świeżo podbite ziemie dostarczają komunistom sześciomiesięcznych rezerw ludzkiej siły roboczej, na których pragną się oprzeć, by podnieść poziom przemysłowy.

Po czwarte, komuniści zdobywają dodatkowy kapitał w formie fabryk, kopalń, kolei, maszyn.

3. W końcu, gdyby imperium światowe nie stanowiło pozytywnego celu dla komunistów, musiałyby ono — z ich punktu widzenia — być traktowane jako środek obronny. Komuniści wierzą bowiem i zawsze wierzyli, że przed współczesnym społeczeństwem stoją tylko dwie alternatywy: komunizm albo kapitalizm. Bez względu na to co ludzie myślą "subiektywnie" — "obiektywnie" są oni uszeregowani albo po tej, albo po tamtej stronie; trzecia możliwość nie istnieje. W konsekwencji, z chwilą gdy komunizm stał się poważną siłą światową na skutek podbicia znacznej części globu ziemskiego i jej mieszkańców, zarysował się nieunikniony problem: albo kapitalizm zniszczy świeżo powstały świat komunistyczny, albo komunizm podbije pozostałe części świata kapitalizmu. (Komuniści trochę paradoksalnie uważają tę drugą hipotezę za "nieuniknioną" w dalszym biegu wypadków. Jej realizacja ulec może opóźnieniu, tym niemniej będzie miała miejsce nieodwołalnie).

Kapitalizm światowy (do którego włączają komuniści wszystko z wyjątkiem siebie samych), jest obecnie ich zdaniem, w stadium agonii. Wewnętrzne sprzeczności pchają go do coraz bardziej bezlitosnej eksploatacji świata. Przede wszystkim jednak, ma on nadzieję, że przez eksploatację terytoriów i ludów Związku Sowieckiego, chronionych obecnie przez dyktaturę proletariatu — odświeży swe siły. Cel ten w oczach komunistów nie ma nic wspólnego z osobistymi pragnieniami i zapatrywaniami samych kapitalistów i ich kierowników politycznych. Jest on narzucającym się następstwem istoty rozkładającego się kapitalizmu. Jest równie nieunikniony jak nieuniknioną jest wojna w kapitalizmie i jak to, że prawdziwym znaczeniem każdej wojny w naszych czasach jest atak, skierowany przeciw fortecy komunistycznej Związku Sowieckiego.

W swym głównym dziele teoretycznym pod tytułem "Problemy Leninizmu" Stalin zagadnienie to ujął w sposób następujący:

Faktem zasadniczym ... jest to, że nie istnieje już światowy system kapitalistyczny. Z chwilą gdy powstało państwo sowieckie ... kapitalizm światowy przestał istnieć. Świat podzielił się na dwa obozy, obóz imperialistyczny i obóz antyimperialistyczny (Tom I, str. 369).

Zyjemy nie tylko w państwie, lecz w całym systemie państw i jest rzeczą nie do pomyślenia by Republika sowiecka istnieć mogła nieskończenie obok państw imperialistycznych. W końcu albo jeden albo drugi z tych systemów musi zwyciężyć. Nim jednak zwycięstwo to nastąpi, szereg niebezpiecznych i nieuniknionych konfliktów między Republiką sowiecką a państwami burżuazyjnymi mieć będzie miejsce. (Tom I, str. 56; cytuję z "Dzieł" Lenina, wydanie rosyjskie, tom XVI, str. 102).

Aby uprzedzić świat, że doktryna ta nie została puszczona w

niepamięć na skutek reformistycznej demagogii okresu teherańskiego, Stalin w swym przemówieniu wyborczym z dnia 10 lutego 1946 r. oświadczył:

Niesłuszne byłoby przypuszczenie, że wojna wybuchła przypadkowo lub w wyniku błędu jakiegoś męża stanu. Mimo, że błędy takie zostały popełnione, wojna w rzeczywistości była nieodwołalnym skutkiem ewolucji sił politycznych i ekonomicznych świata w reżimie monopoli kapitalistycznych.

W myśl owych założeń podbój świata jest dla komunistów jedynym środkiem samoobrony. Każda wojna prowadzona przez nich — bez względu na to z czyjej strony padł pierwszy strzał, lub kto pierwszy wtargnął na obce terytorium — by zacytować jako przykład wojnę z Finlandią w 1939 r. — jest już z samej definicji, wojną defensywną.

Ludzie naiwni, pragnący komunistów ułagodzić, wyobrażają sobie, że można wierzenia komunistów zmienić udawadniając im, że się jest ich przyjaciółmi, przemawiając do nich z dobrocią i spełniając ich życzenia. Zapominają jednak o tym, że to, do czego komuniści zmierzają — to jest panowanie nad światem. I nie rozumieją, że w oczach komunistów tego rodzaju przyjazne nastawienie wrogów klasowych może być tylko albo pełnym hipokryzji wprowadzaniem w błąd, albo dowodem głupoty i słabości. Nic nie zmieni tych wierzeń; na pewno też nie zmieniają ich, ani argumentacja, ani dowody racjonalne, gdyż w punkcie zasadniczym, w myśl którego komunizm musi albo podbić świat albo zginąć — wiara komunistów jest słuszna.

3.

W dążeniu do ostatecznego celu, którym jest imperium światowe, obecny etap działalności komunistów poświęcony jest zorganizowaniu fazy przygotowawczej do trzeciej wojny światowej. Przygotowanie do wojny jest zasadniczą "linią postępowania" komunistów. Jak zawsze, oznacza to, że cała działalność komunistyczna, jakakolwiek by nie była, jest pośrednio czy bezpośrednio podporządkowana owej "linii postępowania". Czwarćty plan pięcioletni, polityka w C.I.O., nowe czystki, zachowanie się Gromyko na posiedzeniach Rady Bezpieczeństwa czy Komisji Atomowej, opanowanie przemysłu austriackiego, zamach w Iranie, założenie światowej Federacji syndykalnej, czy uznanie Perona, walka u boku komunistów chińskich, czy agitacja kierowana przeciw Stanom Zjednoczonym w Ameryce Południowej, próby połączenia się komunistów z Labour Party, czy kampania w sprawie Franco, reorganizacja armii czerwonej i marynarki, czy próby zjednoczenia syndykatów marynarzy i dockerów w Stanach Zjednoczonych, apel wyzywający do stworzenia monopolistycznego organizmu pisarzy amerykańskich, czy nieustępliwość w stosunku do Niemiec, zwiększenie działalności wśród murzynów amerykańskich i podtrzymywanie przyjaźni z muzułmanami: wszystko to, i wszystko inne, jest po prostu przygotowaniem do wojny. Polityka sowiecka jest owiana tajemnicą tylko dla tych, którzy upierają się przy fragmentarycznym obserwowaniu jej z zewnątrz i którzy odmawiają posługiwania się kluczem, podsuwanym przez samych komunistów

każdemu, kto pragnie się nim posługiwać. Jeżeli zdobyliśmy ogólne zrozumienie istoty i celów komunizmu, to pozostaje nam tylko uchwycenie głównej linii postępowania. Wtedy wszystko, począwszy od sloganów, a skończywszy na morderstwach, odnajduje swe właściwe miejsce, zaś polityka komunistów nie tylko przestaje być tajemnicza, ale odwrotnie, staje się jaśniejsza i bardziej bezpośrednia od każdej innej.

Dla ułatwienia, podzielmy przygotowania do trzeciej wojny światowej w sposób następujący:

1. Próby konsolidacji efektywnego panowania na terenie kontynentu eurazyjskiego.
2. Równoczesne próby osłabienia i podkopania wszystkich rządów i narodów nie znajdujących się we władaniu komunistycznym.

W rozdziale tym ograniczę się do rozpatrzenia pierwszej kategorii tych prób.

W sierpniu 1939 we władaniu komunistów — spadkobierców imperium rosyjskiego — znajdowało się to, co geopolitycy nazywają "sercem ziemi" lub "wyspą świata"³⁰). Po raz pierwszy w historii świata "serce ziemi" (Centralna Eurazja) posiadała liczną ludność, organizację na wyższym poziomie i poważne uprzemysłowienie.

W sierpniu 1945 panowanie komunistów, chociaż wewnętrznie nie całkowicie skonsolidowane, rozciągało się na zachódzie aż po linię idącą od Szczecina do wybrzeża Dalmackiego i obejmowało na wschodzie całe Bałkany z wyjątkiem Macedonii, Tracji i półwyspu greckiego, nieposiadającego dużego znaczenia geograficznego. Linia ta, z wyjątkiem brakującej Macedonii i terytorium tureckiego, położonego na północ od Dardaneli, odpowiada dokładnie temu, co Mickinder trzydzieści lat temu określił jako zachodnią granicę Centralnej Eurazji — "serca ziemi".

Na wschodzie panowanie komunistyczne zmierzało do okrążenia, poprzez Kuryle, obu Ameryk od północy i rozciągało się na północną Koreę, Mandżurię i północne Chiny. Obie te linie penetracji Eurazji w kierunku Chin (w stronę Mandżurii i bardziej na południe w stronę Sinkiang) zostały również określone przez Mackindera.

Na zachodzie nacisk komunistów idzie w kierunku północnym (Skandynawia), lecz najsilniej daje się odczuwać w Niemczech, będących kluczem do pozostałej części Europy. Atak ten połączony jest z próbą okrążenia poprzez Hiszpanię oraz z tym, co można nazwać — planem tymczasowej okupacji Francji i innych mniejszych państw Europy.

Na Środkowym Wschodzie nacisk komunistów działa wszędzie: w Afganistanie, Persji, Iraku, Turcji, Palestynie, w mniejszych państwach arabskich i posuwając się dalej dociera do Egiptu i całej Afryki Północnej. Z punktu widzenia tradycyjnie myślących potęg morskich, takich jak Wielka Brytania i Stany Zjed-

³⁰) Używam tutaj w szczególności terminologii Sir Halford Mackindera. Por. *Democratic Ideals and Reality*, Constable and Co Ltd, London.

noczone, stanowi to "zagrożenie żywotnych linii Imperium" i wiąże się z marszem w kierunku na Triest i Włochy. Z punktu widzenia potęg lądowych i zasadniczych stosunków geopolitycznych chodzi tutaj raczej o ruch, posuwający się poprzez most lądowy w kierunku południowej strefy "serca ziemi" — Afryki.

Na Dalekim Wschodzie nacisk obejmuje całość Chin. W Indiach, znajdujących się poza "sercem ziemi" i posiadających drugorzędne znaczenie geopolityczne, nie odczuwa się jeszcze presji idącej z Eurazji. Presja ta zaznacza się tylko od wewnątrz i występuje na skutek działalności miejscowych komunistów hinduskich, N.K.W.D. i agentów wojskowych, oraz ogólnej promuzułmańskiej orientacji.

Powyższe stwierdzenia możemy zobrazować rysunkiem szeregu kół koncentrycznych, otaczających jądro wewnętrzne.

Jądro wewnętrzne, odgrywające rolę magnesu w stosunku do całego systemu — to Rosja Sowiecka, zamknięta w tymczasowych granicach, ustalonych po wojnie domowej, a które przetrwały do sierpnia 1939. W okresie przygotowań do drugiej wojny światowej była to forteca komunizmu. Obecnie, w fazie przygotowawczej do trzeciej wojny światowej, terytorium to staje się obronnym pięścieniem wewnętrznym największej fortecy eurazyjskiej.

Konsolidacja fortecy eurazyjskiej jako całości wymaga przeprowadzenia w owym jądrze wewnętrznym całego szeregu decyzji, które są już realizowane. Z punktu widzenia ekonomicznego nowe plany pięcioletnie zmierzają do rozwinięcia za wszelką cenę podstawowych gałęzi przemysłu wojennego i do zdystansowania — chociażby kosztem nadludzkiego wysiłku — Stanów Zjednoczonych, w zakresie produkcji broni atomowych. Nowe kontyngenty robotników-niewolników, dostarczane przez ludy zamieszkujące zarówno Rosję jak i tereny podbite, stanowią elastyczną masę sił roboczych, którą przeznaczają się do wypełnienia zadań ekonomicznych, wyznaczanych przez rząd. Koordynuje się współpracę armii lądowych, marynarki i lotnictwa, przeprowadza się ameliorację ich sprzętu, podczas gdy system wychowawczy dostosowuje się do zadania uformowania jak największej ilości zdyscyplinowanych i wyszkolonych żołnierzy i oficerów. Z punktu widzenia politycznego nowe czystki, dobrze znane metody terroru, uprawiane przez N.K.W.D. i odpowiednia propaganda zmierzają do ponownego rozciągnięcia — nieco rozluźnionej w fazie powojennej — mocnej kontroli nad ludnością i do zaprawienia jej do przyszłych walk.

Pierwszy pierścień, otaczający jądro środkowe przedstawia tereny już wchłonięte albo przeznaczone do włączenia w najbliższym czasie w ramy samej struktury Związku Sowieckiego. Jak widzieliśmy powyżej krok ten umożliwiła federalistyczna rewizja Konstytucji sowieckiej.

W kole drugim znajdują się narody, które Związek Sowiecki pragnie raczej sobie podporządkować przy pomocy takiego czy innego rządu marionetkowego, niż wchłonąć bezpośrednio. Polska, Jugosławia, Czechosłowacja, Rumunia, Bułgaria, Albania, północna Persja, północna Korea, wschodnie Niemcy, wschodnia Austria objęte już zostały tym kołem. Przypuszczenie, iż narody te mogłyby kiedykolwiek swobodnie, lub na skutek jakie-

goś manewru dyplomatycznego z koła tego się wymknąć, jest politycznym idiotyzmem. Oczywistym zamiarem komunistów jest rzecz odwrotna: zdążają mianowicie do coraz wyraźniejszego wciągnięcia ich w głąb, by wprowadzić je w końcu do pierścienia pierwszego, pierścienia absorbcji, przesuwając jednocześnie na ich miejsce do koła drugiego, inne narody, które w obecnej chwili tkwią w sposób niezdecydowany na krawędzi tego koła. Finlandia, pozostała część Persji i Austrii, Mandżuria i północne Chiny (o ile Stany Zjednoczone zgodzą się łaskawie na obalenie Czang-Kai-Szeka)³¹. Irak, Turcja i państwa Skandynawskie są dzisiaj jedną nogą po tamtej stronie kręgu.

Ale najbardziej smakowitym kąskiem tego koła są Niemcy. Kierownicy państw demokratycznych, o niezbyt szerokich horyzontach politycznych, których uwagę pochłaniają zawsze sprawy drugorzędne, nie zrozumieli jeszcze znaczenia skoncentrowanej kampanii bolszewickiej, zmierzającej do opanowania Niemiec. Panowanie nad Niemcami zapewni efektywne panowanie nad całym kontynentem europejskim i uzupełni budowę fortecy eurazyjskiej na zachodzie.

Waga, jaką przywiązuje się do Niemiec, pochodzi z czasów Lenina, a nawet z okresu wcześniejszego, napoleońskiego, gdy oficerowie i dywizje pruskie pomogły w rozbiciu Napoleona. Lenin wielokrotnie zaznacza, że technologia niemiecka w połączeniu z bogactwami naturalnymi Rosji i jej potencjałem ludzkim zapewniłyby zwycięstwo rewolucji światowej. Od 1918 do 1924 komuniści próbowali wielokrotnie wywoływać rewolucję w Niemczech. Później utrzymywali oni ścisłe związki z Niemcami. Importowali z Niemiec maszyny i techników i zezwalali na to, by oficerowie niemieccy z zakazanej traktatem wersalskim armii zdobywali potrzebne doświadczenie szkoląc armię czerwoną. Pakt Hitler - Stalin nie był, jak to cały świat sobie wyobrażał — zwrotem politycznym bez precedensów.

Decyzja Hitlera rozpoczęcia wojny z Rosją nie położyła kresu tym od dawna utrzymującym się poglądom. Już w październiku 1941 weteran komunistów, Walter Ulbricht pracował nad utworzeniem ligi komunistycznej wśród wojennych jeńców niemieckich. W przemówieniu wygłoszonym na zebraniu Sowietu moskiewskiego w dniu 6 listopada 1942, Stalin zapewnił wszystkich Niemców, że: "Nie jest naszym celem zniszczenie Niemiec, gdyż zniszczenie Niemiec jest rzeczą niemożliwą... Nie jest naszym celem zniszczenie całej siły wojskowej Niemiec, gdyż każdy inteligentny człowiek rozumie, że byłoby to nie tylko niemożliwe w stosunku do Niemiec... lecz niepożądane, jeżeli chodzi o przyszłość". 12 - 13 lipca 1943 został utworzony w Moskwie Komitet narodowy Wolnych Niemiec, którego nominalnym prezydentem został generał Walter von Seydlitz, wzięty do niewoli pod Stalingradem, a kierownikiem rzeczywistym Wilhelm Pieck, przywódca komunistów niemieckich i były sekretarz komunistycznej Międzynarodówki³².

Komitet Wolnych Niemiec rozsiał po całym świecie swe agendy, kierowane przez komunistów. Pozyskał udział masy ucie-

31) Przypominamy, że autor książkę niniejszą pisał w r. 1946.

32) Nie mam niestety miejsca dla omówienia szczegółów dotyczących tego niezmiernie ważnego komitetu. Zobacz mój artykuł pt. Stalin and the Junkers w *The Commonwealth* z 15 września 1944.

kinierów i emigrantów niemieckich, przebywających zagranicą: socjalistów, liberałów, zwykłych patriotów niemieckich, nastawionych jednak antyhitlerowsko. Na terenie Związku sowieckiego Komitet i jego agentury podjęły próby nawracania nazistowskich jeńców niemieckich na komunizm i szkołą specjalnych agentów, oraz bataliony przyszłej armii "Wolnych Niemiec". Gdy w sierpniu 1944 Fryderyk von Paulus, niemiecki dowódca spod Stalingradu zawiadomił publicznie o swym przystąpieniu do Komitetu, już około stu generałów, spośród jeńców niemieckich wchodziło w skład tego Komitetu.

Anglia i Stany Zjednoczone tak dalece zaniepokoiły się istnieniem Komitetu Wolnych Niemiec, że w czasie obrad jałtańskich uzyskały od Stalina złożenie podpisu pod jednym z paragrafów układu, w którym rezygnował on z zamiaru wprowadzenia tego Komitetu do Niemiec w formie nowego rządu. Tego rodzaju zobowiązanie było dla komunistów, jak zawsze, czystą formalnością i nie pociągało za sobą konsekwencji.

Komitet Wolnych Niemiec jest wyrazem planów komunistów w stosunku do Niemiec. Jego program jest pułapką, ofiarowującą Niemcom, jako zachętę, rolę młodszego współnika w eurazyjskim sowiecie i w przyszłym imperium światowym. W rzeczywistości zmierza on do inkorporacji Niemiec i poddania ich jednolitej kontroli komunistycznej. Deklaracja jałtańska nie wprowadziła żadnej zmiany do tego programu i działalność Komitetu Wolnych Niemiec pod różnymi przykrywkami rozwija się w dalszym ciągu z taką samą siłą.

Warunki niemieckiej kapitulacji oddały komunistom wschodnie Niemcy. Baza ta umożliwiła im obserwację całych Niemiec i już od połowy 1946 postępy komunistów w tej części były tak znaczne, że pozwoliły na wykonanie przedwstępnych kroków, mających na celu obejście reszty kraju. Komuniści wchłonęli socjalistów, zmuszając ich do wstąpienia do "Zjednoczonej Partii Socjalistycznej". Członkowie Komitetu Wolnych Niemiec — wyszkoleni zagranicą komuniści — ściągnięci zostali z Meksyku, Nowego Jorku, Południowej Ameryki, Londynu, Stockholmu, Moskwy. Po raz pierwszy od czasów wojny, w czerwcu 1946 roku, Mołotow w Paryżu wystąpił przeciwko federalizmowi i rozczłonkowaniu, a opowiedział się za "zjednoczonymi Niemcami". Myślał wtedy, że spełnienie jego planów jest zapewnione i że zjednoczone Niemcy staną się Niemcami komunistycznymi.

Polityka, organizująca wstępnie wschodnie Niemcy jest w swej zasadzie taka sama, jak polityka stosowana na terenach "panowania". Sztynna formuła, przy pomocy której panowanie miało być osiągnięte — jest rzeczą niepotrzebną. Ogromna elastyczność, wielorakość form ruchów politycznych i społecznej struktury rządu jest dopuszczalna. Rzeczą niezmienną jest jedynie — jak zawsze — eliminacja wszelkiej władzy, poza władzą komunistów. Tymczasowe koncesje, faworyzowanie, nawracanie, presje ekonomiczne, zmiany i przemiany w układach partii i rządów, wprowadzenie w błąd oraz — stała i istotna podpora wszystkich innych akcji — terror, groźby, tortury, egzekucje, zsyłki, prace przymusowe, stosowane w zmiennych dozach, likwidują stopniowo wszelką opozycję przeszłą, obecną, przyszłą i wymagowaną. Koalicje, wybory, układy, fuzje są

tylko parawanem. Istotą jest marsz komunistów w kierunku władzy totalnej.

W systemie kół koncentrycznych granica między kołem drugim (panowanie), a kołem trzecim (wpływy) nie zawsze jest wyraźna. W skład koła trzeciego wchodzi narody, których Związek sowiecki w danym momencie nie czuje się na siłach wchłoniąć, lub zredukować do roli marionetek, lecz w których pragnie pozyskać dostateczne wpływy by zapewnić sobie prosowiecką politykę zagraniczną, lub by w każdym razie zneutralizował wszelkie tendencje do anty-sowieckiej polityki zagranicznej. W Europie oznacza to usiłowanie zapobieżenia powstaniu tego co nazywamy blokiem zachodnim. W Południowej Ameryce sprowadza się to do wyrwania narodów spod wpływów Stanów Zjednoczonych.

W kole trzecim wpływy przybierają różne formy, począwszy od nacisków bezpośrednich, wykonywanych przez państwo sowieckie i wewnętrzne partie komunistyczne, aż do różnorakich odmian koncesji i ugód. Zacytujemy jako przykłady tych ostatnich, fakty: rząd sowiecki był pierwszym, który uznał częściowo Komitet de Gaulle'a, był pierwszym, który uznał w pełni rząd Badoglio we Włoszech i Perona w Argentynie; w 1946 wysłał zboże do Francji; zawierał, a nawet czasami realizował wspólnomyślnie układy ekonomiczne z szeregiem państw Południowej Ameryki; wewnątrz wszystkich narodów koła trzeciego partie komunistyczne pragną jedności i współpracy z frontami narodowymi. Ten apel do jedności łączy one z groźbami, strajkami i szeregiem wrogich akcji, zmierzających do sparaliżowania działalności antysowieckich i antykomunistycznych. We Francji, Włoszech i większości państw południowo-amerykańskich komuniści prawie w całości opanowali zorganizowane syndykaty robotnicze. Tam, jak i w Chinach, gotowi są do wzięcia udziału w rządach koalicyjnych, by móc stosować veto.

W narodach wchodzących w skład koła trzeciego (mówiąc i o takich, jak państwa skandynawskie, które aczkolwiek znajdują się w kole trzecim, wciągane są obecnie do koła drugiego), polityka komunistyczna zdążyła do wytworzenia warunków polityczno-socjalnych, pozwalających ruchowi komunistycznemu na rozwijanie skutecznej akcji. Dlatego też komuniści występują tam w obronie niektórych form demokratycznych; porzucając te formy wtedy, gdy panowanie komunizmu jest zapewnione, ale nie przedtem. Tym także wytłumaczyć można gotowość z jaką rozwiązują czy zakładają narodowe organizacje partii komunistycznej i z jaką przyjmują stanowiska w gabinetach wielopartyjnych. A jednocześnie pracują nad wchłonięciem, czy zniszczeniem wszelkich elementów rewolucyjnych niekomunistycznych czy antykomunistycznych, które próbuje wyłonić lewica.

Należy zaznaczyć, że stosunki wewnątrz całego tego systemu kół koncentrycznych mają charakter dynamiczny. Jak długo Związek sowiecki zachowa swą inicjatywę polityczną, tak długo jądro centralne stanowić będzie siłą atrakcyjną, przyciągającą koła zewnętrzne w kierunku dośrodkowym. Z chwilą gdy pierścień pierwszy wchłonięty zostanie przez jądro centralne, pierścień drugi (panowanie) zmierzać będzie do częściowej chociażby, fuzji z pierścieniem pierwszym. Nowe terytoria i naro-

dy będą się przemieniać z kandydatów, podlegających zwykłemu panowaniu w kandydatów przeznaczonych na całkowite wchłonięcie. I możemy słusznie wysunąć przypuszczenie, iż w niedługim czasie podania o przyjęcie na łono Związku Socjalistycznych Radzieckich Republik będą złożone przez niektóre z państw, znajdujących się obecnie w pierścieniu drugim. W podobny sposób koło trzecie (wpływy) zmierza do połączenia z drugim i narody pierścienia trzeciego wciągane są do grupy "panowanie".

Historia państw bałtyckich w latach 1939 - 1940 odzwierciedla w skrócie układ stosunków, panujących wewnątrz systemu owych kół koncentrycznych.

W rozdziale tym podaliśmy charakterystykę kół: pierwszego, drugiego i trzeciego. Nasz wywód, z wyjątkiem części poświęconej Ameryce Południowej, odnosił się do pierwszego tylko odcinka fazy przygotowania do trzeciej wojny światowej, a mianowicie, do konsolidacji efektywnego panowania kontynentu eurazyjskiego. Koło czwarte wyprowadza nas poza obręb Eurazji i odnosi się do drugiej części zadania ogólnego: do prób równoczesnego osłabienia i podminowania rządów i narodów, nad którymi nie rozciąga się jeszcze kontrola komunistyczna.

4.

Stany Zjednoczone, Anglia i brytyjski Commonwealth są głównymi elementami koła czwartego. Mimo, że zamiary komunistów w stosunku do tych krajów są takie same, jak w stosunku do całej reszty świata, stosuje się do nich w obecnej chwili, to znaczy w chwili przygotowywania trzeciej wojny światowej, politykę pod wieloma względami radykalnie odmienną od polityki eurazyjskiej, rozpatrywanej powyżej. W obecnym okresie komuniści nie liczą, by mogli wchłonąć czy opanować narody znajdujące się w kole czwartym. Nie wierzą też, by mogli osiągnąć w Stanach Zjednoczonych decydujące wpływy w dziedzinie ogólnej orientacji, lecz nie pozbawieni są drobnych nadziei, że uda im się pchnąć Anglię w pożądanym przez nich kierunku.

Polityka komunistów w stosunku do Stanów Zjednoczonych opiera się na przekonaniu, że naród amerykański jest jedynym poważnym rywalem i ich głównym przeciwnikiem w rozpoczętej się trzeciej wojnie światowej. Wierzą też iż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, gdy wojna się rozpocznie, Anglia i to co pozostanie z Commonwealth'u i imperium brytyjskiego podtrzymać będzie de facto, przymierze ze Stanami Zjednoczonymi. Z tych powodów ich polityka stosowana do Anglii ma charakter pomocniczy i dlatego poniżej przeprowadzoną analizę ograniczę tylko do zagadnienia Stanów Zjednoczonych.

Cele komunistów, jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone, ująć można w sposób następujący:

Po pierwsze, zapobiec, by ingerencja Stanów Zjednoczonych przeciwdziałała uplanowanej przez komunistów konsolidacji forticy eurazyjskiej, a nawet uzyskać pomoc Stanów w realizowaniu tego planu.

Po drugie, osłabić, podminować i zdemoralizować Stany Zjed-

noczone w możliwie największym stopniu, zanim nie rozpocznie się otwarta walka.

Po trzecie, wdrażyć się w życie socjalne Stanów tak, aby w chwili wybuchu wojny być gotowym do akcji bezpośredniej — to znaczy szpiegostwa, sabotażu, podburzania do rozruchów, buntów itd.

Cele te są oczywiście wspierane działalnością komunistów i propagandą na całym świecie. W samych Stanach Zjednoczonych i przynależnych im krajach czuwa nad ich wykonywaniem potężna i skomplikowana sieć organizacyjna. Liczni Amerykanie, nie rozumiejący absolutnie polityki totalitarnej, utrzymują, że komuniści stanowią "godną lekceważenia siłę w życiu amerykańskim", gdyż partia komunistyczna zdobywa w wyborach niewielką tylko ilość głosów. Dla komunistów wybory — a w szczególności głosy zdobywane w wyborach — są jednym z mniej ważnych objawów działalności politycznej. Przypomnijmy, iż w 1917, na początku rewolucji rosyjskiej, bolszewicka frakcja rosyjska, która stała się partią komunistyczną, miała zaledwie około 25 tysięcy członków. Fakt, że nieliczna mniejszość, dobrze zorganizowana i zdyscyplinowana, wiedząca z góry czego chce i świadomie pracująca nad realizacją swego celu, posiada znacznie większy ciężar od bezkształtnej i luźno związanej większości — jest ogólnie znanym prawem politycznym.

Aparat komunistyczny w Stanach Zjednoczonych, nawet z punktu widzenia jego liczebności jest w istocie poważny. Składa się z szeregu warstw, otaczających wewnętrzną stalową komórkę, których zewnętrzne kręgi mieszają się z resztą ludności. W centrum skupiają się tysiące agentów N.K.W.D., sprawujących i kontrolujących wszelką akcję. Współdziałają z nimi tysiące innych agentów, wchodzących w skład wywiadów wojskowych i przeróżnych komitetów, biur i komisji państwa sowieckiego i międzynarodowej partii.

Wszyscy sowieccy urzędnicy, przebywający w naszym kraju, bez względu na pozorne funkcje, wchodzą oczywiście w skład tej maszyny. Wszystkie cudzoziemskie partie komunistyczne posiadają na naszym terenie zorganizowane sekcje, składające się z grup emigrantów i ludzi obcego języka. Poza tym istnieje partia komunistyczna Stanów Zjednoczonych ze swoimi licznymi agenturami i licznymi komunistami, którzy otrzymali rozkaz nie wstępowania w szeregi partii. Do tego dochodzą sympatycy, ludzie naiwni i prości, miliony ludzi uczciwych, którzy nie orientują się w kierunku i źródłach propagandy, wchłaniają ją, gdyż wydaje im się, iż odpowiada ich pragnieniom.

Aby spełnić swe potrójne zadanie sieć komunistyczna usiłuje przeniknąć do wszystkich warstw społeczeństwa amerykańskiego. ("Musimy — mówi Lenin w "Co należy zrobić" — wejść w skład wszystkich klas społecznych w roli teoretyków, propagatorów, agitatorów i organizatorów"). Od najmniejszego klubu sportowego do najwyższych szczebli administracji państwowej, od największych syndykatów do lokalnych kółek dyskusyjnych, od zatwierdzonych partii politycznych do najmniejszych spółdzielni rolniczych, od armii, do organizacji pacyfistycznych, od "The Atlantic Monthly" do "The Protestant", od "partyj" w Hollywoodie do strajków — wszędzie wpływy komunistyczne

docierają i wszędzie są aktywne. Tam, gdzie istnieje już jakaś organizacja, komuniści przenikają do niej z zewnątrz, tam gdzie organizacji nie ma, zakładają nową. Aby zaś ułatwić sobie zadanie owego przenikania, używają opisanej poprzednio formuлки frontu zjednoczonego.

Infiltracja ta częściowo ma charakter oportunistyczny, to znaczy, że komuniści wykorzystują każdą okazję, by wejść w skład jakiegokolwiek organizacji. Tym niemniej, zgodnie ze swoim specyficznym zadaniem, komuniści posiadają w Stanach Zjednoczonych kilka płaszczyzn działalności, na których koncentruje się większość ich wysiłków. Oto najważniejsze z nich:

1. Przemysł wytwarzania opinii publicznej. — Przeznacza się ogromne fundusze i zużywa się ogromny zapas energii w celu pozyskania i poddania swoim wpływom pisarzy, wydawców, dziennikarzy, redaktorów, mówców, speakerów radiowych, propagandystów rządowych, reżyserów teatralnych i filmowych, dyrektorów i aktorów, nauczycieli, ministrów itd. Stworzono dla nich tuziny frontów zjednoczonych. Wydaje się pod kierownictwem komunistycznym setki pism, dzienników i tajnych okólników. Partia zajmuje się reklamą książek, które są użyteczne z jej punktu widzenia i nie cofa się przed użyciem wszelkich środków w celu usunięcia antykomunistycznych książek, sztuk teatralnych, filmów czy programów radiowych. Komuniści i ich przyjaciele rzucają na rynek amerykański setki książek i artykułów wtedy, gdy to jest im potrzebne i rozprawdzają je przy pomocy własnych organizacji (jak na przykład wydawnictwa międzynarodowe) lub, co zdarza się częściej i co jest bardziej pożądane, za pośrednictwem usługowych, a nieświadomych wydawców. Setki niewinnych speakerów radiowych, redaktorów pism i dziennikarzy nie domyśla się nawet, że "prywatne informacje", które ożywają ich artykuły i programy, a często przyczyniają się do zwiększenia ich honorariów zostały im podszeptane przy pomocy długiej tuby, mieszczącej się w Sekcji Agit-Prop w Moskwie. Nic więc dziwnego, iż w czasie wojny komuniści okazali się tak kompetentni w prowadzeniu "wojny psychologicznej" i że praca ich była tak ceniona w pismach wojskowych.

2. Marynarka i Transporty. — Komuniści opanowali już w Stanach Zjednoczonych poważny procent marynarzy i dokerów. Partia pozyskała także niektórych pracowników w dziale transportu, łącznie z radiooperatorami marynarki i urzędnikami Western Union w New Yorku, głównej siedzibie międzynarodowych linii komunikacyjnych. Znaczenie tego faktu, w zestawieniu z przygotowaniem do wojny, jest dostatecznie oczywiste.

3. Wywiad. — Komuniści starają się za wszelką cenę przeniknąć do różnych oddziałów wywiadowczych wojskowych i rządowych. Faktem stwierdzającym stopień ich powodzenia w tej dziedzinie jest to, iż w czasie wojny idee ich przesiąknęły do oddziałów sztabowych, wojskowych oddziałów wywiadowczych i do departamentu Stanu. Pracę w tej dziedzinie ułatwia im działalność w łonie amerykańskiego syndykatu pracowników robót publicznych, związku, który zdobywa sobie coraz poważniejsze miejsce na terenie Organizacji funkcjonariuszy państw-

wych. Wszędzie gdzie znajdują się komuniści, działają jako agenci wywiadu światowego ruchu komunistycznego.

4. Wiedza, a w szczególności technologia i nauka o energii atomowej. — Od paru lat komuniści rozpoczęli badania naukowe na wielką skalę, zaś od czasu powstania Federacji Międzynarodowej Inżynierów, Architektów, Chemików i Techników, organizację tę podtrzymują energicznie. Z chwilą odkrycia i ukazania się broni atomowej wzrosło ich zainteresowanie dla tej organizacji. Komuniści i ich przyjaciele rozwijają żywą aktywność w komitetach, syndykatach i innych, tworzonych obecnie, organizacjach uczonych i techników z dziedziny energii atomowej. Nazwiska kilku sławnych uczonych, specjalistów od energii atomowej, znajdowały się na listach frontów zjednoczonych. Można być pewnym, że prawie wszystkie tak zwane sekrety, dotyczące energii atomowej, przedostają się do rąk komunistów w bardzo szybkim czasie po ich odkryciu.

Opierając swą działalność na wyżej opisanych płaszczyznach komuniści wpływają na opinię amerykańską tak, aby ich polityka eurazyjska mogła rozwijać się w pożądanym kierunku. Komuniści są w posiadaniu najbardziej potężnego aparatu propagandowego i wyniki działania tego aparatu na terenie naszego kraju w ciągu ostatnich lat są ogromne. Doprowadzono opinię publiczną w Stanach Zjednoczonych do tego, że pogodziła się z przekazaniem Jugosławii komuniście Tito i wydaniem Polski w ręce komunistycznego rządu Bieruta. Po dokładnym przygotowaniu, komuniści odegrali rolę katalizatora w ruchu, nawołującym do powrotu do domu żołnierzy, nazajutrz po zakończeniu wojny, co przyczyniło się do demoralizacji sił zbrojnych i osłabiło dyplomatyczną pozycję światową Stanów Zjednoczonych. Wielu Amerykanów wierzy dzisiaj całkowicie lub połowicznie, że totalitaryzm jest odmianą nowej i wyższej demokracji. Są oni zwolennikami zasady nieinterwencji w Chinach, to znaczy oddania Chin podtrzymywanym i zasilanym przez Sowiety komunistom chińskim i wkrótce dojdą do przekonania, że całość wojsk amerykańskich winna być ściągnięta z terenu Eurazji. Wielu wierzy, że Amerykanie popierają zagranicą faszystów i kontrrewolucjonistów. Opowiada się im przerażające historie o monarchistach greckich, tureckich tyranach, satrapach Persji i Iraku, subwencjonowanych przez wielkich kapitalistów amerykańskich i brytyjskich. Bez względu na istotę sprawy, propaganda podsuwa zawsze cały szereg wiadomości, które nie tylko mają na celu uniemożliwienie Stanom Zjednoczonym przeciwdziałanie w funkcjonowaniu systemu kół koncentrycznych, ponadto mają spowodować polityczną zycżliwość Stanów dla tego systemu, dostawy i zasilenie go w sprzęt przemysłowy.

I propaganda komunistyczna mówi niestrudzenie o micie sowieckim, bajce szczęśliwego i dostatniego kraju socjalizmu, w którym zjednoczona ludzkość kroczy w kierunku lepszego jutra.

Na innym froncie propaganda i działalność komunistów zmierza do pobudzenia i sprowokowania istniejących konfliktów między Stanami Zjednoczonymi i innymi państwami niekomunistycznymi. Na Filipinach Hukbalahapsowie, czyli zbrojna

guerilla, eksploatująca niezadowolone biednych chłopów, agituje i kieruje swą broń przeciwko nowemu rządowi, popieranemu przez Amerykanów. W Portorico komuniści niosą pomoc ruchowi separatystycznemu. Na przestrzeni całej Ameryki Południowej komuniści i ich przyjaciele oskarżają Yankesów o imperializm. Ale przede wszystkim korzystają z każdej okazji, by wzniecić antypatię i nieufność w stosunku do Wielkiej Brytanii.

Wewnątrz Stanów Zjednoczonych komuniści podtrzymują i eksploatują wszystkie możliwe rozdziewki. Robotników z kapitalistami, dużych przedsiębiorstw z małymi, C.I.O. z A.F. of L., fermerów z kupcami, murzynów z białymi, chrześcijan z żydami, protestantów z katolikami, właścicieli z lokatorami, Amerykanów obcego pochodzenia z Amerykanami rodowitymi, południa z północą, ludzi zatrudnionych z bezrobotnymi; gdziekolwiek tylko otwiera się możliwość powstania nieporozumienia w życiu narodu, taktyka komunistyczna zmierza do jej zaakcentowania i pogłębienia.

Odmawiać ... manewru, wykorzystania konfliktów wewnętrznych (nawet czasowych) u wrogów; odmawiać załagodneń i kompromisów z możliwymi aliantami (nawet gdyby byli tymczasowi, niepewni, chwiejni i warunkowi), — czyż nie jest to rzeczą krańcowo śmieszną? ... Stare formy się rozpadły ... Obecnie mamy do wykonania, z punktu widzenia ewolucji komunizmu międzynarodowego, pracę tak ważną i tak trwałą ... iż może i musi ona przybierać wszystkie formy, zarówno stare jak i nowe; może ona i musi zregenerować, podporządkować, zdobyć wszystkie formy zarówno nowe jak i stare, i to nie w celu dostosowania się do form starych, lecz w celu przekształcenia przeróżnych form w instrument, który zapewni całkowite, decydujące i definitywne zwycięstwo komunizmowi. (Lenin, cytowany przez Stalina w "Problemach Leninizmu").

Jest rzeczą oczywistą, iż nieporozumienia te istnieją w społeczeństwie niezależnie od komunizmu. Problem murzyński, problem robotniczy, problem religijny, problem żydowski istniałyby i bez ruchu komunistycznego i prawdą jest, że wielu dobrych obywateli niekomunistów i antykomunistów interesuje się tymi problemami. Lecz interesują się po to, by znaleźć dla nich rozwiązania i nie rozumieją, że komuniści — z którymi często współpracują nieświadomi istnienia frontów zjednoczonych — zmierzają nie do rozwiązania problemów, lecz do przekształcenia ich w zagadnienia nierozwiązalne. Nie rozumieją, że komuniści nie pragną naprawy narodu, lecz jego zdruzgotania ostatecznego. Dobry obywatel, pragnąc na przykład aby murzyn uzyskał wyrok sprawiedliwy, cieszy się znajdując poparcie u komunistów, gdyż nie wie, że komunista użyje go nie w celu dopomożenia murzynowi, lecz w celu zaognienia stosunków między rasami. Dobry obywatel przystępuje powiedzmy do komitetu niesienia pomocy rodzinom strajkującym; nie wie natomiast, że komuniści wchodzący w skład tego komitetu nie zmierzają do polepszenia sytuacji robotników, lecz do powiększenia konfliktów klasowych i podminowania gospodarczej sytuacji Ameryki. Albo dobry i humanitarny obywatel przyłącza się do jakiegoś komitetu "przyjaźni sowiecko-amerykańskiej" nie wiedząc, że komitet ten ma za zadanie nie wspieranie ludów Rosji i Ameryki, lecz pracę nad dyktaturą komunistyczną, która

dzisiaj miażdży ludy Rosji Sowieckiej, a zmierza do zgniecenia w niedalekiej przyszłości ludów Ameryki.

Jeżeli wszystko wykonane będzie według ustalonego planu, to wojna totalna zastanie Stany Zjednoczone tak dalece wyizolowane, wewnętrznie osłabione, podzielone i zdemoralizowane, iż nie będą w stanie prowadzić walki na poziomie. A dalej, z chwilą rozpoczęcia wojny, nawet gdy oficjalna działalność komunistów będzie ograniczona lub zakazana, ich infiltracja będzie już tak daleko posunięta, że umożliwi im przy pomocy akcji bezpośredniej zniszczenie odporności duchowej narodu i jego potencjału przemysłowego i wojskowego.

Upadek Stanów Zjednoczonych — to zniknięcie ostatniej dużej przeszkody i początek światowego imperium komunistycznego.

5.

Nie jest wykluczone, że po obecnym, siódmym okresie lewicowym nastąpi pozornie prawicowy, tymczasowy okres ósmy. Gdyby miało to nastąpić partia komunistyczna w Stanach Zjednoczonych porzuciłaby najbardziej krańcowe hasła i środki działania i zastąpiłaby je uczuciami bardziej przyjaznymi w stosunku do rządu amerykańskiego, tak jak to miało miejsce w okresie Teheranu. Earl Browder mógłby ponownie objąć stanowisko szefa partii.

Dwie okoliczności mogłyby przyczynić się do tego rodzaju zwrotu. Stany Zjednoczone mogłyby przerzucić się na politykę tak energiczną w stosunku do Związku Sowieckiego i komunizmu, że kierownicy komunistyczni uznaliby za korzystne ukrycie swej działalności pod przykrywką udanej przyjaźni, albo mogłyby dojść do przekonania, że ich życzliwe nastawienie umożliwiłoby im pozyskanie pomocy gospodarczej Stanów Zjednoczonych wraz z całkowitą zgodą na przeprowadzenie komunistycznych planów dotyczących Eurazji. Istnieją pewne podstawy do przypuszczenia, iż pewien odłam sfer rządzących w Sowietach życzyłoby sobie tego zwrotu i, że Stalin do odłamu tego należy.

Gdyby tego rodzaju zwrot nastąpił opinia amerykańska, tak jak w okresie innych zwrotów taktyki komunistycznej w kierunku prawicowym, dopatrywałaby się w nim dowodu, że Związek Sowiecki zrezygnował z rewolucji światowej i że została zapoczątkowana stała i przyjazna faza współpracy między nim a Stanami Zjednoczonymi.

Należy podkreślić jeszcze raz, że zmiany polityki komunistycznej mają charakter czysto taktyczny i że podstawowe zasady ich strategii są nieodwołalnie ustalone. Nic z tego co rozpatrzone zostało w niniejszym rozdziale nie uległoby zmianie na skutek zwrotu w kierunku ósmego, prawicowego. Zasadnicza linia postępowania nie przestanie być przygotowywaniem trzeciej wojny światowej, dokonywanym przez konsolidację bazy eurazjskiej i osłabienie reszty świata. Specyficzne zadania, dotyczące Stanów Zjednoczonych zmierzałyby w dalszym ciągu do przeciwdziałania ich politycznym interwencjom w Eurazji, do demoralizacji kraju i do przenikania w głąb wszystkich warstw społecznych. Zmieniłaby się tylko powierzchwność: hasła zmierzałyby raczej do uspienia mas zamiast do wstrząsania nimi gwałtownie; lecz nóż byłby w pogotowiu do uderzenia w serce.

Uwaga. — Świadcstwa, wykazujące spadek poziomu życia w reżimie komunistycznym zostały zebrane i przeanalizowane przez licznych uczonych. Najbardziej reprezentatywne spośród książek poświęconych temu tematowi są następujące: "Workers before and after Lenin" Manya Gordon'a, "Soviet labour and industry" Leonarda E. Hubbard, "Russia's economic front, for war and peace" A. Yugow'a, "The real Soviet Russia" Davida J. Dallin. Wszystkie te książki zawierają obszerne bibliografie oparte na źródłach pierwszej ręki.

Ponieważ reżim sowiecki nie uznaje legalnego i publicznego mechanizmu, za którego pośrednictwem mogłaby dochodzić do głosu opozycja, uzyskanie bezpośredniej i licznej dokumentacji, dotyczącej stosunku ludności do reżimu staje się oczywiście niemożliwe. Zwykle deklaracje lojalności w stosunku do Stalina i komunizmu, składane cudzoziemskim dziennikarzom przez obywateli sowieckich świadczą tylko, że pragną oni powiedzieć jedynie to, co nie wywoła przykrości ze strony N.K.W.D. Deklaracje te stoją w całkowitej sprzeczności do sprawozdań ludzi, którzy zrezygnowali z obywatelstwa sowieckiego i którzy mogli wypowiedzieć się swobodnie w krajach, gdzie istnieje wolność słowa (jak na przykład Victor Serge, Walter Krivitsky, Wiktor Krawczenko, Aleksander Barmin itd.).

Brak świadectw bezpośrednich jest jednak całkowicie skompensowany wnioskami, które nasunę nam pośrednio rozpatrywanie cech charakterystycznych reżimu sowieckiego. Zwróćmy uwagę na trzy tylko najważniejsze cechy, związane z tym zagadnieniem: 1) tajną policję wewnętrzną, 2) masowe i periodyczne czystki, 3) zakaz przekroczenia granicy sowieckiej, odnoszący się do każdego obywatela sowieckiego, z wyjątkiem tych, którzy wyjeżdżają w misji oficjalnej (zakaz ten obwarowany jest surowymi karami, którym podlegają nie tylko pragnący opuścić kraj, lecz i członkowie ich rodzin, oraz każda osoba, która o projekcie tym wiedziała).

Zastanówmy się: dlaczego tajna policja, czystki i zakazy wyjazdu zagranicę — rzeczy, które reżim uznaje za konieczne — nie są ogłaszane publicznie i po prostu przez prasę oficjalną, lecz z naciskiem i hałaśliwie przez propagandę wewnętrzną? Jedynym wytłumaczeniem jest to, że reżim zdaje sobie sprawę z istnienia głębokiego, chociaż niezorganizowanego i niezadowolonego się, niezadowolenia mas. Jeżeli wszyscy, czy prawie wszyscy, są do reżimu przywiązani, to po co utrzymywać cały ogromny aparat tajnej policji, rozwijający swą działalność w każdej socjalnej, kulturalnej, ekonomicznej i politycznej instytucji? Po co przeprowadzać periodyczne czystki, które według sprawozdań oficjalnych obejmują setki tysięcy, a nawet miliony osób, likwidując czasami cały personel, zatrudniony w wydawnictwie, teatrze, truście filmowym, fabryce, gospodarstwie, komitetach partyjnych, komisariatach itd., chociaż osoby te jeszcze kilka miesięcy temu uznawane były za najlepszych obrońców Rewolucji? Jeżeli — jak to wypisują towarzysze przebywający po naszej stronie (korzystając z wolności słowa, tj. przywileju, jaki dostarcza im ten drugi kontynent) — masy wierzą, że Stalin jest Mesjaszem, to — pytamy — dlaczego Stalin w każdej próbie oddalania się od niego pragnie widzieć zbrodnię?

Reżim staje tutaj w obliczu nierozwiązalnego dylematu. Aby móc propagować mit komunizmu w świecie niekomunistycznym, zmuszony on jest do nasycenia powietrza, do napełnienia kiosków z gazetami i księgarni wszystkich krajów opisami szczęśliwego kraju socjalizmu. Aby utrzymać w korbach własnych nieszczęśliwych i sterroryzowanych obywateli zmuszony on jest do wypienienia całych szpał "Prawdy", "Izwestii" i "Gwiazdy Czerwonej" oskarżeniami o sabotaże, celowych zniszczeniach, korupcji, spiskach, dywersjach i dewiacjach, które mają miejsce w rozmiarach tak poważnych, iż odnosi się wrażenie, że dziewięć dziesiątych ludności to zbrodniarze i zdrajcy. Obie te wersje to kłamstwa, lecz przy pomocy drugiej z nich dowiadujemy się w sposób pośredni, lecz bardzo przekonujący o tym, jakie rzeczywiste stosunki panują między reżimem a ludnością.

ROZDZIAŁ VIII.

Słabość i siła Związku Sowieckiego.

Chciałbym obecnie przystąpić do rozważenia ekwipunku, z jakim komuniści zamierzają stworzyć imperium światowe. Nie będę przytaczał statystyk ilościowych. Ogromna część materiału statystycznego jest niedokładna i często świadomie fałszowana. Poza tym, z powodu odrębności komunistycznej organizacji socjalnej materiały te prawie zawsze wprowadzają w błąd, nawet wtedy, gdy są prawdziwe. Spróbuję raczej sporządzić to, co nazywamy zestawieniem jakościowym i w pracy tej, dla porównania, opierać się będę także na danych, dotyczących Stanów Zjednoczonych, rywala Sowietów w konstruowaniu imperium światowego.

1. **Położenie geograficzne.** Komuniści, których władza rozciąga się na ogromnym terytorium Związku Sowieckiego i państw satelickich, korzystają z niezrównanego położenia geograficznego. Przymiotnik — niezrównane — ma znaczenie dosłowne: nie ma na całej kuli ziemskiej położenia geograficznego, które dałoby się porównać z ich bazą zasadniczą. Po raz pierwszy w historii ludzkości, o czym wspomnieliśmy już powyżej, Eurazja — zona centralna ogromnej masy ziemskiej naszego globu — jest równocześnie i gęsto zaludniona i posiada organizację polityczną wyższego stopnia. Pod tym względem, komuniści są spadkobiercami imperium rosyjskiego i jego poprzednika księstwa moskiewskiego, które w XVI wieku rozpoczęło organizację lasów i stepów, zamieszkałych od wieków przez myśliwych, rybaków, skupiających się w odosobnionych nadbrzeżnych miastach i przez rozsiane ludy koczownicze, które co pewien czas najeżdżały położone na peryferiach cywilizacje.

Z punktu widzenia geograficznego Eurazja z jej ogromnymi przestrzeniami i potężnymi barierami ziemskimi jest najłatwiejsza do obrony ze wszystkich okręgów ziemi. Żadna potęga morską nie może jej dosięgnąć. Ci, którzy idą na jej podbój, giną w niekończących się przestrzeniach. A z drugiej strony, z tej bazy eurazyjskiej wyruszyć mogą najeźdźcy w kierunku wschodnim, zachodnim, południowo-zachodnim i południowym. Potencjalnie, Rosja panuje nad całą masą eurazyjską, a tak-

że nad drugorzędnym kontynentem afrykańskim, w którym południowa część Eurazji zajmuje środek. Z punktu widzenia Eurazji z jej afrykańskim dodatkiem — to, co pozostaje na ziemi, to tylko nieduże wysepki. Geograficznie, strategicznie Eurazja okrąża Amerykę i ją przytłacza.

Przed odkryciem broni atomowych i dalekonośnych, zdrowy rozsądek oraz aksjomy geopolityczne utrzymywały, że o ile jakiegokolwiek potęgę uda się zorganizować "serce ziemi" i jego zewnętrzne granice, to potęga ta panować będzie nad całym światem. Potęga morska zależy w ostatecznym rachunku od kontroli jej baz. Ale potęga morska nie jest w stanie osiągnąć "serca ziemi". W konsekwencji potęga lądowa, posiadająca swe zasadnicze bazy w Eurazji, jest pewna zwycięstwa nad potęgą morską, posiadającą bazy swe na wyspach.

Lotnictwo i broń atomowa zachwiały podstawami tego aksjomu.

Serce kontynentu nie jest już niezdobyte. Tym niemniej, nowe wynalazki nie obaliły całkowicie warunków geograficznych. Z punktu widzenia geograficznego, położenie Rosji Sowieckiej jest ciągle najsilniejsze na świecie, i fakt ten stanowi ogromną przewagę. Gdyby komunistom udało się rozciągnąć swe bezpośrednie panowanie aż po Atlantyk i utrzymać lub nawet powiększyć swój stan posiadania na Pacyfiku, to szanse ich zwycięstwa przekształciłyby się nieomal w pewność.

2. Ludność. Komuniści dysponują poważną masą ludzi. Już na samym terytorium, zamkniętym oficjalnymi granicami Rosji Sowieckiej, znajduje się około 200 milionów ludzi; w państwach będących pod ich kontrolą jest przeszło 200 milionów ludzi. Ruchy kierowane przez komunistów w reszcie świata liczą kilka dziesiątków milionów ludzi. Ponadto komuniści z pewną dozą słuszności uważają, że ludy w koloniach stanowią "rezerwy strategiczne rewolucji". Wreszcie, większa część ludności, znajdująca się pod kontrolą komunistów posiada znacznie wyższy przyrost naturalny od narodów cywilizacji zachodniej.

Komuniści posługują się swym bogactwem ludnościowym, by skompensować inne braki. Rzuca się to szczególnie w oczy na polu dwu najbardziej znaczących dziedzin — na polu przemysłu i wojny. Tak w jednym jak i w drugim brak wykszolenia, masy, wydajności i jakości okupowany jest milionami istot ludzkich. Życia milionów Rosjan zatrzymały machinę wojenną hitlerowską, jakościowo znacznie wyższą; dziesiątki milionów mężczyzn i kobiet równoważą defekty przemysłowe. Najbardziej wyraźnym symptomem tej metody jest fakt, że gospodarka coraz bardziej opiera się na pracy przemysłowej, w której miliony niewolników zatrudnia się dla wykonania gigantycznego zadania "odbudowy socjalizmu".

3. Bogactwa naturalne. Związek Sowiecki obfituje, jak to wiemy wszyscy, we wszystkie bogactwa naturalne, potrzebne współczesnemu społeczeństwu przemysłowemu.

Z pewnego punktu widzenia jednak, obfitość bogactw naturalnych Rosji Sowieckiej została może przesadzona. "Bogactwo naturalne" takie jak minerały, lasy i siła wodna nabierają znaczenia socjalnego dopiero wtedy, gdy może być ono przez spo-

łeczeństwo wykorzystane. Jeżeli jest ono niedostępne lub dostępne kosztem wygórowanej ceny, to bogactwo to jest tylko faktem fizycznym a nie tym, co nazywamy "bogactwem socjalnym". Poważna część bogactw naturalnych sowieckich znajduje się w tej sytuacji. Spora ilość rozległych lasów syberyjskich na przykład, położona jest na terytorium, którego rzeki wpadają do zamarznętego oceanu Lodowatego; wartość gospodarcza lasów pozbawionych rzek, korytem których spławiać można drzewo, jest bardzo zmniejszona. Istnieją także poważne trudności transportowe dla wielu bogactw mineralnych Syberii. Niektóre z trudności tych będą mogły być przezwyciężone dzięki polepszeniu się linii kolejowej i dzięki możliwości używania samolotów. Inne rozwiązać się, posługując się ludzką pracą. Lecz odpowiednie rozwiązanie ich technologicznie będzie miało miejsce w epoce, która nastąpi po okresie decydującej walki o stworzenie imperium światowego.³³⁾

4. Stan gospodarczy. Rozwój ekonomiczny Rosji sowieckiej za czasów komunizmu, jakkolwiek znaczny, został jednak przez propagandę komunistyczną wyolbrzymiony. Ilościowo, rozwój ten nie był szybszy — a w wielu ważnych punktach nawet powolniejszy — od rozwoju ekonomicznego Stanów Zjednoczonych w okresie po wojnie domowej. Produkcja ilościowa większości gałęzi przemysłu sowieckiego była, przed wojną, o wiele niższa od produkcji równoległych gałęzi przemysłowych w Stanach Zjednoczonych, a na skutek wojny jeszcze się cofnęła.

Słabość gospodarki sowieckiej w dziedzinach innych niż ilościowa jest jeszcze bardziej uderzająca. Z punktu widzenia jakości, sowiecka gospodarka jako całość jest mało wydajna, nieproporcjonalnie i na bardzo niskim poziomie. Niewystarczający system komunikacyjny, zarówno kolejowy jak i drogowy, powoduje nieustanne zatory. (Dostarczone przez Lend-Lease samochody ciężarowe miały prawdopodobnie znaczenie decydujące dla zwycięstwa nad hitlerowcami). Jakościowa niższość produkcji jest nie tylko rzeczą przykrą dla konsumentów (o to kierownicy komunistyczni troszczą się bardzo mało) lecz prowadzi do maksymalnego marnotrawstwa i do załamania na polu całego życia ekonomicznego, połączona zaś z brakiem materiałów potrzebnych do rekonstrukcji i utrzymania, wywołuje szybkie zniszczenie budynków, maszyn i fabryk. Ogólne koszty administracyjne w przemyśle i rolnictwie, w które wliczane są opłaty niezliczonych agentów N.K.W.D., kontrole i super-kontrola oraz nieustanne interwencje tuzinów organizmów partyjnych i biur rządowych — są niezmiernie wysokie. Kopalnia czy fabryka sowiecka posiada zawsze dwu- czy trzykrotnie liczniejszy personel administracyjny od równorzędnej pod względem wielkości kopalni czy fabryki w Stanach Zjednoczonych. Stachanowskie próby imponowania, organizowane w celach propagandowych, wysiłki poszczególnych fabryk, ponoszone w celu dostarczenia statystykom Kremla spektakularnych cyfr oraz interwencje wywołujące czystki — wprowadzają nieustanne przerwy do regularnej pracy produkcyjnej. Politycznie uzasadniona pasja do

³³⁾ Wdzięczny jestem prof. Uniwersytetu w New York Willard E. Atkins'owi za wyjaśnienia, udzielone mi w rozmowie prywatnej, a dotyczące sprawy będącej przedmiotem tego ustępu.

wykazywania się osiągnięciami w dziedzinie produkcji, prowadzi do puszczania w ruch fabryk, zanim zostały one ukończone i wyekwipowane w magazyny, sprzęt, dostawy, części zapasowe itd. Robotnikom nie dostarcza się nigdy odpowiednich mieszkań, środków transportowych i dostatecznej ilości pożywienia, co wpływa na zmniejszenie wydajności ich pracy.

Życie ekonomiczne sowieckie posiada jednak pewne elementy kompensacyjne. Zwykle, obliczanie kosztów produkcji w gospodarce totalitarnej na podstawie danych, które stosuje się w gospodarce kapitalistycznej, prowadzi do błędnych wniosków. Koszty produkcji, będące dla przedsiębiorstwa kapitalistycznego bankrutstwem, mogą mieć swe uzasadnienie w polityce czy strategii. Wspomniam powyżej o używaniu szerokich rezerw ludzkich jako ekwiwalentu niskiej jakości ekwipunku technicznego. Poza tym komuniści uzupełniają swe braki, eksploatując przemysł i posługując się siłami roboczymi świeżo wchłoniętych czy opanowanych terytoriów w Europie wschodniej i Mandżurii.

Z punktu widzenia zadań strategicznych, dużo większe znaczenie ma koncentracja ekonomiczna, którą umożliwia absolutna kontrola polityczna; zwłaszcza w zakresie produkcji broni atomowej. Mimo swego zacofania we wszystkich prawie gałęziach produkcji, komuniści posiadają możność skoncentrowania swych najbardziej wartościowych elementów ludzkich i materialnych na wykonaniu zadania, zdaniem ich najważniejszego. Błędne byłoby więc mierzenie możliwości komunistów w dziedzinie energii atomowej na podstawie ogólnego poziomu ich przemysłu.

5. Poziom kulturalny. Mimo, że reżim komunistyczny osiągnął znaczne rezultaty w dziedzinie podstawowego wykształcenia,³⁴⁾ poziom kulturalny Związku Sowieckiego pozostaje bardzo niski. Procentowa ilość robotników wykwalifikowanych jest mała. Liczba techników, inżynierów, uczonych, lekarzy, profesorów, nauczycieli i przedstawicieli innych zawodów jest niewystarczająca. Ich wykształcenie, w którym ideologia komunistyczna i praktyka zajmują o wiele bardziej zasadnicze miejsce niż wiadomości, dotyczące rachunku różniczkowego, czy biologii — jest niedokładne i zniekształcone. Szkoły, szpitale, biblioteki itd., z wyjątkiem tych, które przeznaczone są dla sfer kierowniczych i wiedzących dziennikarzy, są nieliczne i na niskim poziomie. Ostra cenzura i propaganda uniemożliwiają prawdziwe, historyczne i socjologiczne poszukiwania, jakkolwiek ułatwiają równocześnie kształcenie z punktu widzenia politycznego.

6. Siły zbrojne. Technologiczne słabości w ekonomii i kulturze sowieckiej mają swe odbicie w siłach zbrojnych: z kilku małymi wyjątkami jakość broni i ekwipunku jest stosunkowo niska i, pod wieloma względami dają się odczuwać poważne braki. Sowieckie plany strategiczne biorą jednak ten stan rzeczy pod uwagę. Bogactwo rezerw ludzkich i koncentracja uzupełniają te

34) "Kolosalne" rezultaty uzyskane przez Sowietów w dziedzinie wykształcenia są ulubionym tematem propagandy komunistycznej, która żongluje i fałszuje statystyki. Postępy w wykształceniu nie są większe, niż podczas ostatnich dziesięciu lat panowania Carów. Zobacz Manya Gordon: *Russian Workers before and after Lenin*, część XI.

braki. Wysiłek całego społeczeństwa i całej gospodarki skoncentrowany jest na przygotowaniach do wojny. O obowiązku służby wojskowej nawet się w Związku Sowieckim nie dyskutuje. Osiąga się zawsze przewidzianą cyfrę masowej produkcji żołnierzy. Z dużym nakładem wysiłku pracuje się nad zwiększeniem dyscypliny i nad dokładnym wyszkoleniem korpusu oficerskiego.

Teoria i praktyka wielonarodowościowo ilościowo zwiększają sowieckie dywizje. Armie podbitych narodów są włączone z łatwością do komunistycznej maszyny wojskowej. Nie należy zapominać o tym, że komuniści-obywatele państw niekomunistycznych stanowią dodatkową siłę wojskową.

7. Ideologia. Mit komunistyczny, a raczej kompleks mitów jest źródłem wielkiej siły dla ruchu komunistycznego. Podstawy mitu sięgają swymi korzeniami w przeszłość sprzed dwu i pół tysiąca lat. Wyrażają one w odwiecznej formie marzenie o panowaniu Królestwa niebieskiego na ziemi. Tym wszystkim, którzy są zmęczeni i nieszczęśliwi i tym, którzy tęsknią za ideałami, mit ten umożliwia ucieczkę od rzeczywistości, która nie odpowiada i nigdy nie będzie odpowiadać naszym pragnieniom, w krainę utopii, gdzie wszyscy ludzie są wolni, równi i dobrzy, gdzie nie istnieje ani eksploatacja, ani wojna, ani głód i nędza i gdzie ludzkość cała złączyła się w uniwersalnym braterstwie. Tak jak wszystkie halucynacje, marzenie to bierze się mylnie za obiektywną rzeczywistość: widzi się w nim prawo, rządzące ewolucją historyczną, wierzy się w jego nieuniknioną, konieczną, dyktowaną przeznaczeniem realizację. Marzyciel odnajduje w nim uczucie pewności moralnej, która wpływa na przeświadczenia stapienia się w jedno z wszechświatem. Nawet elementy katastroficzne, apokaliptyczne mitu — przekonanie, że cel osiągnie się dopiero po przejściu przez cierpienia, zgrzytanie zębów, wylew krwi i udreki, przy towarzyszącym hukowi walących się instytucji świata — zgodnie ze zdobytymi doświadczeniami, związanymi z wiarą religijną, wzmacniają panowanie mitu nad uczuciami ludzi, weń wierzących.

Do ogólnego mitu dorzucono własnowolnie w czasie ostatniej generacji wariant sowiecki. Dziesiątki milionów ludzi, rozrzuconych po całym świecie, uspakaja swe wątpliwości i niepokoje na myśl o istnieniu nadzwyczajnej i opartej na współpracy wspólnocie, gdzie nie ma ani pracodawców ani obszarników, gdzie robotnicy i rolnicy są właścicielami i panami, gdzie żyje się w poczuciu bezpieczeństwa i gdzie nie ma bezrobocia, gdzie masy mimo przeszoków posuwają się ciągle w kierunku nowego i szczęśliwego życia ... i wizja ta zasłania im rzeczywistość państwa policyjnego, opartego na terrorze i pracy przymusowej, w którym królują bezprzykładna nędza i tyrania.

Mit ten, na podobieństwo jakiegoś płynu magicznego, napędza siłą organizm komunistyczny i umożliwia mu wzniesienie się ponad ordynarnie materialne ograniczenia. Siła ta, ukazując w perspektywie dnię szczęśliwsze, jest pocieszeniem w ciężkich chwilach.

Tym niemniej obecna siła mitu komunistycznego w swej głównej części jest raczej negatywna. Człowiek społeczny nie może żyć bez wielkich mitów. Upadek naszych mitów, zarówno religijnych jak liberalnych i demokratycznych z okresu porenansowego cywilizacji, stwarza dla mitu komunistycznego szcze-

gólne warunki powodzenia. Bezradni w stosunku do strasznych problemów przeciągającego się kryzysu cywilizacji, niepewni, zaniepokojeni, pełni rozczarowania jeżeli chodzi o ideały demokracji liberalnej, sceptyczni lub tylko częściowo pochłonięci wiarą religijną, ludzie chwytają się mitu komunistycznego, aby uniknąć uczucia całkowitego zagubienia.

Istnieje poza tym pewien pozorny paradoks, który posiadać może znaczenie praktyczne. Wiara w mit komunistyczny jest bardziej gorąca wśród ludzi, zamieszkujących terytoria niekomunistyczne, niż na ziemiach, będących we władaniu komunistów. W samych Sowietach istnieje co prawda, szczególnie wśród młodzieży, kilka milionów wyznawców totalnych, których umysły i dusze urobione zostały w sposób całkowity przez mit komunistyczny, mamy jednak wszelkie podstawy do przypuszczenia, że tak nie jest z większością ludności. Można wywołać na zewnątrz przekonanie, że robotnicy są panami w Rosji, lecz robotnicy rosyjscy wiedzą, dzięki własnym doświadczeniom, iż są niewolnikami. Dziennikarze amerykańscy, prowadzący wygodne życie, mogą wierzyć, że Stalin zniósł klasę kułaków, lecz rosyjscy chłopci wiedzą, że on torturował, zabijał i okradał ich rodziców i wpędzał w głód ich sąsiadów. Dyplomaci i mówcy angielscy i amerykańscy zastanawiając się nad spowiedziami publicznymi procesów moskiewskich tłumaczyć je mogą łaskawie jako wyraz specyficznych właściwości duszy rosyjskiej, lecz Rosjanie, którzy znali oskarżonych i którzy pracowali z nimi wiedzą, że spowiedzi te są dyktowane przez N.K.W.D. Poeci francuscy cieszyć się mogą z powodu osłabanej w wyborach sowieckich jedności, lecz Rosjanie wiedzą jak do jedności tej się dochodzi.

W 1939 roku ludność Polski wschodniej witała Armię Czerwoną jak wybawców. Lecz szereg późniejszych świadectw wykazuje, że w ciągu kilku miesięcy czy nawet tygodni, zyciowość ta zniknęła. To samo miało miejsce w innych krajach Europy wschodniej. Po pierwszym przypiwieniu radości — nie mit — lecz terror, strach lub nadzieja uzyskania stanowiska w aparacie, z którego mit się ulotnił, utrzymywały większość ludzi w posłuszeństwie. Rzeczywistość komunistyczna szkodzi mitowi komunistycznemu. Potęgą mitu oparta jest na zniewalającym mirażu, a nie na istotnej rzeczywistości.

8. Międzynarodówka. Organizacja międzynarodowa w rękach komunistycznych jest potężnym i wyłącznym jej atutem. Żaden z narodów nie dysponuje siłą, którą można by do organizacji tej przyrównać. Międzynarodowe sekcje stanowią nierównany aparat wywiadowczy; są one najważniejszym spośród znanych i mogących kiedykolwiek powstać instrumentów propagandowych; wytwarzają stały nacisk i w chwili gdy okaże się to potrzebne, mogą wewnątrz krajów odegrać rolę pomocniczych sił wojskowych. Mają poza tym za zadanie zapobieganie rozwojowi masowych ruchów niezależnych i niekomunistycznych przez ich wślanianie, czy niszczenie.

9. Kierownictwo polityczne. Najważniejszym może elementem siły komunizmu jest jakość jego kierownictwa politycznego. Komunizm światowy kierowany jest przez liczną grupę ludzi, których życie poświęcone zostało całkowicie zdobyciu władzy. Stu-

diują oni problemy władzy w skupieniu, w którym obiektywne poszukiwania uczonego łączą się z pasją fanatyka. Z wyjątkiem kilku przykładów, kierownicy polityczni w przeszłości, jak również obecni niekomunistyczni kierownicy polityczni, nie poświęcali się całkowicie polityce; ich nastawienia polityczne ulegały, czasami w każdym razie, wpływom rodzinnych przywiązań, zamiłowaniom estetycznym, uczuciom przyjaźni czy uczuciom moralnym i religijnym, oraz ideom, dyktowanym własnymi impulsami.

A kierownicy komunistyczni pozostają zawsze i wyłącznie wierni polityce. Ani żona, ani dziecko, ani przyjaciel, ani piękno, czy miłość, przyjemność, czy bezinteresowne przywiązanie do wiedzy, nie odrywają ich, nawet w najmniejszym stopniu, od wyłączonego nastawienia, którym jest wola zdobycia władzy.

ROZDZIAŁ IX

Czy komunistyczne imperium światowe jest rzeczą pożądaną?

Przeciętni ludzie z trudem tylko uświadomić mogą sobie fakt, że w Stanach Zjednoczonych tak, jak i w innych krajach, istnieją tysiące, a może nawet setki tysięcy osób, wierzących, że komunistyczne Imperium światowe jest rzeczą nie tylko możliwą, lecz nawet pożądaną. Niektórzy z nich pracują gorąco nad realizacją tego Imperium; inni powitaliby je z radością; jeszcze liczniejsi gotowi są do przyjęcia go, gdy zostanie stworzone. Wierzą, iż stanowiliby ono to, co nazywają "właściwym rozwiązaniem".

Pod jednym względem osoby te są rozsądniejsze od innych. Widzą mianowicie, że komunistyczne panowanie nad światem jest sprawą, z którą należy się liczyć i w stosunku do której każda istota myśląca zająć winna jasne i sprecyzowane stanowisko. Komunistyczne Imperium światowe stanowi punkt kulminacyjny nie mitu komunistycznego, lecz jego najbardziej oczywistej rzeczywistości. Nie jest to już możliwość odległa i niesprecyzowana, która nastąpić może w wieku przyszłym, lecz jest to wydarzenie zupełnie prawdopodobne, mogące mieć miejsce za naszej generacji. Jaki więc winien być nasz stosunek do tej sprawy? Czy jesteśmy za, czy przeciw? Czy światowe Imperium komunistyczne jest rzeczą pożądaną?

Pytanie takie jest zawsze bardziej skomplikowane, niż może się to wydawać. Gdy zadajemy pytanie, czy coś jest rzeczą pożądaną, należy ustalić uprzednio pewne założenia, bez których zadane pytanie nie miałoby znaczenia: pożądaną dla kogo? w stosunku do jakich idei? w porównaniu z jakimi alternatywami? Nawet komar anopheles jest pożądanym, o ile naszym zamiarem jest rozprzestrzenienie malarii.

Zwyczajowo komunistyczne, zdaniem kierowników komunistycznych, jest oczywiście rzeczą pożądaną, gdyż w zwycięstwie tym oni braliby udział i ciągnęli z niego korzyści. O wyjaśnieniu w tej sprawie zwrócić się musimy do niekomunistów, którzy stanowią większość.

Punktem wyjścia niniejszej książki było zagadnienie broni atomowych, zagadnienie widziane pod kątem obecnego, historycznego rozwoju cywilizacji. Doszliśmy do wniosku, że jedynie posiadanie monopolu broni atomowych przez imperium światowe

we mogłoby ocalić od zniszczenia cywilizację zachodnią, a może nawet całe zorganizowane społeczeństwo ludzkie. Jedynie imperium światowe byłoby w stanie przynieść w tym sensie "rozwiązanie" dla sprawy broni atomowych.

Należy więc zdać sobie sprawę z faktu, że zwycięstwo komunistycznego Imperium światowego rozwiązałoby problem, który stanowił punkt wyjścia naszych rozważań. Mimo, że imperium komunistyczne nie wyeliminowałoby przymusu socjalnego, zlikwidowałoby jednak — przez fakt zniesienia niezależnych narodów — wojny międzynarodowe. Kierownicy komunistyczni posiadaliby monopol broni atomowych. Użycie broni atomowych pod pretekstem, że ktoś inny mógłby bronią tą posługiwać się przeciwko nim — nie miałoby już więcej uzasadnienia. W tych warunkach istnieją podstawy do przypuszczenia, że kierownicy komunistyczni nie widzieliby specjalnych powodów do ich użycia, lub używaliby ich w rozmiarach ograniczonych.

Korzyści te, jakkolwiek o charakterze negatywnym, są dostatecznie ważne, by odnosić się do nich z całą powagą. Jeżeli w najbliższej perspektywie stoi przed nami śmierć, to nie podejmujemy zwykle dyskusji z chirurgiem, gdy mówi nam o konieczności obcięcia ręki lub nogi, by ocalić nam życie. Dyskusji takiej nie podejmujemy nawet gdybyśmy wiedzieli, że po operacji życie nasze będzie smutne i ograniczone i że honoraria chirurga pochłoną całość naszych funduszy.

Jakie inne znaczenie mogłoby mieć zwycięstwo komunistów? I jaką cenę zapłacić trzeba będzie za te korzyści? Cenę tę określić możemy tylko na podstawie doświadczenia — doświadczenia historycznego, opartego na wiadomościach o działalności ruchu komunistycznego tam, gdzie jest on w posiadaniu pełni władzy, tam, gdzie ją dopiero w życie wprowadza i tam, gdzie aktywność swą rozwija na mniejszą skalę, to znaczy w narodach przez siebie jeszcze nieopanowanych.

Posiadane dowody nie dostarczają przekonujących informacji o korzyściach materialnych, jakie zapewniłoby światowe zwycięstwo komunistów. W Rosji, w czasie jednej generacji panowania komunistycznego, przeciętny poziom życia obniżył się w sposób wyraźny, podczas gdy gałęzie przemysłu ciężkiego znacznie się rozwinęły. Jednak na początku obecnej generacji Rosja z punktu widzenia przemysłowego była zacofana; komuniści poza tym działalność swą rozwijali wśród wrogo nastawionego świata. Mam wrażenie, że nie jesteśmy jeszcze w stanie wydać ostatecznego sądu o możliwościach ekonomicznych skolektywizowanego przemysłu.

Ale dwie cechy charakterystyczne komunistycznej formy kolektywizacji — obie wywołane jego naturą — wydają się przeciwdziałać raz na zawsze temu, by gospodarka komunistyczna mogła kiedykolwiek podnieść przeciętny poziom życia: to znaczy, że światowa gospodarka komunistyczna również nie przyczyniłaby się do zwiększenia dobrobytu większości ludzkości.

Głównym celem komunizmu jest zdobycie i utrzymanie monopolu całej władzy. Wynika z tego całkowite podporządkowanie ekonomii polityce. "Naturalne" wymagania gospodarki związane z podziałem pracy, organizacją produkcji, równowagą, integracją różnych gałęzi przemysłu i rolnictwa, zależnością de facto między podażą a popytem itd. — traktowane są zawsze

z punktu widzenia celów czysto politycznych. O wybudowaniu nowej fabryki, rozplanowaniu nowej linii kolejowej, ustaleniu programu produkcji w jakimś oddziale czy przedsiębiorstwie, o zatrudnieniu czy zdymisjonowaniu inżyniera, zaprojektowaniu nowych domów, przyznaniu dostaw, poddaniu czystce, czy przyznaniu dekoracji łotrom czy bohaterom gospodarki, dopasowaniu wysokości uposażeń i dodatków — o wszystkim tym decyduje się w zależności od wpływu, jaki może to mieć na monopol polityczny. Nie ulega wątpliwości, że klasyczni ekonomiści przece-nili "naturalność" naturalnych praw ekonomicznych. Lecz jest niewątpliwe, że operacje technologiczne i ekonomiczne ograniczone są istnieniem pewnych warunków obiektywnych, które należy uznać, jeżeli się chce, by ustrój ekonomiczny funkcjonował należycie. W dużym przedsiębiorstwie na przykład, nie można osiągać maksymalnej produkcji przez dłuższy okres czasu, jeżeli w jednym z oddziałów doprowadza się przez kilka dni do stachanowskiej wydajności, która, ustanawiając rekord w tym oddziale, narusza równowagę całego przedsiębiorstwa. Przy planowaniu otwarcia nowej fabryki nie można nie brać pod uwagę — bez narażenia na zwiększenie kosztów produkcji, które zmniejszyć mogą potencjalną jej wydajność — położenia kopalń węgla i rzek, sytuacji pod względem środków transportowych, mieszkań, udogodnień publicznych, części zamiennych itd.

Konieczność przeprowadzenia całkowitej centralizacji ekonomicznej wypływa z tego podstawowego celu komunistycznego. Całkowita centralizacja nie jest formą nieodłączną kolektywizacji: szereg sekcji ekonomicznych w Stanach Zjednoczonych (jak np. T.V.A.) zostało skolektywizowanych bez włączenia ich do totalnej, scentralizowanej ekonomii. Lecz dla kolektywizmu komunistycznego centralizacja jest koniecznością, gdyż decentralizacja stworzyłaby potencjalne, ekonomiczne podstawy dla zdecentralizowanej władzy politycznej. Całkowita centralizacja ekonomiczna prowadzi do prób skupiania kierownictwa ekonomicznego w rękach jednej władzy (za pośrednictwem planu pięcioletniego, czy podobnych organizmów). Lecz ludzkie możliwości są zbyt ograniczone, by kierownictwo to nie było skuteczne już nie tylko na obszarze całego świata, lecz nawet na terytorium dużego państwa. Nieustanne błędy ekonomiczne są rezultatem tego rodzaju prób.

Prawdopodobieństwo, że światowa gospodarka komunistyczna nie podniosłaby przeciętnego poziomu życia na świecie — lecz obniżyłaby go zapewne — nie posiada tego samego znaczenia dla wszystkich ludzi. Dla mieszkańców krajów, gdzie istnieje dobrobyt, a w szczególności dla mieszkańców Stanów Zjednoczonych, poziom życia obniżyłby się bez wątpienia. Z drugiej strony, więcej niż połowa mieszkańców ziemi, w Indiach, Chinach, Indonezji, Afryce Centralnej, Brazylii żyje na najniższym niskim poziomie; ich warunki materialne nie mogłyby ulec pogorszeniu, mogłyby nawet się polepszyć.

Dla większości klas uprzywilejowanych krajów niekomunistycznych światowa gospodarka komunistyczna byłaby równoznaczna z poważnym obniżeniem poziomu życia, o ile nie prowadziłaby po prostu, jak to zapewne w większości wypadków miałyby miejsce — do niewolnictwa i śmierci, zaś nowe klasy uprzywilejowane — komunistyczne — klasa rządząca funkcjonariusz-

szy, biurokratów, dyrektorów fabryk, członków organizacji masowych, kierowników policji i wojska — poprawiłaby swe warunki materialne.

Bardzo więc trudno jest wyciągać ogólne wnioski na temat konsekwencji powstania komunistycznego imperium światowego jeżeli chodzi o poziom życia. Lecz materialne warunki bytu nie stanowią jedynych wartości ekonomicznych. Istnieje jeszcze bezpieczeństwo ekonomiczne i różne wolności ekonomiczne.

Propaganda komunistyczna utrzymuje, że gospodarka komunistyczna, obalając bezrobocie, zapewnia wszystkim bezpieczeństwo ekonomiczne. Nawet gdyby było to prawdą (a nie jest to dokładne) słusznie zwrócono uwagę, że bezpieczeństwo to jest podobne do bezpieczeństwa, istniejącego w więzieniu. Większa część pracy wykonywana jest w obozach pracy przymusowej przez grupy niewolników. Każdy robotnik związany jest, na podobieństwo niewolnika, z zadaniem, które ma spełnić. Lecz fakt, iż wszyscy nie tylko mogą, lecz muszą pracować by żyć, nie oznacza jeszcze sam przez się "bezpieczeństwa zatrudnienia". W rzeczywistości, nad pracą nie tylko wszystkich robotników, lecz wszystkich obywateli państwa komunistycznego — nawet nad tymi, którzy należą do klasy uprzywilejowanej — panuje niepewność, gdyż w każdym momencie interwencja polityczna oderwać może ich od wykonywanych zajęć, przeznaczając ich do innej pracy, lub może skazać ich na zesłanie i śmierć.

Równocześnie gospodarka komunistyczna eliminuje jakąkolwiek wolność ekonomiczną, co jest w całkowitej sprzeczności z mitami propagandy. Jakkolwiek wolności te były często w reżimie kapitalistycznym pustymi dźwiękami, zawierały jednak, w pewnych granicach, prawo wyboru czy odmowy proponowanego zatrudnienia, prawo opuszczenia go i rozpoczęcia z własnej inicjatywy nowej pracy, czy puszczania w ruch nowego przedsięwzięcia. Zawierały one nie pozbawione znaczenia prawo krytykowania, organizowania, manifestowania, brania udziału w strajkach i wykazywania się posiadaniem inicjatywy ekonomicznej w licznych dziedzinach. Poza tym prawo konsumenta do swobodnego dawania wyrazu swym upodobaniom stanowi w reżimie niekomunistycznym poważny i mało doceniany element demokracji ekonomicznej: ludność, decydując się na zakup tego czy innego przedmiotu, kieruje w sposób ograniczony, lecz nie pozbawiony wpływu, biegiem produkcji przedsiębiorstw ekonomicznych.

W reżimie komunistycznym wszystkie te prawa i wolności zostały i musiały być zlikwidowane dla tych samych względów, które zadecydowały o konieczności przeprowadzenia całkowitej centralizacji. Wolności te stoją na przeszkodzie rozmyślnie scentralizowanej władzy i w organizacyjnych formach, które nadają im kształt, stanowią one potencjalne bazy opozycji politycznej. W reżimie komunistycznym nie może istnieć niezależna organizacja robotników, lub technicznego i administracyjnego personelu. Każda osoba obowiązana jest do przyjęcia pracy, którą jej się wyznacza i nie może zmienić jej bez zezwolenia władzy politycznej. Nikt nie ma prawa założenia z własnej woli i inicjatywy jakiegokolwiek przedsiębiorstwa. Syndykaty i związki techniczne muszą być agentami kontroli komunistycznej, a

nie agentami swoich własnych członków. Ani strajki, ani jakiegokolwiek niezależne demonstracje pracowników nie są tolerowane. Kierownictwo centralne, a nie upodobania konsumentów decyduje o tym, co będzie produkowane. W ogólności, stosunki między robotnikami a państwem komunistycznym stają się podobne do stosunków między poddanymi a panami feudalnymi z tym jednak, że nie działają tutaj w sposób łagodzący zwyczaje socjalne i religijne feudalizmu, oraz obowiązki, które brał na siebie pan w stosunku do swych poddanych.

2.

O ile materialne warunki nie są wszystkim dla wartości ekonomicznych, to tym bardziej wartości ekonomiczne nie są wszystkim dla wartości ludzkich. Doświadczenie wykazuje w sposób oczywisty, że światowe zwycięstwo komunizmu doprowadziłoby w konsekwencji do obalenia wszystkich wartości, stanowiących istotę tradycji cywilizacji zachodniej, jak również szeregu wartości ogólnych, cenionych przez inne cywilizacje, jak na przykład cywilizacji Chin i Indyj. Podkreślam, że to, co piszę jest obiektywnym przypuszczeniem, a nie retoryczną deklamacją. Stwierdzam bowiem pewien fakt, a nie daję wyrazu jakiemuś stanowisku.

Nie twierdzą, że cywilizacja zachodnia, czy jakakolwiek inna cywilizacja zrealizowała w pełni te wartości. Przyznaję nawet, że jakoś moralna tych wartości może być poddana w wątpliwość i że ich zniszczenie uważane może być za rzecz pożądaną. Tym niemniej, prawdą jest, że pewna grupa tych wartości odegrała na przestrzeni historii naszej kultury rolę przyciągających ideałów — w pewnej mierze, w każdym razie — kształtując — dzięki temu — do pewnego stopnia formy naszego indywidualnego i socjalnego życia, oraz określając znaczenie i cele ludzkości.

Wśród tych ideałów najważniejsze są te, które przyznają wartość absolutną jednostce. Tradycja chrystianizmu daje temu wyraz w doktrynach o indywidualnej odpowiedzialności moralnej, winie, świadomości i nieśmiertelności duszy, oraz — w konsekwencji — przekonaniu, że osobiste zbawienie jest najwyższym celem każdej istoty ludzkiej. W świecie laickim podobne nastawienie reprezentują doktryny tradycyjnego liberalizmu i demokracji. Przez stosowanie tych ideałów doszliśmy do uznania wolności i godności indywidualnej jako kryteriów życia społecznego.

Ideologia i praktyka komunistyczna pociągają za sobą obalenie tych kryteriów. Podporządkowanie ludzi kolektywowi, państwu, partii, rewolucji, ewolucji historycznej staje się nie tylko przejściową koniecznością, lecz najwyższym obowiązkiem i permanentną normą; i nie tylko podporządkowanie, lecz degradacja wszelkiej indywidualności. To nie lekkomyślność, lecz świadoma polityka i integralny charakter ideałów sprawiają, że poświęca się miliony istot, by przeprowadzić szybką kolektywizację rolnictwa lub by podnieść poziom uprzemysłowienia; że w czasie czystki zsyła się dziesiątki milionów ludzi do obozów pracy przymusowej; że podczas wojny zastępuje się oceanem przelanej krwi brak maszyn i strategii; że odrywa się miliony

istot od ich rodzin i ognisk domowych w państwach bałtyckich, Polsce, na ziemiach nadwołżańskich, w Sudetach i Ukrainie; że wydaje się prawa, według których całe rodziny odpowiedzialne są za zbrodnie indywidualne; że wydaje się bez walki i w imię wymagań tymczasowej taktyki politycznej — robotników Niemiec i Austrii w ręce nazizmu; że poświęca się ludy w Hiszpanii, czy w Chinach, lub tysiące syndykalistów, na skutek dążenia komunistów do opanowania monopolu władzy absolutnej. Procesy moskiewskie odkryły prawdziwy charakter moralności komunistycznej, to znaczy, że nie tylko dobra materialne ludzi i ich życia podporządkowane muszą być partii, ale również ich dobre imię, sumienie, honor i godność. Ludzie muszą dla komunizmu, nie tylko umierać, ale i kłamać, pełzać, oszukiwać, donosić i zdradzać. Nie ma hamulca i granic dla wymagań partii. Niewolnik nie tylko musi słuchać, lecz i chwalić swego pana, a pan ginie miażdżony własnymi łańcuchami.

Z drugiej strony kultura nasza wysuwała zawsze, w tej czy innej formie, jako ideę przewodnią i cel, ideał obiektywnej prawdy, leżącej poza granicami naszych namiętności i interesów. W teologii chrześcijańskiej ideał ten występuje w koncepcjach rozumu boskiego i odwiecznych praw wszechświata, ustanowionych przez Wszechpotężnego Boga. W tradycji nauk okresu porenasansowego odnajdujemy ten sam szacunek dla prawdy, który wyraża się w uczuciu pokory wobec wymowy faktów, inspirujących metody naukowe. Doktryna i praktyka komunistyczna widzą w prawdzie broń, która służyć ma walce klasowej i w ten sposób prawda staje się u komunistów narzędziem politycznym. Partia może (i robiła to) równie łatwo oświadczyć, że teoria względności i prawa dziedziczenia Mendla są fałszywe, gdyż są kontrrewolucyjne, jak fałszować statystyki, przeinaczać historię, czy wymyślać opowiadania o dzieciństwie Stalina. To, co komuniści nazywają "logiką mechaniczną", to znaczy prawa dotyczące dedukcji i dowodów obiektywnych — prawa, które pozwalają nam rozgraniczyć prawdę od fałszu — zastąpione zostały "logiką dialektyki". Prawo to polega na tym po prostu, że wszystko co służy interesom władzy komunistycznej jest prawdziwe.

Mimo, że na przestrzeni naszej historii i na przestrzeni wszystkich historii siła decydowała w praktyce o tym, co uznane zostało przez prawa za sprawiedliwe, zawsze buntowaliśmy się przeciwko idei, że za siłą stoi słuszność i zawsze utrzymywaliśmy, manifestując to czynem i myślą, że prawo stoi ponad siłą. Antygoną, wzywającą na pomoc pisane na niebie prawa, by chroniły ją przed potęgą Kreona, jest dla nas w równej mierze bohaterką jak była nią dla Greków. Lecz w ideologii jak i praktyce komunistycznej rozróżnienie to zostało zatarte. Ostatecznym dowodem, stwierdzającym, że władza komunistów jest sprawiedliwa i że wszystkie środki służące do jej zdobycia są słuszne jest — nieunikniony triumf komunizmu.

Takie są więc główne niedogodności obok korzyści, które byłby wynikiem powstania światowego imperium komunistycznego. Jeżeli dla pewnej kategorii ludzi, a kategoria ta — mam wrażenie — istnieje, totalna zagłada świata wydaje się lepsza od zwycięstwa komunizmu, to — moim zdaniem — wzrastać

będzie stale liczba osób w Stanach Zjednoczonych i gdzie indziej, wierzących, że niedogodności komunizmu w porównaniu z zagładą świata nie są zbyt przykre.

ROZDZIAŁ X.

Wielkie linie polityki światowej

Wszyscy wybitni wodzowie, mimo charakteryzującej ich odrębności, odznaczali się umiejętnością uchwycenia tego, co pisarze wojskowi nazywają "kluczem sytuacji". Bez względu na to, czy w danym wypadku chodziło o krótką ułtarczkę, czy wielką strategię w wojnie, albo nawet całej serii wojen, rozumie-li, że istnieje zawsze pewien element decydujący, który jest kluczem sytuacji. Kluczem tym może być, w zależności od okoliczności, bród na rzece, wzgórze takie jak Cmentery Ridge w Getysburgu, szybkie uderzenie wymierzone przeciwko rezerwom nieprzyjaciela, zniesienie floty wroga jak np. pod Trafalgarem czy Salaminą, energiczny atak, skierowany na skrzydła jak pod pod Cannami, albo długa męcząca blokada podczas całej wojny, przeciągająca się defensywa, umożliwiająca stworzenie armii, czy pozyskanie alianta, lub niespodziewane zaatakowanie stolicy; panowanie na morzu, zniszczenie dostaw, lub wzięcie do niewoli bohatera.

Wielki wódz koncentruje totalnie uwagę swą na kluczu sytuacji. Upraszcza on całą sprawę, czasami upraszcza ją przesadnie, wiedząc, że chociaż klucz sam nie wystarcza, bez niego jednak nie będzie mógł drzwi otworzyć. Może on, o ile leży to w granicach jego usposobienia, interesować się jednocześnie tysiącami innych szczegółów. Nie pozwoli jednak na to, by szczegóły te pochłonęły jego uwagę, by ją odwróciły od centralnego zagadnienia. Często powierza swym podwładnym sprawę zajmowania się szczegółami, które liczbą swą zasłaniają właściwy cel; dlatego też często nie dostrzega się geniusza wielkiego wodza. Wydawać się może, że jest on tylko dekoracją, że jest bezczynny i jakby pogrążony w letargu, pozostawia bowiem swemu otoczeniu wykonywanie istotnego zadania. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że geniusz jego polega na rozumieniu sytuacji, na nieustannym myśleniu o niej, na umiejętności poświęcenia całej swej energii temu kluczowi, od którego zależy zwycięstwo.

Zasady walki politycznej są takie same jak walki wojskowej. Sukces, zarówno w polityce jak i na wojnie zależy w ostatecznym rozrachunku od umiejętności uchwycenia klucza sytuacji. Odpowiedni moment do wywołania powstania; istotne zagadnienie, decydujące o wynikach wyborów; najłatwiejsza do zaatakowania postać z opozycji; silne uczucie, poruszające masy; właściwa koncesja, która rozbije koalicję; ostrożne milczenie, pozwalające na zapomnienie błędu; odpowiednia wysokość napiwku, otwierająca nową sferę wpływów na Środkowym Wschodzie; właściwie ustalona godzina do wypowiedzenia mowy: w każdym stadium i na każdym poziomie życia politycznego istnieje element, lub najwyżej drobna grupa elementów, mających znaczenie determinujące i decydujące.

Wielki mąż stanu (który często jest także wielkim wodzem)

— Perykles, czy starszy Cato, Mahomet, czy Cezar, Henryk IV, czy Bismarck, Hamilton, Lenin, Inocenty III, czy młodszy Pitt — koncentruje swą uwagę na kluczu. Czuje, czy nadszedł czas ekspansji, lub odwrotnie, odpoczynku, czy na gwałtowne zaatakowanie opozycja zareaguje konsternacją, lub odwrotnie, wzmocnieniem swych pozycji, czy należy dać pierwszeństwo sprawom wewnętrznym czy zagranicznym. Wie, w każdym stadium politycznym, gdzie tkwi zagadnienie decydujące.

Od końca wieku XII i poprzez prawie cały wiek XIII papież prowadził walkę z Imperium Hohenstaufów i walkę tę zakończyli jego zdruzgotaniem. W owym czasie, mimo przejściowych i sporadycznych szczegółów, odwracających uwagę niektórych, walka ta była dla całych Włoch kluczem ogólnej politycznej sytuacji. Dla pierwszej generacji wieku V przed Chrystusem kluczem politycznym nad brzegami morza Egejskiego były próby Persów podbicia świata helleńskiego. Wszystkie nieporozumienia między państwami greckimi i wszystkie kłótnie wewnętrzne miast podporządkowane były w rzeczywistości sprawie stosunków z Persją. W czasie całej generacji w Ameryce i zanim zadecydowała o tym wojna domowa, kluczem była walka o zjednoczenie narodu. Wszystko inne w polityce zagranicznej czy wewnętrznej miało znaczenie drugorzędne. Dla cywilizacji zachodniej na przełomie XIX wieku kluczem była wojna między Anglią a Francją. Wygrała ją Anglia, może dlatego, że jej sfery kierownicze umiały skoncentrować uwagę na kluczu, podczas gdy Napoleon częściowo tylko uświadamiając sobie, że klucz ten tkwił w potędze morskiej, rozproszył swe siły.

Dla danego narodu kluczem politycznym są czasami sprawy zagraniczne, a czasami wewnętrzne. Dla Stanów Zjednoczonych na przestrzeni całej ich prawie historii niepodległej kluczem były sprawy wewnętrzne: czy to sprawa zjednoczenia, czy niewolnictwa, czy eksploatacji zachodu, czy uprzemysłowienia, czy monopolu. Dla Anglii, ze względów zrozumiałych, kluczem były zwykle, chociaż nie zawsze, jej stosunki z zagranicą. Kluczem tym mogła być sprawa Kościoła, czy armii, czy zagadnienie chłopów, lub na krótki okres sprawa spektakularnego skandalu, jak proces Dreyfusa, czy South Sea Bubble, czy Teapot Dome.³⁵⁾

Weszliśmy w okres historii, w którym polityka światowa wysuwa się na plan pierwszy przed polityką wewnętrzną i w którym polityka światowa obejmuje rzeczywistość cały świat. W czasie tego okresu, obecnie i aż do chwili, kiedy okres ten dobiegnie końca, dzięki temu czy innemu załatwieniu zagadnień, nadających mu charakter, cała polityka światowa i to co jest ważne w polityce wewnętrznej narodów, krystalizuje się naokoło walki o władzę nad światem między komunizmem, opartym o Sowiety i Stanami Zjednoczonymi. Walka ta jest obecnie kluczem sytuacji politycznej. Wszystko inne ma znaczenie drugorzędne.

Klucz jest przeważnie ukryty; walka zasadnicza nie ukazuje się nam w formie indywidualnych zagadnień politycznych, wpływających z tygodnia na tydzień. Tym też pozorem, wprowadzającym w błąd, tłumaczyć należy dezorientację i lekkomyśl-

ność tak wielu obserwatorów i aktorów oraz licznych, szczególnie tym dotkniętych obywateli i kierowników w Stanach Zjednoczonych. Przejściowa forma wydarzeń politycznych, a nie ich istotna rzeczywistość jest motorem ich akcji i podstawą ich idei.

Jugosławia prowadzi spór z Włochami o Triest. Czang-Kai-Szek walczy z Chou-En-Llai o Chiny Północne. Armenicy domagają się niezależnej Armenii. Nowy rząd Filipin uśmierzać musi bunt Hukbalahaps'ów. Polska toczy dyskusję z Meksykiem na posiedzeniach Rady Bezpieczeństwa. Gabinet francuski domaga się natychmiastowego zerwania stosunków z Franco. Harry Lundberg walczy z komunistami o wpływy nad robotnikami portowymi w Stanach Zjednoczonych. Partia pracy amerykańska i partia liberalna manewrują, by zająć pierwsze miejsce w stanie New Yorku. Komuniści brytyjscy zwracają się z prośbą o przyjęcie ich do Partii Pracy. Światowa Federacja Syndykatów domaga się przyznania jej oficjalnego głosu w O.N.Z. Międzynarodowa spółka żniwiarek występuje przeciwko wysyłce traktorów na Bałkany. Syndykaty drukarzy japońskich odmawiają druku wydawnictw, które im nie odpowiadają. Szwecja podpisuje układ handlowy z Moskwą. Stany Zjednoczone zwracają się o bazy w Islandii i na Azorach. Bułgaria, Jugosławia i Albania pomagają i uzbrajają partyzantów macedońskich. Joseph Clark Baldwin, usunięty przez republikanów z New Yorku, popierany jest przez Vito Marcantonio. Australia przeciwstawia się zasadzie veto.

Ta różnokolorowa strona wydarzeń olśniewa oczy publiczności. Dyskutuje się przy pomocy poważnych statystyk skład etniczny Wenecji Guili. Owen Lattimore w długim wywodzie wykazuje, że Czang nie jest całkowicie demokratyczny i że liczni chłopci popierają Yenana. Arthur Upham Pope tłumaczy, że istnieją reakcyjni obszarnicy w Persji. Henry Wallace opisuje geograficznie Syberii. "The Nation" sporządza spis bezczeństw Franco. "PM" oskarża gwałtownie greckich rojalistów o zbrodnie. "New Republic" drukuje opis rolniczego ucisku na Filipinach. Niewinni ludzie z ulicy przekazują dolary, wchodzą w skład komitetów, składają podpisy na listach otwartych.

Jest bardzo przyjemnie mieć pod ręką statystyki, sprawozdania, raporty wypełnione masą faktów historycznych: są one jednak, same w sobie, tylko cieniami i popiołem. Jeżeli nie potrafimy spojrzeć poprzez nie w kierunku żywego ciała, centrum, które jest ogniem — nie dowiemy się niczego. Jeżeli nie rozumiemy, że Triest, Tracja, Armenia, Persja, Północne Chiny, Szwecja i Grecja są stopniami granicznymi między potęgą komunistyczną, a potęgą amerykańską i że wszystkie statystyki i sprawozdania są po prostu ozdobą struktury historycznej — to nie wiemy nic. Wiemy jeszcze mniej niż nic i wpadamy w pułapkę, zastawioną na nas przez tych, którzy wiedzą i którzy wszystkie statystyki i wszystkie sprawozdania wysuwają nam jako przynętę. Celem ich jest ukazanie nam cieni, abyśmy nie dostrzegli żywego ciała. O ile nie wiemy, że amerykańska partia pracy nie ma nic wspólnego ani z Ameryką, ani z pracą, ani z żadnym zagadnieniem, któremu poświęcone są jej programy i przemówienia, a że jest po prostu zakamuflowaną kolonią władzy komunistycznej na wrogim terytorium — to znaczy że politycznie nie wiemy nic. Jeżeli nie rozumiemy, że światowa

35) Nazwy dwu towarzystw, które wywołały skandale o charakterze polityczno-finansowym w rodzaju sprawy Panamy, jedno w 1720, a drugie w 1922.

Federacja Syndykatów jest po prostu instrumentem w rękach N.K.W.D., przeznaczonym do realizowania komunistycznego celu przenikania i demoralizowania przeciwników w trzeciej wojnie światowej — oznacza to, że nawet nie zaczęliśmy jeszcze zdawać sobie sprawy z istnienia walki na świecie. Ważne jest nie to, czy Czang jest demokratą — chociaż i to ma swoje znaczenie — ale to, że jest on, w pewnym sensie, tarczą Stanów Zjednoczonych, powstrzymującą wylewającą się poza granice Eurazji potęgę komunistyczną. Debaty w Radzie Bezpieczeństwa nie toczą się w rzeczywistości na temat absurdu rytuału proceduralnego, jak to wydawać by się mogło na podstawie sprawozdań. Rytuał ten bowiem jest jak konwencjonalny, stylizowany taniec, który w formie artystycznej ujmuje walkę tytanów.

Walter Lippmann, zwiedzając Europę wiosną 1946 roku powiadził nam, w serii szeroko rozreklamowanych artykułów, że zagadnieniem podstawowym polityki światowej jest walka między Anglią a Związkiem Sowieckim, której punktem kulminacyjnym jest spór o Niemcy. Zdaniem Lippmanna sytuację Stanów Zjednoczonych porównać można do wygodnej pozycji bezstronnego arbitra, który mógłby wspaniałomyślnie zainteresować się spór ten rozstrzygnąć. Lippmann ma rację, gdy w sporze o Niemcy widzi zagadnienie decydujące. Ale jeden rzut oka na mapę Europy i jedno spojrzenie na sytuację w Indiach i koloniach brytyjskich wystarczy, by wykazać, że Anglia nie może być głównym przeciwnikiem w walce z potęgą komunistyczną. W Niemczech, Anglia bez względu na jej zamiary, występuje w roli czynnika zawieszającego od znacznie większej potęgi, która jest jedynym rywalem w toczącym się boju. Gdyby to chodziło rzeczywiście o Anglię i gdyby Stany Zjednoczone wycofały się z areny europejskiej, decyzja w sprawie Niemiec byłaby już od dawna ogłoszona.

Decydującym faktem jest, że zachodnia cywilizacja osiągnęła stadium rozwojowe, które domaga się stworzenia uniwersalnego imperium. Charakter technologii i organizacji cywilizacji zachodniej jest tego rodzaju, że imperium uniwersalne cywilizacji tej byłoby jednocześnie z konieczności imperium światowym. Istnieją na kuli ziemskiej tylko dwie potęgi, które pretendować mogą do stworzenia tego imperium. Fakt jednoczesnego istnienia tylko dwu takich centrów wywołuje w polityce światowej nieznosne zachwianie równowagi. Cały ten problem stał się niebawem ostry i bezpośredni dzięki odkryciu broni atomowych i dzięki wyścigowi obu potęg, zmierzającemu do supremacji w dziedzinie energii atomowej, supremacji, która niezależnie od wszystkich innych względów historycznych, mogłaby być tylko zapewniona przez imperium światowe.

Jedna z owych potęg — to dziecko, to przestrzeń granicząca z zachodnią cywilizacją. Dla tych przyczyn Stany Zjednoczone, niedojrzałe, niezręczne, na wpół barbarzyńskie, wchodzą do boju jako przedstawiciele kultury zachodniej. Druga potęga, mimo faktu zagarnięcia znacznych obszarów i licznej ludności zachodu i mimo posługiwania się szeregiem urządzeń organizacyjnych i technologicznych zachodu, jest do zachodu tego, — z tytułu swego pochodzenia i swego zasadniczego charakteru — nastawiona wrogo. W konsekwencji, zwycięstwo jej byłoby równoznaczne ze sprowadzeniem społeczeństwa zachodniego do

poziomu podporządkowanej kolonii. Raz jeszcze ludy równin pochyliliby kark w jarzmie napływających ze stepów koczowników. Tym razem jednak koczownicy ci zadali sobie trud wyposażenia siebie w ekwipunek z arsenału, należącego do tych, których pragną zamienić w niewolników. Konie i psy zastąpiły tankami i bombami. I tym razem równiny są całą ziemią.

Między przeciwnikami istnieje jeszcze jedna różnica, która może być decydująca. Potęga komunistyczna posuwa się w kierunku swego celu w pełni świadomości. Jej kierownicy zdają sobie sprawę o jaką stawkę chodzi w tej grze. Decyzję już wzięli. Cały zapas ich energii, możliwości i woli skierowany jest na ten cel. A potęga zachodnia posuwa się po omacku i chwiejnie. Większość jej kierowników nie usiłuje nawet zrozumieć zagadnienia. Na podobieństwo młodzieńca, przed którym stanął po raz pierwszy poważny problem moralny, pragną przede wszystkim uniknąć odpowiedzialności wyboru. Lecz nie można umknąć rzeczywistym problemom moralnym i odmowa dokonania wyboru jest także decyzją o charakterze moralnym. Jeżeli dziecko topi się na naszych oczach, to odwrócenie się w przeciwnym kierunku jest taką samą decyzją, jak uratowanie, czy wepchnięcie go do wody. Nie nasze pragnienie indywidualne, ale położenie społeczeństwa świadomego stawia dzisiaj przed Związkiem Sowieckim, jako przedstawicielem komunizmu i przed Stanami Zjednoczonymi, jako przedstawicielami cywilizacji zachodniej sprawę panowania nad światem. Ani nasze myśli, ani życzenia nie mogą sprawić, by zagadnienie to przestało istnieć.

Sprawa ta zostanie rozstrzygnięta jeszcze za naszych dni. Jest prawdą, że w tej rozgrywce obaj przeciwnicy mogą ulec zniszczeniu. Ale jeden z nich zniszczeniu temu ulec musi.

Cz. II. Co należałoby zrobić?

Wyrzeczenie się władzy

1.

Gdyby rzeczywiście naszym najwyższym celem było definitive rozwiązanie problemu broni atomowych, wojny i polityki oraz zapewnienie na świecie stałego i uniwersalnego pokoju, to odnalezienie drogi, którą należałoby obrać dla realizacji tego celu nie przedstawiałoby trudności. Droga ta, droga jedyna, znana jest od dawna. W tysiącach wariantów mówiły o niej wielokrotnie uskrzydłone słowa, które wiążemy z imionami Chrystusa, Buddy, Konfucjusza, św. Franciszka i Lao-tse.

Zapewnimy pokój, permanentny pokój, wtedy i tylko wtedy, gdy zdołamy się na zrezygnowanie z władzy w sposób absolutny i totalny. Oto jest droga i innej drogi nie ma.

Z chwilą zrezygnowania z władzy problemy polityki, polityki samej i wojny, która jest jej częścią, przestałyby istnieć, gdyż polityka nie jest niczym innym jak walką o władzę. Lecz to miałyby miejsce tylko wtedy, gdy zrezygnowanie będzie totalne.

Jeżeli nie mam żadnych ambicji, to poszukiwania moje nie mogą mnie zawieść. Jeżeli nie mam przywiązania do rzeczy ma-

terialnych, to kto może mnie okraść? Jeżeli wolność, rodzina, życie samo są dla mnie niczym w porównaniu z bezwzględny grzechem władzy, to kto może mnie zamienić w niewolnika i ciemnić? Rezygnując z władzy staję się nietykalny w stosunku do niej. Dzięki całkowitemu zrezygnowaniu staję się absolutnie wolny, gdyż wolność moja należy do innego królestwa, królestwa nie z tego świata.

Zrezygnowanie z władzy posiada tę właściwość, że jest ono rewolucją w duszy indywidualnej. Jest to rewolucja, którą każda istota ludzka przeprowadzić może dla siebie aż do końca. Nie potrzebuję wahać się, zwlekać, obliczać możliwości, studiować sił społecznych, wychowywać i organizować, czekać na świat i dzięki temu wydawać się na pastwę tego świata. Działać mogę sam, gdyż źródło i cel tego działania — Królestwo Boże — jest w nas samych.

Mam wrażenie, że obudzenie się form mistycznych religii, które zmanifestowało się ostatnio w społeczeństwie zachodnim ma poważne znaczenie symptomatyczne. Religia zorganizowana w Kościoły zstępuje za pośrednictwem organizacji społecznych z Królestwa niebieskiego na ziemię. W konsekwencji tego faktu wciągnięta zostaje do walki o władzę. Mistycyzm, który wypływa z najgłębszych podkładów jednostki, sam w obliczu samotności, związany jest w sposób naturalny i niezmienny ze zrezygnowaniem z władzy.

Ruch w kierunku mistycyzmu występuje najpierw u intelektualistów, najbardziej czułych barometrów historycznych. Gerald Heard, Aldous Huxley, Ignazio Silone, Evelyn Waugh są tylko bardziej znanymi nazwiskami, reprezentującymi prąd młodych intelektualistów we wszystkich prawie narodach zachodnich. W łonie zorganizowanych Kościołów, zarówno katolickiego jak i protestanckiego, daje się zauważyć to samo zjawisko, które często dla ustalonych hierarchii mieć może charakter niepokojący. Zjawisko to związać możemy częściowo z ruchami takimi, jak egzystencjalizm francuski i doloryzm, neo-protestantyzm ze swą tendencją kierkegaardowską, oddalenie się niektórych teologów katolickich od tomizmu i zbliżenie się ich do św. Augustyna, w pierwszym etapie na drodze do plato-nizmu. Impuls ten wykorzystują w celach handlowych średniego gatunku pisarze, którzy wydają książki o "tendencji mistycznej", rozchodzące się w ogromnej ilości egzemplarzy i znajdujące się na listach "best sellerów".

Jak wszystko inne, mistycyzm staje się przedsięwzięciem; niewielu spośród najlepszych nawet, pozostaje wiernymi mu aż do końca; zwykle kontrakt z Hollywoodem czy zyskowna antologia wdzierają się na pustynię mistyczną. Lecz te odpadki naszej epoki nie powinny zaciemnić w naszych oczach obrazu świeżego prądu mistycznego, płynącego ze źródła duchowego, które już niejednokrotnie w epokach podobnych do naszej, wysyłało swe jasne wody na powierzchnię. Niektórzy ludzie w obliczu kryzysu socjalnego o rozmiarach niespotykanych i którego rozwiązanie przy pomocy metod analizy empirycznej i rachunku praktycznego wydaje się niemożliwe, próbują rozwiązać go na drodze mistycznej i totalnego wyrzeczenia się władzy.

2.

Rewolucja mistyczna, którą przeprowadzi dla siebie jednostka, rozwiąże w równej mierze w sposób definitywny problemy polityki, wojny, broni atomowych, jak w ogóle wszystkie problemy materialne. Świat materii, świat socjalny staje się *Maya*: iluzją. Dusza, przedostając się do nieskończonej rzeczywistości *Nirwany* mistycznej, nie potrzebuje troszczyć się więcej groteskowymi fantazjami *Maya*. I żaden argument logiczny nie może być przeciwstawiony temu, kto wejdzie na drogę rozwiązań mistycznych.

Tym niemniej *Maya*, nawet jako iluzja, w sposób jej właściwy istnieje dla innych. Mistyk znajduje się poza obrębem wszelkiej dyskusji tylko wtedy, gdy przebywa w świecie mistycznym swej własnej duszy. Gdy zaczyna mówić i gdy zadajemy mu pytania, dotyczące tego innego świata, świata wzgórz i dolin, miast i maszyn, narodów i klas, i o ile na pytania te uzyskać chcemy odpowiedzi poważne — musimy stosować surowe, bezlitosne i niemistyczne kryteria rozumowe. A te udowodniłyby nam, że zrezygnowanie z władzy, które nie da się zaatakować u jednostki, rozwiązałyby problemy socjalne i historyczne polityki i wojny wtedy tylko, gdyby każdy i wszędzie umiał dojść tego wyrzeczenia się. Dla mnie, moje własne wyrzeczenie się władzy może być wystarczające. Ale, jeżeli mój sąsiad na podobne zrezygnowanie się nie zdobył, to kradzież, oszustwa, eksploatacje i zbrodnie istnieć będą w świecie historycznym, o ile nawet nie w moim: jego działanie skierowane będzie przeciwko mnie. Gdyby wszyscy Argentyńczycy zrezygnowali z władzy, pozostałoby mimo wszystko jeszcze Urugwajczycy, dla których ich sąsiedzi byłiby najłatwiejszymi ofiarami, nadającymi się do eksploatacji.

Z punktu widzenia logicznego totalne i uniwersalne wyrzeczenie się władzy, dokonane przez wszystkich ludzi — nie jest rzeczą nie do pomyślenia. Mam wrażenie jednak, że jest ono rzeczą tak mało prawdopodobną, iż nie potrzeba przeprowadzać szczegółowego dowodu; urzeczywistnienie jego zaliczyć należałoby do kategorii cudu, leżącego poza granicami naszych najśmielszych przypuszczeń. Jak zaznacza Arnold Toynbee, realizacja takiego wyrzeczenia się wywołałaby totalne przekształcenie się społeczeństwa ludzkiego w nowy typ cywilizacyjny, równie odległy od współczesnego nam, jak nasz typ cywilizacji od cywilizacji prymitywnej. Jest rzeczą możliwą — myśli Toynbee — że to przekształcenie się, którego formy odnajdujemy w naukach wielkich religii i życiach niektórych świętych, jest celem, do którego zmierza historia ludzkości. Jeżeli jest tak w rzeczywistości, to z celem tym nie nawiązaliśmy w chwili obecnej jeszcze żadnego kontaktu, nawet nie połączyliśmy się z nim przy pomocy najbardziej delikatnego duchowego aparatu radarowego. Nie możemy więc liczyć na jego pomoc w naszej podróży.

Wyobraźmy sobie, że ludzie nie całego świata, lecz jednego narodu wyrzekli się totalnie władzy. Nie stanowiliby już wtedy narodu, gdyż naród jest zorganizowaną formą przymusu i władzy. Z góry wiemy też, że wyrzeczenie to zaprowadziłoby ich do totalnego niewolnictwa. A mając przed oczami doświadcze-

nie historyczne, nie możemy sobie wmówić, że bierność niewolników może zmniejszyć trud niewolnictwa. Może z punktu widzenia moralnego lepiej byłoby zamienić się w niewolników, cierpieć głód, tortury i znęcanie się, niż bronić się mieczem, szczególnie tym nowym mieczem, który ukuli nam uczeni i specjaliści od energii atomowej. Można by wyobrazić sobie, że gdyby ludność jednego wielkiego narodu wyrzekła się dobrowolnie władzy, przykład jej po upływie jakiegoś czasu, bardzo długiego czasu, pociągnąłby za sobą i inne narody.

Lecz jest prawdopodobne, prawdopodobne do takiego stopnia, że staje się to pewnością historyczną, iż naród taki nie istnieje. Wyrzeczenie się władzy dokonane przez obywateli jednego wielkiego narodu byłoby równie nieprawdopodobnym cudem jak uniwersalne zrezygnowanie z władzy. O spełnienie cudu prosić możemy w naszych modlitwach, lecz wypatrywanie go nie może być przewodnikiem dla naszych racjonalnych decyzji społecznych ani naszej racjonalnej praktyki społecznej. Teologowie nazywają cudy aktami dobrowolnej łaski; na cuda nie zasłużyliśmy i nie mamy nawet prawa ich oczekiwać.

O ile chcemy oprzeć nasze rozumowanie na doświadczeniu i faktach realnego świata musimy zrezygnować ze znalezienia "permanentnego rozwiązania" dla problemów wojny i polityki w ogóle oraz dla problemów w ich nowym, ostrym aspekcie, wywołanym odkryciem broni atomowych. Wiemy jak wygląda jedynie możliwe rozwiązanie permanentne. Wiemy, że ludzie go nie przyjmą. Upierając się więc przy obronie idei rozwiązania permanentnego i ustalając program oparty na tej idei, nie tylko wprowadzamy w błąd siebie samych, lecz nie posuwamy się naprzód w wykonaniu zadania bardziej skromnego i możliwego, tj. znalezienia rozwiązań częściowych i tymczasowych. Właściciel niedużego przedsiębiorstwa byłby oczywiście wariatem, gdyby, oczekując na ofertę nieistniejącego miliona dolarów odmówił przyjęcia tysiąca dolarów i w rezultacie doprowadził siebie do bankructwa.

Nic z tego co będziemy mogli zrobić nie zapewni permanentnego pokoju. Nic nie zagwarantuje nam, że któregoś dnia broń atomowa nie zniszczy cywilizacji i ludzkości. Tym niemniej podjąć możemy kroki, które przyczyniłyby się czy to do opóźnienia wybuchu wojny, czy zmniejszenia jej siły destrukcyjnej, czy też do zwiększenia szans, by zakończyła się pomyślnie. Jeżeli nie możemy w sposób stanowczy zapobiec zniszczeniu nas przez broń atomową, to w każdym razie podjąć możemy kroki, które pewność zniszczenia tego zmniejszą. Poza tym miałem zawsze wrażenie — mimo istnienia także przekonania odwrotnego — że małe, krótkie i łatwe wojny są lepsze od wojen długich, dużych i trudnych. I jeżeli przez "wygraną wojnę" rozumiemy jej zakończenie, które zbliżałoby się najbardziej do naszych przekonań, to lepiej wojnę wygrać, niż ją przegrać.

3.

To, co nazywamy "opiniją publiczną" jest zbiorem zmiennych i wzajemnie sobie zaprzeczających idei i uczuć. W skład idei wchodzi prawdy, półprawdy i błędy; uczucia są mieszaniną impulsów dobrych i złych. Jest tylko nie wiele osób zdolnych do

wyrzeczenia się władzy i do wejścia na drogę mistycyzmu po której w rzeczywistości kroczyć mogą tylko święci. Mimo to jednak rozdzielone wersje o postawie, która prowadzi do mistycyzmu znajdują dzisiaj swe odbicie w opinii publicznej.

Czytamy i słyszymy nieustannie o potępieniach "polityki mocarstw". Mówi się nam ciągle o tym, że celem polityki narodowej i międzynarodowej jest i powinien być "pokój". Oba te przekonania stały się dla nas obecnie aksjomatami. Zawsze są mile widziane w jakimś wydawnictwie, artykule, mowie czy książce, poświęconej sprawom światowym. Są one jednak przyczyną głębokich nieporozumień i stwarzają nieprzewidywalną przeszkodę, która uniemożliwia przeprowadzenie jasnej analizy politycznej i powzięcie odpowiednich decyzji politycznych.

Nie ma innego rodzaju polityki jak tylko "polityka mocarstw". Myśl, że mogłaby istnieć jakaś inna polityka jest pozbawiona sensu i zawiera wewnętrzną sprzeczność. Ten, kto potępia "politykę mocarstw" składa dowód swojej ignoracji w dziedzinie polityki, lub pragnie zdezawuować politykę innego, by ukryć własną.

Równie błędne jest przekonanie, że pokój jest celem zasadniczym polityki. Pokój może być, jak o tym mówiliśmy powyżej, najwyższym celem w życiu moralnym jednostki. Nie może jednak odegrać tej roli w zorganizowanej grupie społecznej, takiej jak naród, gdyż byłoby to dla grupy tej równoznaczne z samobójstwem. Grupa (na przykład naród), istnieje dzięki temu, że jest zorganizowaną strukturą interesów, które wiążą i określają jej członków. Interesy te są przedmiotem nieustannych ataków, prowadzonych wewnątrz grupy przez różne czynniki rozkładające, oraz nacisków, kierowanych z zewnątrz. Niektóre z tych interesów mają znaczenie drugorzędne i dopuszczenie do ich zaatakowania nie narazi na szwank grupy jako całości społecznej. O ile jednak najważniejsze interesy i instytucje je uosabiające ulegają zniszczeniu, wówczas grupa przestaje po prostu istnieć. Naród, jeżeli mowa jest o narodzie, wchłonięty zostaje przez inny naród, a ludność jego rozsiada zostaje w pustyni społecznej; poszczególne istoty ludzkie, stanowiące uprzednio naród, istnieją w dalszym ciągu, lecz naród zaginał.

Uczynienie z pokoju głównego celu polityki narodowej oznaczałoby w rzeczywistości powzięcie decyzji nie broniących najważniejszych interesów i instytucji, to znaczy elementów, tworzących z grupy naród i będących podstawą jego historycznego istnienia. Ponieważ okoliczności życia społecznego sprawiają, że presje zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne, kierowane przeciwko tym interesom i instytucjom będą bez wątpienia wykonywane w dalszym ciągu, decyzja taka położyłaby kres "woli istnienia" narodu. Przy pierwszym kryzysie, który niewątpliwie nastąpiłby w niedługim czasie, naród taki zostałby rozbity. Istnieje cały szereg przykładów narodów, które po osiągnięciu tego punktu przeszły w zapomnienie. Francja w latach 1939-40 była w położeniu niebezpiecznie zbliżonym do tego stadium, czego dowodem był rozpowszechniony w owym czasie, na wpół cyniczny slogan: "lepiej wojnę przegrać, niż się bić".

Ze stwierdzenia, że pokój nie może być najwyższym celem polityki nie wynika jeszcze — tak jak to utrzymywali niektórzy teoretycy faszyzmu — że celem tym ma być wojna. Pokój

nim być nie może. Wojna mogłaby nim być i była nim dla kilku narodów. Najbardziej narzucającym się wnioskiem jest po prostu to, że naród (czy każda zbliżona grupa społeczna) posiadać musi wolę walki zawsze wtedy, gdy jego interesy i najbardziej żywotne instytucje, tworzące z niego samoistną grupę, a bez których nie mógłby istnieć jako naród — zostały zagrożone. Naród taki może uważać, iż pokój jest bardziej pożądanym i może usiłować przeciwdziałać powstaniu podobnej sytuacji. Gdyby jednak sytuacje takie zaistniały, wtedy trzeba, by naród posiadał wolę walki i jeżeli zajdzie konieczność, by walkę rzeczywiście podjął. Pokój nie może być niczym innym, jak tylko wynikiem polityki, której udało się chwilowo obronić najbardziej żywotne interesy przy pomocy innych środków, niż wojna.

Istnieje popularne przekonanie, że osoby, które wyżywają swe zamiłowania do retoryki w oskarżeniach, rzucanych pod adresem polityki mocarstwowej i wojny, i w zapewnieniach o swym przywiązaniu do "wrozumiałości" i pokoju — są "moralne", "idealistyczne" i "dobre"; podczas gdy tych kilku nieszcześliwców, którzy z uporem kładą nacisk na fakt, że polityka jest funkcją walki o władzę, którzy mniej czasu poświęcają zachwytem nad wiecznym pokojem, a usiłują zapewnić, tymczasowe chociażby, zawieszenie broni i ustalić oznaki zbliżającej się wojny — uważani są za "cyników" i ludzi "złych". Jeżeli staniemy na gruncie motywów subiektywnych, możemy znaleźć pewne uzasadnienie dla takiego przekonania: może to jest zaleta natury ludzkiej, że tak często człowiek zezwala świadomości, na ukrywanie mu rzeczywistości. Ponieważ jednak interesujemy się bardziej konsekwencjami, niż motywami i cynicy mają też coś do powiedzenia. Niestety, nie wyleczymy się z raka twierdząc, że to niestrawność.

Należy zaznaczyć, iż — jeżeli chodzi o konsekwencje — retoryczni zwolennicy pokoju nie są najlepszymi obrońcami własnej sprawy. Nie wyeliminuje się konfliktów między narodami i klasami, zaprzeczając ich istnieniu. Utrudnia się tylko w ten sposób wykrycie odpowiednich środków działania, które mogłyby konflikty te zmniejszyć czy wyeliminować, o ile eliminacja taka, czy zmniejszenie jest możliwe. Zamykając oczy nie można zatrzymać zbliżającej się wojny. Zmniejsza się tylko szanse zapobieżenia jej, a zwiększa możliwości przegrania — gdy mimo wszystko wybuchnie. W praktyce, transcendentalne ideały mistycznego wyrzeczenia się władzy w połączeniu z niejasną i nieczytelną mieszaniną opinii publicznych prowadzą do braku odpowiedzialności i wewnętrznego okłamywania się. Program niemożliwy do zrealizowania jest zawsze nieodpowiedzialny, gdyż nie może być przewodnikiem w rzeczywistej akcji; a staje się jedynie wymówką dla nierobienia niczego, lub odgrywa rolę parawanu, za którym robi się rzeczy całkiem odmiennie od tego, co program głosi.

Weszliśmy w okres historii, w którym dojść musi do skutku próba zorganizowania panowania nad światem — imperium światowego. Istnieją jednak tylko dwa ugrupowania potęg, zdolne do poważnego przeprowadzenia tej próby: komunizm ze swą bazą sowiecką i ugrupowanie potencjalnie kierowane przez Stany Zjednoczone. W tych warunkach zarysowują się przed każ-

dym tylko trzy główne alternatywy. Nawet ten, kto świadomie i dobrowolnie nie wybierze żadnej z nich, lub komu wydawać się będzie, że wybrał czwartą, działać będzie w rzeczywistości — dzięki praktycznym konsekwencjom swych aktów — na korzyść tylko jednej z tych trzech możliwości.

Cz. III. Co można by zrobić?

ROZDZIAŁ I.

Cele polityczne i fakty socjalne.

1.

Może się zdarzyć, że historyczny bieg życia socjalnego i politycznego zostanie zdeterminowany. Mówiąc innymi słowami, może się zdarzyć, że prawa ewolucji historycznej uniezależnią się od wpływów rozumu ludzkiego i własnowolnego wyboru ludzkiego. Wzrost i upadek ludów, wielkość i dekadencja cywilizacji, rozprzestrzenienie się i rozkład Kościołów, wszystko to urzeczywistniać się może według pewnego rytmu, bez żadnego związku przyczynowego z naszą racjonalną naturą. Wielu filozofów wierzyło w to i wiązało przyczynowe korzenie historii z wolą absolutnego Boga, czy z nadejściem deszczu, przeznaczeniem, rasą czy przypadkowym zetknięciem się atomów.

Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to wszystkie dyskusje, poświęcone reformie socjalnej, wszystkie spory i tak zwane decyzje, dotyczące wyborów, wojen, praw i rewolucyj są tylko złudzeniem, pozbawioną sensu bazgraniną na pustej ścianie. A jedynie rozsądnym stosunkiem naszym do historii powinny być kontemplowanie jej z oddalenia, z czysto estetycznym tylko zainteresowaniem.

Tak być może, lecz musimy (i robimy to) przypuszczać, że jest odwrotnie; wierzymy i nie możemy przestać wierzyć, że nasze myśli i decyzje mają wpływ na bieg historii.

Pozostaje teraz pytanie jak daleko sięga ten wpływ? Trzeba być ostrożnym w swoich przypuszczeniach. Jeżeli założymy, że nasze myśli i decyzje zmieniają bieg historii, to nie wynika z tego, że zmiany te są poważne. Łatwo można udowodnić, że zmiany biegu historii, wywołane naszymi myślami i naszymi decyzjami są bardzo małe. Wolność nasza w stosunku do biegu historii i w stosunku do spraw politycznych i socjalnych jest wolnością ściśle ograniczoną.

Każdy z nas i każda z naszych generacji przychodząc na świat zastaje już społeczeństwo, które nie jest naszym dziełem. Z pewnego punktu widzenia istnieje ono po prostu i zostało nam dane jako scena i warunki naszej egzystencji. Nie możemy ponosić odpowiedzialności za gwiazdy, ocean czy atomy, za gęstość elementów, energię atomową czy sposoby funkcjonowania naszego organizmu. Nie możemy również ponosić odpowiedzialności za domy, już wybudowane, za miasta, fabryki, świątynie, za żyły złota, które inni odkryli, za ziemię, którą inni wykarczowali, za narzędzia i maszyny, które wyprodukowali. Nie jesteśmy również odpowiedzialni za sądy, armie i więzienia, które już

istnieją, za granice wykreślone ręką naszych ojców, ani za szeroki świat myśli, uczuć, wiedzy, mitów i filozofii, sięgający w daleką przeszłość, w której nas jeszcze nie było. Przytłaczająca, lecz i ruchliwy ciężar świata, zarówno socjalnego jak i materialnego jest dla nas faktem brutalnym i obcym. Jest to kula śnieżna, którą nie my puściliśmy w ruch, kula monstrualnie potężna w chwili, gdy ją poznajemy, a która toczy się dzięki sile własnej inercji. I na pewno naszym najdalej sięgającym pragnieniem mogą być jedynie próby zmiany kierunku i szybkości jej biegu o jeden czy dwa stopnie.

Mam wrażenie, że to Machiavel pierwszy porównał historię do rzeki, której biegu nie możemy zmienić i w stosunku do której jesteśmy bezradni, gdy wylewa. Musimy ambicje nasze ograniczyć i, korzystając z okresów spokoju w życiu naszej rzeki, próbować "przy pomocy tam, przeszkód i innych środków wpłynąć na jej bieg w ten sposób, by — gdy ponownie wody jej wzbią — znalazły ujście w kanałach, co zmniejszyłoby ich gwałtowność i siłę destrukcyjną".

Zapomina się często o tym, że te ogólne rozważania znajdują swe zastosowanie w świadomie ustalonym programie politycznym. Wykazują jak dalece większość programów politycznych jest utopijna. Są utopijne, gdyż próbują zmienić bieg rzeki. Zamiast pogodzić się z szeregiem faktów socjalnych, otrzymanych w dziedzictwie i zastanowić się w jaki sposób natchnąć je nowymi impulsami i nadać im choć częściowo odmienny kierunek — programy, atakując te fakty, rzucają się na nie z zamkniętymi oczami. Wiadomo z góry, że w tym ataku programy zostaną pokonane, a brutalne fakty zwyciężą. Szlachetne polityczne tęsknoty za przeszłym wiekiem złotym zamieniają się w zgryźliwe rozczarowania reakcyjne; abstrakcyjny idealizm rewolucyjny zamienia się w tyranie.

Dzisiaj, w Stanach Zjednoczonych, wzrastająca liczba ludzi, nazywanych "agrarnymi demokratami" czy "personalistami" utrzymuje, że uprzemysłowiona cywilizacja była błędem, że powinniśmy zerwać z wielkimi miastami i powrócić do cywilizacji rolnej, opartej na małych, rodzinnych i niezmechanizowanych gospodarstwach. W programie tym zmęczona wyobraźnia mieszkańców miast szuka zaspokojenia dla swych nostalgii. Jest on podobny do programu, rzuconego przez Epikura w pełnym niepokoju okresie historii helleńskiej, tak zbliżonym do naszego. O podobnym programie wystarczy powiedzieć, że realizacja jego jest niemożliwa. Nasze miasta i nasze maszyny nie są zjawiskami izolowanymi. Stanowią one część integralną naszej organizacji i ewolucji socjalnej. Szlachetny impuls moralny, pragnący zatrzeć naszą przeszłość, nie posiada siły magicznej. Dobrzy agrariusze nie zastanowili się nad tym, że ich plan oznaczałby zniszczenie czterech piątych ludności w wypadku (zresztą niemożliwym), gdyby program ich został zrealizowany. Prymitywizm agrarny dla człowieka z ludu oznacza przeniesienie kilku tysięcy prerafinowanych mieszkańców New Yorku do starych ferm Pensylwanii czy Connecticutu gdzie wyhodują może kilka jarzyn, żyjąc z procentów od swych kapitałów i z artykułów, płaconych przez wydawców z miasta.

Kompetentni i przekonujący ekonomiści ukazali nam ostаточно niebezpieczeństwa ekonomicznej kolektywizacji. Ich pro-

pozycje o charakterze pozytywnym są mało zdefiniowane, lecz ich istotne wnioski, nakłaniają do powrotu do klasycznej ekonomii rynku i wolnych przedsiębiorstw. I znowu stwierdzić musimy, że realizacja ich programu jest niemożliwa. Wolne przedsiębiorstwo, takie jakie oni sobie wyobrażają, w rzeczywistości nie egzystowało nigdzie. Istotne stosunki ekonomiczne sprzed stu lat przeszły na zawsze do przeszłości wraz z ogólnymi warunkami społecznymi, które były ich postawą. Kolektywizm, jak to wykazałem uprzednio nie jest z konieczności równoznaczny z totalitaryzmem; lecz jest rzeczą pewną, iż obecnie poważna doza jakiegokolwiek formy kolektywizmu ekonomicznego jest nie do uniknięcia.

2.

Zasadniczym przedmiotem niniejszej książki jest sprecyzowanie obecnej światowej sytuacji politycznej. W pierwszej części zajmę się analizą charakteru i tendencji współczesnego nam okresu historycznego. Stwierdziłem na czym polega problem ogólny. Omówiłem także program komunistyczny — to znaczy komunistyczne rozwiązanie problemu ogólnego.

Program komunistyczny nie jest ani pusty ani, utopijny. Jest to program prawdziwy, gdyż jego cele polityczne posiadają dostateczną łączność z faktami społecznymi. Komuniści mylą się, gdy wierzą, że zwycięstwo ich jest "nieuniknione", lecz żaden z faktów społecznych zwycięstwa tego nie umożliwia. Poza tym, w programie ich znajduje się jedynie możliwe dla problemów politycznych rozwiązanie problemu ogólnego: to znaczy rozwiązanie tymczasowe i częściowe, tym niemniej mogące być w życie wprowadzone.

Każdy program przeciwstawiający się planowi komunistycznemu musi, o ile chce być programem rzeczywistym i przewodnikiem w akcji, zadośćuczynić wymaganiom tych samych kryteriów; musi posiadać dostateczną łączność z faktami socjalnymi; musi efektywnie rozwiązać w każdym razie w granicach możliwości, problem ogólny. Nie należy zapominać, że każde rozwiązanie współczesnego światowego problemu politycznego, łącznie z zagadnieniem broni atomowych, musi być takie, by mogło być zrealizowane w stosunkowo krótkim czasie.

Zmuszeni zostaliśmy do odrzucenia rozwiązania rządu światowego, gdyż rozwiązanie to nie odpowiadało tym warunkom. Wykreśliłmy również wszystkie programy, których realizacja byłaby tylko możliwa w ciągu kilku pokoleń, lub jeszcze dalszej przyszłości. Do kategorii tej należą wszystkie programy, wysuwające rozpowszechnienie odpowiedniego wychowania, wykształcenia i poprawy moralnej, gdyż wszystko wskazuje obecnie na to, że tego rodzaju postęp mógłby być tylko bardzo powolny; wyeliminowaliśmy wszystkie programy, których nadzieje opierają się na mało znaczących dzisiaj siłach socjalnych, gdyż ich rozwój, aż do chwili, gdy osiągną możliwość wywierania decydującego wpływu na historię — zajmie jeszcze duży czas.

Odrzucenie tych programów, jako rozwiązań współczesnego światowego problemu politycznego, nie oznacza oczywiście ich całkowitego porzucenia. Zachować je można dla odległej przy-

szłości. Tymczasem jednak rozwiązać należy trudności bezpośrednie, by o tej odległej przyszłości można było mówić. Nie można zajmować się wychowaniem złej załogi, znajdującej się na statku, który jeszcze tej nocy mógłby zatopnąć.

W międzynarodowych programach amerykańskich nie brakuje zwykle szerokich wzmianek, poświęconych wolności i równości wszystkich narodów, dużych i małych, świętej nienaruszalności traktatów i praw międzynarodowych, prawie samostanowienia itp. Wszystkie programy oparte na podobnych koncepcjach są również w obecnej sytuacji nierealne. Są nierealne, gdyż stoją w sprzeczności z faktami socjalnymi. Historia wykazuje, że traktaty nie zachowały długo swej mocy obowiązującej i że zawsze były tylko tymczasowymi symbolami istniejących stosunków między potęgami. W czasie ostatniego wieku stały się one wszystkie nic nieznaczącymi skrawkami papieru. W sprawach poważnych, prawo międzynarodowe nie może mieć odpowiedniego znaczenia, o ile nie ma państwa światowego, które by stało na jego straży. Dla nas prawo międzynarodowe nie może być niczym innym jak tym, czym było w Norymberdze (i czym byłoby w Moskwie i Waszyngtonie, gdyby przeciwny obóz zwyciężył): to znaczy przykrywką dla woli silniejszego. Nazywając narody równymi i wpisując zasadę tę między postanowienia jakiejś Karty nie sprawimy, że narody te będą równe. Nie są one po prostu w rzeczywistości i to sprawę tę rozwiązuje. Tak zwane "bunt małych narodów", które mają miejsce w czasie różnych posiedzeń międzynarodowych ostatnich lat, są nabieraniem naiwnych. Wyrażają one tylko fakt uzależnienia narodów małych od dużych mocarstw. Wszystkie dyskusje w O.N.Z., dotyczące prawa weta są niepotrzebnym marnotrawstwem energii. Bez względu na postanowienia Karty, Stany Zjednoczone i Związek sowiecki posiadałyby zawsze prawo weta *de facto*, gdyż każda z tych potęg jest nieskończenie silniejsza od O.N.Z. Czyż nie jest absurdem wyobrażenie sobie, chociaż przez chwilę, że Ekwador równy jest Stanom Zjednoczonym, a Szwecja Związkowi sowieckiemu. I cóż za niezrównana niedorzeczność wierzyć, że światowy kryzys polityczny mógłby być rozwiązany kiedykolwiek przy pomocy podobnych głupstw prawniczych.

Komu powierzyć należy program, będący kontr-programem w stosunku do komunistów? Program skierowany być musi do jakiejś określonej publiczności. Polityka, którą wysuwa, wykonana być musi przez jakiś organ społeczeństwa. A na świecie istnieje tylko jeden taki organ i nie ma czasu na stworzenie innego. Program polityki światowej, który wykonać by miała Etiopia, Belgia czy Siam, nawet bezbłędny z punktu widzenia abstrakcyjnego, byłby bez znaczenia, gdyż ani Etiopia, ani Belgia, ani Siam nie są w stanie wpłynąć materialnie na kryzys światowy. Jedyne możliwą politykę przeprowadzić będzie mógł tylko rząd Stanów Zjednoczonych, jako jedyny organ, w najbliższym okresie historycznym, zdolny do odpowiedzenia na rzuczone przez komunistów wyzwanie.

Nie oznacza to jednak wcale, że program ten winien być skierowany tylko pod adresem rządu Stanów Zjednoczonych. Jak z samej definicji wynika, program światowy zmierzać musi do pozyskania uznania najszerszych sfer, wśród wszystkich ludów

ziemi, nie wyłączając w danym wypadku i ludu rosyjskiego, który starannie odróżniać zawsze należy od reżimu sowieckiego: lud ten jest pierwszą ofiarą reżimu i będzie może głównym instrumentem jego upadku. Dla programu tego, byłoby korzystne, gdyby uznały go inne rządy poza Stanami Zjednoczonymi. Ale los jego zależy od akcji Stanów Zjednoczonych. A jest tak dlatego, że w naszych czasach o losie świata zadecydują Stany Zjednoczone, jedynie zdolne do zebrania i kierowania siłami, mogącymi przeciwstawić się światowemu zwycięstwu komunistycznemu.

Zdaniem tej części książki jest danie odpowiedzi na opisane w pierwszej części problemy.

ROZDZIAŁ II.

Zerwanie z przeszłością

Polityka Stanów Zjednoczonych, zarówno z punktu widzenia interesów narodowych jak i kryzysu światowego, była — od szeregu lat — błędna, jeżeli chodzi o jej koncepcje, metody i istotę. W konsekwencji, pierwszym warunkiem musi być całkowite zerwanie z przeszłością.

1.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że Stany Zjednoczone nigdy prawie nie prowadziły prawdziwej polityki zagranicznej. Zarówno wielu kierowników rządowych jak i szeroka publiczność nie zdaje sobie dokładnie sprawy z tego, co oznacza "prowadzenie polityki".

Ostatnio byłem świadkiem typowego przykładu owego nieporozumienia. Jednego wieczoru poproszono mnie, bym zabrał głos na zebraniu komitetu republikańców. Wspomniałem w czasie mego przemówienia, o tym, że partia republikańska nie posiadała własnej polityki i że mylnie jest przypuszczenie, iż zdobyć można poparcie mas bez polityki, licząc tylko na zarządzenia organizacyjne i błędy swych przeciwników. W dyskusji, która się wywiązała, kilku słuchaczy nie tylko szczerze przyznało, iż jest rzeczą piękną mieć politykę, ale i zapewniało mnie, że w najbliższym czasie zajmą się tą sprawą poważnie. Utworzono bowiem jeden czy dwa tuziny komisji, które zbierały już pracownie dane statystyczne o rolnictwie, handlu zagranicznym, rynku pracy, przemyśle, bankach, konsumentach i Bóg wie jeszcze o czym. Ich sprawozdania zostaną ukończone w niedalekiej przyszłości; zbierze się je potem i streści; i w ten sposób partia republikańska będzie miała i program i politykę.

Zgadzam się, iż jest rzeczą na prawdę doskonałą, gdy kierownicy polityczni są w posiadaniu maksymalnej ilości informacji, dotyczących wszystkich ważnych zagadnień. Tym niemniej, gdyby owe pracownice komisje, zajmowały się gromadzeniem faktów nawet aż do dnia sądu ostatecznego, nie powstałaby z tego polityka. Polityka nie jest zbiorem faktów. Jest ona propozycja, jak należy postępować w obliczu tych faktów. Jeżeli propozycja ta jest inteligentna, to weźmie oczywiście pod uwagę fakty, nie wszystkie co prawda, lecz wystarczająco

jącą ich liczbę; ale jeżeli ogranicza się tylko do faktów — to nie jest to polityka.

Narodowa polityka rolnicza nie jest zbiorem szczegółów i danych dotyczących farm, farmerów i farmerstwa w naszym kraju i na całym świecie: jest natomiast dyrektywą ogólną, czy niezbyt wielką liczbą dyrektyw, związanych wzajemnie i wskazujących pewien cel, czy też, będących ideami przewodnimi dla akcji politycznej. Celem takim może być np.: polepszenie (lub pogorszenie) położenia ekonomicznego farmerów w stosunku do reszty ludności; zwiększenie (czy zmniejszenie) ogólnej produkcji rolnej; przejście z małych gospodarstw na duże, lub z rolnictwa prywatnego na skolektywizowane; przeprowadzenie zasadniczych zmian w gatunku produkowanych zbóż itd. Celem tym może być również kombinacja kilku tego rodzaju zadań ogólnych, pod warunkiem, że nie będą one ze sobą sprzeczne. Polityki takiej nie będzie można prawdopodobnie przeprowadzić bez uprzedniej i dostatecznej znajomości warunków rolniczych i bez ustalenia związku między tą polityką, a ogólnymi interesami narodu. Tym niemniej, same fakty o polityce zdecydować nie mogą. O ile nie posiadamy ustalonej linii politycznej, to nie wiemy na jakich faktach się opierać i nie wiemy jakie fakty będą nam pożyteczne.

Z drugiej strony, nie należy mieszać pojęcia polityki ze specyficznymi środkami, używanymi do jej zrealizowania. Jeżeli nasza polityka rolna zmierza do ekonomicznego polepszenia położenia farmerów, to cel ten możemy starać się osiągnąć przy pomocy, czy to odpowiedniej polityki cen, czy przez stosowanie innych stawek celnych, czy udzielenie subwencji i premii, czy popieranie bardziej wydajnych metod produkcji, lub zmniejszenie podatków dla rolnictwa, a zwiększenie ich w stosunku do mieszkańców miast, przez zdobycie nowych rynków zbytu, likwidację pośredników itd., lub przy pomocy połączenia kilku z tych środków jednocześnie. Każdy z tych środków jest "polityką" tylko w znaczeniu drugorzędnym i dodatkowym; by środki te nabrały znaczenia polityki rzeczywistej tworzyć muszą logiczną całość, związaną jakąś prostą koncepcją. W przeciwnym bowiem wypadku wywołać mogą skutki ze sobą sprzeczne, wzajemnie się wykluczające i wprowadzające jedynie zamieszanie. Dodajmy, że w naszym kraju ma to często miejsce.

To, co powiedziałem przed chwilą, odnosi się również do zagadnień polityki zagranicznej. Ludzie wyobrażają sobie, że możemy mieć "zdrową politykę zagraniczną" o ile stworzy się w Departamencie Stanu "sekcję jugosławiąską", "sekcję argentyńską", "Siamu" i czterdzieści innych "sekcji" i jeżeli potem, zestawi się wszystkie te sekcje w jeden elegancki i skomplikowany wykaz graficzny, na szczycie którego znajdować się będzie prawdopodobnie świat z prezydującym mu Sekretarzem Stanu, w roli przedstawiciela Prezydenta.

Do każdej z tych sekcji przydzielono by w Ameryce i poza Ameryką specjalistów, ekspertów, asystentów wyszkolonych w poszukiwaniach, którzy znaliby na pamięć najdrobniejsze fakty, dotyczące powierzonych im krajów. I wystarczy sięgnąć do archiwum po odpowiednią teczkę, czy zwrócić się do odpowiedniego specjalisty, by uzyskać automatycznie odpowiedź na każ-

de polityczne pytanie, które powstać by mogło gdziekolwiek.

Jeżeli nie ma ogólnej linii politycznej, zmusza to do rozpatrywania każdego problemu osobno, na zasadzie "jego własnej wartości": Kanada żąda zbyt wysokiej ceny za miedź; zwróćmy się więc o nią do Afryki Południowej; komunistyczny rząd polski obiecuje przeprowadzić demokratyczne wybory; wyrzucmy więc przez okno Polaków londyńskich; Peron wymyśla Bradenowi; oskarża się więc w Niebieskiej Księżce Argentynę; Anglia musi eksportować, by móc żyć; więc szykanuje się ją, wyznaczając wysokie procenty od udzielonej pożyczki; głosy żydowskie zadecydować mogą o wyniku przyszłych wyborów w najważniejszych stanach; rozwija się więc wszystkie talenty propagandowe, by poprzeć sjonizm; Rosjanie grożą, że się pogniewają; bierze się więc Lie jako sekretarza O.N.Z. i odrzuca się własnego kandydata; Czang-Kai-Szek nie jest dostatecznie demokratyczny, więc mówi się mu, że przyjąć winien komunistów w skład własnego rządu; komuniści pragną wymordować swych przeciwników politycznych, wydaje się więc im łaskawie tych wszystkich, których nazywają oni "obywatelami sowieckimi" oraz tych, których oskarżają — oskarżają tylko — o działalność antysowiecką; Franco jest złym człowiekiem, więc jednego dnia wydaje się na niego wyrok, którego brzmienie wywołać winno natychmiastową wojnę, a następnego, uniemożliwia się przeprowadzenie wszelkiej poważnej akcji, skierowanej przeciwko niemu. Jednego dnia myśli się, że należy tak wyekwipować Japonię, by mogła być ona zaporą ochronną, powstrzymującą ekspansję rosyjską, a następnego dochodzi się do wniosku, że Japonia nie powinna mieć już nigdy więcej ani jednego żołnierza, ani jednego marynarza, ani jednej fabryki ciężkiego przemysłu. Nie chce się uznać przyjaznego rządu francuskiego, dlatego, że nie został on ukonstytuowany na zasadzie oficjalnych wyborów; ale uznaje się rząd zainstalowany bagnietami armii czerwonej, dlatego, że jest on "koalicją demokratyczną" — to znaczy, że w skład jego wchodzi prócz komunistów oficjalnych, komuniści zamaskowani, lub więźniowie komunistów, występujący pod etykietkami trzech, czy czterech innych partii. Odmawia się przyjęcia rządu hiszpańskiego do Narodów Zjednoczonych, gdyż nie jest demokratyczny i jednocześnie oddaje się połowę świata na pastwę rządu najbardziej antydemokratycznego, jaki jest do pomyślenia.

Wszystko to nie prowadzi do niczego. Gdy nie ma linii politycznej nawet najlepiej obmyślany i najdokładniej funkcjonujący aparat jest równie bezużyteczny, jak farby, płótna, stalugi i pendzle bez malarza. Gdy naród posiada politykę zagraniczną, oznacza to, że świadomy jest tego, co zamierza na świecie zrobić i dokąd pragnie iść. Gdy nie ma polityki — biura, sekcje, specjaliści, konsulowie i dyplomaci są jak poszczególne członki lalki, poruszane ciągniętymi w przeciwnych kierunkach sznurkami. Polityka jest jak centralny system nerwowy i jak żywa krew pompowana i wysyłana sercem do każdej arterii i każdej żyły, która stwarza z całości żywy i funkcjonujący organizm.

Z punktu widzenia prawdziwej polityki zagranicznej niedopuszczalne jest izolowanie problemów i traktowanie ich osobno na podstawie ich własnej wartości, gdyż — każdy to zrozu-

mie — wartość danego problemu ustalić tylko można w zestawieniu z całością. Gdy nie ma polityki, poszczególne decyzje wzajemnie sobie zaprzeczają i do niczego nie prowadzą, lub wywołują skutki wręcz przeciwne naszym zamierzeniom. Decyzja natomiast, oparta i przeprowadzona przez konsekwentną politykę ma swoje znaczenie i jest krokiem naprzód w ogólnym i celowym ruchu.

Przedtem nie było polityki światowej. To znaczy, że stosunki polityczne narodów nie obejmowały całego świata, a dotyczyły tylko ich sąsiadów, lub specjalnych krajów, z którymi wiązały ich specjalne interesy. Dzisiaj, każdy poważniejszy naród jest w stałych stosunkach politycznych ze wszystkimi narodami i krajami, skutki każdego wydarzenia politycznego o pewnym znaczeniu dają się odczuwać wszędzie. W konsekwencji, polityka zagraniczna czasów dzisiejszych nie może dzielić się na "politykę w stosunku Portugalii", na "politykę w stosunku do Peru", "politykę w stosunku do Włoch". Musi istnieć polityka światowa jako idea kierownicza. Jakie mamy zadania i cele w obliczu nie tego, czy innego problemu, tego czy innego poszczególnego narodu, lecz w obliczu świata, jako całości — oto jest pierwsze i ostatnie pytanie, na które w czasach dzisiejszych odpowiedzieć musi polityka zagraniczna.

Należy zaznaczyć jeszcze, że polityka zagraniczna nie może być drogocennym klejnotem zamykanym w najbardziej sekretnej skrytce Departamentu Stanu. Departament Stanu musi oczywiście zajmować się głównie polityką zagraniczną. Ale właściwa polityka zagraniczna musi być polityką całego rządu, wszystkich jego organów i z tych samych względów — polityką całego narodu. Jedną i tą samą polityką kierować winna Ministerstwem Wojny, Marynarki, Rolnictwa, Handlu, Skarbu, Bankiem Importowo-Eksportowym, lotnictwem cywilnym i wszystkimi innymi wielkimi instytucjami i biurami. Trzeba poza tym spowodować, by naród, a w szczególności zorganizowane grupy obywateli, politykę tę zrozumiały i z nią się zgadzały. W przeciwnym bowiem wypadku powstanie mieszanina, złożona z tuzinów niezgodnych między sobą "pod-polityk", których wynikiem jest — brak polityki.

Ponieważ dalej, w czasach dzisiejszych, polityka zagraniczna ma pierwszeństwo przed polityką wewnętrzną i ponieważ polityka światowa jest kluczem sytuacji, wynika z powyższego, iż polityka wewnętrzna nie może być skuteczna i konsekwentna, o ile polityka zagraniczna nie jest i skuteczna i konsekwentna. Wszystkie najważniejsze zagadnienia wewnętrzne — sprawa kauczuku syntetycznego, robocizny, inflacji, antysemityzmu, wolności obywatelskich czy produkcji środków żywnościowych — zależą dzisiaj od zagadnień polityki światowej.

By mieć linię polityczną w sprawach wewnętrznych trzeba mieć linię polityczną w sprawach zagranicznych. Żeby mieć jakąkolwiek politykę trzeba zacząć od tego, by uświadomić sobie czym jest polityka.

2.

Nawet najlepiej przemyślana polityka zagraniczna nie służy do niczego o ile nie dysponuje odpowiednimi środkami wyko-

nawczymi. By móc daną politykę przeprowadzić potrzeba ludzi, wyposażonych w dostateczne środki.

Nie mam zamiaru rozpatrywać wszystkich braków w wyszkoleniu, ułatwieniach i ludziach organizmu, który nazwać by można "departamentem politycznym" rządu — chociażby ze względu na fakt, że w skład jego wchodzi Departament Stanu. Braki te są częściowo wynikiem historycznych i społecznych cech charakterystycznych naszego kraju, jako całości. Nie posiadaliśmy szerokiej klasy ludzi wyszkolonych i wytrenowanych w potrzebnych dziedzinach wiedzy, z której rząd mógłby korzystać. Ani Kongres, ani opinia publiczna, ani sam Departament Stanu nie zrozumieli jeszcze, że zarówno w dziedzinie wywiadu, informacji, propagandy, negocjacji, poszukiwań naukowych i we wszystkim innym, — zadania polityki światowej ukazują, jak śmiesznie niewystarczające są nasze możliwości w ludziach, pieniądzach i ułatwieniach, tym sprawom poświęcane. I prawdą jest ponadto, że te skromne możliwości moglibyśmy lepiej zużytkować. Nie należy też widzieć w zarozumiałej pewności siebie adwokata z Wisconsin i w doświadczeniu stosunkowo zdolnego administratora wojskowego odpowiednich kwalifikacji do prowadzenia spraw z najbardziej przebiegłymi w dziejach politykami.

Chciałbym po prostu zaznaczyć, że realizacja jakiegokolwiek polityki zagranicznej wymaga zastosowania środków, związanych z siłami zbrojnymi i przemysłem. Jeżeli weźmie się pod uwagę, charakter polityki, to zdeterminowanie tych środków jest problemem technicznym. I jakkolwiek trudne byłoby w naszym kraju wprowadzenie w życie tych środków, nie pociąganie to za sobą powstania specjalnych problemów politycznych.

Pragnąłbym jednak zwrócić uwagę na pewien element, wchodzący w skład zagadnienia realizacji polityki, który z kolei wywiera bezpośredni wpływ na charakter tej polityki.

Polityka kierują i wprowadzają ją w życie ludzie. Aby w praktyce polityka była zgodna z zasadami rządowymi, ludzie, którzy w życie ją wprowadzają, muszą działać zgodnie z nią, to znaczy, że muszą być w stosunku do polityki tej lojalni.

Aby lojalność tę zapewnić nie wystarczy oprzeć się na słownych przysięgach, ani na szlachetnych intencjach. Ludzie tak łatwo wprowadzają siebie samych w błąd. Jeżeli całe życie i myśli danej osoby stoją w sprzeczności z duchem polityki, to nie można obiektywnie zaufać jej i sądzić, że politykę tę będzie skutecznie wprowadzać w życie.

Spróbujmy zilustrować tę myśl. Gdyby polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych zmierzała do aliansu z Wielką Brytanią, to nie byłoby wskazane wysłanie pułkownika Roberta MacCormicka jako Ambasadora przy rządzie Jego Królewskiej Mości; senator Bilbo nie byłby również najlepiej dobranym ministrem w Liberii. Przykłady te wydawać się mogą absurdalne; nie są one jednak bardziej absurdalne od szeregu decyzji, które w ciągu ostatnich lat powzięto. Czyż można było chociaż na chwilę przypuszczać, że informacje, dotyczące sytuacji w Jugosławii będą miały charakter obiektywny, jeżeli członkowie partii komunistycznej zasiadali na wszystkich szczeblach Intelligence Service i wchodzili w skład biura, które przekazywało tajne o niej wiadomości? Henry Wallace nie może być najbardziej

odpowiednim referentem, jeżeli chodzi o opisywanie sowieckiej Syberii. Czyż Owen Lattimore, którego pisma i artykuły ostatnich lat zawierają poglądy na temat Chin tak zbliżone do zapatrywań komunistycznych, że często nie można ich nawet odróżnić od siebie, jest odpowiednią osobą w akcji, zmierzającej do popierania Czanga? Czyż istnieje jakiś sens w organizowaniu biura rosyjskiego w sekcji oddziału drugiego, lub w założeniu pisma, mającego propagować amerykański punkt widzenia w Moskwie, jeżeli obie te instytucje kierowane są przez sympatyków komunizmu? Jakiego rodzaju propagandę uprawiać będzie O.W.I. i jakiego rodzaju informacje o podziemnych ruchach w Europie otrzymywać będzie O.S.S., jeżeli wszystkie kluczowe stanowiska w organizacjach tych udostępnione zostały członkom partii komunistycznej, jej sympatykom i różnym naiwniakom? Dlaczego Negrin, kierownik frakcji hiszpańskiej, kontrolowanej przez komunistów, przyjmowany jest przez Departament Stanu, podczas gdy odmawia się przyjęcia kierownika antykomunistycznych organizacji emigrantów hiszpańskich? Lombardo Toledano, który kieruje penetracją komunistyczną w Ameryce Południowej, popiera od lat funkcjonariusze rządu Stanów Zjednoczonych ze względów chyba tylko na poczucie politycznej solidarności kontynentalnej. W Niemczech, selekcja ludzi, przeznaczonych do wykonania okupacyjnych zadań cywilnych i wojskowych często nie brała pod uwagę ważnych i głębokich powiązań ideologicznych, co w rezultacie prowadziło do wywołania zamieszania w praktycznym stosowaniu i tak niejasnej już, w swych zasadach, polityki.

Fakty te są tak oczywiste, iż nie można powstrzymać się od zadania pytania: dlaczego wszystko to ma miejsce? Zgadza się z zasadą, że nasi listonosze — których funkcje ważne z punktu widzenia technicznego, nie są ostatecznie jednak decydujące dla politycznej przyszłości narodu muszą należeć do partii będącej u władzy. Tymczasem powierzamy często misję przeprowadzenia polityki zagranicznej, od której zależy bezpośrednio nasz los i los świata, ludziom, którzy o ile nie sabotują jej świadomie, to w każdym razie dzięki swoim głęboko zakorzenionym poglądom, utrudniają jej właściwe wykonanie.

Mam wrażenie, że zjawisko to wytłumaczyć można trzema przyczynami. Pierwsza z nich to ignorancja: dygnitarze, zajmujący się obsadzeniem stanowisk nie znają i nie zadają sobie trudu poznania nastawień swoich podwładnych. Błąd ten może oczywiście mieć miejsce gdziekolwiek i w związku z jakąkolwiek polityką. Nasza obecna działalność jednak dotknięta jest ignorancją o poważniejszym charakterze. Wyżej wymienieni dygnitarze nie rozumieją jakie znaczenie mieć może dla danej osoby fakt wyznawania, czy też podlegania silnym wpływom ideologii totalitarnej. Ich własne zapatrywania polityczne zajmują w ich umysłach miejsce specjalne; są głębokimi patriotami amerykańskimi i gotowi są do zmienienia własnych przekonań, gdy czują, że interes narodowy tego wymaga; wyobrażają sobie, iż inni obywatele, mimo różnic dotyczących pewnych szczegółów, myślą i czują w podobny sposób. Wiedzą też, iż zawsze wykonywać będą lojalnie ustalone przez rząd dyrektywy polityczne, nawet, gdyby się z nimi całkowicie nie zgadzali. I przypuszczają, że inni zachowywać się będą tak samo.

Nie mogą zrozumieć, że ideologia totalitarna jest pewnym *Weltanschauung* — spojrzeniem w świat i na życie, wciągającym najgłębsze pokłady intelektualne i moralne istoty ludzkiej. I, że nie można wyrzucić jej do kosza tak, jak brudną koszulę. Stanowi ona soczewkę, przy pomocy której wyznawca ideologii tej spogląda na świat i jest narzędziem, którym pragmatyczny świat ten zmienić. Tak długo, jak wyznawca ten pozostawać będzie pod wpływem totalistycznej ideologii, postępować będzie z konieczności, mimo swej subiektywnej woli, w myśl jej wskazówek i starać się będzie wtłaczać w jej ramy każdą politykę.

Druga przyczyna to to, że komuniści i ich przyjaciele są niesłychanie zręczni. Przedostają się oni poprzez najbardziej nawet strzeżone wejścia maskując się niezliczonymi przebrańkami. Umieją przebywać niedostrzeżeni w ukryciu tak, jak niezauważony mikrob w mleczu pacierzowym, i organicznie reperkusje ich działalności sięgnąć mogą — przed ich wykryciem — tak daleko, iż kuracja organizmu nie będzie ani szybka, ani łatwa.

Trzecią przyczyną tej tendencji, która przez powierzanie wykonania polityki nieodpowiednim ludziom sprawia, że polityka ta nie osiąga swego celu — jest chyba pewne pomieszanie pojęć, jeżeli chodzi o stosowanie zasad demokratycznych. Wielu Amerykanów łącznie z licznymi kierownikami politycznymi jest zdania, że jasna i stanowcza polityka jest antydemokratyczna, gdyż jasności i stanowczości politycznej szereg osób będzie się ostro przeciwstawiać. Myślą oni, że pozbawienie kogoś stanowiska za to, że nie zgadza się on z obecną polityką, stworzy atmosferę dyktatury — ale jednocześnie, nie wahają się przed usunięciem szeregu osób, gdy chodzi o uzyskanie głosów w wyborach. Oczywiście — kraj rządzony demokratycznie pozwolić musi na to, by w ramach narodu jako całości opozycja polityczna mogła się wypowiadać i co pewien czas musi badać jaki jest stosunek narodu do kierownictwa politycznego. Lecz nie wynika z powyższego, by istniała reguła demokratyczna, zakazująca energicznego wykonania tego, co chwilowo jest polityką narodową. Jeżeli nie podoba się ona opozycji, to niestety opozycja nie ma innego wyjścia, jak jej poddać się i czekać na to aż sama obejmie władzę.

Normalne przedsiębiorstwo handlowe nie zezwoliłoby na pewno na to, by jego agenci, sprzedawcy i wyżsi urzędnicy decydowali, każdy na własną rękę, o tym czy ustalony przez przedsiębiorstwo plan ogólny będzie wykonany. Ktokolwiek planowi temu by się nie poddał, zostałby natychmiast wydalony. A gdyby doświadczenie z przeszłości stwarzało podstawę do przypuszczenia, że ktoś z urzędników niezdolny jest do zastosowania się do nowych planów, to otrzymałby zawczasu dymisję. Nikt, nawet same ofiary zarządzeń tych nie byłoby zdziwione.

Istota rzeczy polega nie na tym, by być demokratycznym, lecz na tym, by w działaniu swym być skutecznym. Jeżeli demokracja skuteczności tej osiągnąć nie może, to lepiej byłoby, by z gry tej wycofała się od razu.

3.

Największe znaczenie ma jednak oczywiście treść polityki. Pierwszym też warunkiem skuteczności polityki zagranicznej Stanów, jeżeli chodzi o jej treść, jest całkowite zerwanie z przeszłością.

W latach 1930 - 1940 polityka rządu, o ile w ogóle o polityce rządu mówić można, opierała się na następujących ideach, które po raz pierwszy ujęte zostały w przemówieniu Roosevelta w Chicago w październiku 1937 roku: hitlerowskie Niemcy stanowiły główne niebezpieczeństwo dla interesów narodowych i dla światowej organizacji politycznej, którą pragnęły stworzyć Stany Zjednoczone; Japonia, jakkolwiek odgrywająca znaczenie drugorzędne w całości świata, zagrażała w sposób najistotniejszy zamierzanemu przez Stany zorganizowaniu Pacyfiku. Dla tych względów należało ekspansję Niemiec i Japonii powstrzymać.

Nie mam zamiaru przeprowadzać analizy tych idei sprzed dziesięciu lat. Mam wrażenie, że mimo iż nie były one całkowicie fałszywe, rozumiano je w sposób tak niejasny i nieokreślony, że stawały się przyczyną nieporozumień. Tym niemniej Stany Zjednoczone do nich się zastosowały. I fakt ten powinien w rezultacie dać uczucie stuprocentowego zadowolenia: nie tylko bezpośrednie niebezpieczeństwo zostało odsunięte, lecz znieszczenie Niemiec i Japonii posunięto tak daleko, że żadne z tych państw, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie będzie w stanie już nigdy odegrać wielkiej i niezależnej roli w polityce światowej. W ten sposób, ustalona w latach "trzydziestych" polityka zagraniczna odniosła swój triumfalny sukces.

Nie warto wspominać o tym jak gorzki jest posmak tego zwycięstwa. Pozycja światowego komunizmu jest w chwili obecnej bez porównania silniejsza od pozycji, którą osiągnęły kiedykolwiek Niemcy i Japonia, a zagrożenie interesów Stanów Zjednoczonych, przez komunizm jest o wiele poważniejsze i bardziej bezpośrednie. W całokształcie, sytuacja polityczna świata jest niepomniernie gorsza, niż dziesięć lat temu. Jest jasne więc, że gdzieś tkwi błąd.

Jeżeli w ogóle mówić można o tym, że świadoma polityka przyczyniła się do wywołania owych żałosnych konsekwencji, to oczywistość błędu tego nie powinna nasuwać wątpliwości. Główne nieporozumienie polegało na fałszywej ocenie komunizmu i opanowanego przez ten komunizm, Związku sowieckiego.

Wyobrażano sobie, że rewolucyjna ideologia komunistyczna przerodziła się w nabożną kombinację słowną, przeznaczoną do ułatwienia nowym władcom Rosji utrzymywania się przy władzy. Wierzone, że Związek sowiecki będzie nie tylko pożytecznym, ale także lojalnym aliantem w wojnie, że będzie wdzięczny za udzieloną pomoc i że dotrzyma swych zobowiązań. Rosja widziana poprzez okulary tej fałszywej oceny wydawała się nabierać cech demokratycznych i bardziej normalnych. Miała ona "zająć należne jej miejsce w rodzinie narodów". Usunąwszy Niemcy i Japonię przystąpić można było do reorganizacji świata w celu zapewnienia wiecznego pokoju i dobrobytu pod harmonijnym kierownictwem Stanów Zjednoczonych i Rosji sowieckiej, z Wielką Brytanią jako drugoplanowym par-

tnerem, Francją i Chinami, którym powierzono prestiżowe miejsca w Radzie Najwyższej i gronem mniejszych narodów, dla których stworzono specjalne forum, gdzie mogłyby dawać ujście swej nadmiernej energii.

Mimo ukazania się na tym pięknym obrazie ciemnych plam — polityka nie uległa zmianie. Rosjanie stawali się "podejrzliwi", czasami gruboskórni i nie zawsze dostatecznie wdzięczni za korzyści, które sypały się na nich jak grad. Stało się modne wyrażenie, że najważniejszym problemem polityki powojennej jest zagadnienie "jak porozumieć się z Rosją". Skoro tylko Stany Zjednoczone i Rosja nauczą się tego, jak należy się wzajemnie porozumiewać — co bez wątpienia, tak czy inaczej, w niedługim czasie nastąpi — wszystkie zagadnienia zostaną rozwiązane. Jeżeli potrafimy przekonać Rosjan, że jesteśmy pełni jak najlepszych intencji, to podejrzania ich ulotnią się i wszystkie niepokoje znikną.

Wiosną 1946 roku wielu osobom wydawało się, że polityka Stanów Zjednoczonych uległa zmianie. Do czystego "apeasementu" dołączyła się nuta tego, co wielu wzięło za "stanowczość w stosunku do Rosji". Zmiana ta jednak pozbawiona jest znaczenia. Po pierwsze odnosi się ona do retoryki politycznej, a nie do jej rzeczywistości. Żadna z zasad polityki zagranicznej nie jest bardziej umotywowana niż ta, która mówi, że stanowczość w słowach nie prowadzi do niczego, o ile nie towarzyszy jej taka sama stanowczość w czynach. Nikogo nie da się wprowadzić w błąd i dlatego stanowczość słowna w żadnym wypadku nie jest potrzebna. Jak dotychczas nie wydaje się, by słowa przeszkadzały komunistom w realizacji ich planów. Nawet, gdyby dorzucono do nich nieco prawdziwej stanowczości nie wprowadziłoby to zmiany do zasadniczych ocen i perspektyw. Wywołałoby to tylko drobne przesunięcie w taktyce, uzasadnione rozczarowaniami do osiągniętych totalnym "apeasementem" rezultatów.

To nie ta, czy inna taktyka jest fałszywa, lecz idea podstawowa. A idea ta polega na przekonaniu, że "porozumiewszy się z Rosją" przy pomocy pewnych sposobów, czy całej kombinacji sposobów, rozwiąże się problemy polityki światowej i że w sposobach tych widzi się nie porozumienie z ludem rosyjskim — nastawionym stosunkowo życzliwie — lecz z reżimem komunistycznym, który Rosję opanował. Lecz prawda, którą po dokładnej analizie, przeprowadzonej w pierwszej części tej książki ustaliliśmy, mówi, że istnieje tylko jeden sposób porozumienia się z komunizmem — mianowicie — poddanie się jemu.

ROZDZIAŁ III.

Najwyższe zadanie polityki Stanów Zjednoczonych: defensywa.

Będę się obecnie starał ustalić politykę, którą mogłyby Stany Zjednoczone prowadzić i która czyniłaby zadość wymaganiom współczesnego nam światowego kryzysu politycznego. Mimo, że można by ująć ją w licznych i bardzo odmiennych formach, istnieje tylko jedna polityka tego rodzaju. Rozdział powyższy poświęcę omówieniu fazy negatywnej czy defensywnej tej polityki, w rozdziale zaś następnym rozpatrzę fazę po-

zytywną i ofensywną. Podział ten jest dosyć dowolny. Środki defensywne i ofensywne są mimo wszystko tylko odmiennymi, taktycznymi zastosowaniami jednej i tej samej strategii ogólnej. Tym niemniej rozróżnienie to przyda się nam w przeprowadzanych analizie i wywodzie.

Określenie istoty polityki defensywnej nie jest oderwanym problemem. Dobra defensywa jest wynikiem polityki przeciwnika i zmierza do uniemożliwienia mu jej wykonania. Jeżeli więc potrafiliśmy ustalić na czym polityka przeciwnika polega, to jednocześnie ukazuje się nam w sposób pośredni zadanie defensywy. Wprowadzenie zasad defensywy do praktyki może być trudne, czasami nawet niemożliwe, posiadać jednak będzie tę wielką korzyść, że wiemy do czego zmierzamy. Jeżeli do naszego ogrodu warzywnego wdzierają się króliki, to otoczenie go płotem będzie odpowiednią ochroną, jeżeli zaś szkody wywołane są pojawieniem się ptaków i owadów, to wybudowanie płotu będzie bezużyteczne.

Wiemy, że przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych jest światowy komunizm. Wiemy, że celem ostatecznym komunizmu jest komunistyczne imperium światowe. Celem więc ogólnej defensywy polityki Stanów Zjednoczonych musi być usiłowanie zapobieżenia realizacji tego planu. W części pierwszej tej książki, w rozdziale siódmym, ustaliliśmy, że polityka komunistów w obecnym okresie — który ich zdaniem jest fazą przygotowawczą do trzeciej wojny światowej — zmierza do wypełnienia dwu specyficznych zadań: do efektywnej konsolidacji panowania w Eurazji i do penetracji i osłabienia wszystkich państw, które nie zostały jeszcze wciągnięte w orbitę kontroli komunistycznej.

W tym samym okresie celami specyficznymi defensywnej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych mogą być tylko: przeciwdziałanie konsolidacji panowania komunistów w Eurazji i zwalczanie penetracji.

Siły komunistyczne, wylewające się z Rosji i zmierzające do opanowania Eurazji posługują się drogami naturalnymi i idą w trzech głównych kierunkach. Posuwają się poprzez równinę polską i wschodnich Niemiec na zachód, w stronę półwyspu europejskiego, wykonywując jednocześnie ruchy oskrzydlające, na północy poprzez Skandynawię i na południowym-zachodzie poprzez lukę Węgier i dolinę Dunaju. Podążają na południe, wykorzystując płaskowzgórz perski, na południowy-zachód w kierunku Afganistanu — gdzie czekają tylko na polityczny rozkład Indji, by móc wykonać znacznie poważniejsze ruchy w kierunku Dardaneli, morza Egejskiego i Adriatyku, na południowy wschód w tym kierunku. Na wschodzie wylew sił komunistycznych posuwa się wzdłuż północnego boku wschodniej granicy Eurazji, przedostając się do Mandżurii, Sinkiangu i Mongolii, z całymi Chinami leżącymi u jej stóp.

Okręgi nadbrzeżne eurazyjskiej "wyspy świata" (według terminologii Mackinder'a), mimo poważnego niebezpieczeństwa, wywołanego przedzieleniem ich wyrwami, nie są jeszcze w rękach komunistów. Pierwszym więc zadaniem defensywy eurazyjskiej jest zabezpieczenie i utrzymanie owych okręgów nadbrzeżnych. Polityka Stanów Zjednoczonych zmierzać musi do obrony przed włączeniem do komunistycznej fortecy eurazyj-

skiej półwyspu europejskiego, Grecji, Środkowego Wschodu, Indji, Chin i widzieć musi w Japonii swą wysuniętą placówkę na straży brzegów "wyspy świata".

Panowanie komunistyczne, jakkolwiek potężne, nie jest jeszcze ostatecznie skonsolidowane w większości okręgów, położonych poza granicami sowieckimi z 1940 roku. Polityka defensywna, w połączeniu z polityką ofensywną starać się musi podminować władzę komunistów w Europie wschodniej, w północnej Persji, Afganistanie, Mandżurii, północnej Korei i Chinach. Dalszym i w istocie ofensywnym zadaniem polityki defensywnej byłoby odwrócenie kierunku wylewu, idącego z "serca ziemi" i zamienienie ekspansywnego posuwania się w demoralizujący odwrót.

W rozdziale tym sprawie walki z infiltracją komunistyczną w krajach nieopanowanych i niezagrożonych bezpośrednio władzą komunistyczną — poświęcę tylko kilka uwag na marginesie. Sposób w jaki walka ta powinna być prowadzona, gdyby podchodzono do niej poważnie — jest dostatecznie oczywisty. Zresztą, najlepszym sposobem zmniejszenia wpływu komunistycznych na całym świecie — włączając w to i samą Rosję — byłoby odniesienie zwycięstw przy wykonywaniu zadań eurazyjskiej defensywy. Komunizm, zmuszony do bezładnego odwrotu w Eurazji, byłby o wiele mniej pociągający, niż komunizm posuwający się odważnie naprzód.

Należało by opatrzyć wyżej omówioną politykę defensywną dwoma komentarzami.

Po pierwsze, polityka ta wydaje się tak oczywista, iż powinna być uznana bez konieczności zadawania sobie trudu jej wyjaśnienia. Przyznaję się, iż z punktu widzenia interesów Stanów Zjednoczonych i potrzeby znalezienia rzeczywistego rozwiązania dla problemów polityki światowej, wydaje się ona tak dalece nie budzić wątpliwości, iż wszelka dyskusja powinna być zbyteczna. Tym niemniej, rzeczywistość obecna i rzeczywistość ostatnich lat mówi nam, że polityka ta, nie była polityką Stanów Zjednoczonych.

W czasie wielu lat polityka Stanów Zjednoczonych była jej zaprzeczeniem: nie utrudniało się, lecz wspierało się ekspansję komunistyczną w Eurazji; nie zwalczało się, lecz ułatwiało się infiltrację komunistyczną na całym świecie, łącznie z infiltracją samych Stanów Zjednoczonych.

A dalej, mimo, że owe zadanie defensywne stanowiły czasami w istocie i w przekonaniu niektórych kierowników część polityki Stanów Zjednoczonych, nie były one jednak nigdy uznane za fazę defensywną najwyższego celu politycznego. Określenie to ma znaczenie istotne. Gdy politykę tę uznawano, traktowano ją zawsze jako jeden z działów wykonywanej pracy, na równi z innymi, o pozornie tej samej wadze. Wyobrażano sobie, że na równi z nią wysuwają się potrzeby pobicia Anglii w wyścigu o rynki zbytu, potrzeby zapobieżenia trzeciemu z kolei odnowieniu się sił Niemiec i drugiemu Japonii, lub potrzeby owdądnięcia większością transportów morskich i powietrznych świata, albo obalenia Franco, albo dania wyrazu naszym wzruszeniom jeżeli chodzi o Indie, czy Indie wschodnie itd. By jednak zapewnić powodzenie wielkiemu zadaniu defensywnemu należałoby wszystkie sprawy te uznać za drugorzędne i pod-

porządkować je interesom celu głównego. Zasadniczym niebezpieczeństwem nie jest dzisiaj ani Anglia, ani Franco, ani podniesienie się Niemiec: nie stanowią one nawet, niebezpieczeństw odległych. Podstawowym celem nie jest także zarobienie kilku dodatkowych milionów na nafcie czy transportach; za naszych czasów sprawy te są bez znaczenia i tak winny być traktowane.

Nie powinniśmy zapominać także o tym, że tradycje myślenia izolacjonistycznego, posiadające ciągle jeszcze poważny zasięg, sprzeciwiają się temu, żeby Stany Zjednoczone prowadziły jakąkolwiek politykę eurazyjską. Izolacjoniści powiększyli co prawda swój własny ogródek i chętnie w obręb jego włączają Amerykę Południową i część Pacyfiku, lecz mówią nam, że poza granice te wyjść nie można. W dzikich dżunglach eurazyjskich ucziwi fermerzy amerykańscy zetknęliby się tylko z trudnościami. I co obchodzić nas może zresztą to, kto w dżunglach tych panuje? Niech idą sobie oni do diabła, jeżeli im się to podoba.

Jak widzimy więc, nie wszystkim polityka ta nie nasuwa wątpliwości.

Drugim jeszcze bardziej godnym pożałowania komentarzem, którym politykę tę opatrzyć należy, jest fakt, że wiele osób uważa, że jest ona pożądana, stwierdzając jednocześnie, że na jej przeprowadzenie jest już za późno. Są oni zdania, że Stany Zjednoczone nic nie wskórają przeciwstawiając się strategii komunistycznej; jeżeli zaś strategia komunistyczna zawiedzie, zawdzięczać to będziemy cudowi i niezasłużonemu szczęściu.

Zajmę się obecnie rozpatrzeniem pojęcia polityki defensywnej i po przeanalizowaniu kilku typowych błędów z niedalekiej przeszłości, i kilku możliwości na przyszłość, rozważę komentarze, które polityka ta wywołuje.

2.

Stany Zjednoczone i Anglia miały do wyboru w Jugosławii albo Michajłowicza albo Tito. Wyboru tego mogły dokonać, jak na warunki polityczne, wyjątkowo swobodnie. Wybrały Tito.

Trudno o większy błąd polityczny. Michajłowicz był znanym patriotą jugosłowiańskim, posiadającym za sobą przytłaczającą większość ludności. Tito był agentem komunistycznym, który przyszedł z zewnątrz, który współpracował z hitlerowcami w czasie paktu sowiecko-niemieckiego i który, w chwili rozpoczęcia się wojny z Sowietami, posiadał za sobą zaledwie garść partyzantów, w większości członków partii komunistycznej. Popierając Michajłowicza i kierując nim można go było wykorzystać w walce z nazistami (zresztą Michajłowicz robił to sam bez poparcia) i w powstrzymaniu rozszerzenia się panowania komunistycznego na Jugosławię i resztę Bałkanów. Związek sowiecki wywierał oczywiście poważne naciski, by poprzeć Tita. Lecz w owym momencie losy były już zdecydowane i nie było żadnego powodu do robienia koncesji: armia czerwona walczyła o swej życie w odległości tysięcy kilometrów i Rosja nie wycofałaby się z walki pod pretekstem sprawy Tita.

Wybrano jednak Tito, a Michajłowicza opuszczono, zdradzo-

no, pozwolono na to, by został zdegradowany i rozstrzelany, by wytoczono mu typowy dla komunizmu, spektakularny proces.

Wybranie Tito oznaczało przekazanie Bałkanów komunistom. Utrata Bałkanów mogła być nastąpić i w innych okolicznościach — i może ciągle jeszcze można by je odzyskać — lecz gdyby w swoim czasie podtrzymano Michajłowicza, szanse odzyskania ich byłyby znacznie większe.

Jednak polityczne konsekwencje takiego paktu wybiegają daleko poza zdobycze czy straty terytoriów. Ludzie schwytni burzą walki światowej notują wydarzenia i wyciągają z nich wnioski. Komuniści podtrzymują swych przyjaciół i sympatyków w możliwie najdalej posuniętych granicach. Stany Zjednoczone nie umieją odróżnić przyjaciół od wrogów i nie można na nie liczyć.

Istnieją dowody, że wybór Tito nastąpił częściowo na skutek bezpośredniego sabotażu komunistów i ich przyjaciół, będących na usługach amerykańskiego i brytyjskiego oddziału wywiadowczego na Bałkanach. Udało się im wprowadzić w błąd wojskowe i cywilne dowództwo anglo-amerykańskie podsuwając mu fałszywe informacje o sytuacji w Jugosławii i o charakterze rządu Tito. Niektórzy ze zwolenników Churchilla i Roosevelta posuwają się tak daleko, że powołują się na ten sabotaż, aby usprawiedliwić popełniony błąd. Tego rodzaju tłumaczenie nie wytrzymuje żadnej krytyki, gdyż fakt, że istnieli komuniści w oddziałach wywiadowczych jest błędem dodatkowym, a to, że dawano wiarę informacjom komunistycznym, bez zadania sobie trudu ich sprawdzenia — jest błędem jeszcze poważniejszym. Jakkolwiek było, mylne informacje nie stanowią tutaj głównej przyczyny. Przyczyna ta tkwi w błędnej polityce, w niezrozumieniu komunizmu i jego celów, w fałszywej analizie światowej rzeczywistości politycznej.

Konferencja paryska w lecie 1946 roku okazała się niezdolna do rozwiązania sprawy Triestu. Sprawę tej nie rozwiąże również wprowadzenia w życie nominalnego i kompromisowego układu, podpisanego przez przedstawicieli Wielkiej Czwórki.

Co jest przedmiotem sporu w Trieście? Triest jest oknem na morze Śródziemne południowej doliny Dunaju. Wsparty na wybrzeżu dalmatyńskim i albańskim, panuje nad Adriatykiem, oskrzydla Włochy od wschodu, Grecję od północy i zachodu i sięga potencjalnie aż po centrum morza Śródziemnego. Komuniści usiłują zagarnąć tę pozycję kluczową, czy to bezpośrednio, posługując się Tito, czy pośrednio, przy pomocy wprowadzenia pozornego umiędzynarodowienia Triestu.

Czy można było coś zrobić i czy można jeszcze coś zrobić — w sprawie Triestu? Odpowiedź jest tak prosta i jasna, że wywoła ona smutek u niejednego ucziwego generała. Armie angielsko-amerykańskie panują nad Włochami; floty ich kontrolują morze Śródziemne; ich samoloty panują, czy mogłyby panować nad niebem Europy. Decyzja angielsko-amerykańska poparta otwartą gotowością użycia siły i postanawiająca, że Triest i otaczające okolice pozostać mają włoskimi — byłaby najzupełniej wystarczająca. Kto mógłby być jej się przeciwstawić? Kto może jej się przeciwstawić? A w wypadku mało praw-

dopodobnym, że ktoś by się jej przeciwstawił cóż łatwiejszego i prostszego od odpowiedzenia na tego rodzaju akcję?

Sprawa Triestu wiąże się oczywiście z całą sprawą włoską. Wszystkie trudności wywołane traktatem z Włochami (w skład którego wchodzi i zagadnienie Triestu) są absurdalne. To nie brak zręczności spowodował, że załatwienie sprawy włoskiej nie było zadawalające z punktu widzenia interesów i angielskich i amerykańskich, lecz brak polityki i fałszywe pragnienie "porozumienia się z Rosją".

Roosevelt i inni dyplomaci amerykańscy w całym szeregu tajnych układów, całkowicie jeszcze nie ujawnionych, odstąpili komunistom na Dalekim Wschodzie Kuryle, Południowy Sachalin, kontrolę nad ważnymi i niezamarzającymi portami w Dalren i Porcie Arturze, zgodzili się na okupację Mandżurii i jeszcze pełniejszą okupację północnej Korei. Nie jest jeszcze dostatecznie jasne, co upoważniło ich do poczynienia tych koncesji. Wyobrażali sobie może, że upoważniała ich do tego Karta Atlantycka. Lecz z punktu widzenia politycznego ważniejsza jest konstatacja: dlaczego to zrobili i na jakie liczyli rezultaty?

Mówi się nam, że koncesje te stanowić miały częściową zapłatę za obietnicę Związku sowieckiego wzięcia udziału w walce przeciwko Japonii po zakończeniu wojny w Europie. Obietnica ta, jak wiemy, została dotrzymana. Powstaje jednak dodatkowe pytanie: dlaczego życzone sobie, by Rosja wzięła udział w walce z Japonią?

W momencie gdy podpisywano te układy amerykański sztab główny musiał już wiedzieć, że Japonię uda się pokonać bez pomocy Rosji sowieckiej, która zresztą poniosłszy poważne straty na zachodzie dużych usług oddać nie mogła. Wówczas było to także jasne i dla samego dowództwa japońskiego. Polityka Stanów Zjednoczonych winna była zmierzać od odsunięcia komunistów od wojny, zamiast domagać się ich udziału. Raz jeszcze Stany Zjednoczone wspierały czynnie pochód komunistyczny, pracy w kierunku opanowania Eurazji! Te nowe pozycje na Dalekim Wschodzie wraz z tymi, które są już w posiadaniu komunizmu i które wzmacnia on stale dzięki pomocy amerykańskiej sprawiają, że komunizm oskrzydla Chiny, wysuniętą placówkę amerykańską — Japonię i właściwie samą już Amerykę. Jeżeli mówić mamy o negocjacjach politycznych, to negocjacja ta, w której zapłacono poważną cenę po to, by otrzymać bolesne uderzenie — należy chyba do najbardziej osobliwych.

Twierdzi się ogólnie, że Roosevelt, jako kierownik polityki Stanów Zjednoczonych przeciwstawił się w sposób zdecydowany inwazji bałkańskiej. Wszystko wskazuje na to, że uzasadnienie decyzji tej miało charakter nie wojskowy lecz polityczny. Rosja sowiecka nie życzyła sobie, by armie angielsko-amerykańskie znalazły się na Bałkanach, gdyż w stosunku do Bałkanów miała swe własne plany. Presję swą wywierała Rosja nie tylko w czasie tajnych obrad, lecz także na całym świecie, posługując się bardzo czynną propagandą, domagającą się "drugiego frontu", który jak dawała to do zrozumienia, mógł mieć miejsce tylko we Francji. Rząd Stanów Zjednoczonych konsekwentnie stosując swą politykę porozumienia amerykańsko-so-

wieckiego i dążąc do konstruowania nowego świata w oparciu o to porozumienie, powziął taką samą decyzję, jak wtedy, gdy postanowił opuścić Michajłowicza, dla Tita. W ten sposób nie tylko, że zezwolono na ekspansję komunistyczną w Europie, nie tylko jej nie stawiano oporu, lecz wsparto ją polityką Stanów Zjednoczonych.

Są podstawy do przypuszczenia, że nawet bez przeprowadzenia zakrojonej na szeroką skalę inwazji na Bałkanach można było armii czerwonej do Bałkanów nie dopuścić. Armie niemieckie na Bałkanach skłonne jakoby były poddać się pod warunkiem złożenia broni wojskom angielsko-amerykańskim, a nie siłom komunistycznym. Wskutek fałszywej polityki osiemdziesiąt milionów ludzi i interesy całego świata — z konsekwencją godną lepszej sprawy — oddano na pożarcie.

Przypomnijmy, że gdyby armie angielsko-amerykańskie znalazły się na Bałkanach, to żelazna kurtyna szłaby dzisiaj na wschód, a nie na zachód od doliny Dunaju. Różnica ta, oglądana na mapie, robi głębokie wrażenie.

3.

Aby nie dopuścić do wysunięcia zarzutu, że omawiane powyżej błędy należą do przeszłości i że to co zostało zrobione nie da się odrobić — argument zresztą niewłaściwy, gdyż żadnego ze wspomnianych przed chwilą problemów nie możemy zaliczyć do zakończonych — spójrzmy na dwa zasadnicze zagadnienia, dalekie jeszcze od krystalizacji i spróbujmy pokrótce je przestudiować.

Gdyby Stany Zjednoczone posiadały politykę światową, mogłyby z łatwością zastosować ją do Chin. Z chwilą zakończenia wojny japońskiej problem polegał na tym, by nie dopuścić do panowania komunistycznego w Chinach — tego wschodniego okręgu nadbrzeżnego Eurazji. Komuniści skorzystali z wojny japońsko-chińskiej by zorganizować rząd rewolucyjny i zdobyć poważny zakres władzy. Trzeba więc było poprzez Czangę i pomóc mu w rozciągnięciu suwerenności rządu centralnego na całe Chiny, co można było zrobić, niszcząc suwerenność rządu rewolucyjnego i likwidując atrybuty jego niezależnej władzy, to znaczy armię, policję polityczną, administrację i system finansowy. Oznaczało to dla Stanów Zjednoczonych przyjęcie z całą potrzebną materialną pomocą Czangowi i nie udzielenie żadnej pomocy komunistom. Biorąc pod uwagę ogromny ciężar gatunkowy potęgi amerykańskiej na Dalekim Wschodzie, zdecydowana i otwarcie prowadzona polityka tego rodzaju rozwiązała by prawdopodobnie w bardzo krótkim czasie zagadnienie podstawowe przy minimalnych kosztach.

Stanowiło to jednocześnie, i ciągle stanowi, jedyną drogę, umożliwiającą Chinom dojście do demokracji. Chiny nie będą nigdy demokratyczne, o ile pozwoili się komunistom na odgrywanie jakiegokolwiek roli w ich życiu. Komuniści pragną w chwili obecnej małej części demokracji po to tylko, by gdy nadejdzie odpowiedni moment zniszczyć na zawsze demokrację chińską. Popieranie Czanga przeciwko komunistom nie oznacza popierania Czanga we wszystkim i przeciwko wszystkim. Wprost przeciwnie. Środki, które tutaj wysuwam, umożliwiłyby Sta-

nom Zjednoczonym zajęcie najdogodniejszych pozycji, ułatwiających im narzucenie Kuomintangowi odpowiednich reform, a mianowicie: wolność dla nietotalitarnych partii i ruchów politycznych, a jednocześnie popchnięcie chińskiej polityki zagranicznej w kierunku pożądanym przez światową politykę Stanów Zjednoczonych.

Raz jeszcze polityka Stanów Zjednoczonych, zamiast powstrzymać napór komunistyczny, wylewający się z bazy rosyjskiej, użyła wszelkich swych wpływów, by — na przekór swym potencjalnym przyjaciółom — pomóc komunizmowi w jego dążeniu do penetracji nowych terytoriów.

Oddano komunistom Niemcy wschodnie, najważniejsze okręgi rolnicze niemieckie, większą część Berlina i zezwolono im na odniesienie wielkiego triumfu o charakterze symbolicznym — to znaczy na wkroczenie do Berlina. Opierając się na swej bazie niemieckiej, u szczytu której znajdował się Berlin, komuniści rozpoczęli od razu realizację planu rozciągnięcia swej kontroli na całe Niemcy. O ile trudniejsze byłoby wykonanie tego zadania, gdyby armia amerykańska zajęła Berlin, dopuszczając tylko w stadium późniejszym do zainstalowania się w nim małej komórki komunistycznej, jako symbolu, i gdyby dywizje amerykańskie utrzymały się na najdalej wysuniętych liniach na wschodzie, do których dotrzeć były w stanie.

Stany Zjednoczone zresztą, nie tylko ofiarowały komunistom bardziej korzystne pozycje w Niemczech, niż oni sami mogli się tego spodziewać, ale i potem nie przestawały usuwać z ich drogi wszelkich trudności. Zachodnie Niemcy pozabawione zostały na rzecz zony rosyjskiej, fabryk, maszyn i sprzętu, podczas gdy produkty żywnościowe nie napływają ze wschodu na zachód. Partie demokratyczne na wschodzie wchłaniane są i likwidowane przez komunistów, podczas gdy zezwala się komunistom na zachodzie na swobodne rozwijanie swojej akcji; pełno jest literatury komunistycznej na zachodzie, lecz nie ma literatury demokratycznej na wschodzie. Na zachodzie każdy Rosjanin, Bałt, Polak czy Niemiec, który nie podoba się komunistom jest wysyłany natychmiast na wschód, gdzie czeka go śmierć, czy obóz koncentracyjny, podczas gdy, na wschodzie, dywizje "Wolnych Niemiec" i kierowanych przez komunistów Polaków i Bałtów, szkolone są i zaprawiane do wojny z zachodem. Ulegając trwałemu wpływowi nieudolnych idei politycznych planu Morgenthausa Stany Zjednoczone nie otwierają przed narodem niemieckim żadnej perspektywy na przyszłość, nie dają mu żadnych nadziei, podczas gdy wschód rozciąga przed oczami Niemców iluzoryczną, lecz pociągającą wizję zjednoczonego "Volk'u", który włączony zostanie w roli partnera do imperium sowieckiego.

W Niemczech, tak jak i wszędzie, doświadczenie narzuca konieczność przeprowadzenia częściowej chociażby i stopniowej rewizji polityki. Do rewizji tej jednak podchodzi się tak powoli, niechętnie i w sposób tak niezdecydowany, że ma ona małe szanse powodzenia. Nawet Francji, znajdującej się pod presją własnej, ogromnej komunistycznej piątej kolumny, zezwala się na sabotowanie tej zmiany orientacji. Gdyby Francja zdołała uwolnić się od swoich wewnętrznych komunistów mogłaby się

stać przyjaciółką Stanów Zjednoczonych i bastionem cywilizacji zachodniej w walce o panowanie nad światem. Lecz i przyjaciela należy od czasu do czasu przywoływać do porządku. Stany Zjednoczone, poparte przez Wielką Brytanię mogą z łatwością zmusić Francję do zajęcia odpowiedniego stanowiska w sprawie Niemiec; Stany Zjednoczone odważną i stanowczą akcją nie osłabiłyby, lecz wzmocniłyby swe stosunki z Francją.

Idee odwetu nie wchodzą w skład inteligentnej polityki. Inteligentna polityka szuka wskazówek w przeszłości, lecz zwrócona jest zawsze ku przyszłości. Narodowi niemieckiemu należy umożliwić powrót do normalnego życia, jako jednemu z szanowanych członków porządku europejskiego, który stanowi część rzeczywistego światowego systemu politycznego. Trzeba, by podsunięte przez Stany Zjednoczone możliwości wydawały się Niemcom bardziej pociągające, niż perspektywy komunistyczne. Liberałowie amerykańscy ulegają paraliżowi świadomości, gdy mówi się im, że toczy się obecnie wyścig między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem sowieckim o użytkowanie Niemiec jako siły pomocniczej w trzeciej wojnie światowej. Takie ujęcie problemu niemieckiego zawiera wiele prawdy, lecz nie wyczerpuje tej prawdy w całości. A nawet gdyby reprezentowało całość prawdy, dlaczego mamy się poddawać się uczuciu winy? Czyżby przejście Niemców do obozu komunistów ulżyć mogło sumieniom liberałów?

4.

W chwili gdy to piszę, nacisk komunistów na Turcję, w którym jak zwykle następują przerwy wprowadzające innych w błąd, stale wzrasta. Nacisk ten, idąc z Rosji i Bałkanów kieruje się na Dardanele. Już bardzo dawno komuniści rzucili wezwanie pod adresem Karsu, Ardahanu i innych terytoriów tureckich, położonych na wschodzie. Kampania opowiadająca się za utworzeniem nowej Republiki armeńskiej, ukonstytuowanej przezwrotnie z ziem, należących do Turcji rozwija się w skali światowej. Wyszkoleni w Rosji agenci zalewają Turcję. Sowieccy profesorowie i dziennikarze pracują w godzinach nadliczbowych nad tym, by udowodnić, że przyczyną wszelkiego zła są Turcy.

Czy można coś zrobić w sprawie Turcji? Odpowiednia polityka znalazłaby bez trudności bardziej przekonującą odpowiedź na to pytanie, niż notatki prawnicze dotyczące układu w Montreux. Potrafiłaby na przykład, znaleźć właściwy moment do odsprzedań Turcji przez Stany Zjednoczone na dobrych warunkach, pięćuset tysięcy wyekwipowanych i najlepszych samolotów. Kilka tysięcy młodych oficerów amerykańskich mogłoby samolotom tym towarzyszyć, by nauczyć żołnierzy tureckich posługiwania się nimi. Można by nakłonić rząd turecki do zaproszenia wojennych okrętów amerykańskich, by przeprowadziły długotrwałe manewry na wodach, sąsiadujących z cieśniną. Może by znalazła się ochotnicza eskadra lotników amerykańskich, która życzyła by sobie przeprowadzić szkolenie na Bliskim Wschodzie i zjawiała się tam z samolotami i potrzebnym ekwipunkiem; może nawet z samolotami, uzbrojonymi w bomby atomowe, których zasięg obejmowałby w każdym razie

pokłady naftowe na Kaukazie. Można by także negocjacje, dotyczące eksportu produktów tureckich do Ameryki, prowadzić w duchu bardziej wspaniałomyślnym.

Ale, jeżeli Turcja czuje z jednej strony i od zewnątrz gorący nacisk potęgi komunistycznej, a z drugiej dochodzi do niej tylko słaby i moralizujący powiew dyplomatycznych przemówień, to kto wątpić może o tym, co się stanie? Gdy podminuje się opór Turcji zostanie ona wchłonięta przez komunistyczny system kół koncentrycznych i rozpocznie nieuniknioną podróż od kręgu wpływów, poprzez panowanie, aż do całkowitej absorpcji.

Persja, której zachód broni na posiedzeniach Rady Bezpieczeństwa, jedynie przemówieniami, dotyczącymi nieistotnych zagadnień proceduralnych, znajduje się już w obrębie koła wpływów, a jej prowincja północna jest państwem marionetkowym. Tudeh, front komunistów perskich, wszedł do rządu. I tylko powstanie magnesu silniejszego od magnesu komunistów byłoby w stanie przeciwdziałać przyciąganiu jądra centralnego kół koncentrycznych.

Grecja znajduje się w takim samym położeniu co Turcja, podlegając temu samemu naciskowi komunistycznemu i odczuwając ten sam brak presji, idącej z przeciwnego kierunku. W międzyczasie, opinia publiczna Stanów Zjednoczonych interesuje się więcej drugorzędnym problemem greckiej monarchii, niż marszem komunistów na Macedonię, który to marsz najlepiej ilustruje grecki wycinek zasadniczego problemu światowego.

Jeśli chodzi o Hiszpanię, to Stany Zjednoczone, wprowadzone w błąd przez wspaniałe skoordynowaną propagandę komunistyczną, wspierają obecnie ruch, zmierzający do zastąpienia słabego, pospolitego, klerykalno-faszystowskiego Franco, totalitarnym reżimem komunistycznym, który zainstalowałby się nad Atlantykiem i zagrażałby od tyłu niekomunistycznej Europie.

Stosunek Stanów Zjednoczonych do Indyj, które komuniści pragną opanować, wykorzystując chaos, powstały na skutek gwałtownego ruchu Indyj w kierunku niepodległości — zamyka się w biernym wysłuchiwanie oskarżeń, rzucanych pod adresem imperializmu brytyjskiego i w kompletnym unywaniu rąk.

Komuniści rozpoczęli szereg zasadniczych akcji, zmierzających do podporządkowania życia gospodarczego małych i niekomunistycznych państw europejskich ekonomii sowieckiej. Jest to pierwszy etap procesu wciągania narodów tych do kół koncentrycznych. Zakłada się więc na przykład przedsiębiorstwo sowiecko-szwajcarskie, zajmujące się rozdziałem ropy rumuńskiej, które de facto rozciąga monopol nad rynkiem szwajcarskim. Sama ropa jest legalną własnością amerykańskich i angielskich towarzystw, lecz znajduje się pod kontrolą komunistyczną i używana jest w celach komunistycznych. Czyż nic nie można by zrobić? Szwajcaria jest na pewno potencjalnym przyjacielem, lecz w polityce, słaby szukać musi przyjaźni silniejszego. Silni muszą udowodnić akcją, swe aspiracje do siły. Pola naftowe i rafinerie rumuńskie są może w chwili obecnej niedostępne. Szwajcaria i drogi, które do Szwajcarii prowadzą na pewno nie są niedostępne. Armie angielsko-amerykańskie drogi te trzymają w swych rękach w Austrii i Bawarii. Dlaczego

miano by pozwolić Szwajcarii na poddanie się manewrowi, organizowanemu przez komunistów i kilku nieuczciwych Szwajcarów? Z punktu widzenia prawnego Stany Zjednoczone i Wielka Brytania upoważnione są do przeprowadzenia anulacji kontraktów, gdyż ropa jest ich własnością, zaś z punktu widzenia materialnego przeszkodzić mogą wykonywaniu dostaw.

Szwecja uważa, że jest rzeczą wskazaną robienie ustępstw komunistom i podpisuje ze Związkiem sowieckim układy, prowadzące do podporządkowania własnej ekonomii, ekonomii sowieckiej. Ustępuje ona, gdyż czuje, że nacisk komunistyczny jest zbyt silny. Dlaczego nie wywrzeć presji, idącej w przeciwnym kierunku, a płynącej z zachodu, dając jasno do zrozumienia Szwecji na czym polegałyby jej pozytywne korzyści i na jakie koncesje liczyć by mogła, gdyby wybrała zachód, podkreślając z drugiej strony, rozmiary niebezpieczeństwa na które się naraża, umieszczając się po złej stronie? To samo odnosi się do Danii, Holandii, Belgii a w szczególności do Francji. Nasza wielka sympatia do Francji nie przeszkadza nam uważać, iż nie powinno się jej pozwolić na kontynuowanie tańca na linie. Należy spieszyć się ze stanowczym pociągnięciem Francja w kierunku zachodu, gdyż inaczej nie omieszka przesunąć się bardziej na stronę wschodnią.

Zaniepokojeni liberałowie mówią nam w swych przemówieniach o potrzebie niesienia pomocy, że "nie wolno poświęcać życia ludzi dla gry politycznej", a konserwatyści, którzy myślą tylko o zarabianiu pieniędzy, zapewniają, że "polityka nie powinna wchodzić w drogę interesom". Na nieszczęście liberałów, życia ludzkie są właśnie tym, co stanowi przedmiot gry politycznej, a ku niezadowoleniu konserwatystów powiedzieć możemy, że obecnie, polityka i interesy stanowią część składową jednego i tego samego przedsięwzięcia. Słuchając ich ma się wrażenie, że Stany Zjednoczone wysyłają miliony ton żywności komunistom, którzy rozdzielają ją nie tym, którzy naprawdę jej potrzebują, lecz tym, którzy otrzymują ją w nagrodę za uznanie panowania komunistycznego. Najwierniejsi przyjaciele zachodu nie są zaopatrywani w żywność; produkty amerykańskie zamieniają się w broń w rękach komunistów. Przemysł amerykański, aby uprzywilejować drugorzędny rynek zagraniczny sprawia; że przyjaciele polityczni Ameryki cierpią; przyspiesza ponadto budowę turbin i maszyn, które wyposażają rosyjskie fabryki bomb atomowych. Jeżeli żywność amerykańska ma być rozdzielana, to czyż jest jakakolwiek racja, dla której podziałem tym nie mieliby zajmować się Amerykanie, przeprowadzając go raczej w myśl interesów i w idei amerykańskich, nie zaś w myśl interesów i idei komunistów? I jeżeli maszyny amerykańskie mają być wysyłane zagranicą, to czyż należałoby mieć dostatecznych gwarancji, że nie zostaną one użyte w celu zniszczenia Ameryki?

5.

Ten krótki opis różnych zagadnień z niedawnej przeszłości, czasów obecnych i bliskiej przyszłości naszkicowany został po to, by zilustrować znaczenie najwyższej polityki defensywnej, określonej w pierwszej części tego rozdziału. Nie chciałbym

poświęcać więcej miejsca specjalnym interpretacjom tego, czy innego wydarzenia lub problemu. Całkowite uznanie jakiejś polityki nie wyklucza zarysowania się odmiennego zdania, jeżeli chodzi o jej stosowanie. Tym niemniej, zgodność poglądów stwarza wspólne kryterium w ocenie środków, zmierzających do zastosowania tej polityki. Znajomość celu umożliwia nam przewidywanie czy ściśle określona decyzja do tego celu nas zbliża czy oddala. Mam wrażenie, że przytoczyłem dostateczną ilość przykładów, wskazujących na to, co by się stało, gdyby się przyjęło jako zasadniczą politykę defensywną, politykę, zmierzającą do powstrzymania konsolidacji panowania komunistycznego w Eurazji. Te same przykłady służą do udowodnienia faktu, że taką nie była dotychczas owa polityka Stanów Zjednoczonych.

Przeanalizowaliśmy również zagadnienie, czy w wypadku uznania polityki tej za pożądaną, można by ją było wprowadzić w życie. Doszliśmy do wniosku, że w każdym wypadku była jakaś możliwość, zwykle kilka możliwości, które można by urzeczywistnić. Jest to więc nie polityka abstrakcyjna i bezużyteczna, lecz polityka przeznaczona do akcji. Jest prawdą, że wprowadzenie jej w życie oznaczałoby dla Stanów Zjednoczonych rozstanie się z szeregiem idei i zwyczajów z przeszłości. Rozdział ten zakończę, podsumowując kilka zasad postępowania i myślenia, które należałoby przyjąć gdyby się chciało politykę defensywną uznać i w życiu ją stosować.

1) Należało by uznać, że pokój nie jest i nie może być celem polityki zagranicznej.

2) Należało by odrzucić to, co pozostaje jeszcze z doktryny o "równości narodów". Stany Zjednoczone powinnyby wysunąć otwarcie swą kandydaturę na kierownictwo światowej polityki.

3) Trzeba by porzucić całkowicie zasadę "nieinterwencji w sprawy wewnętrzne innych narodów", która jest już zresztą tylko pustą formą. Jeżeli chodzi o sprawy, które mają związek z polityką światową, to normalna procedura powinna polegać na szybkiej, stanowczej i wystarczającej interwencji, a nie na nieinterwencji. Im zasada ta stanie się bardziej jasna dla wszystkich, tym interwencje będą skuteczniejsze.

Stany Zjednoczone winny pogodzić się z potrzebą stworzenia propagandy na skalę światową jako broni politycznej, niezbędnej we współczesnym świecie. Za naszych czasów ludzie tworzą na świecie czynne polityczne audytorium. Dzisiaj polityka przechodzić musi ponad wzniesionymi barierami i musi dobiec do uszu mas. Trzeba, by znaczenie i cele polityki stały się zrozumiałymi i przekonywującymi dla publiczności.

4) Stany Zjednoczone są, w porównaniu z komunistami, w posiadaniu specjalnych możliwości, jeżeli chodzi o propagandę wśród mas. Gdyby możliwości te zużyto, byłby to jeden z bardziej fascynujących eksperymentów. Propaganda komunistyczna, jak o tym mówiliśmy uprzednio, opiera się i opierać się musi we wszystkich ważnych zagadnieniach na kłamstwie. Propaganda Stanów Zjednoczonych mogłaby — i na tym polegałaby jej siła — opierać się przeważnie na prawdzie, czy na rzeczach zbliżonych do prawdy. Jeszcze ważniejsze jest nazywanie rzeczy po imieniu. Nadszedł już czas zaprzestania nazywania Związku sowieckiego jedną z "demokracji pacyfistycznych", za-

przestania utrzymywania, że Polska, Jugosławia czy Mongolia, kierowane przez komunistów są "niezależnymi państwami", lub że syndykat komunistyczny jest zwykłą organizacją robotniczą, lub, że jakiś dziennikarz komunistyczny jest "znanym liberałem". Byłoby rzeczą pożyteczną zakończyć pozbawione sensu dyskusje na temat "wschodniej i zachodniej definicji demokracji i wolności prasy" i wytłumaczyć, że realnym przedmiotem debaty jest nie spór o słowa, lecz o totalitarne niewolnictwo. Raporty tajne oddziałów wywiadowczych, opisujące działalność komunistów w Polsce, Niemczech Wschodnich, Chinach, Bałkanach i Stanach Zjednoczonych powinnyby być raczej podawane do wiadomości publicznej, a nie chowane w archiwach. Przeszła działalność kierowników Stanów Zjednoczonych nie jest pozbawiona odpowiedzialności za to, że narody świata tak łatwo wchłonęły mit komunistyczny; oficjalni przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, dzięki swym mylnym koncepcjom i ignorancji, przyczynili się do rozpowszechnienia się tego mitu.

Propaganda zmierzać winna otwarcie do przekroczenia granic sowieckich, by dać do zrozumienia poddanym dyktatury komunistycznej, że Stany Zjednoczone wiedzą o ich nieszczęściu i że są ich aliantami w walce z tyranią. Obecne automatyczne scalenie Rosji z reżimem komunistycznym pozwala temu reżimowi na wzmocnienie swego panowania nad ludem rosyjskim i na wytłumaczenie mu, iż walczyć winien wspólnie przeciwko "światowi burżuazyjnemu". Trzeba, aby lud rosyjski wiedział, że to nie jego, lecz jego oprawców świat potępił i że świat ten cieszyć się będzie, gdy zrzuci on z siebie kajdany.

5) Należało by odróżnić przyjaciół od wrogów. Trzeba by ustanowić zasady przyjaźni do wszelką możliwą pomocą: pomocą ekonomiczną, polityczną, żywnościową, pomocą w maszynach, pieniądzech, uzbrojeniu — i nieudzielanie niczego, zupełnie niczego wrogom. Idea wyrażająca przekonanie, że udzielenie jakiemuś narodowi pożyczki, czy redukcji opłat, czy żywności, lokomotyw, stypendiów na nauki, czy samolotów musi pociągać za sobą udzielenie tych samych rzeczy i innym państwom, znaleźć by mogła zastosowanie w krajnie aniołów, lecz okazać się na pewno katastrofalna w walce o panowanie nad światem. Stany Zjednoczone muszą dać jasno do zrozumienia, że można wiele rzeczy wygrać, gdy się jest z nimi w przyjaźni i wiele rzeczy przegrać, gdy się jest ich wrogiem.

6) W myśl zasad punktu 5-go, żadna korzyść nie zostanie przyznana komunistom i ich przyjacielom, a przyczyny odmowy tej będą otwarcie podane do wiadomości: nic dla danej osoby, organizacji czy kraju dlatego, że jest on, czy ona — komunistyczna. Powie się wyraźnie robotnikom, że syndykat, kierowany przez komunistów nie będzie traktowany w ten sam sposób co syndykat kierowany przez nie-komunistów; wyjaśni się że każda osoba, która współpracuje z frontem komunistycznym dla zrealizowania jakiegoś własnego celu politycznego, czy socjalnego, zamiast pomagać, celowi temu szkodzi; że naród, dopuszczający komunistów do własnego rządu, w przekonaniu Stanów Zjednoczonych aktem tym zbliża się do totalitaryzmu i wojny, a oddala się od demokracji i przyjaźni. Trzeba będzie uprzejmie przyjęcie z jakim wita się w Stanach Zjednoczonych każdego agenta komunistycznego, przebranego za dziennikarza, inży-

niera czy urzędnika dyplomatycznego zastąpić tym samym przywitaniem, które spotyka każdego przedstawiciela demokracji na terytoriach komunistycznych.

7) Trzeba będzie przeprowadzić w praktyce zasadę nie-kolaboracji ze Związkiem sowieckim. Rzeczywiste znaczenie "sowieckiego weta", o którym tyle dyskutowano, nie może być wykryte przy pomocy parlamentarnych studiów nad postanowieniami Karty Narodów Zjednoczonych czy przepisami Rady Ministrów Spraw Zagranicznych. Dla Stanów Zjednoczonych veto sowieckie urasta do symbolu niepokoju przedstawicieli sowieckich do powzięcia jakiegokolwiek decyzji politycznej, mogącej wywołać niezadowolenie Związku sowieckiego. Tak długo, jak utrzyma się ta postawa, Związek sowiecki dysponować będzie w stosunku do polityki Stanów Zjednoczonych *vetem de facto*. W konsekwencji, polityka Stanów Zjednoczonych podporządkowuje się polityce sowieckiej. Sowiety utrzymują w swych rękach całą inicjatywę polityczną. Przytoczone w rozdziale tym przykłady udowodniły nam to dostatecznie. Stany Zjednoczone mają przed sobą tylko jedną drogę, która umożliwi im wyzwolenie się z weta sowieckiego i ułatwi ujęcie inicjatywy we własne ręce: jest to niezależne pobieranie decyzji, w oparciu tylko o własną politykę i bez niepokożenia się o to, jaka będzie reakcja Rosji; a dalej, wykonywanie decyzji tych bez względu na to, co może powiedzieć lub zrobić Związek sowiecki.

8) W końcu, politykę tę przeprowadzić będzie można o tyle tylko, o ile Stany Zjednoczone będą zdolne i gotowe do użycia siły i że fakt ten znany będzie wszystkim. Być może, że siły tej nie użyją w ogóle, lub też użyją w rozmiarach umiarkowanych, lecz jest rzeczą konieczną, by zasada tej siły istniała w formie ostatecznej przesłanki, w przeciwnym bowiem wypadku, sylogizm polityczny będzie niekompletny.

(c. d. n.)

James BURNHAM.

(Autoryzowany przekład Józefa Ursyna).

Copyright 1947, by James Burnham.
Original publication by the John Day Company, Inc., New York, U.S.A., with the title *The Struggle for the World*.

Bańnioznawstwo

Piastunce mojej i najstarszej przyjaciółce, Józefie z Borowskich Trumpickiej, poświęcam.

WSTĘP.

Baśń — twór "czystejszej sztuki"

Było zimowe, mroźne popołudnie. Lśniły na szybach palmy, paprocie i inne ornamenty roślinne surnaturalistycznego witrażu, odcinając od świata pokój, zanurzony w białą matową poświatę, przecinaną złocisto-krwawymi błyskami ognia, palącego się w wielkim, wileńskim piecu.

W takiej chwili, jeszcze łatwiej niż zazwyczaj, wciągnął mnie do swego wnętrza "Stary Dom" Andersena. Nie usłyszałam więc dzwonka w przedpokoju i prof. Marian Zdziechowski, zawsze żywy i młody, pomimo rozpoczętego już "ósmego krzyżyka", wszedł szybkim, nerwowym krokiem i stanął przy moim fotelu. Pochyliwszy się nad nim czytał swym wdzięcznym, śpiewnym głosem powtarzający się w baśni, jakby melodia starego kurenta, dwuwiersz:

"Zniknąć musi pozłacanie
świńska skóra pozostanie".

"Obawiam się, że i ona nie wszystko wytrzyma" — powiedział profesor. "Ale, jak dobrze, że pani lubi Andersena! Nie rozumiem ludzi nie czujących czaru bajek. Są mi obcy. Od dzieciństwa słuchałem z zachwytem opowiadanych mi bajek, czy baśni. Nie znoszę klechd (okropne, pompatyczne słowo!), stylizowanych przez złych retoryków, i nie lubię bajeczek pisanych ekliwie dla dzieci, młodo i bez talentu. A przecież tylu ludzi uważa, że baśń lub bajkę łatwo jest napisać".

Wróciliśmy do Andersena, zahaczywszy o Wilde'a i jego bajki, czy też baśnie. — "Wilde? zbyt swe baśnie konkretyzuje, albo też pisze je zbyt programowo, jeśli się tak można wyrazić, słowem nie wie właściwie, czym jest istota baśni!" — powiedział prof. Zdziechowski. — "Podobnie, jak Burne Jones nie wie, co to są prarafaelici" — wtrąciłam. — "Właśnie! ma pani rację: Wilde jest w swych baśniach za sztuczny, za inteligencki, za ra-

cjonalistyczny. Jego baśnie są raczej jakąś ich namiastką, służącą innym celom, niż te, jakim służy prawdziwa baśń, jako w sobie zamknięta całość, twór najezystszej sztuki". A skąd płynie czar baśni Andersena? — zapytałam. Profesor zamyślił się, uderzając ożogiem, czy też raczej "koczerhą", w rozżarzone na palenisku głownie. Po chwili dodał: "Lubię żar ognia i sypiące się iskry". — "I ja lubię, panie profesorze — tyle się naopowiadało baśni przy ogniskach. Proszę jednak powiedzieć, skąd płynie czar baśni Andersena?" — "Z wieczystego źródła sztuki, z natchnienia artysty. Talent z Bożej Łaski! Opierając się o prastarą formę literatury i czerpiąc poniekąd z tradycji ludowych, wysublimował Andersen swą baśń, podobnie, jak to zrobili, na przykład, Chopin i Beethoven, wprowadzając elementy muzyki ludowej do wielkiej sztuki, pozostając... Chopinem i Beethovenem".

— Stąd więc, panie profesorze, Chopin, Beethoven i Andersen spotykają się z sobą w tym samym kręgu sztuki, w jakim znajdują się utalentowani grajkowie wiejscy i baśniarze, podczas gdy poza jego obrębem znajdują się kłopotliwi naśladowcy plastyki, muzyki oraz literatury ludowej, wcale nie takiej prostej ani "naiwnej", jak się wydaje wielu spośród nieznających się na rzeczy i wydziedziczonym przez muzy".

— Tak jest, z naciskiem powtórzył profesor, — Andersen był ulubieńcem muz i dlatego wiedział doskonale, czym jest baśń. Stąd wprowadza nas w świat magiczny surnaturalistycznej fantazji, w jakim panują swoiste prawa logiki, decydujące o treści i formie baśni, w której ten świat się inkarnuje. Forma i treść? Jakże trudno jest i to nie tylko w dziedzinie muzyki¹⁾, lecz i w dziedzinie literatury i plastyki przeprowadzić granicę pomiędzy rozstrzygającymi o ich istocie "elementami formy" i "elementami treści". Gdzie się zaczynają jedno, a kończą drugie? Przejdźmy więc na razie nad tym do porządku dziennego, bo chodzi nam w tej chwili o urok sztuki, promieniującej z arcydzieła Andersena. Nosił on w sobie czar poezji, wyrażając go poprzez baśń".

— Tak jest — dodałam — chociaż Andersen pisał swe utwory i **my je czytamy, lecz ich nie słuchamy w żywym, opowiadającym słowie** — znajduje się on w tym samym niezmałym kręgu sztuki, co np. Sabala i inni utalentowani opowiadacze przekazanych sobie i przez siebie ujmowanych, czy też tworzonych baśni. Bo Andersen, podobnie, jak oni, sam się zanurzał i nas zanurza w inną rzeczywistość, niż ta, jaka nas otacza. Zanurza, pomimo swego, jakże własnego, filozoficznego podkładu, bez mędrkowania, bez reszty. Wciąga w świat innych przeżyć, nie zdejmując ani na chwilę "magicznego pierścienia", łączącego

1) Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczam, że chodziło tu, oczywiście nie "o programową muzykę", czy też o wplątywanie wartości muzycznych w inne skojarzenia np. literackie, lecz o problematykę czysto muzyczną.

z prawdą sztuki, — nie oglądając się poza siebie dla pogodzenia, czy konfrontacji "praw rządzących konkretną rzeczywistością", z prawami baśni. Wciągając fragmenty realistyczne życia ludzkiego, często jego bezprawia i krzywdy (z tym spotykamy się w baśniach ludowych) — poddaje je również tak, jak to robią bajkarze-opowiadacze, działaniu promieni baśniowo-aktywnych, stapiając je integralnie z poezją.



Zacytowałam tu rozmowę, stojącą mi żywo w pamięci, choć prowadziliśmy ją z górą przed szesnastu laty, ponieważ posłuży nam ona jako punkt wyjściowy do rozważań.

Stwierdzamy, że **baśń jest tworem czystej sztuki** ("sztuki dla sztuki"). Jako taka posiada swe własne cele, **cele wyłącznie artystyczne, w przeciwstawieniu do bajek** (np. alegorycznych) i legend, czy też podań pouczających, choć oczywista, jak wszystkie twory literatury, wątki jej i motywy oraz inne składniki krzyżują się z elementami należącymi do innych kategorii literackich.

Baśń w swej formie nieskażonej odrywa nas przede wszystkim od konkretnej rzeczywistości, wprowadzając w świat innych przeżyć i własnej symbolizacji²⁾, należącej do poezji surrealistycznej, w jakiej panują prawa, które zgodnie z terminologią Friedmanna³⁾, nazwijmy prawami eulogicznymi, to znaczy prawami, należącymi do teorii poznania artystycznego (estetycznego).

1

Baśń i słowo mówione

Właściwym, odwiecznym gruntem, na jakim, bez względu na pochodzenie wątków i motywów, kształtowały się baśnie, był **język prozy mówionej, nie zaś pisanej**, wraz ze swoistą, związaną z nim ekspresją mimiczną i intonacją opowiadacza. Fakt ten miał wpływ na kształtowanie się tej formy literackiej i wycisnął piętno na jej stylu, na stylu bezpośredniego wypowiedzenia się i bezpośredniego oddziaływania na **słuchaczy, a nie na czytelników**.⁴⁾

2) Wilbur Marshall Urban Language and Reality, the Philosophy of Language and the principles of Symbolism, London, George Allen and Unwin, LTD, 1939. Świetne sformułowanie tego zagadnienia w rozdziałach poświęconych językowi i poezji.

3) Friedmann: *Die Welt der Formen*. System eines morphologischen Idealismus. C. H. Beck'sche Verlagsbuchhandlung, Monachium, 1930, (zwłaszcza rozdział 2. Logik der Formen).

4) Obecnie, w związku z tworzeniem się nowego działu sztuki inscenizacyjnej, a mianowicie słuchowisk radiowych, wysuwa się zagadnienie metody przekazywania również słuchaczom wizji przy pomocy słowa, względnie innych elementów akustycznych. Mamy tu jednak do czynienia z innego rodzaju kontaktem z audytorium, gdyż jest ono niewidzialne i nieznane dla inscenizatorów słuchowisk, co stwarza

Dlatego zapewne autorowie, władający nawet świetnie piórem, nie dają sobie rady z tą płynną i trudną do zamknięcia czy też zmumifikowania w słowie pisanim formą, której geneza tkwi głęboko korzeniami w sztuce władania słowem mówionym. Stąd baśń jako twór literacki posiada swą swoistą strukturę inną, niż utwory ukształtowane w dziedzinie literatury słowa pisanego, a tym bardziej drukowanego. Przede wszystkim nie zna ona cudgi trzeźwiącego krytycyzmu, jaki opanowywał stopniowo myśl ludzką w miarę powstawania kultur alfabetycznych i sztuki pisarskiej.

Istotę baśni stanowi bujanie w świecie surnaturalistycznych koncepcji⁵⁾ i nieograniczonych możliwości. Jej wewnętrzna dialektyka rozwija się w kręgu rzeczywistości wyimaginowanej, oderwanej od doświadczeń "zdrowego rozsądku" i wszelkie przekroczenia jej praw logicznych odbijają się na jej strukturze, względnie prowadzą do jej rozbicia⁶⁾.

Pomimo tego, że wiele wątków baśniowych należy do tradycji sięgających niezmiernie głęboko w przeszłość kultury i że wiele spośród nich przesiąkło i przesiąka do literatury ustnej — (do "słownictwa" więc raczej w przeciwstawieniu do "piśmiennictwa") z książek lub ewentualnie z rękopisów — baśń opowiadana jest zawsze w pewnym sensie żywa. To znaczy ulega ciągłym zmianom w zależności od tego, w jakich warunkach, przez kogo i w jakim środowisku ludzkim jest opowiadana. Podczas, gdy baśnie wydrukowane petryfikują się, baśń opowiadana ulega ustawicznej fluktuacji za każdym razem, gdy bajkarz ją snuje.

Jednocześnie jednak należy podkreślić, że zarówno pewna ilość wątków, jak i motywów baśniowych, przekazywanych z ust do ust przez odchodzących w niepamięć "śmiertelników", wy-

oczywiście inne warunki nawiązywania łączności i wywołania wizji i przeżyć artystycznych, niż wtedy, gdy baśniarz opowiada baśnie wśród swego otoczenia.

5) Jeden z opowiadaczy raczej baśni, niż legend apokryficznych, o św. Jerzym w okolicach Betlejem, mówił mi np., że ogon konia świętego, który wloką się po ziemi, powoduje zakwitanie kwiatów i kiełkowanie zbóż, jest olbrzymi. Jak długi? — zapytałam. "Może ma ze sto mil" — odpowiedział. — "To niemożliwe" — zauważyłam. — "Może się trochę omyliłem. Może ma pięćdziesiąt mil". Nie ustępowałam: "A mnie się zdaje" — zrobiłam uwagę — "że jest jeszcze krótszy". — Czuję, że przeciągnęłam strunę. Opowiadacz zesztywniał, zmieszał się, ale nadrabiając miną raz jeszcze powiedział: "Omyliłem się troszkę. Ogon ma nie pięćdziesiąt, ale dziesięć mil. Na pewno dziesięć mil!".

6) Pamiętam, jak zarówno moja piastunka, jak i ja, będąc za czasów mego dzieciństwa na "Szklanej górze", wprowadzonej na deskę teatru krakowskiego przez Sarneckiego, oburzaliśmy się na zniekształcenie zasadniczych wątków baśni. Przecież chodziło o to, ażeby głupi, pokrzywdzony przez los Maciek zdobył królową, ażeby zmądrzał i otrzymał królestwo, a tymczasem jakiś nieznan y rycerz zdobył śpiącą piękną królową, a Maćka poślubiła nieznaną i brzydszą królową Gapiomila, którą już samo imię kompromitowało w naszych oczach. "Wszystko bez sensu" powtarzałyśmy obydwie po wyjściu z teatru, choć olśnione byłyśmy inscenizacją.

kazuje trwałość, ciesząc się popularnością nie tylko w ciągu wieków, lecz nawet tysiącleci, podczas gdy nazwiska uczonych, stawiających po raz pierwszy pewne zagadnienia i tworzących nowe koncepcje w dwadzieścia lat po ich śmierci, znikają ze stron ksiąg omawiających pokrewne problemy i wprowadzających terminologię i pojęcie przez pierwszych sformułowane⁷⁾.

Pomimo tej niekiedy zadziwiającej trwałości wątków baśniowych i innych swych składników, baśń jest zmienna i giętka, zależąc nie tylko od stanu pamięci, lecz i od chwilowego napięcia fantazji i nastroju opowiadacza, jak również od zespołu słuchaczy, wobec których się ją snuje. Stąd wypływają wielkie trudności badań nad baśnią w terenie.

2

Badania nad baśnią w terenie

Baśń jest tworem bardzo skomplikowanym słowa mówionego, opowiadany przeciwieństwie w najróżniejszych środowiskach (np. dzieciom, zarówno wiejskim jak i miejskim), wszędzie tam, gdzie pulsuje życie gromadne, np. życie rodzinne wraz ze związanymi z nim ludźmi, czy też istnieją inne, większe, lub mniejsze zwarte grupy społeczne, np. pasterskie, myśliwskie itp., skupiające się przy wspólnych ogniskach.

Pomimo trudności studiów, wynikających ze specyficznego charakteru baśni, jak i innych rodzajów prozy mówionej, najważniejszym i zasadniczym źródłem baśnioznawczym jest zetknięcie się badacza bezpośrednio z terenem. Nie mogą go zastąpić nawet najlepsze wydania baśni. Te bowiem, jako źródła pośrednie poznania, stanowią w dziedzinie folklorystyki i w innych działach etnografii — źródła pomocnicze. Badania nad baśnią nie kończą się przecie na studiach nad pochodzeniem wątków i motywów, lecz należą do ich zakresu również i zagadnienia strukturalno-fenomenologiczne, zahaczające o cechy ekspresji słowa mówionego, o kompleksy jego symboliki, jak i o stylistykę narracyjną i związaną z nią mimikę oraz gestykulację, przy których pomocy opowiadacz i poeta w jednej osobie wywołuje swe wizje w gronie słuchaczy, przenosząc ich z otaczającej, konkretnej rzeczywistości, w inną spirytualną rzeczywistość⁸⁾.

Stąd też studia zarówno baśnioznawcy-filologa, jak i baśnioznawcy-etnografa w terenie nie mogą polegać wyłącznie na

7) Por. np. Ernst Cassirer'a: *An Essay on Man. An introduction to a philosophy of human culture*, New Haven, Yale University Press, 1944 w tym rozdział poświęcony językoznawstwu i zagadnieniom fonem i akuzm, sformułowanym przez niewymienionego przez autora polskiego uczonego, Jana Baudouin de Courtenay (Szczególnie odnośnik na str. 126 oraz str. 125).

8) Zagadnienie wywoływania (evocation) wizji przy pomocy języka poetyckiego omawia W. M. Urban w wyżej wymienionej książce.

zbieraniu "zabytków" prozy ludowej i ograniczać się do zapisywania, względnie chwywania ich na wałek fonografu, z pominięciem badania szeregu czynników, prowadzących do zrozumienia danego typu baśni, jej roli i pochodzenia w danym środowisku. Zresztą przecież nawet wtedy, gdy zapisujemy "w cztery oczy" opowieść z ust człowieka oderwanego od swej grupy społecznej, czy też od okolicy, jaka go wychowała, mamy do czynienia również ze zjawiskiem psycho-socjalnym, ponieważ obiekt badań jest złączony więzią kultury z przekazanymi mu tradycjami literackimi, wierzeniami, obyczajami itp. bez względu na to, czy jego własne cechy indywidualne zaznaczają się mniej lub bardziej wyraźnie.

Jeśli filolog, wnikając w przedmiot swych badań, przeprowadza analizę i interpretację tekstów drukowanych, lub manuskryptów, baśnioznawca-terenowiec zaznajamia się z nim w obrębie żywych społeczeństw, jako z jednym z przejawów życia, wyrażającego się w kształtach, nadawanych mu przez człowieka i jego kulturę — w danym wypadku przez kulturę literatury mówionej.

Dla podkreślenia różnicy między badaniem źródeł pośrednich i bezpośrednich w tradycji literackiej, przytaczam słowa jednego z francuskich autorów, krytykujących stosunek papierowy niektórych orientalistów, przeprowadzających swe studia wyłącznie na podstawie źródeł pisanych, a więc "sur le cadavre", przeciwstawiając mu do badań "sur la nature", wśród żywego, w danym wypadku arabskiego społeczeństwa⁹⁾.

Różnice, zachodzące między źródłami pośrednimi i bezpośrednimi nie przesądzają oczywiście o wartości prac, pisanych na ich podstawie. Bo jedni z uczonych wskrzeszają przeszłość na podstawie pierwszych, inni gaszą przejawy zaobserwowane w życiu przez słowa martwe i blade.

3

Baśniarze

Konieczność organizacji zbierania w terenie zabytków prozy ludowej omawia J. Krzyżanowski w artykule, drukowanym w "Polskiej sztuce ludowej"¹⁰⁾, wysuwając w nim żądanie inwentaryzacji bajkarzy.

Spis znanych mi bajkarzy miałam wśród moich materiałów etnograficznych i na posiedzeniu organizacyjnym Polskiego Instytutu Sztuki Ludowej, jakie odbyło się w zamierzonym czerwcu 1939, w Zakładzie Polskiej Etnografii Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie, postawiony został wniosek do-

9) Dinet E. et Sulliman ben Ibrahim: L'Orient et l'Occident, Essai Critique, Paris, Gauthner, 1923.

10) Organ Instytutu Polskiej Sztuki Ludowej, Z. 1 i 2, listopad, grudnia 1947 r.

magający się inwentaryzacji artystów ludowych, a wśród nich również baśniarzy, oraz innych utalentowanych opowiadaczy.

Zagadnienie bajkarzy, względnie baśniarzy, legendziarzy, anegdociarzy, jak i innych opowiadaczy i facecjonistów, nie jest jednak zbyt łatwe. Przede wszystkim, jak to zostało podkreślone w poprzednim rozdziale, kontakt z nimi nie może się sprowadzać do doraźnego zbierania z ich ust pewnych wersji literackich, zwłaszcza z góry im narzucanych, lecz wymaga ze strony badacza i zbieracza specjalnego przygotowania i znajomości metod pracy, tak dotąd zaniedbanej i po dyletancku traktowanej dziedziny kulturoznawstwa.

Wydobycie i zasuszenie w słowie pisanym tej lub innej ciekawej i nieznanej przedtem baśni może się nawet czasem udać, nie wyczerpuje jednak wszystkich możliwości, jakie daje dłuższy pobyt w pewnej miejscowości, nawiązanie bliższej znajomości i kontaktu psychicznego z bajkarzami i ich otoczeniem i przede wszystkim odpowiednie przygotowanie do studiów baśnioznawczych.

Zwracam na to uwagę, chcąc z jednej strony uwypuklić znaczenie cennej książki Krzyżanowskiego jako podstawowego podręcznika dla badań nad ustną prozą ludową, z drugiej, pragnąc zaznaczyć wątpliwości, jakie mi nasuwają niektóre myśli autora¹¹⁾, mogące prowadzić do nieporozumień, przede wszystkim metodologicznych. Należy się bowiem skrupulatna ocena pierwszej w nauce systematyce "polskiej bajki ludowej", podjętej i napisanej z tak wielką umiejętnością i znanstwem przedmiotu.

Zacznymy od stwierdzenia, że opowiadaczy wiejskich i miejskich (należących do najróżnorodniejszych środowisk), podzielić możemy na dwie grupy, wymagające stosowania do siebie różnych metod badawczych. Jedni z nich dostarczają z łatwością "pozycji", niekiedy podsuwanych im z góry jako "zasługujących" na utrwalenie, wobec czego bez trudności można je zapisać lub utrwalić przy pomocy fonografu. Inni opowiadacze unikają tego rodzaju uwiecznienia i chowają swe wiadomości przed uchem niepowołanym.

Kiedyś, jeszcze za moich lat akademickich, spotkałam w okolicy Radomia dziewczynę, znaną w swym otoczeniu baśniarkę. Z zapalem dyktowała swe śliczne "magiczne" opowieści, z przejęciem je recytując i z pewnością siebie renomowanej artystki. Spotykałam też wśród pasterzy doskonałych opowiadaczy, pewnych swego kunsztu. Jeden z nich¹²⁾ podkreślał dobitnie swą rolę "arki przymierza między dawnymi i nowymi laty" i wyraźnie rozgraniczał "prawdę historyczną" (własne jego przeżycia i podania) — od baśni, jako przejawu dążeń artystycznych ("to

11) Julian Krzyżanowski, *Polska bajka ludowa* w układzie systematycznym, 2 tomy, Warszawa, 1947, T. I. str. 6.

12) Gmina Janiska, Woj. Wileńskie.

tylko taka bajka, ale piękna"). Inny znów¹³⁾ sypał jak z rogu obfitości różnymi opowiadaniem, wśród których głównymi bohaterkami były królowy — "czarne królowy" i królowy wyzwalane przez rycerzy lub chudopachołków. Był to zresztą kabotyn, chełpiący się tym, że już "jakiś pan" spisywał jego bajki, a potem je w "książce drukował". Sądzę, że nie tylko jego, lecz i wielu innych spośród podobnej mu artystycznej braci nie przestraszyłby walek fonografu, podobnie jak wprawiał w zachwyt niektórych spośród obiektów badań muzykologicznych, prowadzonych w Polsce przed ostatnią wojną.

Kłusownik, a z czasem towarzysz, jako świetny rzeczoznawca polowań pewnego koła myśliwskiego, był specjalistą w opowiadaniu bajek zwierzęcych¹⁴⁾. Opowiadał je podczas powrotu ze szczęśliwej myśliwskiej wyprawy. Głównym bohaterem jego opowiadań był lis. Zaczynał zwykle od swych własnych bardzo ciekawych przygód, chwalać się tym, jak to on lisa nieraz w pole wprowadzał, kończył jednak na bajkach, jakie między innymi znajdujemy w książce Krzyżanowskiego (T. I., 2, 63, 162). Najciekawsze było opowiadanie "o zwierząt mateczniku", o jakim wspominał mi również w puszczy Rudnickiej pewien wabiarz łosi, rodem z Polesia¹⁵⁾.

Wspaniałych opowiadaczy, z chęcią dostarczających "materiałów" spotkałam w Palestynie podczas ostatnich mych badań nad legendami świętojskimi. Byli to znani, rutynowani mistrze prozy mówionej, Muzułmanie, strzegący świątyń i klasztorów prawosławnych. Oprócz sprawowania urzędu opiekunów-dozorców do obowiązków ich należy propaganda prowadzona wśród pielgrzymów, odwiedzających miejsca święte i pobudzanie do składania jak najhojniejszych ofiar¹⁶⁾. Wśród swoich cieszą się sławą doskonałych speców. Podczas, gdy zmarły przed paru laty ówczesny paroch klasztoru Mar-Dżurjes, położonego na "ziemiach matki św. Jerzego" (w pobliżu Beit Dżali i sadzawek Salomona), nie mógł mi sam nic o świętym opowiedzieć, ograniczając się do pokazania znanych mi skądinąd legend drukowanych, greckich i rosyjskich, dozorca Mahometanie w Mar-Dżurjes, podobnie jak i przygodnie spotykana przeze mnie ludność muzulmańska w Liddzie¹⁷⁾, gdzie znajduje się grób św. Jerzego,

13) Wieś Myto, pod Lidą.

14) Polesie Wołyńskie.

15) "O zwierząt mateczniku" opowiadała mi również Józefa Borowska-Trumpicka, pochodząca z okolic Sokółki pod Białymstokiem. Jej zawdzięczam również inne wiadomości (o "grzybów pułkowniku", o "dziewicy morowej", zwiastującej "zarazę" i tp.), jakie ułatwiały mi słuchanie czytanego przez Matkę Mickiewiczza w analfabetycznym okresie mego życia.

16) Por. Schmidt Hans u. Paul Kohle: Volherzählungen aus Palästina, gesammelt bei den Bauern von Bir-zêt u. in Verbindung mit Dschirius hrg. Einleitung über Palästina Erzählungskunst, Göttingen, 1918.

17) Różnice, jakie zachodzą między podaniami ludzkimi i mardziurskimi potwierdzają wyraźnie tezę J. Bedier, dotyczącą roli ośrodków pielgrzymkich w kształtowaniu się wątków epickich.

związana z pokolenia na pokolenie z tym starożytnym ośrodkiem kultu, — stanowią nie wysychające źródło podań o tym El-Chadrze, spojonym organicznie z Palestyną, jej glebą, klimatem i historią.

Przechodzimy teraz do drugiej, innej i liczniejszej kategorii baśniarzy i w ogóle opowiadaczy. Przechowują oni nieraz w swej pamięci niezmiernie cenny materiał. Tych mógłby spieszyć nie tylko walek fonografu, ale w ogóle każdy zapis, chociaż w swym środowisku cieszą się nieraz sławą doskonałych specjalistów. Nie stanowią oni dostępnego źródła poznania. Są to ludzie skromni, czasem z kompleksami niższości lub wyższości, najczęściej prawdziwi od tamtych i bardziej wrażliwi artyści. Nie chcą i nie mogą na każde zawołanie snuć swych wizji, wyrażanych przy pomocy tak delikatnego i trudnego środka ekspresji, jakim jest słowo mówione dla człowieka, znającego jego wartość i nie trwoniącego go bezmyślnie. Działa na nich nastroj chwili, to lub owo audytorium. Odpycha lub mrozi nieznanzy zbieracz o nieznanym im podejściu do rzeczy, "dokumentujący" to co powinno być mówione swobodnie i tworzone tak (jeśli chodzi o baśń), jak comedia del'arte w natchnieniu niczym nieskrepowanym.

Ażeby się od tych opowiadaczy czegoś dowiedzieć, należy zdobyć ich zaufanie i rozporządzać dłuższym okresem czasu, koniecznym dla nawiązania psychicznego kontaktu, o ile dzięki szczęśliwej okoliczności i trafieniu sobie nawzajem do duszy nie nawiąże się tej łączności od razu. Poza tym trzeba znać metody pracy badawczej, jakie należy stosować w tej dziedzinie badań. Oprócz tego, jak we wszystkich gałęziach nauk, opierających się na bezpośrednim zetknięciu się badacza z obiektem swego poznania, wrodzona intuicja odgrywa i tu rolę decydującą.

Znałam kobietę, pochodzącą z gminy Janiskiej, pow. Wileńskiego, odznaczającą się świetną pamięcią, plastyczną wyobraźnią, żywością skojarzeń i łatwością wypowiedzenia się w słowie. Kiedy usiłowałam wydobyć z niej jakiś "zabytek prozy ludowej", twierdziła z tym samym zazwyczaj polsko-litewskim uporem, że głowę ma pustą, jak beczka po kapuście. Wystarczyło jednak, abym podesunęła jej pewne skojarzenia, pobudzające jej wyobraźnię i z dna owej beczki sypały się ukryte skarby. Otwierałam więc np. szufladę ze słowami "otwórz się Sezamie" i w tej chwili "z kapuścianej głowy" wyskakiwały różne warianty baśni i podań o ukrytych skarbach. Podnieciła się również bardzo ta rasowa baśniarka, ujrzawszy obrazek w książce dla dzieci, przedstawiający Guliwera w klatce na stole olbrzyma¹⁸⁾ i opowiedzia-

18) Eleonora była prawie analfabatką. Z trudnością "czytała na książce" (do nabożeństwa).

ła wariant baśni, figurującej u Krzyżanowskiego (t. II, N 701).

Zaświeciły siwo-zielone oczy, gdy pokazałam wężą, kupionego na Kiermaszu świętojańskim w Wilnie dla Muzeum Etnograficznego U.S.B. I dowiedziałam się nie tylko do czego służą węże w praktykach magicznych i w medycynie ludowej, lecz o sposobach wabienia i łowienia gadów, oraz o sposobach zasuszania ich w chlebnym piecu. "Wstawszy w nim od gorońca, prościutko, jak ludzie, sykają przed śmiercią, jak te wielkie zmieji". Potem z "chlebnej piecy" przedostawałyśmy się do pieczar węzowych, gdzie panują króle węzowe, "co korony noszą świecońce"¹⁹⁾. Te korony, talizmany dają szczęście. Zdobywano je w różny sposób, według słów Eleonory, córki przewoźnika.

Syreny mieszkają w jeziorze Dubinki, na którym ojciec jej dzierżawił prom. Ona ich sama nigdy nie widziała, ale inni, starsi ludzie "widywali", podobnie jak jelenia w nadbrzeżnym lesie z krzyżem świecącym między rogami. Często rozmowy moje z tą, podówczas trzydziestoletnią, a obecnie pięćdziesięcioletnią kobietą, kończyły się jej biadowaniem nad światem i jego sprawami, zamykane zdaniem, dowodzącym również "związku historycznego gminy Janiskiej z antykiem": "tak, tak, ludzi to jest, ale człowieka nie ma. Był taki mądry w czasach starodawniejszych, co mieszkał w beczce i człowieka z latarnią, szukał, ale nie znalazł".

Ze względu na ramy artykułu pominiemy wielu znanych mi baśniarzy, jacy zwiększali moją znajomość kultury polskiej oraz archiwum folklorystyczne i na zakończenie ich przeglądu przeniesiemy się do Jerozolimy, wciąż jeszcze niewyzwolonej. Poznałam tam staruszkę, pątniczkę z Zamoyszczyzny, Antoninę Czarniecką, córkę grajka wiejskiego, nauczyciela kapelmistrzów Namysłowskiego i Pomarańskiego. Piszę o niej specjalne studium, ponieważ stanowiła ona nie tylko ciekawy obiekt dla badań kulturologicznych, lecz i dlatego, że z całej jej postaci bił czar prawdziwej poezji i urok silnie zarysowanej indywidualności.

Przeplatała swe wynurzenia pieśniami, niekiedy ekspresji pełną pantomimą, czasem kilku obrotami obertasa, świetnie akcentującymi charakter pięknego tańca, przeniesionego z dalekiej polskiej wsi i z dalekich młodych lat pomiędzy mury odwiecznego miasta, w którym według słów Antoniny, czyhają najusilniej i czają się najbardziej zdradziecko czarne moce u źródła największego Dobra i świętości. Antonina opowiadała doskonale. Traciła jednak od razu kontenans, gdy ją prosiłam o podyktowanie na przykład jakiejś części jej pamiętnika. Szło kulawo: "jakoś mi na sercu słabo", lub: "już tam na mni dzwunio u tych Franciszkanów" — i znikwała jak najszybciej za niskimi drzwiami naszego pokoju w Casa Nova. Najlepiej udawało mi się łapać jej słowa, gdy udawałam, że piszę listy.

Wtedy, sprząając pokój wpadała w trans opowiadania, a poprzez stronicę zapisywanego przeze mnie papieru, śmigają jednorozce²⁰⁾, płynęły "morskie oka", wynurzały się delfiny; "ty dobry naszy bracia". Potem syreny "ty ptaki i kobity zarazym", zaczynały zawodzić i trza było uszy zatykać, aby ku śmierci nie zwabiły. Ze strachem omijałyśmy jedną z wysp "na tym Egjijskim morzu", bo na niej mieszkał kiedyś jednooki olbrzym "co jednygu pilgrzyma, który do Ziemi Świntyj płynął chciał upić sobi jak barana i zjiść". Następnie zjawiali się pomocnicy Antychrysta, aby przed jego przyjściem "puwbijać ludziom gwoździe do łbów²¹⁾, żeby przystali prawdy rozumieć". Wreszcie sam Antychryst miał się ukazać przed końcem świata, zgodnie z prorocztwami "Sabyły" i królowej Saby, odczytywanymi z wielkiej starożytnej księgi, jeszcze w chacie dziadka Antoniny.

Gdy jednak Antonina spostrzegała, że piszę ze zbyt wielkim impetem i że zapewne notuję, przerywała opowiadanie nawet w najciekawszych momentach swych odyssovych przygód podczas podróży po lazurowych wodach lub podczas pieszych wędrówek do św. Marty w Taraskonie i do innych miejsc świętych w Europie Zachodniej. "Widzy, że pani cuś o mni piszy. Za dużo niech pani nie piszy, żeby nie wyszło, że Antonina głupstwa jakiś mówi". Ale na szczęście temperament ją ponosił i wspomnienia o walkach z bezbożnikami we Francji za czasów młodości w końcu wieku XIX, a potem z "fasistami" we Włoszech w starszych latach swego ciekawego żywota. "Szczyroziłota" św. Agata w Toronto huśtała się w dzień swego święta wśród unoszącego ją tłumy i "jam tam była i jam z nimi sobi pokrzykiwała wysoło, wysolutko: eviva santa, eviva santa Agata. Ja tyżym w góry poskakiwała ji świętu takimim kolorowymi papirkami obsypywałam, jak ji uni ji śpiwałam sobi z nimi ji śmiałam się przyz cały dzień ji noc na zdrowi św. Agaty, na jij raduść, bo Włosi, to wysoły, przyjemny naród. A potym tom szła sobi dali w świat sama, bom ji pontniczko i pustynniczko postanowiła być zarazym, chociażym wtedy miała tylko lat dziewiętnaście. Jidę sobi brzygiem tyj wyspy, Sycylii, gdzie przyz jednu górę Etne do śrudka ziemi wyjść można. Godzinki sobi śpiwam. Po jedeni stroni morze huczy, z drugi szumi zboże wyższy chyba udy mnie. A wysoko nady mnu niebo taki prawdziwe niebieskie, a nad tym wszystkim Bóg"...

W związku z powyższymi przykładami wysuwają się następujące wnioski, dotyczące badań nad baśnią, podobnie zresztą jak i nad innymi działami usnej literatury:

20) "Puluwali na nich ty rycerzy, co kiedyś Ziemi Swintu od Turków odbirali. Tera tu jednurożców nima. Su jeszcze w Afrycy".

21) Por Krzyżanowski, T. I. str. 6.

19) Por. T. II. N.N. 572 i 421 u Krzyżanowskiego.

1) Ponieważ opowiadacze charakteryzują różne cechy psychiczne, należy do nich stosować bardzo różne metody badań;

2) Dla nawiązania kontaktu psychicznego z opowiadaczem i wydobywania z niego istotnie cennego materiału, potrzebny jest dłuższy okres czasu, niż tego wymagają np. badania antropogeograficzne, lub studia nad kulturą techniczną i jej słownictwem, ma się bowiem do czynienia z tak skomplikowanym i nie zawsze ujawniającym się obiektem poznania, jak imaginacja poetycka baśniarza, wyrażająca się w słowie.

Ze czas potrzebny do wnikięcia w psychikę baśniarza i otaczającą go atmosferę społeczną, przesądza o wartości wyniku studiów, dowodzą tego np. cenne prace Federowskiego, Ciszewskiego i Świętka, którzy w ciągu długich lat nie odrywali się od terenu swych badań.

Dlatego też zbieranie zabytków prozy ludowej nie może towarzyszyć ekspedycji etnograficznej, mającej na celu zrobienie przekroju kultury technicznej w danej miejscowości, względnie zgromadzenie przedmiotów dla muzeów. Tego rodzaju "badania baśnioznawcze" nie mogą dać dobrych rezultatów i mogą ominąć szereg ciekawych i nieznanych dotąd wątków baśniowych, nie docierając do ciekawszych ludzi i zdolniejszych artystów baśniarzy i innych przekazicieli tradycji literackich i wierzeń.

3) Wydaje mi się również, że chociaż baśnioznawstwo polskie zrobiło wielki krok naprzód dzięki książce Krzyżanowskiego i dziś żaden baśnioznawca nie może się bez niej obyć, nie należy zbyt ulegać sugestii systematyki wątków baśniowych autora i szukać w terenie "pozycji, które zasługują na utrwaleniu".

W poszukiwaniu tych pozycji: a) można przeoczyć warianty, dodać niedrukowane, a więc tym samym nie znajdujące się w compendium wątków Krzyżanowskiego, o czym jeszcze będę mówiła. b) Wśród mniej zasługujących pozornie na uwagę wersji, czy też bardziej "nagminnie"²²⁾ występujących, mogą się znaleźć motywy, czasem nawet tylko jakieś zniekształcone nazwy, lub imiona osób działających, mogące stanowić klucz do rozwiązania tego lub innego zagadnienia.



Przeżywamy czasy bankructwa doktryn, wyskakujących z głów uczonych, pochylonych nad biurkami, z głów pisarzy i polityków pragnących przekształcić życie zgodnie ze swą "ideologią", wcielanych w życie przez biurokratów i działaczy. Bankrutują w naszych oczach tragicznie teorie, nie wytrzymujące konfrontacji z prawdą. Z prawdą, ukrytą przede wszystkim przed tymi, którzy, opierając się na nominalistycznej semantyce, czy też igrając werbalistyczną magią wyrazów, oddalają się

22) "Nagminność" w występowaniu pewnych wątków, czyli inaczej mówiąc ich popularność w tym lub innym środowisku, na określonym odcinku czasu, ma również znaczenie dla historii baśnioznawstwa i teorii jego poznania i dlatego również prowadząc badania w terenie, należy notować nawet najbardziej rozpowszechnione baśnie.

jeszcze bardziej niż inni, od możliwości wnikięcia w semantykę (w znaczenie) rzeczy, wciąganych w obręb rozważań i działania.

Dowodzi tego klęska wieku XX. Odpowiadają za nią również i wieki poprzednie, czyli ludzie kolejno po sobie żyjący, działający, tworzący i piszący. Odpowiadają za fikcyjne założenia swych doktryn i za koncepcje, stające się źródłem swoistej "mitologii nauki i "mitów światopoglądowych", przyjmowanych na wiarę, bezkrytycznie przez wyznawców.

Jakże wiele takich fikcyjnych założeń, ukształtowanych na tle mechanistycznego, pozytywistycznego, organicznego, czy naturalistycznego (nacjonalizm niemiecki po-romantyczny) ujmowania dziejów — zagnieździło się w naukach humanistycznych, a więc i w kulturologii, tworząc człowieka i ludzkość na różne nieboskie podobieństwa.

Zagadnienie to podkreślam dlatego z takim naciskiem, ponieważ niektóre kierunki (np. amerykańskich) szkół socjologicznych wywarły wpływ na badania etno-socjologiczne i w Polsce przedwojennej. A przecież chodzi nam w artykule o studia nad baśnią ludową, prowadzone w terenie, wśród żywych ludzi. Przede wszystkim mam na myśli stosowanie tu metody kwestionariuszowo-ankietowej, jak również o metodę "testów", podsuwających badanym obiektom z góry pewne ustalone schematy dla wypowiedziania się. W wyniku tych kierunków badań tak bezpośredniego i skomplikowanego źródła poznania, jakim jest człowiek, zostają pominięte nieraz prawdziwe realia życia, wibrujące poza granicami teoretycznych i najbardziej "racjonalnie" sformułowanych teoretycznych założeń danej naukowej doktryny, nie mieszczące się w rubrykach kwestionariuszy, czy też ankiet, krepujących zarówno horyzont myślowy badacza jak i obiektu jego poznawania.²³⁾

Jaki powinien więc być stosunek baśnioznawcy, czy też innego specjalisty, interesującego się tradycjami i współczesnością do tak trudnego źródła bezpośredniego poznania, jakim jest człowiek i w tej dziedzinie naszego z nim kontaktu?

Oprócz fachowego filologiczno-historycznego oraz etnograficzno-terenowego wykształcenia (i przerobienia wyżej już cytowanej książki J. Krzyżanowskiego, jako że wyszła spod pióra tak poważnego filologa i przedniego znawcy rzeczy), wnikajmy jak najsamodzielniej w przedmiot poznania — w baśniarza "nieznaną istotę", przekazującego nam składniki historii i teraźniejszości kultury, jaka go wychowała i otacza.

23) Przeciwno stosowaniu schematyzacji i standaryzacji typów ludzkich w badaniach psychologicznych wystąpił już w r. 1922 znakomity filozof amerykański, przedstawiciel szkoły funkcjonalnej, John Devey: *Human Nature and Conduet*, New York, Holt nad Co. Obrońcą indywidualizacji w ujmowaniu człowieka, jako odrębnego bytu na tej płaszczyźnie tylko poznawalnego, był również jeden z największych, najsamostojniejszych i najgłębszych filozofów, Ks. Prof. Augustyn Jakubisiak.

Baśniarze są ludźmi, są więc bardzo różni i nie da się ich zamknąć w standaryzujące ich formuły. Każdy z nich jest spadkobiercą przeszłości, idącym w przyszłość, każdy z nich jest w sobie zamkniętym światem, w którym własna osobowość splata i przekształca docierające do niej z zewnątrz wiadomości o dobre, złe, pięknie i brzydocie.

4

Otoczenie baśniarza.

Zarówno baśnie, jak i wszelkie tradycje, wierzenia i wiedza ludowa, wyzwajające się poprzez usta opowiadaczy, stanowią spadek kultury, jaki został im przekazany przez poprzednie pokolenia, względnie przez to lub inne środowisko, czy też osobę, z jaką się spotkali, wreszcie przez książkę. Tak się rzecz ma we wszystkich społeczeństwach i ze wszystkimi najbardziej nawet genialnymi twórcami, stanowiącymi soczewkę, ogniskującą i przełamującą w sobie tradycje, jakim nadają w większym lub mniejszym stopniu piętno swej własnej osobowości. Nawet w dziełach artystów, jak to świetnie sformułował Cassirer w swej wyżej cytowanej pracy (str. 226) "dominującą rolę odgrywa tradycja".

Kompleksy wspólnych tradycji spajają ludzi w grupy etniczne, narodowe itp. Stwarzają one więź społeczną, łatwiejsze porozumienie między sobą jednostek przez nią złączonych w grupę.

Jak to zawsze podkreślał Jan Baudouin de Courtenay, język urzeczywistnia się czy też realizuje tylko w takim razie, gdy system wyrażających go symboli jest zrozumiały dla słuchaczy, względnie dla czytelników. To samo akcentuje Urban, wskazując na dwa warunki zrozumiałości (conditions of intelligibility), stanowiące konieczny warunek do nawiązania łączności językowej (medium of communication): wyrażanie się mówiącego (expression) przy pomocy symboliki językowej oraz towarzyszące mu rozumienie tej symboliki (understanding) słuchających. Tę swoją tezę rozciąga Urban również na zagadnienia sztuki, twierdząc, że i w tej dziedzinie urzeczywistnienie się następuje na gruncie estetycznego porozumienia się (aesthetic community). Stoi więc Urban wyraźnie na stanowisku, że artystyczna ekspresja pozostaje bez znaczenia, o ile nie towarzyszy jej rozumienie (rozszerzmy to na pojęcie "reakcji" czy "oddźwięku") — ze strony odbiorców, widzów, słuchaczy itp.

Na tej zasadzie opiera się właśnie więź spirytualno-socjalna, łącząca baśniarzy i innych opowiadaczy ze środowiskiem, w jakim "urzeczywistniają" oni swe wizje przy pomocy słowa. Wizje rozumiałe dla słuchaczy, wizje na jakie oni reagują bezpośrednio, jak to przecież wielu z nas mogło stwierdzić nie tylko podniecając opowiadaczy w rozsnuwaniu wątków, lecz wtrącając

do opowiadania nowe, znane sobie lub tworzone przez siebie motywy.

Dlatego też nie możemy poprzestawać, organizując systematyczne badania nad prozą ludową, jedynie na zapisywaniu poszczególnych pozycji z ust bardziej wybitnych opowiadaczy. Musimy natomiast docierać i wzywać się w otoczenie, jakie nie tylko ukształtowało ich artystyczne oblicze i na jakie oni wierzą z kolei swój wpływ, lecz które stanowi nie wysychające źródło ich natchnienia. Każdy bowiem artysta i każdy opowiadacz jest złączony ze swym "rodzimym" audytorium wspólnymi treściami kultury.

Te wspólne treści kultury, należące w omawianej przez nas dziedzinie do języka prozy poetyckiej nie stanowią elementów izolowanych od innych więzi, spajających jednostki w większe lub mniejsze grupy społeczeństw ludzkich, lecz są jednym z elementów, składających się na całość kształt danej kultury.

Wszystkie podobne grupy, przede wszystkim zaś grupy złączone długą etniczną, narodową, czy państwową historią, względnie historią innego współzycia, wytwarzają łączącą ich psychosocjalną atmosferę, w której przechowują się, kiełkują i rozkrzewiają wierzenia, prądy, myśli, twory tej lub innej sztuki itp.

Dlatego właśnie, chociaż oczywiście utalentowani opowiadacze, tak jak i inne jednostki twórcze, stanowią czynnik dynamiczny i rozstrzygający o charakterze sztuki, każdy badacz prozy ludowej powinien zdawać sobie sprawę ze stylu i treści kultury środowiska, w jakim się baśniarz obraca. Ze środowiska, które słucha jego baśni i które było i jest współtwórczym elementem, dostarczającym tworzywa artystycznego, stanowiąc złoże, przechowujące tradycje i potencjał kultury.

Stąd więc np. wiele spośród wątków i motywów baśniowych, technicznych w odczuciu ludzi, nieznanymi danego środowiska, egzotykiem — w życiu niektórych ludów lub grup społecznych wiąże się bezpośrednio z biegiem ich dni zarówno codziennych jak i świątecznych, występując np. w zabiegach magicznych, w obrzędowości i w innych tradycjach obyczajowych. Ulegają i one oczywiście w baśni, podobnie jak i inne jej elementy intensyfikacji w języku poetyckim, lecz w gruncie rzeczy symbolika ich jest bliska, jasna i nie tak fantastyczna dla tych, co jej między bajki nie włożyli. Wiedziałam o tym dzięki moim doświadczeniom etnograficznym, robionym podczas badań terenowych w Polsce, przekonałam się o tym jeszcze bardziej, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie.

Tak więc często występujące np. w baśniach zakazy: nie oglądania się poza siebie (Krzyżanowski T. II. 681), odcinanie trupowi głowy, ażeby nie straszyl (Krzyżanowski T. II. 307), skrapianie wodą (życia) lub krwią (Krzyżanowski T. II. 711, T. II. 458) dla ożywienia zmarłych, uderzanie gałęzią lub innym uosobieniem sił witalnych w przyrodzie, kreślenie wkoło siebie kół magicznych, broniących dostępu złym mocom (Krzyżanow-

ski T. II. 372), zdobywanie talizmanów i wiara w ich moc tajemną — wszystko to należy do składników kultury o wielkim zasięgu w przestrzeni i w czasie, stanowiąc również w baśniach wątki lub motywy. To samo powiedzieć można i o wierze w moc magiczną słowa (Krzyżanowski T. II. 593), zwłaszcza formuł niejasnych, niezrozumiałych. Zresztą czasy obecne zdają się potwierdzać prawdziwość tej wiary, wykorzystywanej przez propagandę hipnotyzującą np. przy pomocy radia i gdzie indziej głoszonych haseł, programów, frazesów — tzw. "masy". Możemy też omal że na każdym kroku obserwować upajanie się magicznymi, bo nie przemyślanymi słowami i działanie pod ich wpływem, nie tylko tzw. półinteligencji, lecz tzw. intelektualistów. Magia słowa w coraz to bardziej zastraszającej ilości, dzięki coraz sprawniej działającej technice drukarskich maszyn rotacyjnych, święci chyba teraz największy ze swych triumfów, zaciemniających pole widzenia prawdy. Śmiejemy się np. z tego, że w niektórych baśniach (Krzyżanowski T. II. 676, nr. 22) zamiast: "Otwórz Sezamie" — powiadają na skutek zniekształcenia obcego, niezrozumiałego wyrazu: "Otwórz się Zuzanno". Mijamy natomiast, i to jakże obojętnie, zarówno nieświadome jak i zbyt często świadome przekręcanie znaczenia wyrazów przez czarnych magików różnych propagand!

Po tej dygresji wracam do rzeczy. Oprócz znajomości symboliki, łączącej tematykę baśni z praktykami magicznymi i z innymi składnikami kultury, musimy wnikać w otoczenie baśniarza jeszcze z jednego względu, chcąc poznać i uświadomić sobie typologię wątków i form je wyrażających, gnieźdzących się w głowach ludzi, wśród których i dla których jednostki bardziej utalentowane improwizują, tworzą, czy też przetwarzają swe opowieści. Tymczasem, jak dotąd bardziej systematyczne studia nad tradycjami mitologicznymi i wierzeniami prowadzili w terenie folklorysty, czy też w ogóle etnografowie, badający oblicze etniczne danej grupy ludzkiej. Stając jednak na stanowisku systematki baśni na podstawie wątków, jakie zajął w ślad za fińskim uczonym, Aarne Antti, prof. Julian Krzyżanowski, nie powinni omijać i "baśniologowie" zwierzeń, wynurzających się nawet z najbardziej koszlawo poruszających się ust i ujętych w najlapidarniejszą i najprymitywniejszą formę słowną, o ile zawierają one w sobie składniki baśnio-twórcze, dotyczące np. "diabelskości" jaszczurki i innych o niej wiadomości, "domów nawiedzanych" itp. Musimy wysłuchiwać "plotek" o sąsiadach święcących np. w listopadzie dwukrotnie "Dziady", ponieważ sami, będąc wyznania katolickiego, nie mogą obrazić swych własnych przodków. Z drugiej natomiast strony muszą się starać o poparcie antenatów poprzednich właścicieli sadyby, — prawosławnych (okolica Wołkowyska). Bo: "Jedne i drugie dziaduki, nie zaproszone na kucię, mogliby się pogniewać i sprowadzić biedę".

Zgodnie z podziałem Urbana, znakomitego badacza symboliki językowej, występują wśród słuchaczy dwa typy. Obydwa stanowią źródło badań o tym samym znaczeniu poznawczym, chociaż pozornie postawa ich w stosunku do tematyki baśniotwórczej jest różna.

Do jednej z nich należą ludzie o postawie idealistycznej, — do drugiej ludzie o stosunku sceptyczno-pozytywistycznym. Charakterystykę obydwu typów podaję tu, ilustrując ją paru przykładami zaczerpniętymi z mego doświadczenia.

Pana A. T., woźnego w jednym z seminariów filozoficznych Uniwersytetu Warszawskiego, cechowała postawa idealistyczna wobec życia i w ogóle "dobra wiara". Był on słuchaczem entuzjastycznym baśni, zwłaszcza opowiadanych z talentem przez żonę, i wierzył w ich "prawdziwość". Lubił zwłaszcza bajkę o kogutku, lisicze i kocie. Nie wątpił, że kot, złożony w kosteczki kogutka, wskrzesił go, że kogutek zatrzepotał skrzydełkami i zapiął. "Ale (tu następowało załamanie się wiary) — to już Józefa, nieprawda, żeby oni mogli we dwóch zjeść rosół z tego samego kogutka, ugotowany przez lisiczkę. Tego nigdy nie było i nie będzie, aby ktoś mógł zjeść rosół ze siebie ugotowany". Widocznie i dobra wiara "idealisty" ma swe granice!

Pan N. W. był sceptykiem - pozytywistą, przypominającym wielu ludzi pewnych swej trzeźwej postawy wobec życia, ale nie raz wpadających w pułapki w wyniku zbyt wielkiej ufności w swe "realistyczne" podejście do rzeczy.

Działo się to w roku 1930 na Podlasiu. Rozmawiałam z kobietami o jakiejś "pani farmazonce", ukazującej się na rozstajach, o czarownicach odbierających krowom mleko itp. Gospodarz kpił z tego babskiego gadania, mrugając do mnie porozumiewawczo okiem. Postanowiłam wypróbować granice jego postawy pozytywistyczno-sceptycznej i zapytałam: "A czy są u was, gospodarzu, wilkołaki?". Trafiłam celnie. Gospodarz zbladł i mówił głosem przyciszonym: "Sąsiad jest wilkołakiem i robi mi wielkie szkody. W zeszłym roku zagryzł mi owcę. Wiedziałem od razu, że to nie zwyczajny wilk! Inny sąsiad sam wdział tego wilkołaka, jak sobie za gumnem pasek naokoło szyi okręcił i pognał wilkiem". — "A czy pan do sądu nie podał na niego za szkody w dobytku?" — zapytałam, wiedząc, że gospodarz lubił się prawować. Pozytywista się stropił: "Pani wie, że nic by z tego nie wyszło. Nie uwierzyliby i tylko by wyśmiali". Otumanienie trzeźwego rozumu i schwytnie go w krag myślenia magicznego pod wpływem nienawiści do sąsiada, stąd uwierzenie w puszczone oszczerstwo. Wypadek nieodosobniony, lecz dobrze znany wszystkim środowiskom.

Ponieważ ludzie są ludźmi, a więc psychicznie bardzo różniczkowanymi indywiduami, stąd owe ich dwie kategorie, wyodrębnione przez Urbana, nie wyczerpują wszystkich typów słuchaczy i miłośników baśni. Trudno jednak w tym artykule poświecić więcej im miejsca.

Wpływ baśni na styl człowieka

Pragnę zwrócić uwagę na zjawisko stylizowania się niektórych osobników pod wpływem koncepcji literackich. Spotykamy się z nim w różnych środowiskach i wiemy, do jakich wyników prowadzi literatura budująca lub kryminalistyczna, oraz utwory nawet utalentowanych pisarzy, lecz oddziaływujących rozkładowo na konstytucje mniej odporne psychicznie.

Kulturolog, dążący do zorientowania się w tradycjach prozy poetyckiej może i w tej dziedzinie zrobić również spostrzeżenia, rzucające światło na żywotność tych lub innych wątków w obserwowanym przez siebie otoczeniu. Tak więc np. Antonina Czarniecka wędrowała po świecie z czaszką pewnego braciszka. Wybrała ją sobie w lochu jednego z klasztorów, bo jak mówiła "Szczęście mi przynosiła" (Por. Krzyżanowski, T. II. 470).

Inna ze znanych mi pątniczek, Zofia Szafran, rodem spod Poniewieża, oznajmiła słuchającym ją ze zgrozą koleżankom, że pragnie być ciągniona przez wielbłąda w worku na miejsce wiecznego spoczynku.

Po przerobieniu żywotów św. Menasa, w związku z moimi studiami świętojerskimi, dowiedziałem się, że ten święty kazał sobie w taki sam sposób pochować. Ponieważ sprawdziłem również, że Szafranówna przyjaźniła się z jerozolimskimi Koptami, wśród których św. Menas jest popularny, więc jak z tego wynika, uległa wpływowi wątku podania i pomysł pogrzebu nie był oryginalny.

Czasem można się też natknąć na zwroty, zdradzające znajomość baśni, lub jednego z jej wątków, nawet wówczas, gdy obiekt naszego poznania świadomie nie chce się zdradzić z tą znajomością.

Tak więc np. Maria Świdarska, rodem spod Radomia, po przyjeździe w wietrzny dzień do wsi Kiena Sławińska pod Wilnem, twierdziła: nic inszego, aleśmy zajechali do krainy Wiatrów. Wiatry tu wieją ze wszystkich stron i na północzemy z Warszawy jechali". Nie chciała się jednak przyznać do tego, aby "jej kto jaką bajkę, czy gadkę" o Krainie Wiatrów opowiadał (por. Krzyżanowski, T. II. 695).

Antonina Czarniecka ujawniła wbrew swej woli, że znała baśń o Kumie-Śmierci, popularnej w Lubelszczyźnie, skąd pochodziła. Twierdziła uparcie, że jako tercjarka nie słuchała głupich bajek, czytając tylko "Święte Książki i Żywoty".

Siedzieliśmy kiedyś razem na balkoniku, przylepionym do murów Casanowy, patrząc na malutkie kopułki oraz na kamienne podwórka pobliskich domów i na horyzoncie majaczącą Wieżę Dawida na tle góry Syjon, na której cmentarzu pozostawiliśmy tyłu bliskich nam ludzi. Zmierzch zapadał szybko tak, jak zwykle na tej dalekiej już od nas ziemi. Szara chustka

na głowie miłego gościa i jej szara pelerynka jeszcze bardziej spopielały, a żyłaste choć drobne ręce, jeszcze bardziej hieratycznie się skrzyżowały. Wyglądała jak cicha "śmierciczka", wpatrzona w zegar na wieży patriarchy wybijający jedną z przednocy godzin. Zawtórował mu matowy i smutny głos Antoniny: "Nic już nie pomoży, choć kryncu ty zygary i wircu tu wywty strony tu wywty. Czasu wciunż mniej i mniej".

Może tylko tę zwrotkę z baśni o kumie śmierci (Krzyżanowski, T. II. 332) znała Antoninka, może o baśni chciała zapomnieć? Nie pomogło to jej, bo wkrótce po tym Jerozolimskim wieczorze kuma śmierć zaszła jej drogę, gdy wsiadała do autobusu w Betlejem, gdzie po raz ostatni pokłoniła się Dzieciątku w Dzień Bożego Narodzenia.

Placówki badań w terenie

Zrobiłam przegląd tak wielu ludzi, aby unaocnić jak bogatym zróżniczkowanym i trudnym do poznania jest bezpośrednie źródło baśnioznawstwa: baśniarze-artycyści, ich otoczenie i w ogóle różni opowiadacze, "skarbcze tradycji". Wiązą ich wspólne wierzenia i wspólna "spuścizna literacka", lecz różnią cechy indywidualne ich własnej osobowości. Prześwieca ona przez system tych lub innych symboli (językowych, plastycznych itp.), stanowiąc jednak poza tym świat zamkniętej w sobie rzeczywistości, rzeczywistości człowieka, "istoty nieznanej". Z wagi tego faktu powinien zdawać sobie sprawę każdy prawdziwy humanista, widząc, że człowieka i wyniki jego dążeń twórczych jeszcze trudniej jest zamknąć w rubryki schematów klasyfikacyjnych, niż inne zjawiska bytu.

Ta właśnie różnorodność indywidualności ludzkich, przekazujących nam swe tradycje i nie zawsze, nie w każdej chwili, ujawniających swe wiadomości, swój talent literacki i przebliski swej mniej lub bardziej bogatej imaginacji, prowadzi do wniosku, że doraźne zapisy i chwytania na wałki fonograficzne najlepiej wytypowanych opowieści, w toku najlepiej technicznie zorganizowanych ekspedycji "bajkologicznych", nie mogą zapełnić kartotek archiwalnych istotnie cennym i bogatym w swej jakości i ilości materiałem naukowym.

Dlatego też, jeśli chodzi o poznawanie baśni w terenie i ich zbieranie, podobnie jak i innych zabytków ustnej literatury, to powinny być organizowane, tak jak się rzecz miała np. w Finlandii przed ostatnią wojną, ośrodki badań w terenie, połączone siecią korespondentów ze swymi ośrodkami kierowniczymi oraz ekipy specjalistów, przebywających przez dłuższy czas w tej samej miejscowości.

Czasem jeden człowiek może stanowić niezmiernie cenne źródło poznania, o ile dłuższy okres czasu pozwala nam na za-

warcie znajomości, dającej nam możność głębszego wniknięcia w zasób charakteryzujących go treści kultury i w jej styl.

7

Zróżdła pośrednie baśnioznawstwa i ich pierwsza w nauce polskiej systematyka.

Zgodnie z wypowiedzianym przeze mnie w I-ym rozdziale artykułu określeniem baśni jako charakterystycznego tworu języka mówionego oraz jej cech, bezpośrednio z faktu tego wynikających, najważniejsze źródła baśnioznawstwa stanowią źródła bezpośrednie poznania. Dlatego też im poświęciłam tyle miejsca oraz zagadnieniom z nimi związanym.

Baśnie zapisane, schwyczone na walek fonografu, rozsegregowane w archiwach, a następnie wydrukowane czyli oderwane od swego rodzimego środowiska, stają się źródłami pośrednimi.

Doczekały się one obecnie poważnego przepracowania, jakie będzie miało znaczenie i dla badań nad baśnią, bajką i podaniami polskimi i międzynarodowymi. Mam na myśli książkę, którą kilkakrotnie już wspominałem w toku naszych rozważań, uwzględniając w nich również numerację typologiczną wątków, przyjętą przez autora. Jest nią "Polska Bajka Ludowa w układzie Systematycznym" Juliana Krzyżanowskiego (Warszawa, 1947, wyd. Instytutu Literatury Ludowej, Tow. Nauk. Warszawskiego i Seminarium Literatury Polskiej Uniw. Warsz.).

Książka Krzyżanowskiego ułatwi pracę uczonym różnych dyscyplin kulturologicznych, chociaż, jak autor skromnie zaznacza, systematyka jego jest dopiero wstępem do istotnie naukowych i prowadzonych samodzielnie badań i nie może zastąpić poznawania poszczególnych baśni w tekstach.

Składa się ona z dwóch tomów. Pierwszy poświęcony jest bajce zwierzęcej, zawierając skrót jej wątków. Poprzedza go krótki wstęp charakteryzujący historię badań nad baśnią i bajką w Polsce oraz bibliografię przedmiotu. W drugim znajdujemy przegląd typologiczny wątków baśni magicznych, skorowidz miejscowości, z jakich baśnie pochodzą, skorowidz autorów i źródeł dotyczących wersji literackich.

W klasyfikacji swej trzyma się Krzyżanowski systemu szkoły fińskiej, wprowadzonego przez wielkiego lińskiego uczonego Antti Aarne²⁴) i uzupełnionego przez Stith Thompsona²⁵). Aarne podzielił całość materiału w schemat liczący 2.500 pozycji, składający się z trzech grup podstawowych: I — Bajki zwierzęce (Fabulae, fables, Tiermärchen), II — Bajki właściwe, inaczej baśnie (contes de fées, fairytales, Märchen), połączone u niego

24) Verzeichniss der Märchentypen, 1911, FFC, N. 3.

25) Aarne Antti: The Types of the Folk-tale a classification and Bibliography, Translated and Enlarged by S. Thompson.

z legendami, podaniami, nowelami i humoreskami, III — Kawały i anegdoty. Wątki należące do pierwszej grupy posiadają numerację od 1 — 299. Druga grupa zawiera numerację od 300 do 1199 (od Nr. 300 zaczyna się tom 2-gi pracy Krzyżanowskiego). Trzecia, typy literatury tradycyjnej, oznaczone numeracją od 2000 do 2400.

System Aarne-Thompson (— ATH) przyjął się w bajkologii współczesnej, stając się kluczem międzynarodowym. Zinventaryzowano według niego bajki fińskie, estońskie, lapońskie, norweskie, fińsko-szwedzkie, flamandzkie i liwońskie, ogłoszone w 100-tomowym znakomitym wydawnictwie Akademii Fińskiej: Foklore Fellows Communications (— FFC), centralizującym wyniki badań naukowych na tym polu.

Pomimo tego, że polski materiał bajko i baśnioznawczy dotąd zapisany, (nie mówiąc o prozie ludowej dotąd nie zebranej), podobnie jak i zabytki innych form prozy literackiej jest bardzo bogaty i już na początku wieku XX-go składało się na niego 6000 pozycji²⁶) — nie prowadzono nad nim systematycznych badań. Dla tego też książka Juliana Krzyżanowskiego ma znaczenie przełomowe w historii badań w tej dziedzinie kultury polskiej. Pomagała mu w tej trudnej i wymagającej ogromnego wkładu i żmudnej pracy, żona i współpracowniczka, śp. pani Irena Krzyżanowska. Został jej poświęcony II tom wydawnictwa, który ukazał się już po jej zgonie.

8

Kierunki badań nad baśnią i bajką ludową

Baśń, jako twór swoistej literatury, a więc jako specjalny przedmiot poznania, wymagająca znajomości specjalnych metod badawczych, interesowała filologów, historyków literatury, folklorystów i etnografów. Dają się tu wyodrębnić dwa główne kierunki badań: kierunek genetyczny i kierunek fenomenologiczny. Pierwszy z nich ma na celu wyjaśnienie pochodzenia baśni, względnie jej zasięgu w czasie, w przestrzeni, w tych lub innych środowiskach ludzkich. Kierunek ten panował w wieku 19-tym i obecnie przeważa w baśnioznawstwie, podobnie jak i w innych dziedzinach badań nad literaturą, w historii sztuki, jak też w innych dziedzinach kulturoznawstwa.

Wyniki badań genetycznych stwierdziły daleko sięgające w głąb czasów związki polskiej prozy tradycyjnej, a więc i baśni z ośrodkami kultur innych ludów, np. starożytnego Wschodu i jego różnych ognisk cywilizacji, z antykiem, ze średniowieczem, z renesansem, określając drogi, jakimi w epokach bardziej odległych i najnowszych dostawały się te różne składniki do kultury Polski.

26) Seweryn Udziela: O potrzebie zestawienia i uporządkowania opowiadań ludowych, Lud, 1905, II.

Kierunek fenomenologiczny charakteryzuje raczej baśnioznawstwo wieku XX, podobnie, jak i inne dziedziny kulturologii. Rozwój językoznawstwa i jego osiągnięcia wywarły wpływ na badania nad baśnią jako nad tworem psychosocjalnym, wyrażającym się poprzez żywe, mówione słowo.

Studia fenomenologiczne mają na celu zrozumienie istoty baśni ("quid quod est" średniowiecznego realizmu), jako specyficznego tworu imaginacji oraz wytłumaczenie jej struktury semantycznej oraz struktury formy, jaka ją wyraża. Stąd wpływa nacisk, jaki kładą przedstawiciele tego kierunku na rozbudowę typologii w poetyce tradycyjnej i w związku z tym na klasyfikację²⁷). Dla tego też w badaniach nad utworami mówionej prozy poetyckiej ostro przeciwstawia się baśni legendom, podaniom. Cel, w jakim się baśnie opowiada wyciska piętno swoiste na jej formie, zupełnie innej w swej strukturze niż mają ją podania i inne rodzaje prozy ustnej.

Kierunek fenomenologiczny nie odrzuca oczywiście badań nad historią baśni, lecz zagadnienie ich genezy, chronografii, geografii itd. uważa również za jedno ze swych zadań, wyjaśniających strukturę i ułatwiających w ogóle ich zrozumienie jako elementu twórczości artystycznej danego ludu. Zarówno czas jak i przestrzeń stanowią przeciwieź czynniki, których każdy twór kultury ludzkiej jest jedną z wypadkowych.

9

"Ludowość" Baśni.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. J. Krzyżanowski nazwał usystematyzowane przez siebie baśnie "ludowymi".

Nie wiem, czy termin ten odpowiada, kryjącej się pod nim treści i czy bracia Grimmowie nie mieli raczej racji, nazywając zebrane przez siebie baśnie: "Kinder und Hausmärchen"? Baśnie "ludowe" są, jeśli chodzi o ich pochodzenie, obieżyświatami, a w domach inteligentnych chłop oszukujący diabła jest jedną z najpopularniejszych postaci. Należą więc baśnie do składników kultury ogólnopolskiej. Baśnie polskie są polskie, bo się je opowiada po polsku, dostosowując je do gustu słuchaczy Polaków. A może przymiotnik "ludowy" w tytule książki Krzyżanowskiego posiada to samo znaczenie, co pokrewny mu rzeczownik "lud" w odezwach patriotycznych, zwracających się np. "Do Ludu" Warszawy, czyli do wszystkich jej mieszkańców? W takim razie autor bliższy jest prawdy.

C. BAUDOUIN DE COURTENAY JĘDRZEJEWICZOWA

Prof. U. J. P. w Warszawie.

Czuwanie i stypa

Otworzył drzwi od klasy tercjan, wysoki, niewyraźny i z włosami przystrzyżonymi na jeża. Całe swe życie spędzał w małym pokoiku koło furty i nikt go właściwie nie znał.

Powiedział że czeka na mnie ojciec.

I kiedy pobiegłem szybko korytarzem i zbiegłem po schodach i poniżej klatki schodowej z jedną oszkloną ścianą była poczekalnia dla odwiedzających, z wyszlizganymi ciemnymi krzesłami, figurką malowaną z gipsu madonny i kropielniczką przy drzwiach.

W głębi, pod lampą, stał ojciec, wielki i tęgi w zimowym palcie i twarz miał w cieniu i jedynie blask na wysokim, wyłysiałym czole. Na poręczy krzesła leżał przerzucony szal i kapelusz mokry od tających płatków śniegu.

W poczekalni było zimno.

Patrzyłem pytająco na ojca i ojciec zrobił krok w moją stronę i jakby uważnie się wpatrywał, jakby szukał czego w mej twarzy i chciał coś poznać. Wziął mnie za obie ręce i niecierpliwie przyciągnął do siebie. Potem powiedział:

— Zbieraj się. Pojedziesz ze mną. Babka umarła, pojedziesz ze mną na pogrzeb.

Potem dodał:

— Mówiłem już z Rektorem ażeby cię w szkole usprawiedliwiono.

Potem ojciec usiadł na krzesło, które sobie przysunął i znów mi się przyglądał. Dziwna i niezwyčajna tkliwość ojca, ostentacyjność tego, zmroziła mnie trochę. Jako że nie demonstrowało się w domu czułości, jako że każdy szanował i nie penetrował terenu drugich, że był nieumówiony kod na zbliżenie i porozumienie, więc słaba manifestacja ze strony ojca wzruszenia i strapienia i bólu z powodu śmierci babki, zahamowała mnie i popsowała mi radość, że widzę ojca.

Ale usiłowałem taktownie dostosować się do sytuacji. Zacząłem sobie przede wszystkim przypominać i uświadamiać sam fakt śmierci babki. Babki prawie nie znałem, słabo przypominałem sobie jej twarz, zbiegłą w siateczkę zmarszczek i czarne, bardzo czarne oczy i ręce, ręce z gałkami żył na wierzchu dłoni.

²⁷) Por. Zygmunt Łempicki: *Podania o bohaterach*. Warszawa, 1926 (?). Niestety, nie mogę ustalić roku wydania.

Uważałem, że muszę się dostosować do sytuacji i byłem trochę zbuntowany przeciw temu przymusowi, że nie dano mi ochłonąć wobec tego zjawiska, wobec tego zwiastowania śmierci, ale byłem także zaszczycony, że liczę się w rodzinie już jak dorosły członek, któremu należy się to ażeby brał udział w oficjalnym i ceremonialnym nabożeństwie pogrzebu. Tak niebywale połączone to było z wyjazdem, wzięciem rozbratu ze szkołą, konwiktem. Żal mi także było ojca, który był jednak bardzo inny i złamany.

Ojciec wziął mnie przede wszystkim na późny obiad do Naf-tuły, gdzie mieliśmy się najęść przed nocnym pociągami z Podzamcza. Postawiono przede mną talerz z olbrzymim kotлетem wieprzowym, na stole leżały tekturowe podstawki pod kufle piwa i musztarda i pieprze rozmaitych kolorów, ojciec wypił jeden, dwa, trzy kieliszki wódki, i teraz w jaskrawym świetle lokalu widziałem jak zmęczone ojciec ma oczy. Na ścianach knajpy były duże obrazy w mahoniowych ramach, wyobrażające jelenie na rykowisku, płaszcze zimowe pęczniały na wieszadłach w roku, tędzy jegomościę pili piwo i wódkę przy bufecie i kelner ścierał poplamiony obrus serwetą.

Dorożka zawiozła nas na Podzamcze i wkrótce siedzieliśmy w pociągu. Para syczała na złączach rur między wagonami i w jej obłoku, twardym jak wata, nie można było odnaleźć klamki wagonu. Wagon był napchany ludźmi i było w nim przyjemnie ciepło po zimnie jakie było na dworze. Potem był gwizdek konduktora i światła peronów przesunęły się przed oknami wagonu i potem nadpływały kolorowe światła semaforów i zwrotnic i odpływały i znów nadpływały i odpływały, potem dalej widać było światła i światełka domów przedmieść i pociąg nabierał rytmu i tętna.

Przypomniałem sobie inną jazdę z ojcem. Było to w czasie zeszłorocznych świąt Bożego Narodzenia, czy też dobrze już po świątach. Ojciec jeszcze w lecie w Domagałach, miasteczku leżącym o dwadzieścia kilometrów stąd, zamówił powóz u tamtejszego specjalisty powoźnika, powóz typu "faeton".

Otóż niespodziewanie po tych świątach przyszedł list od powoźnika bardzo lakoniczny i nota bene nieortograficzny.

"Panie Radco Wielmożny. Fajton już gotów.

Z poważaniem

Wincenty Papierski."

Następnego dnia założono do starego wózka i ojciec wziął mnie i wyjechaliśmy po śniadaniu.

Jechało się do tych Domagał gościńcem, który szedł prosto jak strzelił w kierunku na południo-wschód. To było w odwilż przed ponową i stary śnieg, który w ciągu ostatnich ciepłych dni szybko wytajał, porozlewał się po obu stronach gościńca w niezmierzone tafle wśród pól i wierzby, ogołoczone z liści i czu-

pierzące się po miedzach odbijały się w czarnych wodach rozlewisk i potopów. Wody te w czasie nocnych przymrozków zamarzały lodowiskami pokrywającymi gładko i szklanie brzozy i skiby pól i dziwnie było patrzeć na tę pustac, szkłaność, tam gdzie pod spodem winny być oziminy i oziminy.

Wózek turkotał wartko po szutrze bitego gościńca i konie szły klusem, zabawnie bo czasem ostro i unisono, czasem ten tupot i klask kopyt przemieszał się, bo podręczny wałach miał krótszy zkracza.

Wrony i kruki przechadzały się po gładkim lodzie lub zrywały się ciężkim łopotem skrzydeł ażeby usadowić się wśród gałęzi topoli przydrożnych i spędzić te, które tam już siedziały. Słupy telegraficzne nadbiegały monotennie, brzęcząc jak harfy. W lewo poza fałdą widoczne były szczyty chałup i nieutrzymana droga odbiegała od gościńca w stronę tego osiedla, a tam gdzie dobiegała do gościńca była tablica na słupie i na niej było wypisane: Gromada Dołęż, Gmina Batiatycze.

Ojciec powiedział do mnie:

— Wiesz skąd to się nazywa Batiatycze?

Nie wiedziałem, więc ojciec objaśniał.

— Jak raz Król Sobieski polował w tych stronach, a były tu przedtem lasy ze ho-ho — takich już teraz nie ma — to zabłądził. Szukali go wszędzie, na wszystkie strony i nie mogli znaleźć aż w końcu taki młody kozaczek miał szczęście i nadybał go i tak się tym przejął i wzruszył, że na widok królewski wybuchnął płaczem. Ma się rozumieć, ujęło to bardzo króla, i w nagrodę uszlacheił go, mówiło się wtedy nobilitował i powiedział, że za majątek może sobie tyle ziemi wziąć z tych lasów ile zdąży w zamkniętym kole objechać w ciągu dnia. No to ten kozaczek wziął sobie konia, na drugiego wsadził takiego działydę i jucznego konia dał obładowanego wiechami, tykami do wyznaczania granic i wioo! I co ujechał to wołał do swego pomocnika: Batja! Tyczy! i ten wbiął znak i dalej. I od tego wołania Batja tyczy! zrobiło się Batiatycze. Rozumiesz?

Rozumiałem. A właściwie rozumiałem i nie rozumiałem. Kompozycja i rytm opowiadania bawiły mnie, ale zaraz obudziła się we mnie czujna nieufność. To nie jest życie, myślałem. To nieprawda. Życie nie jest ciągłym łańcuchem jakby skomponowanych frazesów, to by było za łatwe i nudne pewnie także, życie nie jest jednym ciągiem przyczyn i skutków, szeregiem przesłanek, z których wynikają ładnie zaokrąglone wnioski, ani też nie jest materiałem do funkcji ani też rodzajem monogramu. No to w takim razie to jest sztuka. Bałem się przymusu wynikającego ze sztuki. Dlatego że tak i tak mnie wychowano, że tak mnie nauczono, że nie pokazano mi tego a za to pokazano tamto, to jest się jak koń w szorach, w hołoblach i kieracie i okularach, odsłaniających pole widzenia w jednym tylko kierunku.

Po prawej stronie drogi, równoległe do niej, w odległości dwu kilometrów zaczynał się płaski pas wzgórz, Woroniaków, w głębi

zalesionych, bliżej łysych i strzępiących się urwiskami i krzakami głogu. Ich spokojne, niesymetryczne obłoki wydymały się pod niebem i cieniowały bladoniebieskim cieniem jakie niskie, zimowe słońce kazało im rzucać, jak powierzchnie matematyczne czwartego stopnia, puste i niezamieszkałe, obojętne i zimne, dalekie a bliskie, chciałoby się iść ku nim i wstępować po ich płaskich stokach i zajrzeć co jest za ich krawędzią — horyzontem i dać się zaczadzić nowemu horyzontowi i schodzić ku niemu po przeciwstoku i znowu iść, z pragnieniem w gardle za niewypowiedzianym co jest za tym nowym horyzontem, który zawsze będzie odskakiwać na zakłętą dystans.

Wózek turkotał usypiająco, pryskało błoto i roztajała woda pod klaskaniem podków końskich i zwolniło się pod pochyłą górkę a potem, jakby odkrył wieko pudełka, z góry ukazało się miasteczko Domagały i zaczęliśmy ostro zjeżdżać ku niemu.

A potem był warsztat pana Papierskiego i wśród wiórów, trocin, desek spiętrzonych na stos pionowo, obrobionego i na pół obrobionego materiału stał nowonarodzony faeton, świeży, pachnący pokostem, politurą, lakierem, szmelcowanym żelazem, rzemieniem, lakierowaną skórą, sztruksem i końskim włosiem, błyskający szkłem latarni i okuciem miedzianym, elastyczny, o pałakowatych kołach, z odbiciem promieni słońca na szprychach kół i z muszlami piast, z pudłem wyrobionym jak skrzypce i szlachetną, tapicerską robotą siedzeń, wałkiem na wysokim siedzeniu woźnicy, faeton.

Kiedy wracaliśmy, to gapie ubogiego rynku Domagał zaaprobowali nas jako apetyczny wydok na tle codzienności i jednakości miasteczka. Chudy żyd powroźnik powoli cofał się wzdłuż wąskiej szyi uliczki i wywlekał z konopnych paków jakie miał w przewiązanym w pasie worku, wyszarpywał konopne promienie koloru srebra i formował je w palcach w sznur, który nakręcał się i rósł w długość, w miarę tego cofania się a drugi koniec był zaczepiony do haka prymitywnego kręcidła, obracanego powolnym ruchem przez małego żydka o delikatnej twarzy i pejsach, zwieszających mu się wzdłuż uszu i spod małej jarmałki. To koło powroźnicze obracane rączką dziecka wydawało mi się że jest jedynym sensem, środkiem spraw wszystkich, nie mających ani początku ani końca, logicznych jedynie tym, że są dalej lub bliżej, że są koncentryczne do osi ubogiego koła powroźniczego, nasmarowanego dziegciem i obracanego rączką dziecka.

Ojciec obruszył się z zamyślenia i zapytał mnie:

— No, a jak tam ci u tych Zmartwychwstańców?

I nie czekając na odpowiedź pytał:

— A wiesz ty, kto ufundował ten zakład?

— Wiem, pewnie — powiedziałem — to Ksiądz Hieronim Kajsiewicz i Ksiądz Semeńko.

— Hm, — no dobrze.

A potem dodał: No Mickiewicz także, jakby nie było... Potem

ojciec umilkł i jechaliśmy w milczeniu. Nigdy wiele z ojcem nie rozmawialiśmy.

W przedziale było bardzo gorąco i jaskrawo od palących się gazowych lamp i ciasno od tłumu jadących. Ale nie mogłem zasnąć i patrzyłem na jadących współpasażerów, trochę inteligentów, baby z koszami i szwargocący żydzi. Za szybą była czarna noc, migająca w szybkim biegu pociągu i odbijały się w niej światła wagonu i jego wnętrza.

Ojciec siedział, nie nie mówiący, z przymkniętymi oczami i wydawało się że śpi-nieśpi. Potem pochylił się ku mnie i położył mi głowę na kolanach i wydawało się że zasnął. Coś mi ścisnęło gardło od tego, od tego że ojciec złożył swą głowę na moich kolanach, widziałem jego siwiejące włosy i żyły na skroniach. Było mi trochę wstrętnie od tego i niezwyčajnie, powtarzam nigdy nie było między nami rozczulających gestów i zbliżeń. Ale byłem bardzo zmęczony i odurzony podróżą.

Nawet nie wiem kiedy stanęliśmy na stacji przeznaczenia. Było już bardzo późno w nocy, a przed nami mieliśmy jeszcze długą drogę końmi.

Pod zajazdem stacji czekały sanie i chłop w baraniej czapie i kożuchu z sękatym biczyskiem i jeszcze ktoś przysiadł się do nas, na tę podróż. Na dworze było czarno od nieba i biało od śniegu. Włożono na mnie jakieś płaszcze z dorosłych osób, kilka takich płaszczy i bund, ojciec wciągnął na siebie olbrzymią szubę baranią, wyglądał w niej jak góra. Zagrzebano mnie w nogach siedzenia w słomę i przykryto po czubek nosa.

Sanie zasunęły zaraz po śniegu i ruszyliśmy. Naprzód jechało się od stacji gościńcem, białym teraz od śniegu w stronę miasteczka, słupy telegraficzne i ogrodzenia ogrodów niknące w nocy. Potem krótko miasteczko, z bardzo skąpymi światłkami o tak późnej nocy, potem przejeżdżało się koło młyna nad zamarniętym stawem i druga była gminna i krzywa. Było potężne zimno, mróz, ale cicho i jedynie od pędu sań w klusie zawiewało tym mrozem po policzkach i kłuło w nosie. Ciekawie wyglądałem spod mego przykrycia, już bardzo wytrzeźwiałem ze snu. Konie szły kłusika, nie poznawałem ich, były gniade i włochoate i nieznajome. Śmierdziało od nich końską stajnią. Jak z tyłu patrzeć na nie to zabawnie, tylko zady i iksy nóg szybko odrywających się od ziemi i wyżej widać strzygące uszy i parskanie. Małe grudki śniegu odrywały się od podrywanych kopyt i śmigały w tył i głuchy tupot po śniegowej warstwie jakby biegły w filcowych pantoflach i jedynie czasem lejcowy wałach, zaczepiając kopyta tylnych nóg, krzesał iskrę i dźwięczała sucho podkova. Czasem sanie szły w zatokę, kiedy wyslizgany lód pod śniegiem nie dawał oparcia bosym saniom i raz lub dwa szły całkiem w poprzek drogi i wtedy woźnica dzielał je batem po grzbietach i kłął: "A szc zob tebe..." i zmuszał do wyprostowania sztywnego dyszla. Słoma, w której mnie zagrzebano, kłuła mnie w uszy.

Jak patrzeć było w noc to nic nie było widać. W górze nieba, które było czarne i granatowe i mogło być bardzo wysoko albo tak nisko, że jak wyciągnąć rękę to można było dotknąć jego niskiego pułapu. A pole uciekało zaraz na krótki dystans i nie dalek. Czasem czernił się mijany krzak głogu, kolczasty i nagi. Czasem mijało się figurę kamienną, krzyż pobielony wapnem, tak bliski temu śniegowi, że prawie go nie było widać, a cóż dopiero mówić o wyrzeźbionych w kamieniu szczegółach. A ja sobie uprzytamniałem tam widziane za innych dni, kalwarię, bardzo niezdarnie w kamieniu wyrobioną, kiedy Chrystus skłania głowę w koronie cierniowej na ramię i głowa Jego i stojących na tym samym poziomie Marii i Jana Apostoła są nieproporcjonalnie duże w stosunku do tułowia i zeschnięte kwiaty adoracji z czasu lata i pracowity i koszlawy napis, wydłubany w piaskowcu: Христа Господа Мука Сьвята

Nie było drzew, nie było ich w tych bezdrzewnych stronach. Od Zborowa, przez Cecowę, Glinnę, Płauczę Małą, Płauczę Wielką, Taurów, Kozowę, Końskie, Popławę, kraj leżał płaski jak tarcza, pod łukiem nieba, otwarty i pusty, leżał polem, jednym oddechem jak ręką zatoczyć, jak okiem zamieść. Czasem urywał się urwiskiem jaru, w którym przeciekała rzeka, która wymyła go tysiące lat przedtem i płynęła teraz kapryśnie wybranym łożyskiem, ażeby z następną powodzią przenieść się w inne i zaróść szuwarem i tatarakiem. U urwisk jarów czepiały się wsie, jak zbiegłe do wody stadko gęsi. Chowały się w gajach konopnych i sterczały nad nimi kopuły cerkiewne i grusze o osiczynowych liściach.

Ale były to bardzo bezdrzewne okolice. Chaty lepione były ze słomianych okłotów i gliny, stodoły, wyplatano im ściany z chrustu i w miast ogrodzeń i płotów sypano wały, na których sadił się krzak kolczasty, dzikiej róży, głogu i jeżyny. Drzew nie było i budulec woziło się wozami z odległych powiatów i ceniono go na wagę złota, a w piecach palono słomianymi powrosłami. Na całą okolicę słynne dlatego były świerki przed domem mego dziadka. Dziadek zasadził je, jeszcze kiedy się tu zakładał i dom stawił i z tych małych świerkowych choinek po latach wyrosły czarne, samotne, widne z daleka na horyzoncie piramidy świerków, które czarne i żałobne w gorące lato, szarpane wiatrem jesiennym jak chorągwie, stały czarną piłą w pośrodku pól, na straży, urągawisko i pohybel zlistej pustce tego kraju.

Po jakimś czasie, zgubiliśmy drogę. Furman wstrzymał konie: "Hooou!" i zeszedłszy z sani podszedł ku przodowi i zasłoniły go konie, rozbiegany poprzednio dzwonek, zaczepiony u końca dyszla zajęczał raz i drugi samotnie i krystalicznie w ciemności nocy. Ojciec pochylił się z siedzenia i poszukał dłońmi w rękawiczne po śniegu i powiedział: "Skiby". Potem furman ujął konie za wodze przy pysku i zaczęliśmy nawracać, ujechaliśmy stępą kilkadziesiąt praków i znów zawrócił sanie

pod kątem 90 stopni. Było tak czarno, że dalej jak dziesięć kroków nie było widać.

Ojciec kazał mi wygrzebać się i biec koło sań. Śnieżku było niedużo tutaj, tyle że przykrywał skiby i potykałem się i było mi zimno, ale ojciec oglądał się na mnie i wołał: ruszaj się! i nagle zaczął kłać parobka od matyery ale tamten nic tylko prowadził konie przy pysku. Zaczęliśmy teraz podchodzić pod jakąś górę i dziwnie mi było z tą górą, bo były to strony bardzo, zupełnie płaskie i skąd znowu góra?

Dopiero jak ojciec w swej długiej baraniej szubie, zaplątał się w jej poły i upadł w śnieg przestraszyłem się. Nagle myśl straszna przeszła mi przez głowę: Zabłądziliśmy. Dotychczas nic, a teraz jak widziałem, że ojciec, taki wielki, olbrzymi w swej szubie, że uosobienie siły i upada w śnieg, to było zbyt wstrząsające. Zacząłem trząść się z dygotu i zimna, które dopiero teraz poczułem.

Wtedy także zaszedł jeden incydent, którego nigdy nie mogłem zrozumieć. Usłyszeliśmy w odległości, w dole, głos jakiś i jak było wyteżyc wzrok to można było dalej, w ciemnościach zobaczyć coś, plamę ciemną, która zdaje się była inną parą sani i widać tam było jakiegoś człowieka, postać chłopca, który w naszą stronę coś krzyczał i gestykulował. Byłem zmęczony, śpiący i nie mogłem ani tego zrozumieć ani pojąć. Mogłoby to być coś, w rodzaju tym, że inny człowiek zabłądził po nocy, albo też mógł to być ktoś kto nas naprowadzał na dobrą drogę i objaśniał. Czegoś innego trudno było dopatrywać się w tym, a jednak wydawało mi się, że ten człowiek w nocy zlorzeczył nam i wygrażał, ale co mogło być tego powodem, tego wygrażania i złości do zbłąkanych podróżnych, tego nie mogę pojąć. Może to urodziło się jedynie w wyobraźni niewyspanego i zmęczonego mózgu.

Potem byłem już tak zmęczony, że nie wiem dokładnie co się działo i jak wybrnęliśmy. Przypominam tylko sobie, jak sanie ślizgały się w poprzek skib i miedz, albo tarły po oziminach, lekko przysypanych śniegiem, konie zapadające w rowy, po brzuchy w śnieg jak gramoliliśmy się do sani i jak w końcu o późnej nocy zaczęły gałęzie świerków, przydmuchanych śniegiem i psy ujadające przed domem.

W domu było napalone i nieznośne gorąco i jacyś krewni i ludzie i jaskrawo od światła i zaraz zapakowano mnie do łózka, miałem trochę gorączki od tej jazdy i było przyjemnie od tej gorączki i od ciepła, głowa uciekła mi gdzieś w dół i nie wiedząc kiedy zasnąłem zmorzony.

A rano, zanim obudzono mnie i zanim ubrałem się to wszystko zbliżało się ku końcowi. Nawet czarna trumna stała już na zewnątrz domu, na ławie, przed czarnymi świerkami, oddzielającymi dom od drogi i przed nią stał pop, w wielkiej czarnej kapie, narzuconej na komżę, opinającej się na futrze, czytał z modlitewnika o złoconych brzegach i sięgał kropidłem do mie-

dzianego naczynia, trzymanego przez diaka. Na schodach domu, w przejściu, w bramie i na drodze czernił się tłum, chłopcy w kożuchach i baby w chustkach otulających im głowy. W samej bramie stał dziadyga oburącz trzymający drzewce wysokiej chorażki, czarnej i oszytej, obrzeżonej srebrną frendlą i na czarnym tle naszyty był znak trupiej głowy i skrzyżowane piszczele, jakie znałem z książek o piratach i co tam nazywało się "Jolly Roger" i tam przywodziło na myśl awanturę i przygodę a tutaj, chorągwiśko przyniesione z kąta zakrytych cerkiewnej, łopotalo się na wietrze, kiedy odnoszono trumnę na cmentarz.

Cmentarz był prawie o płot, pogarbiony chłopskimi mogiłami pod śniegiem. Chłopcy stali już tam także tłumkiem, mali chłopcy ześlizgiwali się z tych pagórków, gdzie spychali jeden drugiego ażeby lepiej widzieć. Czarna ziemia, wyrzucona przez łopate grabarza, mieszała się ze śniegiem. Pop zaciągnął: "Hospoody pomyyyyj...!" i wrony zerwały się z drzew akacjowych koło cerkwi. Niebo było białe jak mleko i ciemniało schodząc ku horyzontowi nad ośnieżonymi strzechami chat.

Potem wracaliśmy drogą do domu i była jakaś ulga, po tym zimowym dniu.

W domu przede wszystkim podano na tacy wódkę. Naprzód ktoś odkorkował butelkę ze sfebrną główką i porozlewał wódkę do kieliszków, których było tak dużo, że niektóre były innego kalibru, i trochę wódki się porozlewało. Na półmisku była także nakrajana kiełbasa i widelce i każdy jak chciał tak brał na widelec.

— Dlaczego styczeń się tak nazywa? — pytał tłustej żony pocztmistrza pan Fałdziński, geometra z Taurowa. Pan Fałdziński miał brodę i filuterne czarne i kaprawe oczka i wydłubywał zapałką kawałeczki mięska z tej kiełbasy spomiędzy popsutych zębów i filuternie patrzył na biust pocztmistrzowej.

— "...a bo w styczniu wilki się stykają, aha!"

Było gwarno i ciasno od ludzi, w piecach okropnie napalone, ale było to po tamtej ponurej chwili bardzo przytulnie i wesoło i chociaż byłem taki niedorostek, sam między tymi wszystkimi głośno gadającymi, to kręciłem się, unikając widoku ojca.

— Ho-ho-ho, ho-ho-ho! — grubym basem śmiał się ksiądz Czmoła, pop, który po zdjęciu aparatów cerkiewnych był dalej duży i tęgi, nawet bez futra, ale w swej wyświeconej na brzuchu sutannie, z czerwoną twarzą i roześmianą gębą był taki inny i ludzki.

— To się nazywało bardzo elegancko "pudretta" a to nie było nic innego tylko mielone, suszone gówno. Jak raz mieliśmy to w worku i deszcz trochę przykropił, Iwan przyszedł i sięgnął ręką w worek i powiada do mnie: "Ktoś nasrał do worka — pańie rządczo".

— Co panie, Szynda? Taż panie, jakbym panie tego waszego Szynde, panie, jakbym wziął go za nogi tłukł mu głową w po-

długę toby waszemu Szyndzie, panie, szóstka z portek nie wyleciała, panie, co pan, panie...

— ...to jemu już chałupa śmierdzi, a mnie nie śmierdzi, to ne daj Boże z Iwana pana...

— Radziłabym pani tylko do Czarnomskiego. Inni jeżdżą po doktorach albo do Lubienia, albo Buska, majątki tracą. Co się stało ze Stasiem Jaworowskich. Nie mogli mu poradzić i nie mogli, co się najeździli, do kliniki do Krakowa i do Wiednia jeździli. A Czarnomski przepisał mu tylko nacierania i dietę i żeby leżał w ogrodzie i patrzył na zielone. Tak patrzył na zielone, moja pani...

Mój wuj zniżonym głosem mówił do Stahrembergowej z Wielkiej Płauczy: "Te kraty trzymałem za oborą i ile razy matka je tam widzi, to zmiłujcie się, gryzie mnie, że ich nie postawiłem. A u Lenartowicza je zamówiłem w Zborowie, pięć lat temu. A teraz się postawi, podmuruje się, i krzyż postawię..."

"Swynia lubyt bołoto", nie udał się dowcip księdzu Czmołe kiedy nakładłszy gotowanej wędzonki, mieszał kapustę i kartofle na talerzu.

Powietrze było gęste od tytoniu, gorąca, zapachu potraw. Na rzeźbionym zegarze, u szczytu otworzyły się drzwiczki i drewniany ptaszek wyskoczył i w gwarze można było domyślić się tylko że wykukał pierwszą. Za szybami zielonymi widać było śnieg.

Jak jedyne jest w swoim rodzaju — zima. Jedyne i niesamowite, kiedy po rudej, fioletowej, rdzawej, sepiowej i ugrowej, rudej jesieni, przyjdzie jednego dnia śnieg. Kiedyś pamiętam, kiedy byłem w szkole podchorążych, w sieni przed wejściem do koszar, czyściliśmy rano po ćwiczeniach buty z błota, właściwie inni czyścili, bo ja byłem służbowym. To było akuratnie 1-go grudnia. Na dworze było czarno od błota, zimna i jesieni. I czerwone, ceglane mury koszar i czarny asfalt posadzek i smród koszarowy i udręka i przymus i fałszywy romantyzm służby wojskowej. Nadszedł dowódca baterii i zdenerwowany i ze ściśniętym sercem zameldowałem mu się jak było przepisane. Kapitan, sztywny prusak, w pozapinanym na guziki ciężkim płaszczu i z monoklem w oku i zaciętymi, oślinionymi wargami, zimno i sztywnie usiłował nawiązać rozmowę i było chłodno i dreszczowo w tym zimnym dniu. I wtedy w otwartych na ścieżaj drzwiach wychodzących na nijakie koszarowe podwórze, na tle pustki tego podwórza i cynobrowym tle ceglanym innych budynków, zawirowały pierwsze tej zimy płatki śniegu. I jak zakreśliło się od nich w powietrzu i jak na tle jasnego, mlecznego nieba zakreśliły się płatkami sadzy, a na tle ciemnym podwórza i błotnistej placu ćwiczeń zatrzepotały się pyłem, pudrem, pierzem białym to zrobiło się jak zwiastowanie i posłanie skądys, gdzie nam sprzyjają, gdzie uważają nas i myślą o nas i wiedzą że najgorsze z tego co ma się tutaj do przeżycia to beznadziejność tych samych rzeczy i mądrze i przychylnie i

kojąco i zamaszycie w tym, z taką fantazją sypnięto nam karnałowego confetti. Jak inaczej wydało się teraz wszystko, jak obiecująco i wesoło.

Prymus i lizus baterijny, wyprężył się służbowo i że to było akurat pierwszego grudnia, zameldował służbiście dowódcy:

— Zima zaczęła się regulaminowo — Panie Kapitanie — Tak jest!

Stałem z boku w swym ciężkim płaszczu, pozapinany w pasie i z podpinką pod brodą i było mi ogromnie dobrze i otucha od tego śniegu.

A potem to już wiecie jak to jest z tym śniegiem. Bywa że pada kapryśnie i z namysłem, obietnicą zamiecie po szybach i zamieni się w kupy drobnego gradu i rozleje w deszcz. Albo skleją się płaty duże i mokre i zimnym pocałunkiem siadają nam na kominach płaszczów, na mokrych płytach chodników, na oślizgłych od jesieni parkanach i gontach, na korze drzew, na grudzie drogi, na powiędłych resztkach grzęd ogrodowych, na sinych i pordzewiałych dachach domów. Albo przychodzi raz tak, że zaczyna padać i padać uporczywie, nieskończenie, i jak się przytula twarz do zimnej szyby to widać nie tylko kurzawę i rojowisko płatków, kapryśnych, kręcących się tam, tu, ówdzie, traci się poczucie czy lecą one z nieba na ziemię czy z dołu do góry, traci się wrażenie przestrzeni, czy ja jestem tu? czy ja jestem tam? gdzie te dalsze? mijają się, jedne białe drugie czarne, zarysy przedmiotów, drzew, domów zaciera się, zamglają, ludzie za nimi przemykają się ulicą jak konspiratorzy, ale nie umkną temu, bo naznacza i piętnuje ich i siada im na ramionach i garbach, zarzuca ich płaszczem i delią komicznej godności, zawisa im roztopioną kroplą u nosa, rozgwieżdża im się na rzesach umacza im wąsy w niesłodkich lodach śniegowych i zdziwionym, kiedy znajdują się w domu ukazuje na rękawie topniejącą gwiazdę kalejdoskopową, a każda inna i przemyślnie skryształizowana i niedościgną w swej nie-trwałości topniejącej.

Niech ten liryczny panegiryk dla śniegu pierwszego nie będzie mi poczytany za słabość na jaką zawsze sprowadzi nas solipsyzm, narcyzizm, kompleks samolubny, objawiający się ile razy tylko odwrócimy się w siebie samych, kiedy wydaje się, że najbliższy nawet temat, ale dotyczący naszego wewnętrznego wrażenia, będzie ważny i cenny. Wyciągam rękę i gładzę szybę, matową od mego oddechu i przez szpary między palcami przepływają ten śnieg syjący się za oknem, siejący się z klepsydry, którą odwraca i dla mnie i dla innych niewidzialna dłoń. Zapatrzeni ze wszystkich okien, podwórzy i placówek na których postawił nas los, odszukujemy się wszyscy w jej urzekającym ruchu. Patrząc w oczywisty, monotony, nieciekawny, banalny świat śniegu, spadającego w płatkach czaru, urzeczony i wstrząśnięty. Kładzie się od niego cisza i opatula nas, narzuca się oczywiste porównanie, wata. Wyjdźmy na próg i głosy u sąsiadów,

szczekanie psa na końcu ulicy i świst lokomotywy na końcu miasta, oszpułone są już i odizolowane puszystą błoną znanej nowości. Jak się wciągnie powietrze to dlaczegoś każe nam myśleć o tym, że ma inny zapach, dzicyzny, kiedy myśli się teraz o uroczysku, wydmuchowisku i zapomnianej kępie wśród nieużytków. Napędza nam ten zapach myśli nowe i zdziwione samymi sobą, jak w rauszu, kiedy wypije się szybko, raz po raz dwa kieliszki wódki.

Zadumani i zabawieni, schodzimy po stopniach a tu śniegu tylko na cal zaledwie ale już pozostają ślady naszych stóp, ostro i dokumentalnie odbitych i odtworzonych i patrzymy w nie zaskoczeni i zaalarmowani jak Robinson Cruoe na widok stóp ludzkich odcisniętych na piasku wybrzeża.

Goście się rozjechali i my także ruszamy. Widać przez gołe krzaki że tam już zaprzegli gniadą parę do sani, nic to że garść słomy na nich, czy grochowin.

Konie niechętnie i puszyste od zimowego włosa, ruszają noga za nogą i płożą sań czasem zachrobocą i zasuną po przysypanej śniegiem, zmarzłej, folwarcznej grudzie.

Oboje są wujostwo są z nami. "Jak będziecie mieli szczęście, no jak zajedziecie dobrze i nie spłoszy się, to będziecie miał lisa — Panie Dziu —"

To "panie Dziu", to ma być skrót od panie dobrodzieju i wuj tak sobie pokpiwając robi z siebie hreczkosieja i na staropolsko, bo w innych rzeczach zaprzecza temu, ale po domowemu to lubi sobie pokpiwać i dlatego nawet jak jest w humorze to mówi do żony przez "duszko". To także ma zajeżdzać dobroduszną staropolszczyzną.

W ogóle są jacyś inni i niecodzienni w czasie tej stypy i aż mi śmiesznie. Dzisiaj nawet, przedtem, to ich złapałem w kredensowym pokoju, gdzie smakołyki ze stypy stoją zimne, i porzkładane na półmiskach i we dwoje tam sobie coś ukrawywali i zjadali mleczkiem i było to niesamowite i niecodzienne, bo normalnie nie przywiązywali wagi do podniebiennych rzeczy a teraz w czasie stypy to pilnowali raczej gości ażeby jedli, to też ta ich milcząca komitywa nad półmiskami, w samotności, wydawała mi się i zabawna i tak jakbym przyłapał ich, niechcący świadek jakiejś poufałości małżeńskiej.

I wtedy także przyszedł ktoś z folwarku, był to może rządca albo może polowy albo któraś z dziewczek i powiedzieli o tym lisie. Zadziwiająca była ta droga wiadomości dochodzących do domu. Wydawało się, że w ciągu naszych rozmów lub milczenia, dom rezonuje powiedzeniami, wiadomościami, uwagami, które wypowiedane są w odległości pięciu kilometrów, że jeżeli coś się stało "na Popławach" albo przy kopach zboża, albo jak załadowywali buraki w Zborowie do lor na bocznicach, albo na plebanii ruskiej coś się mówiło, to te wieści przylatują z wiatrem i uderzają o membranę gontowego dachu lub odbijają się od

pudeł powozów w wozowni, albo odbrzęczają się od miedzianych kotłów gorzelni, albo wyją w centryfudze albo dyszą w miechach kuźni i w ten sposób zmieszane z potocznymi rozmowami dobiegają te wieści i posłania do naszej świadomości.

Przyszedł ktoś i powiedział, że lis wyszedł z jarów i myszkuje teraz za myszami koło stert, za "Czarnem". Stały tam i ciężkie i czarne pod dachami ze śniegu, na wyniosłym garbie od zachodu. Wśród pól, zaoranych lub zabronowanych pod oziminę, za niwami i miedzami długich poletek chłopskich, za wielkimi kwadratowymi akrami dworskich pól. Śnieg na polach leżał nierówno, skiby czerniły się długimi pasami, śnieżek leżał w ich załamaniach a dalej i biało i mroźnie i pomimo białego i pogodnego dnia jakby mgła, nie, mgielka i daleko ściana horyzontu.

Ruszyliśmy, ja wyczekując swej nagrody, wyobrażając sobie jak na tym pustkowiu, koło stert, lis myszkuje, jedyne słowo, kiedy wyobrazić sobie jak z nosem przy ziemi między tymi stertami pobiega, wlokąc za sobą kitę. Ślady tam tylko ptaszków małych, które tam kręcą się o niewiadomej porze, bo teraz o nich głucho, ślady ich łapek, jak odbicia małych gałązek w śniegu i łuska wyplewionego ziarna i źdźbła słomy i ani śladu człowieka, tak tam dziko i dziewiczo.

Ale to sobie na razie wyobrażam, a teraz jedziemy, konie idą kłusikiem, sanie suną z sykiem, droga jest dosyć wyszlizgana i śnieg na niej w lód od tego wypolerowany i pożółkły tam gdzie mocz koński i nawóz go poplamiał i leżą na niej olodowaciałe źdźbła słomy a na głogach przydrożnych łopotają o ich nagie gałęzie gawrony, niezdecydowane jeszcze, w którą stronę zabrać się na kolarcję.

Zygmunt HAUPT.

Arkusze poetyckie

Samotność

Świat to wielka spiżarnia,
gdzie jestem samotnym szczurem.
Przy świetle zapomnianej latarni
bawią mnie moje pazury —
myślę, że to jest życie.
Wśród kręgów kolorowego sera,
na skrzyni dawnych ideałów
(skrzynia jest po szampanie Mumm)
powoli szczyrzą duszę rozbieram
i śmieję się, śmieję pomatu...
Nie zbudzę innych szczurów.
Oglądam swe odbicie
w puszcze od konserw
i ruszam wąsami
tocząc lekkim płasem —
myślę, że to jest życie.
A potem jakby to była tąka
robię różne harce,
kapiąc się w mące.
Zmęczony przyczajam się na pace,
i uśmiecham się do latarni.
A noc całuje mnie w pysk szczurzy,
i coraz lepiej mi, i coraz czarniej,
aż się cały w czerń zanurzę,
najadwszy się przedtem do syta,
aż się sam uciszę...
Nigdy nie wiem kiedy świta!
Myślę, że to jest życie.

Marek GORDON

P O L S K A
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE
SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORŁA BIAŁEGO*.

Zabawki

Robię swoje zabawki;
szkatułki ze szkła,
pryzmaty i kalejdoskopy,
popielniczki na popiół,
figurki nigdy nie zamawiane,
cacka kruche, ceramiki, cekiny,
czapeczki z konch —
celofanowe, cyzelowane
i słomkowe.
Wyrabiam przedmioty
na wiosenny eksport:
narkotyki dla palców,
pałace z wiatru,
buduję wiadukty dla widm
i windy dla pajaców.

Pracuję ile mogę,
wyglądam i pieczę —
zamykam małe wiersze
na nikłowy klucz
w żółdziowej kolebce...

A wam trzeba perszeronów,
skobli do nieciosanych drzwi,
dźwigów i przeseł,
słupów do wkopywania,
luster pobielanych,
w czerwonych ramach —
wam łóżek szanowanych,
szaf jak przepaście,
węgla dwie garście
i oliwy dzban.

Pamiędzy nami rośnie zawiść,
wam nie potrzebne moje cacka z pian,
a nie możecie mnie zabić!

Marek GORDON

Grzybobranie na św. Wacława

(ze zbioru pt. «Gynocajki»)

Z latarniami,
przed świtem głęboko zaczajonym w nocy,
(jeszcze bardzo głęboko),
przez zasięki ożyn i paproci,
w las stęzaty zimną posoką
mgły i przez sny pni wielkich i czarnych,
idą w las panowie i panie
na grzybobranie.
W dniu świętego Wacława na grzybobranie.

Z dreszczem sarmackich sensacji,
w budzonego lasu kształtach koszmarnych,
dziergając światłem drzewa, oslepiając trawy,
w trzasku zdeptanej gałęzi akacji,
grzybów szukają wśród mokrej murawy.

Wczoraj z wieczora deszcz padał ciepły
i grzyby pewnie wyjdą gromadą,
wspaniałe grzyby!

Wyszły. Twardo w sobie skrzepty
i zdumione są straszną czyjąś zdradą,
gdy już w koszach się jeżą
zgilotynowane. Jak gdyby
uciec można było przed śmierci grabieżą!...

A ty mi ręce kładziesz na ramionach
niespodziewanie i w czarnym, mokrym lesie,
gdzieś poza granicą czasu,
całujesz usta mokrzejse od lasu,
a noc przez pocałunek przewleczona
szumi nad nami.

Jesień,
w piekącym oddechu kołców i pokrzywki,
usta ci niesie, usta-prawdziwki.

Janina WĘGRZYŃSKA-KOŚCIAŁKOWSKA.

Klub trzeciego miejsca

O chłopski rozum w polityce

Nr. 8/25 "Kultury" przyniósł dwa listy-artykuły, będące pierwszymi reakcjami na szkic Wańkowicza "Klub trzeciego miejsca". Takich odpowiedzi będzie na pewno więcej. Jeśli zdecydowałem się odezwać, to dlatego, że uważam myśli rzucone przez Wańkowicza za ciekawe i godne gruntownej dyskusji i z drugiej strony uważam, że te cenne myśli zostaną zaprzepaszczone, jeśli dyskusja potoczy się dalej w tym samym duchu jak ją zapoczątkowali autorowie pierwszych dwóch listów. Moje zarzuty są następujące.

Rozpacz. Motyw rozpacz powtarza się w obu artykułach. Rozpaczają próbując autorzy wytłumaczyć krytykę Wańkowicza. Widzę w takiej motywacji podwójne niebezpieczeństwo. 1) Doszukiwanie się w obszernych i wielostronnych wywodach motywu czysto emocjonalnego, jest sprowadzeniem tych wywodów do zwykłego odruchu. Czy Wańkowicz rozpaczal czy nie, to jego sprawa osobista i nic mnie to obchodzi. Wańkowicz jest pisarzem zbyt dojrzałym, aby wyrażać swoje uczucia i nastroje osobiste — w artykule politycznym. Gdyby chciał, mógłby napisać poemat, powieść czy nowelę. Takie sugestie degradują autora i dyskusję, podsuwając wniosek, że skoro rozpacz podyktowała całe studium, to właściwie nie ma nad czym dyskutować. Nieprawda. Jest nad czym dyskutować. Wywody Wańkowicza są pełne trafnych obserwacji, ciekawych myśli, konkretnych prób wyjścia z impasu. 2) Ta gotowość mówienia o rozpacz, swojej czy cudzej, jest w ogóle w dyskusji bardzo niepożądana. Wszyscy przechodziliśmy chwile rozpacz i nie tylko chwile, ale i długotrwałe jej okresy w związku z naszym niezwykle trudnym położeniem politycznym. Każdy to wie i nie ma czego wałkować. Zraszajmy łzami rozpacz nasze chustki do nosa i poduszki, ale nie wnośmy rozpacz do dyskusji publicznej. Kiedy mam wrzód na gbie, nie idę na zabawę. Kiedy rozpaczam siedzę w domu. Człowiek zrozpaczony traci głowę. Póki przeżywamy takie stany, nie wchodzimy na trybunę. To są, zdawałoby się, rzeczy proste, a przecież w publicystyce naszej co krok natykamy się na rozpacz.

Protest. W pierwszym artykule (p. Mieroszewskiego) sprawa została tak przedstawiona. Wiele rzeczy w naszej emigracji nie idzie tak, jak powinno, ale tak już być musi. Całe zło wynika z faktu istnienia emigracji. Z konwencji. A konwencja jest niezachwiana, bo wyraża nasz protest przeciwko krzywdzie, która nam się dzieje. Do tego protestu mamy niezaprzeczone prawo. Wniosek ostateczny: nie ma nad czym dyskutować, wszystko musi pozostać jak było.

"Protest" ma dwa znaczenia. Protest - gest i protest - czyn. Kiedy skazaniec polityczny wznosi na placu egzekucji okrzyk "Niech żyje Polska!" — to jest protest-gest. Oceniając ten gest utylitarnie, można powiedzieć, że jest "bezcelowy", bo niczego nie zmienia w istniejącym układzie politycznym. Ale to jest ocena fałszywa. Znaczenie tego tragicznego gestu polega na jego wymowie moralnej. Nie jest też wcale bezużyteczny, bo podnosi ducha w narodzie.

Czy przebywanie pewnej ilości Polaków na emigracji można zaliczyć do tego rodzaju gestów protestacyjnych?

Pomijając już objawy jawnej renegacji, o których wspomina p. Mieroszewski, a które przynoszą nam wstyd, przebywanie na obczyźnie "normalnych" Polaków pozbawione jest cech gestu o wymowie moralnej. Ci ludzie, tak jak inni, jedzą, piją i robią dzieci (na prawo i lewo), zajmują posady, walczą z biedą, dorabiają się, jednym słowem idą zwykłą koleją losów ludzkich. Wszystko to wiązuje ich tak ściśle z nowym miejscem osiedlenia, tak wciąga ich w nurt codzienności z jej zawodami i nadziejami, radościami i smutkami, że ani w ich własnej świadomości, ani tym bardziej w świadomości obcych fakt ich przebywania na emigracji nie może być odczuwany jako "protest", tylko jako zwykle sobie ludzkie życie. Bo do natury gestu należy, że nie ciągnie się latami, ale trwa chwile.

Są jeszcze protestowicze "zawodowi". Nieraz szlachetni abnegaci, dla których protest jest chlebem powszednim, którzy uważają, że protestując spełniają swą misję patriotyczną, prowadząc poza tym żywot nędzny i nic porządnie nie robiąc. Ten rodzaj ludzi (jedynych którzy protestują naprawdę) nikogo nie zbuduje moralnie, a u obcych wyrabia nam markę dziwaków.

Może więc emigracja polska jest protestem-czynem? Znamy z niedawnej historii jeden protest-czyn, który pozostanie na zawsze klasycznym wzorem. Mam na myśli dobrowolne zamknięcie się Piusa IX i jego następców w murach Watykanu po r. 1870. Ten protest był czynem politycznym pełnym znaczenia. Papież zyskał doskonałe narzędzie nacisku na politykę laicystyczną stałym trzymaniem w napięciu opinii świata katolickiego.

Czy jest jednak człowiek tak cudownie optymistyczny, który by myślał, że istnienie licznej emigracji polskiej ma jakkolwiek skuteczność polityczną? To znaczy, który by myślał, że polityka sowiecka państw anglosaskich jest choćby w najmniejszym stopniu wyznaczana tym faktem? Tak może myśleć tylko człowiek zupełnie wyobcowany z rzeczywistości.

Uzasadniać emigrację można dwojako. 1) **indywidualnie.** Każdy człowiek, którego przekonania antykomunistyczne są znane w kraju, ma podstawę do pozostania poza jego granicami. Jego powrót do Polski przyniosłby mu tylko klęskę osobistą bez żadnego pożytku dla Ojczyzny, a czasem przynosząc Jej stratę, o ile dana jednostka robi coś sensownego na emigracji. Również nasza młodzież emigracyjna może powiedzieć sobie: skoro już tu się znalazłem, to pozostanę. W Polsce wezmą mnie do wojska, a zasilanie szeregów armii czerwonej Polakami nie jest na pewno w naszym interesie. 2) **politycznie.** Uzasadnienie polityczne emigracji opiera się na przeświadczeniu, że jej istnienie wzmacnia prestiż rządu londyńskiego. "Jeśli jest pasterz, musi być owczarnia". Ale rząd przybywający w Londynie uważa siebie za **jedyny** legalny rząd Polski. Zgodnie z tym założeniem, cały naród polski jest jego "owczarnią" i emigracja nic tu nie dodaje. Czyżby inne rządy państw z żelaznej kurtyny miały mniejszy prestiż od naszego dlatego, że nie zarządzają takim jak nasze zapleczem emigracyjnym? Myślę, że raczej przeciwnie. Tylko pierwsze z tych dwóch uzasadnień wytrzymuje krytykę.

Wniosek. Utrzymywanie przy życiu mitu "protestu" nie opowiada rzeczywistości, a raczej pozostaje w jaskrawej z nią sprzeczności, skutkiem czego nie da nam korzyści ani moralnych ani politycznych. Kulturowanie tego mitu prowadzi do zakłamania i kabotynizmu po-

litycznego. To zielsko dość się pleniło na ojczyźnej glebie. Nie ma co sadić go grządkami na obczyźnie. Zamiast deklamować o "protestacyjnym" przebywaniu na emigracji, zorganizujmy się ściślej i walczmy z plagą wynarodowienia. P. Mieroszewski pisze o haniebnych faktach reneacji tak jakby chodziło o śnieg zeszłoroczny (równocześnie upiera się przy abstrakcyjnym protestowaniu) i nawet nawołuje do pobłażliwości, co już jest zupełnie niezrozumiałe. ("nie ma co... rąk łamać" — tak!) Szubrawka, która wystydzi się swojego polskiego nazwiska i zmienia je na obce, trzeba piętnować i to tak bezwzględnie, żeby się innym raz na zawsze odechciało takich kawałów. Tak jak swego czasu piętnowano się Volksdeutschów polskich.

Neutralność. Obaj autorzy uważają polską neutralność w przyszłej wojnie za fikcję. "Konflikt, który nabrzmiewa... urasta do tak apokaliptycznych rozmiarów, że wszelkie niedawne parawaniki neutralności... pomóc będą w stanie tyle, co nieboszczykowi kadzidło" pisze p. Miż. Tak to się topi w pozornie słusznym ogólniku sprawę ogromnej doniosłości. To rozumowanie ma swoją tradycję. Kiedy ważyła się decyzja warszawskiego powstania, mówiono "przecież Niemcy i tak zniszczą Warszawę. Niczym nie ryzykujemy". Przypuścimy, że Niemcy mieli taki zamiar. Ale kiedy mogli go zrealizować? Po porzuceniu linii Wisły czyli w chwili opuszczenia Polski. Wcześniej na pewno nie, bo taki akt przemocy zapaliłby prochy po całej Polsce, wszędzie wybuchyby powstania. A wtedy kuso już było i z żołnierzem i ze sprzętem. Niemcy bali się dywersji i nawet próbowali ugody (na straganach w Krakowie sam widziałem sprzedawane pod okiem policji niemieckiej niby podziemne pisemka nawołujące do zaprzestania terroru i równocześnie wymyślające na Gestapo itd.). Powiedzmy, że w czasie pośpiesznego odwrotu, dogadzając swej mściwości, Niemcy obrzuciliby Warszawę serią bomb. Ale czy można porównać straty w ludziach i zabytkach kultury polskiej po takim poźegnalnym nalocie ze straciami, które poniosła Warszawa wypalana systematycznie w ciągu prawie trzech miesięcy? To rozgrzeszające "i tak" w języku konkretnym znaczy: "Dlaczego ma nas ginać tylko pięćdziesiąt tysięcy, kiedy może nas doskonale zginąć czterysta tysięcy".

Nie inaczej przedstawia się sprawa naszej neutralności w przyszłej wojnie. Z pozoru, rzeczywiście, neutralność wydaje się niemożliwa. Pomijając sugestie apokaliptyczne (nigdy św. Jan Ewangelista nie był tak ochoczo cytowany jak dziś w prasie polskiej), realia polityczne zdają się przyznawać rację przeciwnikom neutralności. Polska jest pod okupacją, to znaczy nie mamy egzekutywy politycznej. O wojnie i pokoju decydujemy nie my, ale rząd sowiecki w Moskwie. Gdybyśmy nie chcieli wojny, będziemy pchnięci do wojny. Niewątpliwie. Ale to formalne ujęcie pozostawia poza nawiasem realne możliwości neutralności jeśli nie całkowiwej, to częściowej. Jakież to są możliwości?

1) Jest nas na emigracji koło półtora miliona (proszę Pana Redaktora o poprawkę, jeśli ta liczba nie jest ścisła). Od nas już tylko zależy, czy młodzież zdolna do służby wojskowej zorganizuje się w jednostki bojowe i zostanie wysłana (naturalnie z honorami, mowami i orkiestrą, na to możemy jednak liczyć) przez Amerykę na europejski teatr wojenny, czy też, zgodnie z sugestią Wańkowicza, powiemy naszym przyjaciółom: "Tym razem to już panowie będą łaskawi być natchnieniem narodów". Wszystkie dotychczasowe doświadczenia mówią, że ta druga decyzja jest słuszna.

2) Podczas okupacji niemieckiej agenci angielscy pchali nas wciąż do aktów terrorystycznych, za które Naród płacił krwią swoich patriotów przelewana w egzekucjach ulicznych i kacetach. Te same metody będą na pewno stosowane i w przyszłej wojnie. Nie byłaby Anglia i Ameryka Ameryka, żeby takiej gratki nie chwycić. Nie zaszkołdzi, jeśli Polacy zajmą się "dodatkowo" dywersją na tyłach armii sowieckiej. I znacznie się upychanie Polakami konciągów. Bol-

szewicy nie patyczkują się. Jakie będą koszty tej dodatkowej roboty, to najmniej obejdzie rządy J. K. M. i P. Trumana. Ale nas to bardzo obchodzi. Nie damy się wciągnąć w akcję bezsensowną i dla narodu zabójczą. Już chyba po tyłu i tak kosztownych doświadczeniach nauczyliśmy się tej elementarnej prawdy, że przelana krew nie jest żadnym argumentem politycznym. Stworzenie takich lub innych warunków dla Polski nie będzie zależało od tego ilu nas padło, tylko od tego czy powstanie takiego organizmu politycznego jest czy nie jest wygodne dla zwycięzców. Stanowczy opór dany prowokacjom dywersyjnym, to druga możliwość naszej neutralności.

Zwoleńnicy apokalipsy zapewne powiedzą, że "i tak" świat stanie w płomieniach, "i tak" straszne zniszczenie wojenne nie ominie Polski. To dyskutowanie apokalipsy jest bardzo charakterystyczne. "Panowie, świat się wali w gruzy. Teraz już nikt nie powie, że tylko my jesteśmy wariaci! Skakać w przepaść, a żywo panowie!". Ano tak. Dlaczego nas ma ginać tylko milion czy półtora, kiedy może nas zginąć cztery i pięć milionów. Lubimy okrągłe liczby.

Do dobrego tonu należy częstowanie polską krwią jak szampanem. Ale to są złe maniery. Nie mamy prawa do wydawania takich poczęstunków. Nawet na gębę, imaginacyjnie.

Jakkolwiek skończy się wojna, geografia polityczna narodów nie ulegnie zmianie. Znajdziemy się znowu w otoczeniu sąsiadów, z którymi mamy zadawnione porachunki. Ukraina, Litwa, Czechy, Niemcy... Czy panowie od apokalipsy myślą, że wszystkie te sporne sprawy zostaną automatycznie zlikwidowane i to koniecznie na naszą korzyść? Nie raz, ale sto razy w historii będą nam potrzebne siły Narodu. Naturalnie to nie jest argument ostateczny. Można przecież odpowiedzieć, że przewaga liczebna tamtych narodów jest "i tak" ogromna... Tych parę milionów mniej czy więcej — jakie to ma znaczenie? W sztuce przekonywania są granice, których przekroczyć nie sposób. Wróćmy do rzeczywistości. O naszej roli w przyszłej Europie nie będzie decydowało to, ilu nas umarło, tylko ilu nas żyje i do czego jako naród jesteśmy zdolni na różnych polach pracy.

Pozycja, którą zajmę jest niewygodna. Każde tłumaczenie, że nie trzeba się bić, kiedy nadarza się okazja, jest automatycznie rejestrowane jako tchórzostwo, oportunist, małoduszność. Znalazłem uwagę w jednym z cytowanych listów, że nawoływanie do neutralności jest sprzeczne z zasadą Piłsudskiego o "Polsce skazanej na wielkość". Anglię, proszę Panów, też historia skazała na wielkość. Ale to jej nie przeszkadza kalkulować pedantycznie swych posunięć politycznych. Owszem, na tym zbudowała tę wielkość. Człowiek, który wydał w ręce wroga przywódcę ruchu oporu na skrawku ziemi angielskiej zajętej przez Niemców został obsypany nagrodami i zaszczytami. Za patriotyzm. Za rozum polityczny. To są rzeczy znane. Rozum polityczny wielkości nie przeszkadza na pewno. Nie będziemy uczyć się od Anglii moralności politycznej. Ona od nas mogłaby się niejednego nauczyć. Ale uczmy się logiki, rozważmy, bierzmy wzór z jej zimnej stanowczości. Nie można ciągle robić polityki na wariata. Czas, przestrzeń, liczba są jej współczynnikami. Z tym się musimy pogodzić.

Nie chcę bynajmniej występować z projektami, które by kępowały czykolwiek polot pisarski. Muszę jednak powiedzieć, że byłoby bardzo dobrze dyskutować zagadnienia tak ważne, jak te które wysunął Wańkowicz, językiem cokolwiek prostszym i o ile możliwości bez mah-jongów. Nie kryje, że przemawia przez mnie egoizm. Bo przyznam się Panom, że nie wiem co to jest mah-jong. Domyślam się, że to jakaś gra, zapewne gra w karty. Nawet nie wiem jak to słowo trzeba wymawiać. Nie jestem salonowcem, nie mam czasu na gry towarzyskie. Ach, żeby to jeden tylko mah-jong, człowiek by przebolał. Ale piszą Panowie stylem tak rokokowym, że czasem trudno wyłapać ten głębszy sens kryjący się za ozdobną fasadą, a to już duża strata. Emigracja z emigracji, eskapizm, (ach, że ja też zgubiłem mój słowniczek

wyrazów obcych!) wspólne mianowniki i inne wrażenia naukowe, mądre, ale tutaj niepotrzebne. To nie jest moje jakieś wydziwianie. Ten gutaperkowy styl rośnie jak ciasto pod pierzyną. Niedługo dyskusja zacznie się toczyć nie o losy Polski, tylko o to czy ktoś tam, w jakiejś tam sytuacji, wykazał czy nie wykazał "kompleksu niższości" i czy ten kompleks niższości nie był czasem tylko pokrywką innego jakiegoś jeszcze mądrzejszego "kompleksu". Wreszcie przyjdzie ktoś, kto zauważy, że owszem, to był kompleks niższości, ale z przetrznięciem w płaszczyznę nadwartości, co daje nam odskocznnię do sprowadzenia pewnej grupy, wielce charakterystycznych dla naszej rzeczywistości fenomenów, do wspólnego mianownika it.d. Najwięcej mnie zmartwiło, że sam inicjator dyskusji Melchior Wańkowicz, którego jestem starym entuzjastą, mocno sobie styl wykompleksował. To on wprowadził tego mah-jonga. Ież by zyskały jego wywody, wyrażone językiem szczeniących lat Melchiora Wańkowicza.

Chłopski rozum nam potrzebny w polityce, ot co. Może Panowie powiedzą, że to narzędzie zbyt prymitywne? Oj nie. Co to jest chłopski rozum? To jest myślenie od przyczyny do skutku. Zachwalając chłopski rozum, jestem najdalej od jakichkolwiek tendencji kastowych. Można mieć mitrę w herbie i mieć chłopski rozum i można być jednym z niezliczonych Kowalików i Wójcików z główką, ślicznie umeblowaną mah-jongami. Chłopski rozum wyrósł z chłopskiego życia. Z życia rolnika. To znaczy z życia, w którym każda fuszerka mści się przedko. Z życia, które zmusza do porządnego myślenia.

Antoni KRYSZEK.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

Archiwum polityczne

Sytuacja międzynarodowa widziana z Paryża

Francja u progu 1950 roku

Kryzys reżimu we Francji wszedł w stadium chroniczne. Pierwsze lata, a nawet i miesiące istnienia IV Republiki zdawały się wskazywać, że reżim ten bez istotnych zmian ustrojowych nie wytrzyma próby czasu. W okresie najbardziej krytycznym, na jesieni 1947 roku położenie przypominało tu lata 1930 — 1932 Republiki weimarskiej. Na lewicy silna i zdyscyplinowana partia komunistyczna, dążąca do skompromitowania reżimu parlamentarnego i dopuszczająca nawet, jako mniejsze zło, dojście do władzy skrajnej prawicy. Mimo zagrożenia na lewicy, bezpośrednie jeszcze niebezpieczeństwo ciążyło nad reżimem ze strony Rassemblement gen. de Gaulle'a. Przy ogromnym rozdrobieniu życia partyjnego gaulistowski R.P.F. uzyskał, przy wyborach samorządowych, na jesieni, około 40 procent głosów. W tym właśnie okresie komuniści, nieco już osłabieni, mogli liczyć na mniej więcej 4-tą część wyborców. Srodek, nazwany przez Leona Bluma "Trzecią Siłą" redukował się do ledwo 35 procent społeczeństwa, tracąc coraz bardziej na rzecz gaulistowskiego "Rassemblement". Dworowano sobie z określenia p. Bluma, nazywając koalicję rządową "La Troisième Faiblesse". Nie tylko nie przekraczała ona już liczbowo jednej trzeciej ogółu wyborców, ale składała się z grup tak różniących się swym programem politycznym, a zwłaszcza społecznym, jak reakcyjno-liberalne P.R.L. z jednej strony, a socjaliści (SFIO) z drugiej strony.

Gdy więc w ręku komunistów znajdowała się jednolita wówczas jeszcze organizacja związków zawodowych (C. G. T.), jednocześnie, we wszystkich warstwach społeczeństwa, akcja gen. de Gaulle'a znajdowała żywe bardzo echo.

W okresie 28 miesięcy, które upłynęły od wyborów samorządowych z października 1947, obraz ten uległ bardzo poważnym zmianom. Trudno jest mówić wprawdzie o wzmocnieniu, w bezpośrednim znaczeniu tego słowa, koalicji środka — owej "Trzeciej siły". Nie nastąpiło ani rozszerzenie jej platformy politycznej, ani uzgodnienie podstaw programu działania, ani odnowienie przeważnie dość zużytego, politycznie kierownictwa.

Mimo to groźba ze strony obu odłamków opozycyjnych komunistycznego i gaullistowskiego zmalała tak znacznie, że można by już stwierdzić względną stabilizację reżimu "IV Republiki".

Odpolitycznienie społeczeństwa i powszechna apatia

Przyczyną chyba najistotniejszą tego stanu rzeczy jest ogarniająca coraz szersze kręgi społeczeństwa apatia, sceptycyzm wobec wszystkich recept politycznych, odwrócenie się nie tylko od propagandy komunistycznej, ale i nieufność do wszystkich kierunków politycznych, od skrajnej prawicy aż do socjalistów włącznie. Proces ten pogłębiający się, zwłaszcza w ciągu dwóch lat ostatnich, odbija się na poczytności prasy, liczebności zapisanych członków poszczególnych stronnictw, frekwencji na wiecach i zebraniach publicznych, ilości opłacających składki członków organizacji zawodowych, etc., etc.

Nakłady prasy zmalały nie tylko w porównaniu z wyśrubowanym nakładem dzienników przedwojennych, ale także w zestawieniu z latami 1945 - 1946. Proces ten nastąpił, mimo że w pierwszych miesiącach powojennych, wskutek braku papieru, dzienniki wychodziły skromnie na 2 małych stroniczkach, gdy obecnie ostro konkurujące ze sobą — dzienniki — jak "Figaro" lub "Aurore" zapełnione sensacyjnymi reportażami, ukazują się niejednokrotnie na 12 kolumnach dużego formatu. Spadek nakładu nie dotknął takich dzienników informacyjnych, jak sensacyjną "France-Soir", burżuazyjne "Figaro", czy dobrze redagowany dziennik informacji politycznej "Le Monde" — który drukuje 170 tys. egzemplarzy, przewyższając nawet kilkakrotnie poczytność przedwojennego, trochę archaicznego "Le Temps". Mimo to, spadek o którym pisaliśmy jest bardzo drastyczny, jeżeli wziąć sumę drukowanych nakładów zarówno prasy porannej jak i wieczorowej. W okresie od 1945 r. szereg dzienników w Paryżu uległ likwidacji, niektóre łączyły się w jedno wspólne wydawnictwo. Jeżeli np. nakład "France-Soir" utrzymał się na wysokości ok. 570 tys. egzemplarzy, — (najwyższy we Francji) — to konkurencyjna, również popołudniowa "Paris-Presse", spadła stopniowo o przeszło 50 procent, do poniżej 250 tys. Najjaskrawszym jest — jeden z dowodów odpolitycznienia się społeczeństwa — spadek nakładu organów partyjnych. Organ chrześcijańsko-społeczny M. R. P. "L'Aube" obniżył swój nakład z 120 na 35 tys.; socjali-

styczny "Populaire" od 1946 r. zjechał ze 160 na około 30 tys. Nawet sprężyste kolportowane "l'Humanité", główny organ komunistów, zredukował swój nakład przeszło o połowę, z 540 tys. na 260.000.

Jak wspomnieliśmy, partie polityczne tracą znaczną część swych "efektywów" członkowskich. Ilość członków M.R.P. stopniała o przeszło połowę; duży odływ skonstatować można w S.F.I.O. Komuniści — mimo wyczerpanej pracy organizacyjnej — spadli co najmniej o 30 procent, najbardziej w sferach inteligentkich, stanowiących poważny procent kadr partyjnych. Napływ zwolenników do organizacji gaullistowskiego R.P.F. początkowo ogromny, rychło ustał, a nawet liczba jego adherentów uległa zmniejszeniu o 25 procent, a możliwe, że nawet i więcej. Cyfry te nie są wprawdzie odpowiednim miernikiem dla zmian politycznych, zachodzących w społeczeństwie. Tracą bowiem niemal równomiernie wszystkie istniejące stronnictwa. Potwierdzają tylko raz jeszcze wzrastające zmęczenie, apatię i zniechęcenie społeczeństwa do polityki wszelkich kolorów.

Jaskrawiej jeszcze zaznaczają się te objawy w statystyce frekwencji zebrań publicznych. Cyfry tu są jeszcze bardziej aproksymatywne i trudniej uchwytnie. Wg. statystyk Min. Spraw Wewn. można przyjąć, że np. liczba uczestników na wiecach spadła, zwłaszcza na prowincji, o 60 — 70, a niekiedy 80 procent frekwencji w porównaniu z latami największego rozpolitykowania, tj. 1945 i 1946 r.

Podobny kryzys nie ominął nawet tak zakorzenionej ostatnio w życie społeczeństwa i mas pracujących organizacji, jak związki zawodowe. Liczba opłacających składki członków C.G.T. obniżyła się wg. informacji prasowych z 5,5 na 3,5 miliona członków. Poważny odływ skonstatować można także i w innych organizacjach zawodowych, a zwłaszcza w socjalistycznej "Force Ouvrière".

Oslabienie skrzydeł skrajnych.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tymi szczegółami, aby stwierdzić, iż osłabienie tempa życia politycznego i apatia stają się poważnym czynnikiem, utrudniającym obu opozycjom walkę z pozostającą u władzy koalicją środka. Rządzi ona bardziej siłą inercji, aniżeli własnym ciężarem gatunkowym.

Istnieją oczywiście i inne powody osłabienia obu skrzydeł opozycyjnych. Komuniści przez trzykrotne nadużycie broni "strajku upowszechnionego" w maju i czerwcu 1947 r., oraz w listopadzie i grudniu lat 1947 i 1948 — stracili w pewnym stopniu zaufanie klasy robotniczej. Prowadzona przez komunistów gra interesów, nie mających nic wspólnego z walką o dobrobyt robotników i manifestująca się coraz jawniej i jaskrawiej zależność od Moskwy, niepopularna na ogół w społeczeństwie syste-

matyczna kampania antyamerykańska, wszystko to wpłynęło na wyraźne zmniejszenie sympatii komunistycznych w społeczeństwie francuskim. Może to się odbić wprawdzie na rezultatach wyborczych, ale w niczym nie osłabia aparatu bojowo-sabotażowego, który pozostaje do dyspozycji komunistów francuskich.

Wyraźniej jeszcze zmniejszył się dynamizm prawicy. Ruch gaullistowski nie podzielił wprawdzie losów poprzednich prób organizowania "młodej" prawicy francuskiej. Próby te, jak płk. de la Roque załamały się, zarówno w skutek niepopularności tendencji autorytatywnych lub faszystujących we Francji, jak i niekompetencji, brakowi przygotowania politycznego i jakiegokolwiek wyraźniej skryształizowanego programu, ich przywódców. Akcji gen. de Gaulle'a nie sposób porównywać z poprzednimi nieudolnymi eksperymentami. Osoba jego jest nadal bardzo popularna. Niezadowolone z istniejących stosunków, instynktowna niemal u Francuzów opozycja wobec każdego rządu, nieustabilizowana większość w obecnym parlamencie, niezdolność kolejnych rządów do przedsięwzięcia jakiegokolwiek śmielszych reform, mogły łatwo zmobilizować dookoła gen. de Gaulle'a niezadowolone masy. Tutaj jednak organizacja R.P.F. zawiodła na całej linii. R.P.F. praktycznie stanowi sam gen. de Gaulle. Jest chyba zjawiskiem bez precedensu, iż potrafił on w r. 1947 pociągnąć za sobą około 40 procent wyborców, nie rozporządzając ani normalnie zorganizowanym aparatem "Ruchu", ani prasą, ani organizacjami społecznymi czy związkami zawodowymi. Dopóki ruch ten był w powijakach, program i organizację zastępowała osoba jej szefa i jego przemówienia, wychodzące przeważnie z założeń tradycyjnej krytyki francuskiego systemu parlamentarnego. Dla racjonalistycznych umysłów francuskich nie mogło to na dłuższy czas wystarczyć. Przemówienia gen. de Gaulle'a docierały tylko do bezpośrednich słuchaczy — nie powtarzane, ani przez radio, ani przez niechętną w ogromnej większości prasę (z wyjątkiem trzech "sympatyzujących" dzienników paryskich "Parisien Libéré", "Ce Matin" i "Paris-Presse" i bardzo nielicznej prasy prowincjonalnej). Co najmniej od roku nastąpiło w praktyce zupełne zahamowanie działalności gaullistowskiego Rassemblement, brak pieniędzy, na który narzekają członkowie sztabu "Ruchu" jest z pewnością jedną tylko z przyczyn tego stanu rzeczy. W początkowym okresie kampanii kierownictwo organizacji żyło złudzeniem, iż ewentualnie przyspieszone wybory i atmosfera przedwyborcza ułatwią zdołanie apatycznej opinii publicznej. Nie zaszedł jednak żaden wypadek, który by zmusił do samorozwiązania, nieskłonny bynajmniej do samobójstwa obecny parlament.

W tym stanie rzeczy, przy osłabionym tętnie życia politycznego, przy lokalnych wyborach samorządowych nie dających istotnego poglądu na przemiany w opinii publicznej, trudno jest zdać sobie sprawę w jakim stopniu R.P.F. utrzymało owe 40

procent, które osiągnęło w szczytowym punkcie swego rozwoju na jesieni 1947. Większość tutejszych specjalistów od zagadnień wewnętrznych zgadza się, iż RPF cofnęło się w wpływach, ale że zachowało pozycję najliczniejszego stronnictwa, mogąc zgromadzić liczbę głosów większą niż partia komunistyczna. Przywódcy Rassemblement zdają sobie sprawę, iż w najpomyślniejszym nawet wypadku "Ruch" daleki będzie jeszcze od osiągnięcia większości. Toteż wbrew dotychczasowej postawie, wspólnego odosobnienia zaczynają oni coraz częściej dyskutować możliwości koalicji z innymi ugrupowaniami. Wszystko to jest jeszcze sprawą odległych miesięcy.

Rozdrobnienie partyjne Parlamentu

Niezależnie jednak od tego, czy i w jakim stopniu wpływy R.P.F. uległy osłabieniu, reżim nie jest w tej chwili bezpośrednio zagrożony. O ile nie nastąpi konflikt w łonie koalicji rządowej, przede wszystkim na tle zagadnień finansowych, parlament obecny, a co za tym idzie, obecna koalicja środka, może rządzić jeszcze przez dwa niemal lata, do listopada 1951 r. Mimo to kryzys reżimu trwa dzięki nieustabilizowaniu większości rządowej w parlamencie, wadliwym postanowieniom Konstytucji z 26 września 1946 — wobec której ze wzruszeniem wspomniana jest Konstytucja z 1875 roku — i przy niezdolności obecnej koalicji środka do przeprowadzenia jakiegokolwiek śmielszych reform. Jej skład polityczny z udziałem skrajnej prawicy i socjalistów o sprzecznych tendencjach w zakresie polityki społeczno-gospodarczej i częściowo zagranicznej, powoduje swoisty paraliż, odbijający się jak najniepomyślniej na całej polityce rządowej.

W skomplikowanym układzie partyjnym parlamentu, większość stale zależy od kilku lub kilkunastu posłów. Obecna Izba rozbita jest na 12 klubów, nie licząc kilkuosobowych frakcji i tzw. "dzikich", nie przynależących do żadnego stronnictwa. Co więcej, dzięki brakowi dyscypliny i rozstrzeleniu się głosów na wewnątrz klubów przy głosowaniach nad najważniejszymi sprawami — wyłącznie z zaufaniem do rządu — rządy stale niemal zagrożone są znalezieniem się w mniejszości. W rezultacie losy Gabinetu, jak obecnie, zależą od układu sił w Klubie Radykałów, gdzie ostatnio niemal połowa systematycznie głosuje za rządem, zbliżona liczba posłów pod kierownictwem p. Daladier — przeciwnie, nie licząc poważnej grupy wstrzymujących się od głosowania.

Aby dać pojęcie o rozdrobnieniu partyjnym Parlamentu przytoczmy stale zresztą zmienny skład klubów, ogłoszony w "Journal Officiel" na 1 stycznia 1950. Dla uproszczenia w pewnych wypadkach podajemy liczebność niektórych klubów łącznie jak np. komunistów i skartelowanej z nimi Unii Republikańsko Postępowej (M.U.R.F.), zaczynając od skrajnej lewicy. Poszczególne

kluby liczą: komuniści 174 posłów, skartelowana z nimi grupa "Demokratów Afryki Północnej" 6, S.F.I.O. 99, M.R.P. 151, radykalni socjaliści 48, Unia Demokratyczna Niezależnych 10, składający się przeważnie z młodszych elementów "Resistance" U.D.S.R. 13, Akcja Demokratyczna i Socjalna (parlamentarna Reprezentacja R.P.F.) 22, Republikanie Niezależni 23, Grupa Akcji Chłopskiej i Socjalnej 15, P.R.L. 27, "Dzicy" 12, Grupa Posłów Kolonii 13. Dodać należy, że Radykałowie, Unia Demokratyczna Niezależnych i U.D.S.R. wchodzi w porozumienie oznaczone skrótami R.G.R. (Rassemblement de Gauche Republicain).

W praktyce więc mamy do czynienia z następującymi skrzydłami: komuniści razem z przybudówkami 180 posłów, Lewica Rządowa (jeżeli brać za punkt wyjścia program socjalny) — nie zawsze zharmonizowana — złożona z socjalistów i M.R.P. 250 posłów, Prawica Rządowa 146 posłów (jeżeli wliczymy tu radykałów wszystkich odcieni i rozdrobnioną na liczne frakcje klasyczną prawicę), wreszcie "czyści zwolennicy" R.P.F. 22 posłów. Otóż rachunek niezbędny dla stworzenia większości — zdawałoby się prosty — komplikuje się brakiem dyscypliny w przeważnej części klubów, poza komunistami i w pewnej mierze socjalistami.

Nawet w M.R.P. pewna część posłów wyłamuje się częstokroć spod dyscypliny partyjnej. W klubie radykalnym idzie to tak daleko, że "rozpoławia" się on przy najważniejszych głosowaniach politycznych. Rozwikłanie tej sytuacji utrudnia jeszcze jedna okoliczność, którą zawdzięcza się pomysłom autorów konstytucji z 1946 roku. Rząd wiążąc z jakąś sprawą kwestię zaufania upaść może jednym głosem większości; jedynym ograniczeniem przy postawionej formalnie sprawie zaufania jest okres 24 godzin, który oddziela moment postawienia wniosku od chwili głosowania. Dla uzyskania jednak "inwestytury" przy tworzeniu rządu kandydat na premiera uzyskać musi konstytucyjną większość ustawowej liczby członków parlamentu, to jest 311 (na ogólną liczbę 620 posłów).

W istniejącej sytuacji wszystkie próby stworzenia większości muszą się obracać w podobnym układzie grup poselskich. Różnorodność kombinacji rządowych z dobrych czasów parlamentów III Republiki już nie istnieje. W obecnym układzie "centro-lew" nie może powstać przy istnieniu bloku opozycyjnego 184 komunistów. Równie nieprawdopodobny jest "centro-praw" zarówno ze względu na opozycję gaullistowską, jak i na wątpliwości nie tylko w M.R.P., ale i wśród radykałów co do możliwości stworzenia rządu bez komunistów i bez socjalistów jednocześnie, co zmobilizowałoby przeciwko rządowi ogromną większość organizacji związków zawodowych. W praktyce więc na 610 deputowanych, którzy maksymalnie biorą udział w posiedzeniach, gdy 210 deputowanych należy do obu skrajnych skrzydeł, większość 311 znaleziona być musi wśród 400 pozostałych.

Ponieważ 250 posłów stale wchodzących do większości rządowej stanowi Klub Socjalistyczny i M.R.P. poszukiwanie brakujących głosów dokonywać się musi bądź na skrajnej prawicy liberalnej, jak P.R.L. i grupa "Chłopska", bądź w klubie U.D.S.R., wśród tej połowy radykałów, która sympatyzując z ruchem gaullistowskim odnosi się z rezerwą do kolejnych gabinetów nieubliwanej przez radykałów IV Republiki.

Nie brak też czynników dodatkowych pogłębiających tę, wpływającą z sytuacji parlamentarnej, słabość rządów.

Ciąży więc na decyzjach rządowych bardzo silnie i presja związków zawodowych. Możliwości największego z nich — komunistycznego C.G.T. w wyniku nieudanych strajków z lat ostatnich zmniejszyły się wprawdzie bardzo wydatnie. Nie należy jednak niedoceniać wpływów odpowiedników zawodowych, zarówno chrześcijańskiego M.R.P. jak socjalistów. Ruch chrześcijański grupuje się na terenie zawodowym w C.F.T.C.; odpowiednikiem socjalistów jest C.G.T. "Force Ouvrière". Ministrowie obu tych partii w rządzie muszą się ze stanowiskiem swych własnych związków liczyć, tym bardziej, im ostrzejsza jest rywalizacja z komunistycznym C.G.T.

Przykładów nie braknie, np. długotrwały konflikt między premierem Queuille a socjalistycznym ministrem Pracy, Daniel Mayerem, zaczął się od drobnego zagadnienia premii wakacyjnych dla robotników. Ale odpływ zwolenników od CGT "Force Ouvrière" zaniepokoił kierowników tej organizacji tak dalece i tak silnie wzmocnił nacisk na ministrów socjalistycznych w rządzie, iż konflikt Queuille — Daniel Mayer przerodził się w długotrwałe przesilenie rządowe w październiku 1949, którego istotne źródła znajdowały się poza parlamentem.

Już gabinet Queuille'a o przeszło rocznej egzystencji, nazwany był "Gabinetem bezruchu". Trudno jest powiedzieć aby i obecny rząd p. Bidault był gabinetem śmiałych decyzji i by mógł robić coś więcej niż administrować, względnie doprowadzić do uchwalenia normalnego budżetu z dwumiesięcznym zresztą opóźnieniem. Kryzys rządu we Francji idzie bez wątpienia dalej niż w jakimkolwiek okresie istnienia III Republiki. Nie tylko bardziej widoczna ingerencja związków zawodowych, ale i mniej ujawnione wpływy rozmaitych czynników gospodarczych, zarówno przemysłowych jak i rolnych, dają się stale wyczuwać.

Wahania w polityce zagranicznej

Zacytujemy kilka przykładów: w marcu 1948 roku podpisany został w Turynie protokół francusko-włoski, zapowiadający ustanowienie unii celnej między obu krajami. Mimo dwóch niemal lat sprawa nie tylko nie posunęła się naprzód, ale wydaje się, że została definitywnie pogrzebana dzięki rozmaitym interwencjom organizacji producentów.

Nieco później, w wyniku nieporozumień francusko-angielskich,

na skutek dewaluacji funta szterlinga rząd francuski doprowadził w Paryżu do konferencji ministrów spraw zagranicznych państw, których blok prasa francuska ochrzciła przedwcześnie monstrualnym terminem "Fritaluxu". Te same trudności zaznaczyły się ponownie tak, że żadne postępy na drodze do unii celnej czy choćby dalej idącego zbliżenia gospodarczego nie zostały osiągnięte.

Te sprzeczności wewnętrzne ciążyą także i na zasadniczych sprawach polityki zagranicznej. W szczególności zagadnienie stosunku do Niemiec wywołuje wciąż poważną różnicę zdań. Linia podziału idzie tym razem nie pomiędzy poszczególnymi odłamami politycznymi, ale wewnątrz tych stronnictw. Tak więc zarówno w M.R.P., wśród radykałów czy socjalistów istnieją zarówno zwolennicy zbliżenia francusko-niemieckiego, przyspieszonego tempa ustępstw na rzecz republiki w Bonn, jak i stronicy daleko idącej rezerwy wobec wschodniego sąsiada.

Różnice zdań w zagadnieniu niemieckim spowodowały, jak wiadomo, trudności na listopadowej konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych w Paryżu. Jak informowano minister Schuman w rozmowach przygotowawczych zaagażował się w ustępstwa dalej idące, niż te, które republika w Bonn uzyskała ostatecznie w protokołach, podpisanych w Petersberg. Trzeba było już w trakcie obrad trzech ministrów spraw zagranicznych zwołać nadzwyczajną konferencję rady ministrów, na której ministrowie Teitgen, René Mayer i Jules Moch przeciwstawili się zbyt, ich zdaniem, ustępliwej polityce ministra Schumana. Oponenti ministra Spraw Zagranicznych reprezentowali więc wszystkie trzy główne grupy koalicji rządowej. Pierwszy jest kolega p. Schumana z MRP, drugi — jednym z najwybitniejszych liderów radykalnych, trzeci socjalistycznym ministrem Spraw Wewnętrznych. Minister Schuman zmuszony był w niektórych punktach istotnie wycofać się z zajmowanego stanowiska, wpływając w ten sposób na zmianę przebiegu listopadowej konferencji Trzech.

Do wahań i sprzeczności polityki zagranicznej Francji wobec sąsiada wschodniego dołączyły się ostatnio dalsze komplikacje. Wizyta informacyjna ministra Schumana w Niemczech, która miała m. inn. wysondować nastroje niemieckie i zadecydować o przyszłej polityce francuskiej w stosunku do Niemiec, posłużyła niespodziewanie za okazję zajęcia w sprawie zagłębia Saary. Zarówno ze strony rządu p. Adenauera jak i opozycji socjal-demokratycznej obawiano się, że rozpoczynające się w lutym rokowania między Francją a autonomicznym rządem Saary pogłębią proces ekonomicznego włączenia tego kraju do gospodarczego terytorium Francji. Obawiano się także, iż dalszym etapem mogło być proklamowanie Saary jako państwa niepodległego na wzór np. Luksemburga, pozostającego jednocześnie w obrębie francuskiego obszaru gospodarczego.

Tej możliwości Niemcy przeciwstawiali początkowo tęzę utrzy-

mania wprowadzić więzów gospodarczych Saary z Francją, ale polityczno-administracyjnego włączenia jej do terytorium republiki w Bonn.

Wobec nierealności tego pomysłu, wysunięte zostały następnie inne dwa rozwiązania. Pierwsze polegałoby na internacjonalizacji bogactw gospodarczych Saary, łącznie z Zagłębiem Ruhry, Lotaryngią, Luksemburgiem i uprzemysłowionym zagłębiem belgijskim. Francuzi nie odrzucają tego planu — uważają jednak, iż terytorium to, stanowiące bazę ekonomicznej Unii Europejskiej, może być umiędzynarodowiane dopiero w wypadku realnego zapoczątkowania "budowy przyszłej Europy Zjednoczonej". Drugą propozycją niemiecką jest przeprowadzenie plebiscytu. Polityka francuska wydaje się nie odrzucać kategorycznie również i tego drugiego pomysłu — uważa go jednak za przedczesny i uzależnia od bliżej nieokreślonego wyjaśnienia się sytuacji w Niemczech.

Dookoła tych tez obraca się spór, wywołany przez rząd Adenauera. Wydaje się, iż steruje on do pośrednictwa amerykańskiego w tej sprawie. Prestiż Francji w całej tej sprawie wystawiony jest na nową próbę.

Drugą trudnością jest sytuacja w Indochinach. Ratyfikowanie przez parlament układu z cesarzem Bao-Dai i ostatnie decyzje Moskwy i Pekinu na rzecz rządu Ho Chi Minh stwarzają dla Francji niezwykle złożoną sytuację uniemożliwiając jej, na razie przynajmniej, projektowane uznanie chińskiego komunistycznego rządu Mao-Tse-Tunga.

Trwające prowizorium w polityce wewnętrznej

Fakt względnej spokoju w kraju, obecnie nie stanowi żadnej gwarancji utrzymania tego stanu rzeczy w najbliższej przyszłości. Wprawdzie w latach 1947 i 1948 Francja wstrząsana była częstymi strajkami "upowszechnionymi". Ostatnio, poza sporadycznymi wypadkami, żaden poważniejszy strajk nie został przedsięwzięty. Układ sił jednak nie uległ zasadniczym zmianom. Po prostu nastąpiła zmiana w instrukcjach z zewnątrz w wyniku bezskuteczności dokonywanych akcji strajkowych i w związku z ogólną koniunkturą międzynarodową. Wydaje się, iż obrady ostatniego Centr. Komitetu Partii Komunistycznej z połowy grudnia 1949 stanowią zapowiedź przejścia komunistów, na pewnych przynajmniej odcinkach, do ofensywy sabotażowej, której obiektem będą przede wszystkim linie komunikacyjne, a zwłaszcza porty, w związku z importem broni amerykańskiej i obsługą wojsk francuskich, walczących w Indochinach. Aparat policyjny Francji najzupełniej wystarcza, aby objawy anarchii opanować, rząd jednak wydaje się zbyt słaby, aby znaleźć solidniejsze wyjście z istniejącego impasu politycznego, zwłaszcza przy istnieniu obecnego parlamentu.

Sprawa ew. przyspieszenia wyborów wisi nad parlamentem

ciągle jako groźba, stwarzając już od przeszło dwóch lat okres gorączki przedwyborczej. Wszystko zależy obecnie od szans kompromisu pomiędzy radykałami a ich partnerami socjalistycznymi i chrześcijańsko-społecznymi (M.R.P.). Większość dla rozwiązania, w razie poważniejszych konfliktów w rządzie, mogłaby się znaleźć, jeśli komuniści uznaliby rozwiązanie parlamentu jako leżące w ich własnym interesie. Za rozwiązaniem mogłaby wtedy głosować tak niesharmonizowana z sobą kombinacja, jak komuniści, radykali, U.D.S.R., Gauliści i klasyczna prawica. Skrócenie żywota obecnego parlamentu nie jest więc wprawdzie wykluczone. Więcej jest jednak szans, iż parlament dotrwa do listopada 1951 r.

Stopniowa poprawa gospodarcza

Gdy w dziedzinie politycznej sytuacja Francji pozostawia wiele do życzenia w gospodarce francuskiej zaznacza się dalsza, niezbyt szybka, ale stała, poprawa. Rok 1949 zakończył w zasadzie okres przystosowania się kraju do gospodarki pokojowej po okresie ekonomiki wojennej. Wzrost produkcji przemysłowej trwał nadal przy zahamowaniu tempa w drugiej połowie roku. W rolnictwie rok 1949, tak jak i rok 1948, był rokiem dobrego urodzaju. Kurs franka i ceny wykazały pełną niemal stabilizację w porównaniu z gwałtownymi falami zwykłymi cen w latach 1945, 6, 7 i 48.

Produkcja przemysłowa osiągnęła w maju 1949 wskaźnik 132 w zestawieniu z analogicznym okresem 1938 i 106 w zestawieniu z majem 1929 — to jest rokiem najwyższego poziomu produkcji przemysłowej we Francji między obu wojnami. Dla pierwszych 11 miesięcy r. 1949 wskaźnik wynosił 121, w zestawieniu z 1938 i 98 w porównaniu z r. 1929. W ciężkim przemyśle największy wzrost wskazuje produkcja stali (wskaźnik 152 w porównaniu z 1938 r.)

Analogiczny, choć nieco mniejszy, wzrost wykazała produkcja węgla, która osiągnie, zapewne, w tym roku 56 milionów ton. Import drogiego węgla amerykańskiego został ostatnio zredukowany niemal do zera.

Przemysł tekstylny, jak w ogóle przemysł lekki, wykazywał wzrost nierównie słabszy, wynosząc dla pierwszych 11 miesięcy 1949 109 procent (w zestawieniu z 1938 r.).

W rolnictwie wyprodukowano w 1949 r. około 80 milionów kwintali pszenicy wobec 76 mil. kwintali w 1948 i do 33 mil. w r. 1947.

Charakterystyczne dla r. 1949 było zahamowanie, gwałtownej w latach poprzednich, wyżki cen, gdy w r. 1945 ogólny indeks cen zwykował w stosunku do roku poprzedniego o 70 proc., w 1946 o dalsze 74 proc., w 1947 aż o 84 proc., a jeszcze w r. 1948 o 63 proc., to rok 1949 był okresem pełnej niemal stabilizacji cen. Ogólny indeks przewyższał ceny z poprzedniego roku o 1 i pół procent.

Ceny przemysłowe wykazywały ostatnio znacznie większą stabilizację niż ceny rolnicze. Ogólny wskaźnik cen artykułów rolniczych w listopadzie 1948 znajdował się na poziomie 1950 aby w kwietniu spaść do 1950 i osiągnąć w listopadzie 1890.

Ceny przemysłowe utrzymywały się stale powyżej 2000, oscylując pomiędzy 2050 w listopadzie 1948, a 2150 w listopadzie 1949 (przyjmując ceny z listopada 1938 za 100).

Tak więc ceny rolnicze, które po wojnie aż do r. 1948 wznosiły się silnie nad ceny przemysłowe, stopniowo w roku ostatnim dały się zdystansować przez wskaźnik cen przemysłowych. W niektórych wypadkach dysproporcje we wzroście cen utrzymały się, koszt transportu w listopadzie 1949 wciąż jeszcze nie przekroczył 1030, a przeciętna za komorne wynosiła w tym samym okresie dopiero 380.

Płace nie uległy na ogół zmianom, jakkolwiek w szeregu wypadków nastąpiły lokalne podwyżki. Tak np. w metalurgii paryskiej płace zostały podniesione o 3 — 4 procent.

Jak wiadomo, 20 września kurs franka obniżony został w wyniku dewaluacji angielskiej o 22 proc. wobec parytetu dolara i zrewaluowany w stosunku do funta szterlinga o 11 proc. Mocne waluty wykazywały tendencję niejedolitą przy czym kurs funta spadł już poniżej parytetu oficjalnego..

Jednym z najwymowniejszych dowodów poprawy sytuacji gospodarczej było wybitne polepszenie się sytuacji w handlu zagranicznym. Wartość importu w ciągu pierwszych 11 miesięcy 1949 roku wzrosła do 598 milionów franków w porównaniu z 460 milionami w analogicznym okresie 48 r. Deficyt handlu zagranicznego zmniejszył się jednak dzięki o wiele silniejszemu wzmożeniu się eksportu. W tym samym okresie podniósł się on z 209 mil. fr. na 408 mil. fr., redukując w ten sposób deficyt z 207 mil. na 187 mil. fr.

Ważną rolę w tej poprawie odegrała oczywiście pomoc z tytułu planu Marshalla. Zmniejszenie tej pomocy w roku przyszłym, dzięki osiągniętym już rezultatom, nie zaciąży zapewne zbyt mocno na gospodarce wobec możliwości pewnego powiększenia wymian multilateralnych i uzyskania kredytu prywatnego. Trudności zrównoważenia budżetu we Francji powodowane są względami politycznymi i psychologicznymi. Na przykład rolnictwo francuskie obciążone jest minimalnie, a żadne ze stronnictw, ze względów wyborczych nie podejmuje inicjatywy znalezienia w nowych podatkach sposobu dochodów państwa. Pomyślna na ogół sytuacja gospodarcza Francji czyniłaby bowiem zadanie zrównoważenia budżetu względnie łatwym.

Zachmurzony horyzont. — Konkluzje.

Beznadziejnie zaciągnięty horyzont w polityce międzynarodowej odbiera ochotę do bawienia się w prorocstwo.

Można jednak bez ryzyka popelnienia błędu zasadniczego ustalić sobie niektóre punkty. Polityka rosyjska gra stale w

okresie powojennym, a w każdym razie po zakończonej demobilizacji armii amerykańskiej i angielskiej, przekonaniem, iż Ameryka przez dość długi jeszcze okres nie jest zdolna do wojny agresywnej, a nawet że w obecnym stanie politycznego i moralno-propagandowego nieprzygotowania oraz w związku z sytuacją w zachodniej Europie, wojny tej widocznie się obawia.

Z właściwą sobie konsekwencją polityka Kremla wykorzystuje posiadaną w ten sposób marzę czasu dla najpełniejszego wyzyskania swoich możliwości zbrojeniowych, przyspieszenia sowietyzowania krajów Europy środkowej, i rozszerzenia zony wpływów sowieckich w Azji. Na Dalekim Wschodzie do czynienia będziemy mieli z polityką sowiecko-chińską, gdzie wprawdzie Kreml pozostaje czynnikiem decydującym, ale gdzie interesy czerwonych Chin będą menażowane.

Wspólna akcja chińsko-sowiecka będzie dążyła do opanowania nowych terenów nie w drodze agresji zewnętrznej, ale przede wszystkim akcją od wewnątrz, dbając jednak o nieprowokowanie poważniejszego konfliktu z anglosasami.

Ofensywa w Azji nie oznacza wcale cofania się czy nawet taktyki defensywnej w Europie. Kreml nie ustępuje ani na jotę nawet w tych zagadnieniach, w których zasadnicze interesy polityczne i strategiczne sowieckie nie są zainteresowane jak np. w zagadnieniu traktatu pokojowego z Austrią.

Pakt atlantycki nie przyczynił się, jak dotąd, do ruszenia naprzód realnie sprawy zbrojeń Europy Zachodniej. Zagadnienie dozbrojenia Niemiec zostało odroczone, a położenie w Europie skomplikowało się jeszcze ostatnio nieporozumieniami i polemikami francusko-niemieckimi na tle zagłębia Saary. W tych warunkach uwaga kół amerykańskich zwraca się w kierunku Hiszpanii. I w tym wypadku, sądzić można, iż skończy się na udzieleniu kredytów, a wreszcie pomocy dozbrojeniowej dla Hiszpanii gen. Franco. Skrupuły jednak i wątpliwości opóźniać będą amerykańskie decyzje. Totalny reżim Tita nie budzi jakoś zastrzeżeń u demokratów amerykańskich; istnieją one jednak wciąż wobec półtotalnego reżimu madryckiego.

Problem produkcji bomby wodorowej jest nowym etapem w wyścigu zbrojeń, który staje się główną przyczyną niemożności pokojowego współistnienia obu systemów przez dłuższy okres czasu. Trudno jest nam oceniać jaki efekt wywrze decyzja produkcji tej bomby na opinię amerykańską. Nie wydaje się jednak, aby wywołały one jakiegokolwiek wrażenie na kierownikach polityki sowieckiej i aby wpłynęły one na zmianę ich taktyki, tak jak bez wpływu na nią pozostał eksperyment atomowy nad Hiroshima. W tych warunkach można przewidywać trwanie zimnej wojny, a nawet jej zaostrenie łącznie ze wzmocnieniem działalności "piętych kolumn", zwłaszcza w takich krajach Zachodniej Europy jak Francja i Włochy. Ameryka zdaje się wciąż poszukiwać swojej linii politycznej.

Najnowsza historia Polski

Wspomnienia z pracy w Ministerstwie Skarbu

(Od grudnia 1936 do października 1939)

I.

Na stanowisko Wiceministra Skarbu powołany zostałem w listopadzie 1936 r. Powołanie to poprzedziła bezpośrednio dwuletnia praca w organizacjach rolniczych gdzie pełniłem obowiązki Prezesa Wielkopolskiej Izby Rolniczej i Prezesa Związku Izb i Organizacji Rolniczych — oraz uprzednio od roku 1918, służba w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Z zagadnieniami finansowymi stykałem się bliżej tylko w ciągu roku 1935 jako przedstawiciel rolnictwa w Radzie Banku Polskiego.

Mianowanie moje na stanowisko urzędowe wywołało w prasie szereg komentarzy. W czasie przewrotu majowego w r. 1926 byłem Kierownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych w gabinecie Wincentego Witosa. Po dwuletnim urlopie bezpłatnym udzielonym mi na własną prośbę, sprawowałem następnie politycznie mało znaczącą funkcję członka Górnośląskiej Komisji Mieszanej. Płk. Beck objawszy tekę Ministra Spraw Zagranicznych przeniósł mnie na emeryturę z równoczesnym obniżeniem mego uzyskanego 6 lat wcześniej stopnia służbowego. Przy wyborze zarówno na Prezesa Wielkopolskiej Izby Rolniczej, jak na Prezesa Związku Izb i Organizacji Rolniczych korzystałem z poparcia głosów przedstawicieli ówczesnej opozycji. W tych warunkach nominacja moja wydawała się być zaprzeczeniem przestrzeganej dotąd zasady jednolitości ideologicznej gabinetu. "Cyrulik Warszawski" zamieścił moją karykaturę w cyklu "Z polskiego kinematografu politycznego" zaopatrując ją podpisem: Mija Maj.

Na ogólnopolskim zjeździe gospodarczym zwołanym przez pre-

miara Kościałkowskiego w r. 1935 występowałem z publiczną krytyką polityki gospodarczej rządu. Krytykę tę ponawiałem następnie na Radzie Banku Polskiego. Projekty reform, które wysuwałem podówczas, wziął Wicepremier Kwiatkowski jako asumpt do zapronowania mi współpracy w Ministerstwie Skarbu. Po wahaniach uzasadnionych zarówno rozważaniami politycznymi jak i świadomością niedostatecznej fachowości w zakresie ściśle finansowym, propozycję jego przyjąłem. Skłoniły mnie do tego nalegania moich kolegów z zarządu Związku Izb i Organizacji Rolniczych, oraz otrzymane od Wicepremiera zapewnienie, że nie będę przedmiotem jakichkolwiek nacisków politycznych. Lojalność nakazuje mi stwierdzić, że zapewnienie to zostało w pełni dotrzymane. Wspominam o tym dziś tym bardziej, że tak często czytać nam przychodzi o "totalitarnym" ustroju rządów przedwojennych. W czasie mej pracy w Ministerstwie Skarbu podtrzymywałem zupełnie jawnie bliskie stosunki z przyjaciółmi osobistymi, stojącymi w zdecydowanej opozycji do rządu. Metodę tę stosowałem oczywiście i później, ale nie bez niejednokrotnego narażania się na duże przykrości. Gdy zaś w tragicznej jesieni 39 r. wyjeżdżałem z Rumunii do Paryża, gen. Sławoj-Składkowski powiedział mi z cechującą go zawsze — często nawet nadmierną — prostolinnością: "Dziękuję Panu za współpracę. Polegała ona co prawda na tym, że byliśmy zazwyczaj odmiennych opinii, ale przynajmniej mówiliśmy to sobie nawzajem szczerze i otwarcie". Pożegnanie to zachowuję we wdzięcznej pamięci.

Charakter i zakres mojej poprzedniej działalności musiał wpłynąć decydująco na ustalenie moich kompetencji w ramach Ministerstwa Skarbu. Stanowisko Wiceministra ofiarowano mi z wyraźną motywacją iż chodzi o wzmoczenie wpływu rolnictwa na bieg spraw gospodarczych w państwie. Toteż zawiadywaniu memu podlegały: sprawy ogólnogospodarcze, zwłaszcza o ile dotyczyły wsi i rolnictwa, sprawy spółdzielcze, oraz Monopole Państwowe; w późniejszym okresie, po ustąpieniu Podsekretarza Stanu Świtalskiego, objąłem również nadzór nad Departamentami Ceł i Podatków. Sprawowany pierwotnie nadzór nad działalnością Państwowego Urzędu Kontroli i Ubezpieczeń złożyłem niebawem w kompetentniejsze ręce Podsekretarza Stanu Kożuchowskiego. Ze sprawami budżetowymi i obrotu pieniężnego stykałem się tylko o ile wiązały się bezpośrednio z wymienionymi uprzednio działaniami mojej pracy, lub też o ile zastępowałem Ministra Skarbu w czasie jego nieobecności. Korzystałem natomiast kilkakrotnie z posiedzeń Rady Kolei Śląsk - Bałtyk dla odbycia podróży do Niemiec, Francji i Anglii, zbierania informacji o sytuacji polityczno-gospodarczej w tych krajach i składania Ministerstwu obszerniejszych raportów na te tematy.

II.

Główny mój wysiłek w Ministerstwie Skarbu dotyczył spraw

rolniczych. Jako Prezes Związku Izb i Organizacji Rolniczych dawałem kilkakrotnie publicznie wyraz memu przekonaniu, że przeludnienie wsi, bezrobocie wiejskie oraz nadmiernie niski udział rolnictwa w dochodzie społecznym są czynnikami, które w decydujący sposób hamują rozwój gospodarczy i społeczny kraju. Toteż walkę o przywrócenie opłacalności produkcji rolnej, a przeciwdziałanie dekapitalizacji wsi, o stworzenie możliwie licznych warsztatów rolnych gospodarczo-aktywnych uważałem za jedno z głównych zadań państwowych. Staranie o realizację — stopniową i bardzo utrudnioną oporami zewnętrznymi i wewnętrznymi — tego programu, który był zarazem programem zorganizowanego rolnictwa polskiego, podjąłem od pierwszej chwili mej pracy w Ministerstwie Skarbu.

Bezpośredni wpływ na kształtowanie się niektórych pozycji dochodu rolniczego dawało zawiadywanie monopolami państwowymi. Następujące w latach 36 - 39 "urolniczenie" monopolów odbyło się bez straty dla Skarbu Państwa, gdyż wpłata ich do Kasy Państwowej wzrosła w tym okresie z 641 milionów złotych na 725 milionów złotych. Równocześnie jednak zdołano bardzo silnie zwiększyć areał plantacji tytoniowych, dając tym samym pracę i zarobek właśnie najmniejszym warszatom rolnym, tak, że gdy np. w roku 33 - 34 monopol tytoniowy przerabiał jeszcze 11.700 ton surowca zagranicznego, a tylko 6.700 krajowego, to już w latach 1936 - 39 ilość przerobionego surowca zagranicznego wyniosła tylko 7.100 ton a surowca krajowego 12.500 ton; zwiększono wydatnie zakup spirytusu napędowego i podniesiono jego cenę płaconą producentowi o cztery grosze (bez podniesienia cen sprzedaży); podtrzymano i rozbudowano używanie worków lnianych w monopolu solnym. W sumie dały te zabiegi zwiększenie dochodów rolnictwa o netto 9 milionów złotych rocznie.

Szerszy znacznie zasięg miała akcja zmierzająca do podtrzymania poziomu cen rolniczych, zwłaszcza zbożowych, która najpełniejszy swój wyraz znalazła w opracowanej w Ministerstwie Skarbu ustawie o tak zwanych opłatach przemiałowych. Zasadniczym punktem wyjścia ustawy było przekonanie, że, a) jeśli produkcja rolna jest deficytowa należy dążyć do zmniejszenia nie produkcji — jak to z różnych stron doradzano — lecz deficytu, b) że polska nadwyżka eksportowa w zbożu wynosząca w latach największego urodzaju zaledwie 9% produkcji, jest wyłącznie wynikiem niedokonsumcji chłopskiej; jeżeli więc dążyć do jej usunięcia, to jedynie przez wzmoczenie zamożności, a co za tym idzie spożycia wsi; do chwili zaś osiągnięcia tego celu utrzymanie jej jest koniecznością państwową, gdyż stanowi ona jedyną żywnościową rezerwę mobilizacyjną, rezerwę zawartą dla społeczeństw zamożniejszych w ścieśliwości konsumpcji cywilnej. Opierając się na tych założeniach oraz uwzględniając fakt, że w okresach silnej zniżki cen zbożowych cena chleba nie spadała nigdy w tym samym stopniu, nato-

miast wzrastała marża zysku pośrednika, ustalała ustawa opłatę od mąki i kaszy pobieraną tylko przy cenie żyta niższej od 20 złotych. Opłata ta nie obciążająca wedle intencji ustawodawcy, ani producenta ani konsumenta, lecz pobierana z "rozkuszu" gospodarczego, to jest, z nadmiernego zysku pośrednika, służyć miała dla premiowania eksportu rolnego i wprowadzić tym samym niejako samoczynną regulację cen. Pierwszy rok działania ustawy dał pod względem technicznym i finansowym rezultaty bardzo dodatnie. Efekt jej finansowy wyniósł zamiast preliminowanych 30 milionów złotych blisko 50 milionów, które w całości zużyte zostały na popieranie eksportu rolnego. Cena chleba pozostała w tym okresie niska, a ciężar opłaty, jak wykazały to szczegółowe i bezstronne badania przeprowadzone zarówno przez organizacje rolnicze jak przez Związek Eksporterów Zboża, nie został przerzucony na producenta. Natomiast działanie gospodarcze ustawy odbiegło — dzięki okolicznościom niezależnym od woli jej twórców — dość znacznie od pierwotnej jej intencji. Zebrany fundusz 50-ciomilionowy, który miał odegrać rolę potężnego narzędzia ofensywnego w rękach rolnictwa polskiego, wobec faktu, że rok 1938 - 39 był rokiem wielkiego urodzaju w Polsce i równocześnie najniższego, jaki kiedykolwiek zanotowano, poziomu cen rolniczych na rynkach światowych, stał się wałem ochronnym naszego gospodarstwa. Wypłacane z niego premie pozwoliły na podtrzymanie przez cały rok 1939 stabilizowanej i opłacalnej ceny masła i utrzymały ceny zboża na poziomie wprawdzie o 25% niższym od przewidzianego, lecz o całe 150% wyższym od ceny światowej pomniejszonej o koszt przewozu do Rotterdamu. Zysk, względnie ściślej mówiąc unikniętą dzięki tej ustawie stratę, rolnictwa polskiego w roku 1938 - 39 szacować można ostrożnie na 150 - 200 milionów złotych.

Jedną z głównych przyczyn ciężkiej sytuacji wsi w okresie ostatnich dziesięciu lat było zupełne załamanie kredytu rolniczego. Rolnik operujący długimi okresami produkcji potrzebuje stale, przy nieco intensywniejszej gospodarce, średnio-terminowego kredytu obrotowego. Zagadnienie dokupu ziemi przez jednostki bardziej przedsiębiorcze oraz nierozdrabniania gospodarstw na wypadek śmierci właściciela — oba pierwszorzędne znaczenia dla utrzymania zdrowej struktury agrarnej — uzależnione są w pełni od istnienia dostępnego dla rolnictwa kredytu długoterminowego. Stan istotny rzeczy w połowie zeszłego dziesięciolecia był natomiast taki, że warszaty rolne obciążone długami z okresu koniunktury straciły wobec spadku ceny ziemi i ziemioplodów wszelką zdolność kredytową, a instytucje powołane do finansowania rolnictwa osłabione niewypłacalnością dłużników i ustawowymi zabiegami oddłużeniowymi wegetowały zaledwie, nie dysponując wolną gotówką. Na rynku, poza kredytami zbożowymi oraz mającymi specjalne przeznaczenie i wymagającymi osobnego omówienia kredytami z Funduszu

Obrotowego Reformy Rolnej, pozostawały jako dostępne dla ogółu rolników właściwie tylko dwa typy kredytów: kredyt prywatny lichwiarski, zupełnie niewspółmierny z zdolnością płatniczą rolnika i, moim zdaniem, również niezdrowy, kredyt państwowy tzw. "kłęskowy", rozdzielany na podstawie opinii władz administracyjnych, a więc nie według wyłączenie gospodarczych kryteriów i najczęściej bezzwrotny, a zatem będący ukrytą subwencją, załataniem charytatywnym sytuacji nieopanowanej gospodarzo. Uzdrawienie tego stanu rzeczy w okresie trwającej — poza może rokiem 1937 - 38 — dekoniunktury rolniczej i przy pełnym zaabsorbowaniu rynku pieniężnego przez wydatki inwestycyjne, będące w lwiej części wydatkami zaprojektowanymi i jak się to w potocznej mowie nazywało "opancerzonymi" przez wojsko, było zadaniem nad wyraz trudnym. Uruchomienie przez Ministerstwo Skarbu w ramach planu inwestycyjnego kwot na budownictwo wiejskie oraz udzielenie kredytów w rocznej wysokości od 3 do 4 milionów złotych na działy rodzinne, było raczej wskazaniem właściwego kierunku pracy niż istotną pomocą dla rolnictwa. Większe znaczenie miały postępująca z roku na rok rozbudowa kredytów zastawnych i zaliczkowych; w roku 1938 - 39 korzystało z nich już blisko 80 tysięcy kredytobiorców na łączną sumę 46 milionów złotych (odnośne cyfry dla r. 1934 - 35 wynosiły: liczba kredytobiorców 20 tysięcy, suma rozprowadzonego kredytu 23 miliony złotych). Poważnym krokiem naprzód ku lepszemu była jednak dopiero wniesiona przez Ministerstwo Skarbu wiosną 1939 roku ustawa, uruchamiająca na zupełnie nowych zasadach pierwszą 50 milionową transzę kredytu długoterminowego dla rolnictwa. Kredyt ten, przeznaczony dla gospodarstw mniejszych i średnich, udzielany miał być na przeprowadzenie działań rodzinnych, na dokup ziemi i spłatę dawnych zobowiązań; obsługa wraz z amortyzacją wynosiła tylko 5%, umorzenie następowało w przeciągu lat 25, a więc w okresie życia jednej generacji.

Ściśle z omówioną w poprzednim ustępie sytuacją, wytworzoną po załamaniu się w roku 1929 cen rolnych, wiązała się sprawa tak zwanego oddłużenia rolnictwa. Wzrastająca niemal stale w okresie dziesięciolecia rozpiętość między dochodem rolnictwa a obsługą jego zadłużenia, istotna niemożność wywiązania się z swych zobowiązań i w konsekwencji ciągłe wizyty komorników — wszystko to wywoływało u wielkiej części społeczeństwa rolniczego zrozumiałe zdenerwowanie i skłonność do upatrywania w skreśleniu całkowitym lub częściowym długów jedyne go panaceum na niedolę wsi. Zapatrywania te podzielane były przez pesymistów gospodarczych, traktujących nędzę wsi jako objaw stały i niemal naturalny, uważających walkę z nią jako beznadziejną i skłonnych wobec tego do łagodzenia jej co pewien czas sui generis darem z łaski od reszty współobywateli. Osobiście byłem i jestem po dziś dzień odmiennego zdania. Akceptowanie nierentowności rolnictwa było w warunkach polskich na dłuż-

szą metę akceptacją bankructwa całego gospodarstwa narodowego. A regularne skreślanie długów przy równoczesnym niedostatecznym nasileniu wysiłków o zapewnienie opłacalności i przy prowadzeniu reformy rolnej w taki sposób, że tworzone w jej wykonaniu osady były niejednokrotnie już w chwili powstania obciążone wyżej 100% wartości, to marnotrawienie majątku społecznego i tworzenie deficytowego perpetuum mobile groźnego dla równowagi gospodarczej całego państwa. Pominąć przy tym nie można, że kwoty przeznaczone na zabiegi oddłużeniowe, wobec słabości rolniczego aparatu kredytowego, w całości niemal pokrywane być musiały z budżetu państwowego a tym samym prawie automatycznie uszczuplały wydatki na inne cele rolnicze. Różnica zaś w wydajności sum łożonych na oddłużenie i wydatków na premiowanie eksportu rolnego była tego rodzaju, że podczas gdy pierwsze z nich działały tylko na korzyść warsztatów nadmiernie obciążonych, przynosząc im ulgę ściśle odpowiadającą wysokości wypłaty dokonanej przez państwo, to z drugich korzystało całe rolnictwo, a zysk jego był, dzięki wielokrotności działania premii, kilkakrotnie wyższy od kwoty wydatkowanej z budżetu. Wychodząc z tych właśnie założeń, uważałem podniesienie dochodowości rolnictwa i umożliwienie mu tym samym uiszczania się z swych zobowiązań oraz odbudowę zdrowego kredytu rolnego za zadania główne, a oddłużenie za zabieg tylko dodatkowy, leczący objawy choroby lecz nie usuwający jej źródeł. Nie mogłem zatem ustosunkować się pozytywnie do wychodzących z łona sejmu daleko idących wniosków oddłużeniowych i starałem się w powtarzających się długich i mozolnych pertraktacjach doprowadzić je do rozmiarów uzasadnionych ogólną sytuacją finansową. Wynikiem tego była kompromisowa ustawa z lata 1939 roku, przewidująca pewne ulgi w spłacie zobowiązań dla ogółu rolnictwa a ustalająca tryb przeprowadzenia pełnego oddłużenia dla tylko jednej kategorii warsztatów, tych mianowicie, które powstały z przebudowy ustroju rolnego. Wyjątkowe potraktowanie osadników wydało mi się uzasadnione raz dla tego, że wobec coraz dalej posuwanego upaństwowiania parcelacji odpowiedzialność Rządu w stosunku do nich wydawała mi się szczególnie wyraźna, po drugie, ponieważ właśnie osady parcelacyjne — zwłaszcza w zachodniej Polsce — należały do kategorii gospodarstw najbardziej obciążonych. Oczywiście zdawałem sobie w pełni sprawę, że tylko gruntowna zmiana systemu stosowanego w zakresie reformy rolnej może przynieść zasadniczą poprawę, może z jednej strony ożywić ruch parcelacyjny a z drugiej oprzeć go na zdrowych gospodarczo podstawach. Niestety zmierzające do tego celu prace Ministerstwa Skarbu nad projektem przekształcenia F. O. R. R. w potężny aparat kredytowy dla finansowania drobnego rolnictwa, nie zostały do chwili rozpoczęcia działań wojennych ostatecznie ukończone.

Jeżeli uważałem za konieczne rozwieść się nieco szerzej nad

niektórymi fragmentami akcji rolniczej, prowadzonej w Ministerstwie Skarbu, to dla tego, iż były one zarazem fragmentami wielkiej zasadniczej walki dwóch światopoglądów, walki doniosłej politycznie i społecznie, walki o przyszłość wsi polskiej. Z jednej strony barykady stali ludzie o niewątpliwie szlachetnym instynkcie społecznym lecz w gruncie rzeczy pełni niewiary do chłopów i jego samodzielności gospodarczej czy politycznej, pragnący uszczęśliwić wieś bez liczenia się z jej wolą, pragnący ująć ją w karby zespołów kierowanych centralistycznie, decydujący za chłopów gdzie, kiedy i ile ziemi ma kupić, jak ma następnie na niej gospodarować, jak żyć i jak myśleć, upatrujący wreszcie w rozdrobnieniu gospodarstw i ich słabości ekonomicznej okoliczność ułatwiającą rolę kierowniczą góry. Z drugiej strony znaleźli się ci, którzy stawiali nie na instruktora lecz na chłopów, którzy wierzyli w możliwość organicznego rozwoju wsi ku wyższym formom gospodarczym i kulturalnym, którzy w każdym warsztacie rolnym pragnęli widzieć — aktywną i *odrębną* część gospodarstwa polskiego a w rodzinie włościańskiej — dzięki uczuciu *samodzielności* i odpowiedzialności jakie wyrabia władanie ziemią — szkołę wychowania obywatelskiego. I jedni i drudzy doceniali wagę zagadnienia wiejskiego, ale gdy dla jednych chłop był głównie przedmiotem zainteresowania i zabiegów politycznych czy też społeczno-charytatywnych, dla drugich był przede wszystkim podmiotem życia polskiego. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że zwolennicy tego co w przeciwieństwie do wsi chłopskiej nazywałbym wsią proletariacką działali, mimo radykalizmu społecznego, często pod bezwiednym wpływem nawyków myślowych z ery pańszczyźnianej, nawyków przemieszanych z pojęciami zaczerpniętymi z jakżeż nie tylko dzisiaj ale i w przeszłości odmiennego ustroju wsi rosyjskiej. W każdym razie godne uwagi jest, że raczej elementy związane z wyrobieniem społecznym i politycznym niż z ustrojem agrarnym decydowały o ustosunkowaniu się ludności wiejskiej w poszczególnych okręgach do tego sporu; generalnie stwierdzić można, że rolnicy wielkopolscy i małopolscy zajmowali zwarte i jednolite stanowisko broniąc swego prawa do samodzielności, a skłonność do ulegania prądom przeciwnym można było raczej dostrzec w niektórych częściach województw centralnych i wschodnich.

Na zagadnienia organizacyjne rolnictwa nie miało Ministerstwo Skarbu żadnego wpływu. Postawą swą w związanych z nimi sprawach finansowych i gospodarczych dawało ono jednak otwarcie wyraz programowi jaki uważało za słuszny. Pragnę w tym miejscu zaznaczyć, że wystąpienia odpowiedzialnego kierownika resortu, jakkolwiek z konieczności ostrożniejsze, nie odbiegały od stanowiska jakie osobiście zajmowałem. Stan ten umożliwiał Ministerstwu Skarbu utrzymywanie przez cały okres trzyletni, o którym mówię, bliskiego i ciągłego kontaktu z niezależną opinią rolniczą.

Sprawy spółdzielczości nadzorowane przez Ministerstwo Skarbu wiązały się ideologicznie i zagadnieniowo ściśle z sprawami rolniczymi. W chwili objęcia przez mnie stanowiska Wiceministra Skarbu zastałem ustrój spółdzielczości polskiej określony ustawą z 1934 roku; dawała ona związkom rewizyjnym szerokie kompetencje, ustanawiała jednak równocześnie jako organ naczelny całego ruchu Radę Spółdzielczą, której członkowie mianowani byli przez Ministerstwo Skarbu. Przewodniczący Rady był urzędnikiem państwowym, przysługiwało mu prawo rewizyjne w stosunku do spółdzielni niezwiązkowych a prawo nadzoru w stosunku do Związków, Central i spółdzielni związkowych. Ta połowiczna autonomia, nie obejmująca władz naczelných, budziła niezadowolenie wielu spółdzielców, domagających się pełnego samorządu, opartego na zasadach analogicznych do założeń, na których zbudowany był samorząd rolniczy czy przemysłowo-handlowy. Stąd tendencje do nowelizacji ustawy, tendencje natrafiające skądinąd na zastrzeżenia powodowane politycznym znaczeniem spółdzielczych instytucji mniejszościowych.

Zdawałem sobie sprawę, że dyskusja nad zmianą ustawy ożyć musi w łonie spółdzielczości spór inny, spór między integralistami ruchu spółdzielczego a tymi, którzy doceniając w pełni znaczenie organizacji spółdzielczej w społeczeństwie tak niezależnym jak polskie, nie upatrywali jednak w niej formy ustrojowej winnej objąć całość życia gospodarczego i społecznego kraju. Osobiście patrzyłem z pewnym sceptycyzmem na tendencje "mesjanistyczne" wśród spółdzielczości, na traktowanie każdego kto przechodził do pracy prywatno-gospodarczej jako odstępcy czy zdrajcy, na potępienie dobrze na ogół funkcjonujących sklepów Kółek Rolniczych w Małopolsce tylko dla tego, że nie były spółdzielniami. Wyrosły bowiem na ziemiach zachodnich pamiętałem, że wśród niepomiernych zasług położonych właśnie tam przez spółdzielczość, nie na ostatnim miejscu zapisać trzeba wychowanie przez nią całej plejady kupców, którzy otwierając następnie samodzielne placówki handlowe, przyczynili się waleń do polonizacji miast i miasteczek Poznańskiego i Pomorza. Widząc jednak, jak u wielu przedstawicieli kierunku ekskluzywnego fanatyzm idei łączył się z fanatyzmem pracy i z poważnymi osiągnięciami gospodarczymi, nie czułem się uprawniony do narzucania im a priori moich poglądów, dążyłem natomiast do wytworzenia w Radzie Spółdzielczej możliwie poważnego i kompetentnego forum, na którym zarówno bieżące zadania spółdzielczości jak i jej przyszły ustrój mogłyby ulec pogłębionemu rozpatrywaniu i rozstrzygnięciu. Pierwszym krokiem ku temu było powołanie spoza grona urzędników państwowych przewodniczącego Rady w osobie dr Aleksandra Całkosińskiego, znanego działacza spółdzielczego. Współ z dr Całkosińskim przeprowadziliśmy pełną reorganizację personalną Rady. Dążyliśmy przy tym do wzmocnienia w jej składzie czynnika

obywatelskiego, zastępując zasiadających w niej dotychczas funkcjonariuszy Związków Rewizyjnych prezesami lub członkami, powołanych z wyboru Rad Nadzorczych tych Związków; równocześnie staraliśmy się o zgrupowanie w Radzie przedstawicieli wszystkich ważniejszych ośrodków terenowych i wszystkich odcieni ideowych ruchu spółdzielczego. Rezultatem tak przeprowadzonej selekcji było, iż — aczkolwiek kryterium przynależności partyjnej nie zostało przy powoływaniu członków w najmniejszym nawet stopniu stosowane — w gronie Rady zasiedli wspólnie z reprezentantami wyznaczonych przez ustawę resortów poważni przedstawiciele wszystkich odłamów myśli politycznej, od Stronnictwa Narodowego poprzez Stronnictwo Ludowe i P. S. aż do Unda i mniejszości niemieckiej i żydowskiej włącznie, i że, co ważniejsze, prace Rady były nad wyraz harmonijne i owocne.

Wzrost w latach 1936 - 39, pomimo poważnych szkód wyrządzonych przez kryzys, zarówno liczby jak i obroty spółdzielni był dowodem siły wewnętrznej i dynamiki ruchu spółdzielczego. Usprawnienie w tym samym okresie akcji rewizyjnej, zmniejszenie liczby spółdzielni niezwiązkowych, zlikwidowanie wielu spółdzielni o cenach spekulacyjnych lub zgoła nierzetelnych, przeprowadzenie oddłużenia szeregu spółdzielni rolniczych, stopniowe polszczenie spółdzielni mleczarskich w dzielnicach zachodnich i last not least wzmoczenie wśród Związków ducha współdziałania, przypisać należy w pierwszym rzędzie wyjątkowej pracy dr Całkosińskiego.

Nadzór nad Monopolami Państwowymi dawał, jak to już wspomniałem przy omawianiu spraw rolniczych, możność poważnej i bezpośredniej ingerencji w całokształt życia gospodarczego kraju. Wpływy z Monopolów pokrywały około 1/3 wydatków państwowych a regularność wpłat i równomierne ich rozłożenie na wszystkie okresy roku nadawały im w gospodarce finansowej Skarbu zupełnie wyjątkowe znaczenie. Równocześnie były Monopole poważnym odbiorcą polskiej produkcji, zarówno rolnej jak i przemysłowej, zaopatrywały konsumenta w tak podstawowe artykuły jak sól, spirytus, tytoń, zapalki oraz dawały zatrudnienie wielkiej ilości pracowników zajętych w administracji, wytwórniach, kopalniach i magazynach czy punktach sprzedaży.

Nadzór nad Monopolami sprawowałem w zakresie administracyjno-prawnym za pośrednictwem Departamentu VI Ministerstwa Skarbu, w zakresie gospodarczym drogą bezpośrednich kontaktów z dyrektorami, których samodzielność i odpowiedzialność starałem się możliwie rozszerzyć. Mam wrażenie, iż realizacja tej tendencji dała wyniki dodatnie, zwłaszcza po powołaniu dyrektora Monopoli Tytoniowego Dyrektorowi Ernestowi Zarembie, a dyrektora Monopoli Spirytusowego pylemu kierowni-

kowi Związku Eksporterów Zboża, Dyrektorowi Leonowi Domańskiemu.

Nie mogąc w krótkim z konieczności wspomnieniu zobrazować wielostronnej działalności Monopolów, pragnę zatrzymać się tylko nad paroma ważniejszymi zagadnieniami, które, poza omawianym już urolnieniem, były przedmiotem szczególnych prac Ministerstwa w okresie sprawozdawczym. Na pierwszy plan wysuwa się tu przeprowadzana stopniowo reorganizacja sprzedaży artykułów monopolowych. Stan w tej dziedzinie zastałem przy sprawnej na ogół administracji monopolów wysoce niezadowolająco. Koncesje monopolowe traktowane były jako zaopatrzenie czy też subwencja udzielana osobom lub organizacjom społecznym uprzywilejowanym albo po prostu protegowanym. Koncesjonariusze w większości wypadków nie zajmowali się wykonywaniem koncesji lecz wydzierżawiając ją z punktu ograniczali swą rolę do inkasowania czynszu. W rezultacie były Monopole de facto pozbawione wpływu na dobór istotnych wykonawców koncesji, co oczywiście zwiększało ilość nadużyć. Równocześnie rozwinęła się około rozdawnictwa koncesji jakaś niezdrowa gospodarka protekcyjna, jakaś sieć zabiegów personalnych i politycznych, która krępowała pracę Monopolów we wszystkich działach.

Przeprowadzona reforma oparła się zatem na zasadzie, iż koncesję otrzymać może tylko ten, kto zobowiąże się do wykonywania jej osobiście. Pierwszeństwo dla inwalidów wojennych, niepodległościowców i Powstańców zostało utrzymane jednak w granicach zasady powyższej. Tym samym otrzymał inwalida nie jak poprzednio dodatkowe zaopatrzenie ale warsztat pracy gwarantujący mu skromny, lecz pewny dochód. Kto chciał jak dotychczas handlować nie solą, tytoniem czy spirytem lecz samą koncesją — zostawał eliminowany. Stopniowo eliminacji na rzecz spółdzielni i drobnego kupiectwa ulegały również wszelkie inne kategorie tak zwanych uprzywilejowanych. Ponieważ jednak zarządzenie to podcinało byt szeregu instytucji społecznych i charytatywnych, które wprawdzie egzystencję swą opierały na niewłaściwym handlu koncesjami, lecz służyły poza tym celom godziwym i słusznym, przyznano niektórym z tych instytucji na okres przejściowy jawną subwencję z czystego zysku Monopolów. Wprowadzenie w życie reformy wywołało wiele niezadowolonych, wiele zadrażeń politycznych i personalnych, ale w rezultacie przyczyniło się waleń do uzdrowienia otaczającej Monopole atmosfery i umożliwiło oparcie organizacji sprzedaży na racjonalnych podstawach handlowych.

Duże znaczenie gospodarcze posiadała zainicjowana w tymże okresie rozbudowa i przebudowa Monopolu Spirytusowego. Monopol ten był, wbrew swej nazwie, pojęty pierwotnie jako Monopol Wódczany; nie przynosząca dochodów tak zwana pula niekonsumpcyjna traktowana była jedynie jako konieczny lecz kłopotliwy dodatek. Podejście to było ściśle fiskalne i pod kątem

widzenia zapewnienia wpłat do Skarbu Państwa słuszne, gospodarczo jednak nie wytrzymało krytyki. Przechodziło ono do porządku dziennego nad możliwościami racjonalnego zużycia tak ważnego w gospodarstwie polskim produktu jak ziemniaki (których i tak tylko znikoma część przechodziła przez rynek) i nie liczyło się z wzrostem motoryzacji z jednej strony a wyczerpywaniem się naszych źródeł naftowych z drugiej strony. Celem, który postawiliśmy sobie zatem było przerobienie możliwie dużej części naszej produkcji ziemniaczanej na spirytus napędowy i chemiczny a tym samym związanie rolnictwa z rozwojem motoryzacji i przemysłu chemicznego, dalej zapewnienie krajowi samowystarczalności w środkach napędowych i wreszcie utworzenie nieistniejących dotąd w wystarczającej wysokości rezerw na wypadek wojny. Postanowiliśmy działać tymczasowo w ramach starej ustawy, pozostawiając nowelizację jej na okres, w którym już oprzeć się będziemy mogli na poczynionych doświadczeniach praktycznych. Wydane zarządzenia dotyczyły kolejno:

- a.) podniesienie ceny płaconej gorzelniom za spirytus niekonsumpcyjny i stworzenie tym zachęty do zwiększenia jego produkcji
- b.) przejście od polityki ograniczonej ilości gorzelń do liberalnego udzielania pozwoleń na budowę nowych, przy szczególnym uwzględnieniu gorzelń spółdzielczych
- c.) obniżenie ceny spirytusu dostarczanego przez Monopol przetwórczym chemicznym
- d.) wprowadzenie drogą układu z przemysłem naftowym faktycznego przymusu mieszkankowego dla środków napędowych
- e.) podwojenie produkcji spirytusu odwodnionego drogą udzielenia koncesji na budowę 5 nowych zakładów odwadniających
- f.) nałożenia na nowopowstające zakłady i gorzelnie obowiązku utrzymywania rezerwuarów o znacznie wyższej niż poprzednio pojemności
- g.) budowy własnych podziemnych magazynów Monopolu Spirytusowego w okolicy Tarnobrzega.

Wykonanie punktów e.) i g.) zostało przerwane przez działania wojenne. W chwili wybuchu wojny byliśmy jednak, pomimo iż normalna kampania gorzelniana nie była jeszcze wszczęta, zaopatrzeni w poważne ilości zarówno surówki (przeszło 60 milionów litrów spirytusu 100 %) jak i spirytusu odwodnionego. Większość tych zapasów została mimo wielkich trudności transportowych latem 1939 roku przewieziona na wschód kraju, przy czym nowe, obszerne magazyny utworzono w Drohobyczu.

Na zakończenie pragnę jeszcze wspomnieć o dwóch problemach, które w okresie mego urzędowania mimo ponawianych kilkakrotnie prób nie znalazły właściwego rozwiązania. Mam tu na myśli zakupy tytoniu zagranicznego i potrzebną reformę stosunków urzędniczych i robotniczych w Monopolach.

Tranzakcje tytoniowe są wobec wielkiej niesolidności rynku międzynarodowego znacznie trudniejsze i drażliwsze od innych analogicznych transakcji handlowych. Niestety w naszych warunkach ani komisje zakupu ani też kontrolujące ich działalność władze zwierzchnie nie posiadały pełnej swobody ruchów. Ustrzeżenie tajemnicy handlowej było prawie niewykonalne wobec przywileju pierwszeństwa w dostawach udzielonego określonym firmom włoskim (Poltabacco) w chwili zaciągnięcia pożyczki tytoniowej, a wybór rynku ograniczony był w znacznym stopniu żądaniem, wysuwającym przez Ministerstwo Spraw Wojskowych wobec Monopolu, by zakupy tytoniu kompensowane były eksportem wytworów naszego przemysłu zbrojeniowego. Przywileje Poltabacco udało się wykupić dopiero w roku 1939, drugi zaś serwitut nie przestał obowiązywać do końca.

Płace robotników w Monopolach były — poza płacami części robotników saliniarnych — na ogół wysokie. Ujednolicenia wymagała natomiast sprawa robotniczych zaopatrzeń emerytalnych; w zakresie tym rozpiętość była ogromna, od obciążających silnie budżet wysokich emerytur w wytwórniach tytoniowych i spirytusowych aż do zupełnie niewystarczających, głodowych zasiłków, wypłacanych wysłużonym pracownikom salin inowrocławskich. Pragmatyka urzędników monopolowych była źle skonstruowana, zasady zaszeregowania ich do poszczególnych grup płacy nieraz krzywdzące. Zdarzały się wypadki, że kierownik dużej wytwórni, ponoszący poważną odpowiedzialność, pobierał pensję niższą niż niektórzy podwładni mu pracownicy niewykwalifikowani. Usunięcie tego stanu rzeczy było możliwe tylko przy poniesieniu pewnych ofiar zarówno ze strony budżetu jak i tych grup pracowniczych, które stan istniejący uprzywilejował kosztem towarzyszy. Niestety, ponawiane kilkakrotnie starania o doprowadzenie do takiego załatwienia sprawy nie dały, poza osiągnięciem szeregu drobniejszych zmian i poprawek, pożądanego efektu.

Nadzór nad Departamentami Cei i Podatków objąłem dopiero w roku 1938. Administracja Cei nie odgrywała już w tym czasie tej ważnej gospodarczo roli, jaka przypadała jej poprzednio w okresie stosunków liberalnej wymiany międzynarodowej. Wobec zastosowania systemu clearingowego w coraz większej ilości umów handlowych, wobec kontyngentowania zarówno pozwoleń na przywóz i wywóz jak i przydział dewiz, zadanie regulacji obrotów handlowych z zagranicą przeszło niemal w całości do Ministerstwa Przemysłu i Handlu i Komisji Dewizowej. W tych dwóch instancjach skoncentrowała się obrona bilansu handlowego i płatniczego, cła zaś stawały się siłą rzeczy tylko instrumentem pomocniczym, o charakterze coraz bardziej fiskalnym. Pozwoliło to na zwrócenie uwagi na zagadnienia administracyjno-porządkowe. Przygotowując materiały do koniecznej w

przyszłości nowelizacji ustawodawstwa celnego ustalił Departament Cei równocześnie, analogicznie do akcji przeprowadzonej w Monopolach Państwowych, nowy system koncesjonowania składów i agencji celnych, oparty na normach obiektywnych, eliminujących wszelką dowolność i tym samym wpływy zewnętrzne. Przeprowadzano dalej ściślejszą selekcję wśród personelu urzędniczego i organizowano kursy szkoleniowe dla urzędników młodszych. Ponieważ doświadczenie wykazywało, że tradycyjna *dulcedo moris* polonici nie zawsze znajdowała w celnikach naszych najbardziej charakterystycznych reprezentantów, kładziono nacisk specjalny na uprzejmość i nie przesadnie rygorystyczne traktowanie podróżnych, w pierwszym rzędzie reemigrantów, w urzędach granicznych. Wychodziliśmy przy tym z założenia, że ujma jaka z tego tytułu powtać może dla dochodów państwowych jest niewspółmierna ze szkodą propagandową i polityczną, jaką wyrządza złe lub niedość grzeczne przyjęcie przyjezdnych przez pierwszych napotkanych po przekroczeniu granicy przedstawicieli administracji polskiej. Inicjatorem i głównym wykonawcą tej akcji organizacyjnej i wychowawczej był powołany w roku 1938 na kierownika Departamentu Cei Dyrektor Maksymowicz, w czasie wojny ciężko ranny we Lwowie; w pracę nad szarmonizowaniem niezwykle sztywnych norm przepisów celnych z niedającymi się zawsze podciągnąć pod jeden strychulec wymaganiami życia oraz nad podniesieniem poziomu celnictwa polskiego, włożył on tę samą energię i to samo poświęcenie, które okazał następnie tak dowodnie, jako kierownik grupy ewakuacyjnej Ministerstwa Skarbu, w najcięższych dniach września i października 1939 roku.

Departament Podatkowy Ministerstwa Skarbu podlegał mi przez mniej więcej ostatnie półtora roku. Administrację podatków, która w okresie lat poprzedzających była przedmiotem szczególnie ostrych i uprawnionych krytyk, zastałem już usprawnioną, obsługę płatnika stosunkowo lepiej zorganizowaną, liczbę zaległości mniejszą. Postęp ten był widoczny; dowodzi tego choćby przebieg ostatniej konferencji gospodarczej w której brałem udział jeszcze jako Prezes Związku Izb i Organizacji Rolniczych i na której zarówno moi koledzy z samorządu przemysłowo-handlowego i rzemieślniczego jak i ja sam czuliśmy się zobowiązani do podkreślenia w przemówieniach publicznych dokonanych ulepszeń. Nie zmieniało to jednak faktu, iż sama konstrukcja naszych obciążeń publicznych była i pozostawała wadliwa i nie dostosowana do struktury społecznej i gospodarczej kraju. Liczba ustaw i rozporządzeń podatkowych oraz ich zawiałość (przypomnę tylko ustawę o opłatach stempłowych) powodowały, iż ogromna większość obywateli nie rozumiała i nie mogła rozumieć swych obowiązków wobec Skarbu Państwa i że wobec tego wymiar podatków przedstawiał się z ich subiektywnego punktu widzenia raczej jako pobór kontrybucji. Zbyt silna i szybka skala progresji w daninach bezpośrednich hamo-

wała rozwój przedsiębiorstw solidnych, prowadzących rzetelnie księgi, a równocześnie znaczna ilość dochodów i obrotów pokątnych nie była wcale uchwycona podatkowo. Administracja skarbową była bardzo liczna a mimo to przeciążona pracą. Wszystko to wołało o gruntowną reformę, o komasację danin, uproszczenie wymiaru i, jeżeli tak można powiedzieć, skomercjalizowanie poboru.

Za przygotowanie reformy uważaliśmy prowadzone z roku na rok prace nad nową klasyfikacją gruntów. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że przystąpienie do istotnej przebudowy systemu podatkowego spowodować musi w okresie przejściowym zahamowanie wpływów i dlatego uwarunkowane jest albo posiadaniem poważniejszych rezerw, albo też uprzednim otrzymaniem pożyczki (tzw. *Überbrückungskredit*) na pokrycie koniecznych wydatków. Ponieważ nie mieliśmy rezerw dostatecznych, a szanse otrzymania pożyczki były — z powodów do których jeszcze wrócę — niewielkie, musieliśmy tymczasem zadowolić się wprowadzeniem pewnych zmian, które, jako mniej daleko idące, nie zagrażały równowadze budżetowej. Tak zwana Mała Reforma Podatkowa z roku 1938 objęła tedy zniesienie podwójnego opodatkowania dochodów spółek akcyjnych, reformę podatku obrotowego przy równoczesnym skasowaniu hamujących zatrudnienie świadectw przemysłowych, pogłębienie ulg podatkowych dla inwestycji dokonywanych w przemysłach ważnych dla obrony kraju, zniesienie patentów na sprzedaż piwa i niektórych innych artykułów obciążonych akcyzą, obniżenie opłat stemplowych przy przenoszeniu własności mniejszych gospodarstw rolnych. Przyjęcie reformy przez szeroką opinię i sfery gospodarcze było na ogół przychylnie, aczkolwiek utrzymywało się słuszne mniemanie, iż wyczerpuje ona tylko część zagadnienia.

Na zakończenie tej części moich wspomnień, która dotyczy bezpośrednio podległych mi działów pracy pragnę powiedzieć parę słów o polityce personalnej Rządu i Ministerstwa Skarbu. W poprzednich ustępach wspomniałem kilkakrotnie o przeprowadzanych w czasie mego urzędowania i z mojej inicjatywy zmianach na kierowniczych stanowiskach w Ministerstwie oraz o wynikach uzyskiwanych przez moich współpracowników. Czynikiem do świadomości, gdyż w ciągu długoletniej pracy publicznej nauczyłem się doceniać znaczenie odpowiedniego doboru osób i właściwej polityki personalnej dla efektów osiąganych przez administrację. Urzędnik państwowy musi być wyrazicielem ciągłości interesu państwowego i doświadczenia administracyjnego, musi być dla tego niezależny od nieuchronnych fluktuacji partyjno-politycznych. Wyrobienie w nim poczucia odpowiedzialności, stanowiącego na każdym stanowisku jedynie pewną gwarancję skutecznej pracy, jest tylko możliwe, gdy zarówno on jak i jego zwierzchnicy w pełni rozumieją, że ta

odpowiedzialność jest nie mniejsza, ale o zupełnie innym zakresie i charakterze niż odpowiedzialność działacza politycznego czy parlamentarnego. Z drugiej znowu strony tylko wprowadzenie co pewien czas do administracji pewnej ilości świeżych ludzi może ją uchronić od biurokratyzacji i skostnienia. Scharmonizowanie tych zasad stanowi główną trudność każdej polityki personalnej, trudność która na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat naszej państwowości nie zawsze była szczęśliwie rozwiązywana.

Gdy w roku 1918, wśród toczącej się wojny zaczęły powstawać na ziemi polskiej pierwsze po prawie stu latach polskie urzędy, do wspólnej pracy stanęli ludzie z różnych dzielnic, różnych ugrupowań i środowisk, często pozbawieni odpowiedniego przygotowania, a prawie zawsze doświadczenia. Pracowano bez przepisów, bez regulaminów, często bez podstawowych ustaw. Patrząc na tę bezprzykładną w dziejach narodów improwizację, sąsiedzi nasi, przyzwyczajeni do identyfikowania państwa ze skomplikowaną i wyregulowaną w każdym kółku maszyną biurokratyczną, czekali z ledwie ukrywaną radością na niechybną zdaniem ich katastrofę. By ją przyspieszyć wycofali Niemcy, wbrew swej zasadniczej polityce, urzędników kolejowych, pocztowych i sądowych z Polski, pomimo iż Rząd nasz gotów był ich jeszcze jakiś czas zatrudnić. Nie przewidywali, że rutynę może jednak w pewnych warunkach zastąpić ofiarność, że możliwe jest, by urzędnik swą pracę za biurkiem przy okienku czy za warsztatem pojmował z tym samym oddaniem i z tym samym *high spirit* co żołnierz na wysuniętym posterunku. Tylko naród, który przez sto lat pozbawiony był własnych form państwowych i w którym nagromadziły się przez ten okres niewyżyte zapasy energii i entuzjazmu mógł w tak podniosłym nastroju przystępować do pracy codziennej.

Wpływ dziejów XIX wieku, wpływ na ustrój Polski Niepodległej, nieprzeżycia we własnym państwie tej epoki natężenia myśli politycznej, zajmie na pewno przyszłego historyka. Na skromnym odcinku sprawy urzędniczej widać go jak najwyraźniej. Pierwszy urzędnik Polski Zmartwychwstałej jest przepełniony poczuciem swego powołania, swej misji dziejowej. Rzeczywistość nie zdepoetyzowała urzędu; orzeł państwowy nad jego drzwiami jest symbolem — nie szyldem. Koturn, na którym chodzą pierwsi urzędnicy nie ma nic wspólnego z listą rang i stanowisk; jest rekwizytem z epoki romantycznej. A gdy praca i troski codzienne ścierają ten pokost niezwykłości, gdy dzień powszedni zaczyna zastępować historię, doświadczenie — entuzjazm a formularz improwizację, na los urzędnika już upodobnionego do kolegi z ościennych państw znowu pada cień XIX-go wieku. Stosunek jego do otaczającego go społeczeństwa nie jest utrwalony tradycją; echa niechęci do biurokracji zabórczych mieszają się z ciągle jeszcze odświeżonym odnośnieniem się do pieczętki z orłem; grupy polityczne raz chcą by był ich

sługą, raz uważają go za wroga. I właśnie w tej trudności znalezienia normalnego toru i właściwego miejsca dla klasy urzędniczej, w pochopności do zapoznawania jej roli i przesadzania przywilejów, w tej skłonności czy to do dopatrywania w niej nowej elity czy też do potępiania jej w czambuł pod zarzutem pasożytnictwa, wyraża się jako nieuchronne dziedzictwo okręsu porobiorowego, brak kultury państwowej — nie politycznej — narodu.

Organizacja urzędów w odradzającym się państwie nie rzucała zdrowych podwalin pod rozwój naszej biurokracji. Nie dość, że skład osobowy poszczególnych władz i instancji był z konieczności przypadkowy. Paczyła go dodatkowo zastępująca poszukiwanie kompetencji, a z punktu widzenia państwowego błędna zasada poszukiwania równowagi wpływów. Dochodziło do tego, iż tam gdzie szefem urzędu był lewicowiec dodawano mu jako zastępcę prawnicę, że pasywistów dublowano aktywistami, że jednym słowem kryteria przygotowania rzeczowego szły w kąta na rzecz kryteriów partyjnych. Co prawda błędy popełniane u góry budziły niemal automatycznie reakcję od dołu. W biurach i urzędach zaczynała się samoistnie wytwarzać jakaś niezarejestrowana nigdzie zmowa urzędnicza na rzecz państwa, zaczął się rodzić sui generis zdrowy oportunizm, którego cechą było przeświadczenie iż polska racja stanu jest jedna, iż program polityki państwowej wywodzi się nie tylko z apriorystycznych koncepcji ideologicznych, ale także i przede wszystkim z narastających codziennie potrzeb, i że zmienianie się grup i obozów politycznych u władzy ułatwia przez uruchomienie coraz to nowych impulsów i zainteresowań kolejną realizację poszczególnych części tego programu. Niestety, reakcja taka, jako podstawa kształtowania się morale urzędników nie mogła być wystarczająca. Z biegiem czasu ich pierwotnie "zdrowy" oportunizm zaczął w szeregu wypadków nabierać zupełnie innego zabarwienia. Zbyt silna była pokusa, zwłaszcza dla jednostek słabszych i mniej zdolnych, by to czego nie mogli uzyskać własną pracą i zasługą osiągnąć przez poparcie partii; zbyt silna była pokusa dla stronnictw, by szukać dodatkowego i bezpośredniego wpływu na administrację. Dwa zwłaszcza wydarzenia utkwiły mi w pamięci: jedno to cytowany niegdyś przez prasę autentyczny fakt zapisania się, dbałego o swoją karierę, wyższego urzędnika w ciągu jednego tygodnia do trzech różnych stronnictw politycznych; drugi to interwencja u mnie, w roku 1924, gdy przejściowo kierowałem Ministerstwem Spraw Zagranicznych, przywódcy jednej z frakcji parlamentarnych, interwencja uzależniająca od natychmiastowej nominacji wskazanego mi kandydata na stanowisko Wicekonsula w prowincjonalnym mieście francuskim, ustosunkowanie się stronnictwa do Rządu w decydującym głosowaniu nad votum zaufania. Pierwszy z tych wypadków dał mi asumpt do wystąpienia na początku 1926 roku z wnioskiem do ówczesnego premiera, aby

analogicznie do zarządzenia wydanego swego czasu we Francji przez Prez. Poincarégo, każda interwencja polityczna czy parlamentarna na rzecz poszczególnego urzędnika była obowiązkiem odnotowywana w jego aktach personalnych. Propozycja ta była przedmiotem rozpatrywań w Prezydium Rady Ministrów, lecz wypadki majowe uniemożliwiły powzięcie formalnej decyzji.

Żywe wspomnienie przerostu wpływów partyjnych w dziedzinie personalnej i trudności wynikłych stąd dla kolejnych rządów spowodowały, iż gdy rząd prof. Bartla rzucił po maju 1926 r. hasło odpartyjnięcia administracji, to aczkolwiek znalazłem się osobiście na liście osób objętych ekskluzywą wewnętrzną nastawienie moje do hasła tego było w pełni pozytywne. Uważałem je w każdym razie za wiele bardziej uzasadnione i celowe od prowadzonej równocześnie z pewną ostentacją akcji przeciw rzekomym nadużyciom materialnym w armii i rządzie, akcji której rezultaty w stosunku do szkodliwego rozgłosu były i musiały być znikome, a która jak wszelka próba ubezwładnienia przeciwnika politycznego drogą poddawania w wątpliwość jego uczciwości osobistej, wywołać musiała w społeczeństwie przykry posmak. Gdyby zainicjowana przez prof. Bartla czystka była przeprowadzona w ten sposób, że objęte zostałyby nią jednostki, które nie okazywały dostatecznego zrozumienia dla granicy koniecznej między robotą partyjno-polityczną a państwową, gdyby była się odniosła do tych, którzy "plecy" partyjne uważali za wystarczający surogat pracy i zdolności, byłaby z punktu widzenia organizacji i państwa dała z pewnością dodatnie rezultaty.

Będąc w ciągu całego dziesięciolecia z dala od ośrodków decydujących o polityce państwowej nie mogę się podjąć oceny zarządzeń personalnych podejmowanych w tym okresie; nie mogę się jej podjąć tym bardziej, że nie chciałbym, aby choć podświadomie osobiste przeżycia wpływały na zabarwienie mego osądu. Natomiast pragnę podkreślić obserwacje, które czyniłem już nie jako urzędnik, lecz jako obywatel państwa i które w moim przekonaniu wykazują, że i dla czego akcja oderwania administracji od polityki, nawet przeprowadzana z najlepszą wolą, w ramach ówczesnego ustroju nie mogła być skuteczna.

Od chwili utworzenia B.B.W.R. — a następnie O.Z.N. — istniała w Polsce organizacja polityczna, która nie będąc monopartią posiadała jednak wyłączny stempel prawomyślności. Nie miała ona jak np. w Niemczech czy Włoszech określonej ustawowo roli w ustroju państwa, nie była też jak już z samej jej nazwy wynikało, źródłem inicjatywy politycznej lecz, przynajmniej formalnie, ohotnicznie skupieniem wykonawców inicjatywy rządowej. Inne stronnictwa istniały obok niej legalnie, choć wpływ ich na bieg spraw państwowych nie był dopuszczany nawet w wąskim zakresie przyznawanym opozycji w ustroju parlamentarnym. Niewątpliwym skutkiem tego stanu rzeczy było

przyzwyczajenie szerokich warstw do faktu, iż rząd rządzi przy równoczesnym jednak osłabieniu w nich poczucia odpowiedzialności za sprawy publiczne i wywołaniu tym samym stanu marazmu politycznego. Co gorzej, skupienie całej inicjatywy w rękach rządu wyrażało się na stopniu wojewódzkim i powiatowym w złożeniu kierownictwa akcji politycznej w ręce wojewodów lub starostów oraz podległych im urzędów i w oderwaniu ich przez to od właściwych zadań administracyjnych. Niemal automatycznie, w miarę jak malało zainteresowanie polityką społeczeństwa, wzrastało rozpolitykowanie administracji, i to w warunkach z góry demoralizujących urzędnika, bo zmuszających go przy formalnej równorzędności wszystkich ugrupowań do uprzywilejowania jednego z nich *via facti*.

Życie wykazało raz więcej, że bezpartyjność zorganizowana nabiera ujemnych cech partii. A stosowanie przy wykonywaniu czynności administracyjnych wobec obywatela kryteriów politycznych, pociągnąć musiało za sobą nieuchronnie fazę drugą, to jest przeprowadzanie również według kryteriów politycznych selekcji personelu urzędniczego. Stąd geneza tak zwanych Biur Personalnych, wyodrębnionych z organizacji poszczególnych resortów, uzależnionych od jego centralnego biura przy Prezesie Rady Ministrów, traktujących politykę personalną jako sztukę dla sztuki, jako osobny dział administracji państwowej i stawiających siłą rzeczy kryterium prawomyślności ponad kryterium fachowe. Koło było zamknięte: administracja wypełniła złe nawyki stronnictw — przejmując je sama i robiąc je swym monopolem.

W chwili mego powrotu do służby państwowej w roku 1936 zastałem Biura Personalne działające w pełni. Będąc przekonany, że spełniają one z punktu interesów państwa funkcję szkodliwą, widząc, że dziełem ich jest wyeliminowanie z administracji państwowej szeregu ludzi zdolnych, użytecznych i trudnych do zastąpienia, uważając wreszcie, że szef każdej gałęzi administracyjnej, czy będzie nim dyrektor departamentu podatkowego lub celnego czy przewodniczący rady spółdzielczej, może ponosić pełną odpowiedzialność za swój dział pracy tylko, o ile ma poważny wpływ na dobór swoich współpracowników i że o fachowych kwalifikacjach urzędnika może decydować tylko fachowiec, przygotowałem wspólnie z powołaną ad hoc komisją projekt zmiany statutu Ministerstwa Skarbu przewidujący między innymi zniesienie biura personalnego. Projekt ten uzgodniony w zupełności z Ministrem Skarbu i przedstawiany przezeń na Radzie Ministrów natrafił właśnie w tym punkcie na zasadnicze sprzeciwy niektórych członków gabinetu i los jego pozostał, mimo dwukrotnego rozpatrywania, do chwili wybuchu wojny ostatecznie nierozstrzygnięty.

Formalne niepowodzenie projektu nie wpłynęło jednak decydująco na organizację prac w Ministerstwie. Trwająca nadal statutowa odrębność Biura Personalnego została faktycznie zła-

godzona przez połączenie go w drodze unii personalnej z Departamentem administracyjnym Ministerstwa. Na czele obu działów stanął długoletni pracownik administracji skarbowej, nawiasem powziawszy, świeżo reaktywowany po uprzednim usunięciu go ze służby państwowej z powodów politycznych. Biuro stawało się powoli z powrotem tym, czym w istocie być powinno, tj. zbiornikiem informacji o kwalifikacjach pracowników udzielanych przez fachowe departamenty, i aby silniej je związać z całą strukturą administracji skarbowej, zostało wbrew poprzedniej praktyce podporządkowane jednemu z podsekretarzy stanu, mianowicie, p. Kozuchowskiemu.

Jeżeli chodzi o działy mnie podległe, to zagwarantowana mi, w chwili obejmowania stanowiska, swoboda w doborze współpracowników nie została nigdy zasadniczo naruszona, a stawiane przeze mnie kandydatury, które stanowić mogły odchylenie od generalnej linii rządu w sprawach personalnych spotykały się niemal zawsze z energicznym poparciem ze strony szefa resortu. Faktu tego nie mogę jednak traktować jako koncesji na moją rzecz, gdyż Wicepremier Kwiatkowski podkreślał niejednokrotnie, iż ambicją jego jest gromadzenie ludzi tęgieh i fachowych, bez względu na ich poglądy polityczne. Że odpowiadało to istotnym jego przekonaniom tego dowodem konsekwentne reaktywowanie zwalnianych poprzednio urzędników i powierzanie im niejednokrotnie, jak np. w wypadku dyrektorów Kirkora i Widomskiego, bardzo wybitnych stanowisk oraz bliska współpraca właśnie w najdrażliwszych sprawach osobowych z ludźmi reprezentującymi niekiedy, jak był Minister Bronisław Ziemięcki, obok wysokich wartości moralnych zdecydowanie opozycyjne poglądy polityczne. O ile jednak obsadzanie fachowcami stanowisk wyższych w administracji skarbowej nie natrafiało na ogół na zasadnicze trudności, o tyle przy rekrutacji, zwłaszcza personelu średniego i niższego istniejący obowiązek angażowania w określonym stosunku b. wojskowych i niepodległościowców stanowił z punktu widzenia resortowego duże obciążenie. Jestem daleki od zaprzeczania ludziom, którzy narażali swe życie w służbie sprawy ojczystej, moralnego prawa do szczególnych świadczeń ze strony państwa. Nie mogę też nie przyznać, że szereg przejętych z wojska pracowników poświęciło się z dużą energią i oddaniem nowym cywilnym zadaniom. Na ogół jednak należy stwierdzić, że częste były wypadki, gdzie zasługi bojowe czy niepodległościowe nie szły w parze z kwalifikacjami zawodowymi — a ponieważ usunięcie pracownika danej kategorii spotykało się z decydującym sprzeciwem trzeba było dublować bądź jego stanowisko, bądź też pracę, której nie mógł podołać, przekazywać innym jego kolegom. Stąd też był przepis, o którym wspomniałem, obok skomplikowanej struktury naszego ustawodawstwa podatkowego źródłem zarówno nadmiernej liczebności naszego personelu skarbowego jak i przeciążania go — mimo tej liczby — pracą.

III.

Niezależnie od nadzoru jaki wykonywałem nad poszczególnymi działami administracji skarbowej stykałem się oczywiście w ciągu mej pracy w Ministerstwie z problemami gospodarczymi i politycznymi, nie wchodzącymi bezpośrednio w zakres mojej kompetencji. Zarówno udział w Komitecie ekonomicznym Rady Ministrów jak i periodyczne narady u Wicepremiera oraz sprawowane kilkakrotnie zastępstwo Ministra Skarbu dawały mi wgląd w zagadnienia ogólne przekraczające ramy mych stałych atrybucji urzędowych. Poza tym właśnie fakt, iż na stanowisko Wiceministra powołany zostałem jako przedstawiciel poważnej organizacji społeczno - gospodarczej odzwierciedlającej opinię dużej części społeczeństwa, oraz że, jak śmiem twierdzić, przez cały okres mego urzędowania nieukrywany dążeniem moim było zachowanie zarówno lojalności we współpracy jak niezależności opinii i stanowiska osobistego — ułatwił mi poniekąd podejmowanie rozmów i inicjatyw o nieco szerszym zasięgu.

Ponieważ przy omawianiu tych właśnie tematów dotknę się w mych wspomnieniach paru punktów związanych z późniejszym katastroficznym rozwojem wypadków, zaznaczam z góry, że dla uniknięcia pokusy zbyt łatwego vaticinium ex eventu trzymać się będę możliwie ściśle ram notatek czynionych i memoriałów składanych w ciągu mego urzędowania czy to Ministrowi Skarbu czy też innym miarodajnym w państwie czynnikom.

Jednym z głównych tematów rozważań gospodarczych tak kół rządowych jak i organizacji życia prywatnego była sprawa zwiększenia potencjału gospodarczego naszego państwa i ożywienia jego obrotów drogą obniżenia parytetu naszej waluty. Zasadniczo byłem zwolennikiem tego zabiegu, którego rezultatem winno być wzmożenie produkcji, ułatwienie wymiany towarowej z zagranicą oraz wprowadzenie korektury w rozdziale dochodu społecznego na rzecz warstw produkujących. Obiekcje, iż dewaluacja zniweczy tak świeżo i mozolnie uzyskaną równowagę budżetową, aczkolwiek samą w sobie słuszną, nie uważałem za decydującą, ponieważ w razie obniżenia kursu złotego liczyć się należało z silnym, lecz jednorazowym uderzeniem w budżet, utrzymanie zaś parytetu stawiało nas przed perspektywą bądź to znacznej redukcji eksportu i w konsekwencji ujemnego salda w bilansie płatniczym, bądź też stałej deficytowości budżetu. Eksport nasz wymagał bowiem w ostatnim okresie dla zachowania rynków premii wywozowej, wynoszącej w przecięciu 25 do 30% ad valorem. W proporcji rocznej suma wydatków jakie z tego tytułu powstać by musiały doszła by zatem do kwoty 300 — 400 milionów złotych. System clearingowy, wiążący nas gospodarczo z politycznie niepożądanymi partnerami zapotrzebowanie to zmniejszał tylko nieznacznie, bo na większości rynków clearingowych towar nasz wymagał

również jawnej czy ukrytej premii. Dopiero w ostatnim roku zaczęła Polska wywozić artykuły przemysłowe, pochłaniające większą ilość pracy wyspecjalizowanej i dzięki temu konkurencyjne na rynkach światowych. Myślę tu szczególnie o wszczętym bez inicjatywy, a jeśli się nie mylę częściowo nawet bez wiedzy resortów gospodarczych, wywozie sprzętu wojennego, mianowicie działek przeciwlotniczych i przeciwpancernych. Wywóz ten był gospodarczo rentowny, co oczywiście nie przesądza o jego celowości z punktu widzenia wyższych interesów obrony państwa.

Mimo mego zasadniczego nastawienia byłem we wszystkich konkretnych wypadkach, w których zagadnienie dewaluacji stawało przed Rządem czy specjalnie Ministrem Skarbu, przeciwnikiem tego rozwiązania, uważając przede wszystkim, że o ile nie zostanie poprzedzone daleko idącą reformą polityczną, będzie nie tylko bezcelowe, ale nawet szkodliwe. Jeszcze przed wstąpieniem do Ministerstwa Skarbu zajęłem jako Prezes Związku Izb i Organizacji Rolniczych w czasie konsultacji przeprowadzonych przez Wicepremiera Kwiatkowskiego z przedstawicielami życia gospodarczego (jesienią 35-go roku) analogiczne stanowisko. Mniej więcej w tym samym czasie byłem współinicjatorem uchwały Rady Banku Polskiego, uzależniającej wyraźnie skuteczność pociągnięcia Rządu w dziedzinie kredytowej i walutowej od jego oblicza politycznego. Toteż konsekwentnie przez cały czas mego urzędowania w Ministerstwie Skarbu ilekroć — a działo się to kilka razy — sprawa rewizji parytetu złotego polskiego była rozważana, dawałem wyraz przekonaniu, iż decyzja taka aczkolwiek w zasadzie słuszna nie rokowała w istniejących warunkach politycznych szans powodzenia. Elementem w zabiegu dewaluacyjnym, który wywołuje dodatnie skutki jest przede wszystkim obniżenie kosztów produkcji w złocie. Cel ten może być osiągnięty tylko o ile ceny i płace liczone w walucie obiegowej pozostają niezmiennione względnie wzrastają w proporcji mniejszej niż spadek waluty. Jasne jest, iż tego rodzaju operacja, będąca przymusowym przesuwaniem pieniędzy z kieszeni jednego do kieszeni drugiego obywatela, może być dokonana tylko przez Rząd bardzo silny czy to z racji ustroju, czy też powszechnego zaufania. Jak szybko w przeciwnym wypadku skonsumowana być może marża dewaluacyjna tego klasycznym przykładem pozostanie francuski eksperyment Blum - Auriol. A dewaluacja nieudana, to nie tylko pozbawienie państwa i gospodarstwa społecznego oczekiwanych korzyści, to zarazem przy uchyleniu innych dodatkowych skutków, przemiana w rozdziale dochodu społecznego, dokonana wyłącznie na dobro czynników spekulacyjnych, umiających wyzyskać przejściowy okres płynności i zamieszania. W Polsce skuteczne obniżenie parytetu mogło być jeszcze przeprowadzone przez rządy Marszałka Piłsudskiego w latach 1930 - 33 i byłoby prawdopodobnie wówczas zahamowało lub przynajmniej

złagodziło rozwój kryzysu. W drugiej połowie dziesięciolecia nie miał już rząd po temu dostatecznej siły politycznej, ni oparcia. I jeżeli nieraz wydawało się paradoksem, iż spośród członków gabinetu o rozszerzenie platformy rządowej zabiegał nie żaden z kierowników resortów politycznych, ale właśnie Minister Skarbu, to sądzę, że niezależnie od tego, iż było to wyrazem jego przekonań osobistych, do dążności takiej doprowadzić go musiało nie co innego, jak poczucie odpowiedzialności za gospodarczy rozwój państwa. A niepowodzenie w tym zakresie skazywało go na nieustanne kunsztowne i mozolne lawirowanie między Scyllą ujemnego bilansu płatniczego a Charybda budżetowego deficytu.

Nie same jednak stosunki wewnętrzno-polityczne utrudniały przeprowadzenie dewaluacji. Istotną gwarancją, że złoty, gdy raz parytet jego zostanie zmieniony, zatrzyma się rzeczywiście na nowo wyznaczonym poziomie, stanowić mogło tylko posiadanie ilości złota dostatecznej, by móc podjąć — przynajmniej w pierwszym z natury rzeczy najniebezpieczniejszym okresie interwencję dla podtrzymania kursu. Również rozwierająca się automatycznie szczelina między dochodami państwa, wpływającymi w mniej wartościowej walucie a sztywną w złocie częścią budżetu wydatkowego wymagałaby dodatkowego pokrycia. Jednym słowem, reforma walutowa, tak jak omawiana poprzednio reforma podatkowa i jak każda w ogóle większa reforma gospodarcza, związana być musiała w warunkach polskich, przy niezasobnej kasie i niezasobnym społeczeństwie, z równoległą poważniejszą operacją kredytową na rynku zagranicznym.

Tak więc zazębiało się zagadnienie parytetu polskiego złotego o gospodarczy i polityczny stosunek Polski do zagranicy. Zazębiecie to było podwójne. Zwolennicy dewaluacji podkreślali bowiem — nie bez słuszności, jak wykazały to między innymi rokowania o pożyczkę angielską w roku 39-ym, — współzależność między zbliżeniem do walutowego bloku szterlingowego, a zacieśnieniem stosunków politycznych Polski z Anglią i Francją.

Wstępując do Ministerstwa Skarbu po dłuższym okresie służby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zwrócić musiałem z natury rzeczy uwagę na punkty styczne między dziedziną gospodarczą a dyplomatyczną pracy państwowej. Brak przygotowania fachowego w zakresie obrotu pieniężnego wykluczał mnie z góry od decydującego wpływu na prowadzone w czasie mego urzędowania rokowania finansowe. Nie przekreślało to jednak możliwości podejmowania prób logicznego powiązania polityki pałacu Brühlowskiego z działalnością Rymarskiej.

Pierwszą taką próbę podjąłem w parę miesięcy po objęciu moich funkcji skarbowych. Zwróciłem się wówczas, po uprzednim uzgodnieniu z Wicepremierem, do Ministra Spraw Zagranicznych, by starać się mu przedstawić dysproporcję, istniejącą

między kierunkiem naszej polityki zagranicznej grawitującej ku państwu autarchicznemu a naszymi potrzebami gospodarczymi. Powołując się na znane każdemu rolnikowi Liebigowskie prawo minimum wykazywałem, że mocarstwowość bez wzmocnienia naszego potencjału gospodarczego jest fikcją i że dla tego polityka zagraniczna, która odcina nas od krajów zasobnych w kapitały, wbrew pozorom nie tylko nie zwiększa naszej samodzielności państwowej, lecz wręcz przeciwnie, niweczy jedynie realne podstawy, na których się ta samodzielność może oprzeć i rozrosnąć. Tłumacząc to na język praktyczny postawiłem bez niedomówień tezę, że Minister Spraw Zagranicznych, który nie potrafi w przeciągu krótkiego czasu osiągnąć, by Foreign Office wyraźnie skierowało do City zalecenie operacji kredytowych z Polską, doprowadzi do bankructwa już nie tylko swej polityki, ale całego państwa. Minister Beck, nie kwestionując zresztą słuszności mego rozumowania, zastrzegł się tylko co do stawiania mu terminów; na naleganie moje oświadczył jednak, iż wedle jego oceny możemy w projektach naszych na drugą połowę 1938 roku wstawić w rachunek kredyty angielskie, oparte na przesłankach politycznych.

Jak wiadomo, rozmowy finansowe polsko - angielskie zaczęły się jeszcze nieco później, mianowicie w czerwcu roku 1939, i to, że tak powiem, in extremis. W międzyczasie sytuacja Polski nie stała się łatwiejsza. Zbierające się na horyzoncie politycznym chmury zmuszały wszystkie państwa, a więc i Polskę, do znacznego podwyższenia wydatków zbrojeniowych. Niepewność położenia czyniła równocześnie kapitał międzynarodowy jeszcze ostrożniejszym niż dotychczas; przyjęta już w okresach wcześniejszych na giełdach w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie zasada, że w Europie środkowo-wschodniej nie udziela się kredytów finansowych, a tylko kredyty polityczne, urosła do godności nienaruszalnego kanonu. Nie ucierpiały na tym tylko Niemcy, które wchłonawszy w okresie po wersalskim z Anglii, Francji i Ameryki kwotę szacowaną na około 20 miliardów marek złotych odcięły się, nasycone, od reszty świata i na wkładzie swych przeciwników oparły rozbudowę swojej autarchii oraz zawrotne tempo swych zbrojeń. Przykład niemiecki działał silnie na imaginację społeczeństwa polskiego, działał dodatnio nakłaniając do czujności i do wzmocnienia przygotowań wojennych, lecz działał także szkodliwie budząc złudzenie, że naśladowanie wzorów niemieckich da u nas dobre wyniki. Zwolennicy metod gospodarczych Trzeciej Rzeszy zapominali o kardynalnej różnicy zachodzącej między położeniem gospodarczym obu sąsiadujących państw. A różnicę tę, można by upraszczając rzeczy określić tak, że minister finansów Rzeszy był przede wszystkim dysponentem zasekwestrowanych kapitałów cudzych, a minister skarbu Polski zawiadowcą własnej krajowej nędzy.

Nie wiem czy kiedy w historii świata, odwrócenie słynnego

powiedzenia "Faites moi de bonnes finances, je vous ferai de la bonne politique" zadokumentowało się wyraźniej. Jedyne odchylenie od izolacjonistycznej linii naszej polityki zagranicznej na przestrzeni ostatnich lat — układ w Rambouillet — dało dzięki swojej transzy gotówkowej możliwość dostosowania naszych rezerw złota, jeśli nie do potrzeb istotnych, to przynajmniej do wykazów ogłaszanych przez Bank Polski. Pomijając jednak ten jeden wyjątek, szła ewolucja nieuchronnie w dwóch kierunkach. Nieufność kapitału obcego, wzrost obrotów clearingowych i w rezultacie brak przyływu dewiz pozbawiał stopniowo gospodarstwo nasze swobodnego oddechu. A z drugiej strony minister skarbu, mający do pokrycia z coraz to topniejących zasobów coraz wznoszące zapotrzebowania obronne, mógł zadaniami temu sprostać tylko przykręcając coraz silniej śrubę reglamentacji towarowej i dewizowej. Przy zatamowaniu źródeł przyływu metodą jego być musiało centralne zagospodarowanie istniejącego zapasu i ograniczanie przydziałów dla gospodarstwa prywatnego na rzecz bezpośrednich potrzeb gospodarki publicznej. Charakterystyką tego okresu było zatem porządkowanie strony wydatkowej naszego budżetu walutowego i osiągnięcie przez to przejściowo nawet polepszenia stanu złota i dewiz, znajdujących się w dyspozycji państwa czy Banku Polskiego, kosztem jednak ograniczenia rozwoju inicjatywy prywatnej i stopniowego wyczerpywania cichych rezerw naszego gospodarstwa narodowego.

Stan taki nie mógł oczywiście trwać długo. Gospodarstwo nie mogło równocześnie ponosić konsekwencji politycznego zbliżenia do Niemiec i konsekwencji zagrożenia naszego państwa przez te same Niemcy. Pierwsze odcinały nas od współpracy kapitałowej z blokiem anglo-francuskim, drugie zmuszały do szybkiego dozbrojenia, pierwsze kurczyły wpływy, drugie mnożyły wydatki w naszym bilansie płatniczym. Rozbieżność między istotą sytuacji międzynarodowej, a kierunkiem naszej polityki wyrażała się w zakresie pracy resortów gospodarczych saldem ujemnym możliwym do ścisłego ujęcia cyfrowego.

System zastosoany pociągał z konieczności za sobą coraz dalsze skutki. Brak dopływu dewiz skłonił ministra skarbu do obniżenia drogą konwersji kosztów obsługi pożyczek zagranicznych. Zabieg ten uchronił państwo od przedwczesnego skonsurowania zapasu złota, uważanego już wówczas jako rezerwa wojenna, względnie od prostego, nieupozorowanego nawet rokowaniami, defaultu. Będąc jednak w istocie swej konsekwencją naszych niezadawalających stosunków politycznych, a co za tym idzie i finansowych, z krajami zasobnymi w kapitały, stał się zarazem niewątpliwie tych stosunków nowym utrudnieniem.

Podpisanie w kwietniu 1939 r. sojuszu polsko-angielskiego musiało się w tej sytuacji wydawać punktem zwrotnym także i w dziedzinie polityki finansowej. Pragnieniem ministra skarbu było, by ustalenie zasadniczych wytycznych układu finansowe-

go nastąpiło jednocześnie z zakończeniem rozmów politycznych. Żądanie to, jak również propozycja dodania ministrowi Beckowi eksperta skarbowego, zostały jednak przez niego odrzucone. Co gorzej, wszczęcie rokowań finansowych ulegało już po zawarciu sojuszu coraz to nowej zwłoce. Kilkakrotne naleganie wicepremiera wobec ministra spraw zagranicznych, powtarzające się co parę dni interwencje moje u wiceministra Szembeka i dyrektora Potockiego, którzy nawiasem mówiąc, podzielali w zupełności stanowisko nasze co do wagi szybkiego działania, nie odnosiły skutku. Do ostatecznego spowodowania wyjazdu delegacji skarbowej, który nastąpił wreszcie około połowy czerwca, przyczyniła się w znacznym stopniu akcja podjęta przez pułkownika Adama Koca wobec najwyższych władz wojskowych.

Nie zamierzam przedstawiać tutaj przebiegu rokowań londyńskich. Znany jest on wiele dokładniej przewodniczącemu delegacji polskiej oraz jej członkom. Pragnę tylko przypomnieć, że miesiąc czerwiec był miesiącem względnie uspokojenia po wiosennych alarmach wojennych, że jeżeli można tak powiedzieć "aktualność" Polski na gruncie londyńskim była w stosunku do kwietnia już osłabiona, i że delegacja nasza, która wiozła do Anglii ocenę naszych potrzeb na sześćdziesiąt milionów funtów, spotkała się tam z propozycją pożyczki towarowej w wysokości 8 milionów funtów, pożyczki finansowej silnie okluzulowanej na drugie 8 milionów funtów, oraz z radą, będącą niemal żądaniem, przeprowadzenia w Polsce dewaluacji.

Dysproporcja między zrobioną nam ofertą a tym czego mogliśmy się spodziewać na podstawie czynionych nam uprzednio drogą nieoficjalną sugestii, a także dysproporcja między nie wysoką kwotą ofiarowanej nam pożyczki gotówkowej, a żądaniem zasadniczej zmiany naszego ustroju walutowego, wydawały się tak rażące, iż na życzenie rządu udałem się z początkiem lipca do Londynu dla zebrania dodatkowych informacji i ustnego omówienia z ambasadorem Raczyńskim i ministrem Kocem wytworzonej sytuacji.

Pobyt w Paryżu i Londynie przekonał mnie, iż przygotowując rokowania popełniono z naszej strony, obok nadmiernego odsunięcia ich terminu, jeszcze drugi poważny błąd taktyczny. Wbrew bowiem ponawianym kilkakrotnie słusznym naleganiom ambasadora Łukasiewicza i pomimo, że kredytów udzielić miała Polsce nie tylko Anglia, ale też i Francja, ambasada w Paryżu nie otrzymała instrukcji ani upoważnienia do przeprowadzenia z rządem francuskim rozmów przedwstępnych. Tym samym pozbawiliśmy się na gruncie londyńskim — zapewne z obawy, by nie występować tam jako klient francuski — naturalnego sprzymierzeńca, który jako związany z nami układami z Rambouillet był bezpośrednio zainteresowany w korzystnym dla nas ułożeniu warunków nowej pożyczki i w pewnym momencie objawiał nawet gotowość stworzenia w tym względzie precedensu

drogą przejścia nowych określonych zobowiązań. Co do stanowiska rządu angielskiego odniosłem natomiast wrażenie, że punkty, które sprawiały nam najwięcej trudności nie były, jak można przypuszczać było w kraju, wystawione do przetargów, lecz wynikały właśnie z przekonania, że główny ciężar zbliżającej się wojny spadnie na Wielką Brytanię. I tak klauzula o niewydatkowaniu w krajach trzecich funtów, uzyskanych z pożyczki oraz odmowa sprzedaży złota przedstawiały się jako integralna część systemu ustanowionego dla ochrony waluty angielskiej na wypadek konflagracji. W żądaniu anglo-francuskiej komisji kontroli wydatków i w naleganiu na dostosowanie waluty polskiej do parytetu funtowego dopatrzeć się było można przygotowania do stworzenia międzysojuszniczego "commandement unique" także w zakresie gospodarczym. Wreszcie skromna cyfra proponowanej nam pożyczki zdawała się wynikać z pewnego sceptycyzmu co do naszej solidności politycznej i wojskowej. Wspomnienie losów materiału wojennego czesko-słowackiego sfinansowanego w znacznej części przez Francję oraz stanowiska zajętego przez Polskę jesienią 1938 r., a więc w dwa lata po układzie w Rambouillet, było może żywsze w Londynie niż w Paryżu. A co do strony wojskowej, to właśnie w czasie mojego pobytu w Anglii odlatywał do Warszawy generał Ironside. Już wówczas dochodziły mnie wieści, iż ocenił on zdolność oporu Polski wobec agresji niemieckiej na maksymalnie trzy miesiące, z czego znów rząd angielski wywodził wniosek, iż niezmiernie zasobów finansowych i materialnych Wielkiej Brytanii jest z punktu widzenia wszystkich sojuszników, a więc i Polski, zadaniem najważniejszym.

Po powrocie do Warszawy złożyłem sprawozdanie, którego główne wytyczne uzgodnione były z ministrem Kocem oraz ambasadorem Raczyńskim. Na jego podstawie zajął wicepremier Kwiatkowski podówczas stanowisko następujące: radę dokonania dewaluacji postanowił nadal odrzucać wychodząc z założenia, że proponowane przez Anglię kwoty, zwłaszcza przy równoczesnym ograniczeniu ich użytkowania, nie stanowią dostatecznej masy manewrowej dla obrony waluty na nowym poziomie. Propozycje pożyczkowe natomiast pragnął przyjąć zarówno odnośnie transzy towarowej jak i transzy gotówkowej, uzyskując oczywiście drogą negocjacji możliwe polepszenie warunków, lecz nie stawiając ani podwyższenia kwot, ani też otrzymania pełnego transferu jako *conditio sine qua non*.

Jeżeli, pomimo to rokowania przechodziły następnie szereg dalszych fluktuacji i w pierwszej ich fazie doszło tylko do podpisania transzy towarowej, to powodem tego było znacznie mniej ustępliwe stanowisko ministra spraw zagranicznych, który obstawał przy zaostrzeniu instrukcji telegraficznych, przygotowywanych przez wicepremiera dla delegacji londyńskiej, oraz takąż postawą naczelnych władz wojskowych, żądających złota lub przynajmniej pełnego prawa transferu. Stwierdzały

one bowiem, że ośmiomilionowa transza towarowa wyczerpuje ich zapotrzebowania materiałowe na terenie Wielkiej Brytanii i że wobec tego główne znaczenie dla obrony państwa posiada możliwość dokonywania inwestycji w Polsce oraz zakupów na zamorskich rynkach surowcowych. Taktyka ministra Becka powodowana była zapewne obawą, by zrównanie nas przy wymiarze kwot pożyczki z szeregiem mniejszych klientów rynku angielskiego nie obniżyło naszego prestiżu politycznego. Postawa władz wojskowych wobec zagadnień gospodarczo-finansowych wymaga osobnego omówienia.



Szczegóły finansowania potrzeb wojskowych nie są mi znane. Z zagadnieniem tym nie miałem bezpośredniej styczności urzędowej. Wiadomo mi natomiast oczywiście, że udział wydatków wojskowych w ogólnych budżetowych wydatkach państwa wynosił około 30%, że poza tym w poszczególnych budżetach cywilnych ukryte były poważne kwoty na cele obronne, że gros tak zwanego planu inwestycyjnego szło na bezpośrednie cele wojskowe i że nawet 75% pozostałych inwestycji, pozornie cywilnych, przeprowadzanych było na żądanie wojska i dla jego celów. Wiadomo mi dalej, że w grubym tomie preliminarza budżetowego, wyszczególniającego każdy wydatek cywilny, dział M. S. Wojsk zajmował parę krótkich kartek i że wreszcie podczas, gdy ustawa o inwestycjach cywilnych zawierała rozbięcie preliminowanych kwot na poszczególne cele, to ustawa o FON wymieniała tylko sumę globalną zadłużenia dopuszczalnego na rzecz tego funduszu.

Choć w chwili obecnej nie mam pod ręką cyfrowych zestawień budżetowych i inwestycyjnych, wydaje mi się, że tych parę stwierżeń określa najogólniejsze ramy zagadnienia Skarb - Wojsko w ciągu lat ostatnich. Suma absolutna wydatków państwa polskiego na wojsko, mierzona miarą krajów sąsiednich i porównywana do potrzeb, wynikających z naszej sytuacji geograficznej i politycznej, była niewątpliwie nikła. W proporcji natomiast do dochodu społecznego i do całkowitego wydatków państwowych, była ta sama suma wysoka, znacznie wyższa niż w szeregu innych krajów europejskich. Co trzecia złotówka wychodząca z kas państwowych szła na bezpośrednie wydatki obronne, dwie pozostałe musiały pokryć wszystkie potrzeby gospodarcze, administracyjne, oświatowe, komunikacyjne, wymiaru sprawiedliwości, obsługi długów i in. Obywatel państwa polskiego oddawał ze swego zarobku proporcjonalnie więcej niż obywatel angielski czy francuski na rzecz ochrony pokoju i granic państwa. A równocześnie ta stosunkowo wyższa niż gdzie indziej część obrotów, choć oczywiście nie była dla gospodarstwa narodowego stracona, rządziła się własnymi prawami, podlegała dyspozycji odrębnej — kierowanej odległymi od gospodarstwa przesłankami, — wyłączona była dla zachowania pouf-

ności spod normalnej kontroli czy to parlamentarnej czy to administracyjnej. Dla ministra Skarbu, zwłaszcza gdy był w praktyce zarazem ministrem gospodarki narodowej, musiał ten drugi tor, ten rozległy ekonomiczny no man's land być dużą przeszkodą w poszukiwaniu gospodarczej i po prostu budżetowej równowagi państwa.

Pragnę tu mimochodem podkreślić okoliczność dość dziwną, a bardzo charakterystyczną dla minionego okresu. Jak wiadomo, począwszy od roku 1926-go wpływ armii na zarząd państwa był szczególnie silny. Znaczna ilość stanowisk administracyjnych, od najwyższych do najniższych, obsadzona była oficerami różnych stopni, a dodatkową kontrolę sprawowały ustanowione przy władzach i urzędach centralnych Biura Wojskowe. Mimo tego zmilitaryzowania instancji cywilnych, które odbiło się wyraźnie nie tylko na ich metodach pracy, ale nawet na języku i obyczajach, następowało stopniowo okraiwanie ich i tak już przedtem niezbyt rozległego prawa wglądu w pracę wojska. Więcej nawet; jak gdyby w przekonaniu, że z chwilą zdjęcia munduru utracili ich dawni koledzy wywodzącą się z ducha żołnierskiego tężyznę, objawiali oficerowie pozostali w armii czynnej — zwłaszcza od chwili uznania roli politycznej Naczelnego Wodza — tendencję do dublowania pracy administracyjnej i rządowej. Nie było prawie dziedziny, czy będzie nią polityka narodowościowa, czy organizacja turystyki, czy pobór podatków, czy zagadnienie walutowe, czy nawet sprawa opery warszawskiej, gdzie by się ich działalność i inicjatywa nie przejawiała. Jako przykład przytoczę, że o ile było oczywiście nie do pomyślenia, abym do czynników wojskowych zwracał się z uwagami czy radami w sprawie dajmy na to dyslokacji wojsk czy ich wyszkolenia, o tyle otrzymywałem niejednokrotnie urzędowe pisma od dowódców O.K. lub dywizji w sprawach poboru danin państwowych, rozdziału koncesji monopolowych lub nawet klasyfikacji gruntów w okręgach, w których byli stacjonowani. Nie chcę bynajmniej tej ingerencji wojska w życie państwowe generalnie dyskredytować. Wychodzące z jego łona inicjatywy były bardzo różne, nieraz proste i trzeźwe, nieraz zbędne i niefachowe. W każdym jednak razie powodowały one pewne zamazanie kompetencji i odpowiedzialności, a niekiedy rodziły zrozumiałe konflikty.

Źródła trudności, jakie niejednokrotnie obserwowałem w stosunkach między resortami Skarbu a M. S. Wojsk były jednak z reguły głębsze. Wynikały one z naszkicowanej już powyżej sytuacji polegającej na tym, że minister Skarbu ponosił odpowiedzialność za całokształt rozwoju finansowego i gospodarczego państwa, a dysponentem znacznej części rządowych środków finansowych i aparatu gospodarczo-administracyjnego był minister Spraw Wojskowych, który z racji swych zadań i swej odpowiedzialności cele i potrzeby gospodarcze mógł uwzględniać tylko w drugim rzędzie, niejako dodatkowo.

W epoce, w której pojęcie potencjału wojennego i potencjału gospodarczego państwa zlewają się coraz bardziej w jedno, była ta chęć wyodrębnienia wszystkiego co ma związek z obroną państwa spod właściwości resortów cywilnych niewątpliwie nawet z punktu widzenia wojskowego błędna. Jak mógł Minister Skarbu zapewnić harmonijną i sensowną rozbudowę gospodarstwa polskiego, gdy duża część placu budowlanego była dlań niedostępna i zakryta parkanem, na którym wielkimi literami widniał napis: Tajemnica Wojskowa. Rola prostego dostarczyciela pieniędzy, nie troszczącego się o sposób dalszego ich użycia, była może na czasie w okresie, gdy przygotowanie obrony polegało przede wszystkim na odpowiednim wyszkoleniu rekruta. Z chwilą, gdy przeważać zaczęło zagadnienie materiałowe stała się anachronizmem.

Klasycznym przykładem trudności wynikających dla ministra Skarbu z nadmiernej autonomii finansowej władz wojskowych była polityka lokacyjna M.S. Wojsk. Skarb wpłacał wojsku dotacje budżetowe oraz ryczałtowe kwoty na inwestycje w regularnych odstępach miesięcznych. Wojsko wydatkowało je w miarę potrzeb sezonowych. Stąd powstawały z natury rzeczy okresy, gdzie kasa M. S. Wojsk była niezmiernie płynna i fundusze swe lokowała w różnych bankach państwowych. Z kolei więc płynność banków państwowych, będących najpotężniejszym instrumentem kredytowym Ministra Skarbu uzależniona była w znacznej mierze od lepszych czy gorszych stosunków z M. S. Wojsk, które oczywiście starało się rozbudzić konkurencję między nimi, by uzyskać dla siebie jak najlepsze warunki. Niejednokrotnie też nagłe wycofywanie przez M. S. Wojsk swych lokat z jakiejś instytucji bankowej, przeprowadzane wyłącznie pod kątem widzenia zyskowej operacji finansowej skłaniało instytucję tę do odrzucenia biletów skarbowych, które musiał skarb wykupywać z rezerw kasowych. Z reguły można powiedzieć, choć brzmi to jak paradoks, iż im większe były zasoby gotówkowe, którymi w danej chwili dysponowało M. S. Wojsk, tym większe trudności stawały przed Skarbem tak w gospodarce kasowej jak i polityce kredytowej.

Głównym jednak, poza budżetem, terenem gdzie zbiegała się praca wojska i Skarbu był plan inwestycyjny. Nie był on sam w sobie nowością, bo inwestycje były zawsze czynione przez poszczególne resorty, a i drenaż rynku sztynnego wszedł od dłuższego czasu w zwyczaj ministrów Skarbu. Nowością była jednak zasada, że pieniądze z rynku sztynnego nie mogą być zużywane jak poprzednio na konsumpcyjne wydatki budżetowe, a tylko na inwestycje, i nowością centralne i planowe dysponowanie tymi inwestycjami. Plan zmierzał do osiągnięcia i w miarę możliwości skoordynowania trzech różnych celów, a mianowicie w pierwszym rzędzie wzmoczenia obronności, dalej stworzenia dodatkowego zatrudnienia i zmniejszenia tym samym nieprodukcyjnych wydatków na bezrobocie, wreszcie polepszenia

podstawowych warunków rozwoju gospodarczego kraju przede wszystkim drogą uzupełnienia sieci komunikacyjnej i energetycznej. Takie postawienie programu uchylało z góry niebezpieczeństwo powtórzenia błędów lat 1928 - 29, gdy to wielka część narastających w okresie koniunktury oszczędności publicznych zużyta została na budownictwo państwowe i samorządowe, na stawianie gmachów administracyjnych i reprezentacyjnych. Ożywienie jakie daje ruch budowlany starano się natomiast osiągnąć przez stworzenie warunków sprzyjających rozwojowi budownictwa prywatnego, przede wszystkim więc przez utrzymanie na niewysokim poziomie cen materiałów budowlanych, przez udzielanie pożyczek obejmujących pierwszy raz także budownictwo wiejskie i wreszcie przez ulgi podatkowe.

Zamiarem resortów gospodarczych było nie tylko skoncentrowanie akcji finansowej, ale także — o ile na to pozwalały warunki socjalne — skupienie wysiłku technicznego około rozwiązania określonego problemu w określonym terenie. Stąd geneza COP'u. A tego rodzaju rozwiązanie terytorialne było możliwe ponieważ teren największego zainteresowania władz wojskowych był przypadkowo równocześnie obszarem o najsilniejszym poza okręgami przemysłowymi — zagęszczeniu ludności i najwyższym natężeniu bezrobocia. Wielkie centra robotnicze, jak Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie, nie ucierpiały na tym skoncentrowaniu prac poza nimi, gdyż jako okręgi monopolizujące ciężki przemysł w Polsce musiały, zwłaszcza w pierwszej fazie, niewydatniej korzystać z każdej wielkiej roboty publicznej w jakiegokolwiek części Polski, by jej nie podjęto.

Idea Centralnego Okręgu Przemysłowego była ideą ciekawą i słuszną. Co obraz jej nieco zaciemniło, to nie zawsze poważny sposób, w jaki była reklamowana, i bardziej rozdmuchiwane przez plotkę kawiarnianą, niż istotne, spory co do ojcostwa koncepcji między wojskiem a skarbem.

Wydaje mi się, że prawda o COP'ie jest prosta. Projekt skupienia przemysłu wojennego w tzw. Trójkącie Bezpieczeństwa nie był nowy; inicjatorem jego był, jeżeli informacje moje są słuszne, Generał Kazimierz Sosnkowski. Rola wicepremiera Kwiatkowskiego ograniczała się do dwóch bardzo istotnych momentów: był pierwszym ministrem Skarbu, który na realizację tego projektu potrafił znaleźć pieniądze i zarazem starał mu się nadać, obok wojennego, głębszy sens gospodarczy. Dokonana przez niego zmiana dotychczasowej terminologii, użycie określenia Centralny Okręg Przemysłowy Sandomierz w miejsce Trójkątu Bezpieczeństwa miała zatem niejako symboliczne znaczenie.

Zresztą płonny spór o ojcostwo COP'u najłatwiej jest rozstrzygnąć jadąc na miejsce. Gdy będąc w Sandomierzu czytałem z murów miasta jego historię, gdy widziałem w nich odbicie trzech epok świetności piastowskiej, renesansowej i klasycystycznej z początku XIX wieku, poprzedzielanych pustką,

nędzą i brudem, gdy potem w pobliżu oglądałem jak fundamenty pod nowe fabryki kopano wśród ruin zakładów, stworzonych niegdyś przez Lubeckiego, gdy spotkałem się z żywą tradycją, że w tych samych wioskach i miasteczkach już w czasach zygmunto-wskich kuto miecze i lano armaty dla wojska, zrozumiałem, że Polska myśl obronna i gospodarcza odnalazła po prostu stary szlak historyczny, na który zawsze wracała ilekroć czyjaś świadoma wola potrafiła wyrwać ją z marazmu i rozproszenia.

Sens gospodarczy COP'u polegał na dostosowaniu rozłożenia terytorialnego przemysłu polskiego, ukształtowanego pod wpływem geografii gospodarczej państw zaborczych, do potrzeb obszaru politycznego Rzeczypospolitej. Przytaczane nieraz porównanie Polski do obwarzanka było w znaczeniu ekonomicznym o tyle uzasadnione, iż główne skupiska przemysłowe kraju leżały na jego krańcach, a więc w punktach pod względem strategicznym i komunikacyjnym najniekorzystniejszych. Trudności i koszt przewozu nie tylko surowców, ale i pół-fabrykatów były tak znaczne, że nie zezwalały na powstanie opłacalnego przemysłu przetwórczego, np. na kresach północno-wschodnich. Dopóki węgiel stanowił niemal wyłączne źródło energii przemysłowej i póki przesyłanie tej energii na większe odległości było technicznie i finansowo zbyt uciążliwe, póty nie można było myśleć o zmianie sytuacji. Dopiero rozwój techniki energetycznej, wyzyskiwanie siły wodnej, której tyle posiada okręg podkarpacki i docenienie wartości naszych bogatych źródeł gazu ziemnego stać się miały dla przemysłu punktem wyjścia rewolucji, równej tej jaką przeżyło rolnictwo, gdy swobodę osiedlania się otrzymali glebae adscripti.

Linie wysokiego napięcia i gazociągi przecinające wzdłuż i wszerz środek kraju kreśliły zarys jego nowej mapy gospodarczej. Dla mnie osobiście nabierały one jeszcze innego znaczenia, budziły inne nadzieje. Patrząc jak słupy linii przemysłowej wyrastały nad drewniane słomą kryte chaty, jak ku radości zbierających się gwarnie dzieci, wkopywano rurociągi wzdłuż ubogiej ulicy wiejskiej, widząc jak skromne zarobione przy pracach wstępnych pieniądze wazą już na życiu wsi przeludnionej i nie dożywianej, myślałem, że dzięki temu co się tu w tej chwili dzieje, te same dzieci nie będą w przyszłości pozbawione chleba, a w każdym razie nie będą musiały szukać go w oddali. Pamiętam, jak w rozmowie o powstających nowych warsztatach profesor Henryk Tenenbaum zwrócił moją uwagę na wielkie przedsiębiorstwa przemysłu nawet metalowego w Niemczech i Czechosłowacji, oparte niemal w całości o pracę chałupniczą. Wydało mi się, że ten właśnie typ organizacyjny czynił zadość potrzebom centralnego okręgu, obejmującego gęsto zaludnione powiaty wiejskie, a zarazem odpowiadał najlepiej usposobieniu chłopu polskiego, przywiązanego do własnego domu i obejścia, lubiącego pracę, ale nie mniej samodzielność w jej wykonaniu.

Zamiast powolnej z konieczności i kosztownej urbanizacji, zamiast, by człowiek wiejski, gdy go ziemia nie mogła wyżywić, rzucał ją i szedł do przemysłu, miał dzięki nowej sieci energetycznej przemysł przyjść do niego, do jego wsi i chaty. Uruchomiony przez banki państwowe tani kredyt na kupno małych elektromotorów był już następnym krokiem na drodze urzeczywistnienia, sięgającego daleko w przyszłość programu.

Stają troską Ministerstwa Skarbu było również, by w Centralnym Okręgu powstawał przemysł istotnie nowy, by nie przenoszono doń zakładów już istniejących, ku szkodzie innych części kraju. Zasadę tę można było w stosunku do przedsiębiorstw prywatnych realizować drogą odpowiedniego udzielenia, względnie ograniczania, ulg podatkowych.

Uzbrojenie energetyczne terenu i stwarzanie określonych warunków przemysłowi prywatnemu wyczerpywało właściwie poza aportem finansowym bezpośrednio współdziałanie Ministerstwa Skarbu w rozbudowie COP'u. Powstające w nim wielkie wytwórnie uzbrojeniowe stawiane były pod wyłącznym kierownictwem Ministerstwa Spraw Wojskowych. Nie mogę zatem nic powiedzieć o kosztach budowy poszczególnych zakładów, mogę tylko stwierdzić jej imponujące amerykańskie tempo.

Forma prawna nowych przedsiębiorstw była różna, a w niektórych wypadkach jak na przykład w Stalowej Woli do chwili wybuchu wojny ostatecznie nie ustalona. Generalnie można powiedzieć, iż wchodziły one wszystkie w skład tak zwanego działu wojskowego koncernu państwowego. Stan ten wywoływał wiele krytyk, stwierdzających, że COP staje się fortecą etatyzmu.

Dyskusja o etatyźmie tak żywa wśród środowisk politycznych i ekonomicznych w ciągu ostatnich lat przedwojennych straciła dziś niewątpliwie, ze względu na wywołany wojną bieg wypadków, wiele z swej aktualności. Miała ona w Polsce jedną szczególną cechę zewnętrzną. Wobec stosunkowo nieznacznej ilości ludzi posiadających kwalifikacje do kierowania wielkimi przedsiębiorstwami, istniała niemal ciągła wymiana personalna między przemysłem prywatnym a państwowym. Ruch zamienny wzmógł się istniejącą wśród dostojników państwowych tendencją do szukania, po opuszczeniu stanowisk publicznych, zajęcia w gospodarstwie prywatnym. W pewnym okresie, na czele większości czołowych spółek akcyjnych Górnego Śląska stali byli ministrowie, wojewodowie lub przynajmniej dyrektorzy departamentów. W tych warunkach nie ustający i ognisty spór między zwolennikami gospodarki państwowej i rzecznikami inicjatywy prywatnej przypominał nieco match footballowy, rozgrywany z wielkim zacięciem, lecz w ciągu którego ekipy zawodników dla wyrównania szans sportowych przechodzą co pewien czas z jednej na drugą stronę boiska.

Źródła etatyzmu polskiego były na ogół dwojakie. Znaczna ilość dużych i nie związanych z zadaniami państwa zakładów

weszła do koncernu państwowego dzięki samarytanizmowi gospodarczemu. Proces był prawie we wszystkich wypadkach analogiczny. Dla podtrzymania zatrudnienia finansowało państwo, zazwyczaj za pośrednictwem B.G.K., przedsiębiorstwo nieopłacalne lub źle zagospodarowane tak długo, aż pod groźbą utracenia sum wyłożonych musiało przejść gestię we własne ręce. Była to oczywiście operacja ekonomicznie błędna, uzasadniona tylko względami socjalnymi. Typ drugi przedsiębiorstwa skazanego na upaństwowienie — a najbardziej charakterystyczne przykłady jego znaleźć było można na Śląsku — to wielkie towarzystwo akcyjne, którego portfel, dzięki świadomiej skomplikowanej superstrukturze holdingowej stawał się nieuchwytny, a właściwie niemal że tylko symboliczny, i które pracowało głównie na utrzymanie powołanych przez tych właśnie nieznanych właścicieli zarządu i dyrekcji. Towarzystwo tego rodzaju pozbawione było wszelkich dodatnich właściwości przedsiębiorstwa prywatnego, a jeśli do tego nie płaciło podatków lub egzystencję swą opierało wyłącznie na zamówieniach rządowych, uzyskiwanych pod groźbą pozbawienia pracy licznych rzesz robotniczych, wołało wprost o to, by miejsce ukrytego za chmurami kapitalisty zagranicznego zajęło państwo polskie.

Etatyzm copowski nie należał, ani do jednej, ani też drugiej kategorii. Cechą jego było nie przejmowanie przez państwo istniejących zakładów i urzędzeń, lecz tworzenie nowych. Sądzę, że przynajmniej w tej części, w której działalność jego uzewnętrzniała się w uzbrojeniu energetycznym terenu nie mógł podlegać zakwestionowaniu. Jeżeli rozbudowę przez państwo sieci wysokiego napięcia i gazociągów i stworzenie przez to warunków dla uprzemysłowienia kraju nazwać można w ogóle etatyzmem, to jest to w każdym razie etatyzm torujący drogę prywatnej inicjatywie. Większą rozbieżność zdań mogłaby już budzić rozbudowa i eksploatacja przemysłu obronnego we własnym państwowym lub ściślej mówiąc wojskowym zarządzie. Decydującą była tu jednak okoliczność, która równocześnie udaremniała większość podejmowanych często w tym samym czasie prób zbycia obiektów, jakie znalazły się w posiadaniu państwa, a były dla jego celów zbędne: Brak akumulacji kapitałów w rękach polskich dopuszczał tylko dwie alternatywy, bądź gestię państwową, bądź przejście we władanie obce. Jeżeli nawet uważać wahania między jednym a drugim rozwiązaniem, co do dajmy na to przedzalni łódzkiej za dopuszczalne, to przy przemysłach podstawowych dla obrony kraju nie mogło być wątpliwości, ni wyboru. Warunki bezpieczeństwa i poufności wymagały uchylenia wglądu czynników obcych.

Bądź co bądź, zwiększenie przez rozbudowę COP'u i tak już znacznego udziału administracji wojskowej w polskiej produkcji przemysłowej miało szereg konsekwencji ujemnych. Przedsiębiorstwa wojskowe odgrywały w miarę rozrostu coraz większą rolę w życiu ekonomicznym kraju nie będąc same

oparte na normalnych, ekonomicznych podstawach. Kalkulacja ich zasadniczej produkcji dawała się trudno uchwycić, ponieważ głównym odbiorcą był, via budżet Ministerstwa Spraw Wojskowych, sam ich właściciel, ustalający ceny według własnego uznania i regulujący w ten sposób ich bilanse i rachunki zysków i strat. Dość znaczna poboczna produkcja na wolny rynek mogła podobną drogą korzystać z ukrytych premii budżetowych. Wgląd cywilnych resortów gospodarczych w przedsiębiorstwa wojskowe był na pewno bardziej ograniczony niż w analogicznych przedsiębiorstwach prywatnych. Tajemnica wojskowa chroniła nawet przed dokładniejszą rewizją podatkową.

Tej płynnej i budzącej zastrzeżenia finansowej i kalkulacyjnej stronie przemysłowej gospodarki wojskowej przeciwstawiała się jej wysoka sprawność techniczna. Nowoczesne urządzenia fabryk i dobra organizacja pracy uderzały każdego zwiedzającego. O jakości wytworów świadczyły zamówienia zagraniczne. Ale i te zalety miały swe odpowiedniki mniej dodatnie. Dbalność o nowoczesne i estetyczne wyposażenie już nie tylko fabryk, ale i osiedli fabrycznych doprowadzało niekiedy przy wspomnianej już pełnej autonomii finansowej do budowy sztucznych "oaz szczęśliwości", rażących na tle równoczesnego kurczenia wydatków płynących z budżetów cywilnych na najbardziej istotne potrzeby państwa i społeczeństwa. A powodzenie na rynkach zagranicznych wyrabiało u niektórych czynników wygórowaną może ambicję przedsiębiorcy, objawiającą się między innymi w wypełnianiu kontraktów zagranicznych nawet w czasie, w którym wstrzymanie eksportu zdawało się nakazem racji stanu.

Tajemnica otaczająca postępowanie władz wojskowych zmuszała współpracujące z nimi instancje cywilne w wielu wypadkach do bezkrytycznego przyjmowania ich żądań i decyzji. Niemniej jednak, nawet w okresie przedwojennym, gdy braki w opatrzeniu armii nie były cywilnym członkom rządu choćby w przybliżeniu znane, niektóre pociągnięcia jak na przykład właśnie eksport sprzętu zbrojeniowego, jak odmowa negocjowania o kredytowy zakup bombowców amerykańskich, o ile spłata tego kredytu miałyby obciążać budżet M. S. Wojsk, jak stanowisko zajęte w angielskich rokowaniach pożyczkowych — zmuszały do zastanowienia. Nie jest oczywiście moją rzeczą interpretować intencję kierownictwa armii; nie mam po temu dostatecznych materiałów, ani informacji. Szukając jednak myśli przewodniej naszej polityki wojenno-gospodarczej doszedłem na podstawie szeregu rozmów i zestawień faktów do wniosku, iż przedstawiała ona pewną systematyczną całość, opartą w znacznej mierze na przypuszczeniu, że wojna nie wybuchnie przed upływem 2 — 3 lat i że w razie jej wybuchu Polska odcięta zostanie od łączności ze swoimi zachodnimi sojusznikami. Z założenia tego wywodziła się koncentracja wysiłków w kierunku stworzenia w kraju własnych wytwórni zbrojeniowych i składów

surowcowych, kosztem nawet doraźnego zaopatrzenia wojska w gotowy sprzęt zagraniczny, trudny lub niemożliwy do uzupełnienia w okresie działań wojennych. Zakup więc np. samolotów amerykańskich, obniżający kwotę rozporządzalną na rozbudowę własnych wytwórni, byłby z takim systemem niezgodny. Eksport natomiast wyprodukowanego sprzętu nie tylko rozszerzał materialne podstawy rozwoju jego produkcji, ale był dodatkowo sprawdzianem jego wartości i zalet technicznych. Z koncepcją tą wiązało się logicznie wydatne podniesienie stanu uzbrojenia piechoty, oparte na rozbudowanej już własnej wytwórczości karabinów i broni automatycznej, a znacznie wolniejsze tempo uzupełnienia naszego sprzętu artyleryjskiego, pancernego i lotniczego, który miał być wytwarzany na większą skalę w powstających dopiero w COP'ie zakładach. Jeżeli przypuszczenia moje są słuszne, to stanowiłyby one zarazem pewne wytłumaczenie tej wspomnianej już przeze mnie hipertrofii tajemnicy wojskowej, jaka otaczała wszelkie poczynania naszej armii. Wydaje się bowiem, że polityka, której istotą było wzięcie na siebie znacznego ryzyka w okresie przejściowym na rzecz tym lepszego wyposażenia przyszłości, musiała w pierwszej fazie operować bluffem, a tym samym być szczególnie starannie maskowana nawet wobec własnego społeczeństwa.

Mam wyrażenie, że przebieg działań na frontach potwierdził o tyle słuszność zasadniczej tezy naszej wojskowości, iż wykazał jak bardzo strategia wojny ruchomej potęguje zużycie sprzętu i jak tym samym rośnie znaczenie uzupełnienia materiałowego opartego na szybko i łatwo dostępnych bazach. Nie zmienia to oczywiście faktu, iż zawiodły dwa podstawowe filary całej konstrukcji, a mianowicie bezpieczeństwo COP'u, unicestwione z chwilą wejścia Słowacji w orbitę wpływów niemieckich, oraz zachowanie pokoju do momentu uruchomienia całej wytwórczości obronnej. Załamanie nastąpiło dokładnie w punkcie stycznym zadań wojska i polityki zagranicznej.

IV.

Pochylając się nad przeszłością tak niedawną, przechodząc kolejno myślą zmienne wydarzenia ostatnich lat kilkunastu, widząc tyle wysiłków, a w wielu dziedzinach życia państwowego tyle osiągnięć i postępu, dostrzegając obok tego błędy, które niegdyś niepokoiły, a dziś — mierzone miarą skutków — przerażają, rozpamiętując wreszcie ostateczną katastrofę, która może być pomszczona, ale nie wymazana z historii — stajemy przed zapytaniem, gdzie były głębokie źródła zła, co jesienią 1939 r. otwarło bramy kraju dla klęski i zniszczenia.

Nasze położenie geograficzne, układ sił politycznych w Europie skazywały nas na to, by żyć niebezpiecznie. Chmury kłębiące się od Wschodu i od Zachodu zwiastowały nadciągającą zawieruchę. Mieliśmy do wyboru albo kompromis z siłami zła,

albo walkę prawie że beznadziejną. Czyż świadomość tego zmniejsza odpowiedzialność naszego pokolenia?

Może zawnieździć dziś jeszcze, aby na pytania te szukać pełnej odpowiedzi. Dymy pogorzeliśk zasłaniają nam obraz tej Polski, której historia urywa się nagle w nocy z 17-go na 18-ty września. A aktorowie tragedii — dramatis personae — zbyt są zmieszani z naszym życiem, by sądzić ich spokojnie i trzeźwo, bez nadmiaru goryczy lub pobłażliwości. Ale ze zgiełku wspomnień i przeżyć, z kłębowiska nadziei i rozczarowań wyłaniają się prawdy, którym dopiero przyszłość nada kształt ostateczny, lecz które już dzisiaj ważą w polskim rachunku sumienia.

Nie o ludziach chcę mówić. Wśród tych co rządili Polską byli na pewno, jak w każdym środowisku, w każdym ugrupowaniu, ludzie mądrzy i głupi, ludzie dobrzy i źli. Byli tacy, którzy myśleli komu pomóc i co zbudować, i tacy, dla których władza była przede wszystkim źródłem politycznego, społecznego, czy nawet osobistego odwetu. Byli wśród nich zaślepieni, nie widzący znaków na niebie i ziemi i inni, którzy czując nadciągającą katastrofę, do ostatka walczyli o usunięcie z życia Polski źródła słabości i fałszu. Lecz jednych i drugich, a z nimi cały kraj, pchała ją sama siła fatalna ku brzegom przepaści.

Rytm życia narodu między dwiema wojnami przecięty jest w porośniku jakby cezura krwawymi dniami majowymi, gdy na ulicach Warszawy walczył żołnierz polski przeciw polskiemu żołnierzowi. I aby określić to co po nich nastąpiło, mówi się często o systemie pomajowym. Za dymną zasłoną tego frazesu nie mniej dogodnego dla zwolenników jak wrogów, nie kryje się żadna treść istotna. Nie było systemu pomajowego. Był tylko najpierw Piłsudski, genialny szlachcic kresowy o intuicji męża stanu i temperamentem rewolucjonisty, wielkopański i rubaszny, równie bliski trywialności jak legendy, Piłsudski, dla którego Polska była jakimś wielkim Zułowem czy Pikiliszkami, że chodził po niej gderząc i dziwaczając i kijem sękatym poganiał lub przepędzał ekonomów i parobków. Swą renesansową bujnością i litewskim uporem, szerokością swych koncepcji i małostkową mściwością, swą osobą i legendą przysłonił i przytłoczył cały okres dziejów Polski i wdarł się w życie każdego z nas; wszyscy, i ci co chcieli i ci co nie chcieli, bardziej niż sobą samym byliśmy jego współczesnymi. A potem był Piłsudski stary i chory, a potem walki diadochów.

Do maja rozszarpywały Polskę, chcąc jej służyć, partie. Po śmierci Piłsudskiego czynili to najczęściej z tym samym patriotycznym przeświadczeniem poszczególni ludzie. Piłsudski będąc bardziej narodem władcą niż wykładnikiem, łamiąc raczej niż schlebając, słuchając głosu wewnętrznego nie powszechnej opinii — pogłębił dystans między rządzącymi a rządzonymi. Towarzysze jego i następcy nie zrozumieli, że trzeba być wielkim aby mieć prawo być samotnym. Z gorzkiej i dumnej nieg-

dyś pieśni bojowej: nie chcemy od was już uznania... zrobili program polityczny, zapatrzeni w legendę własnej młodości zatracili drogę do tych co z kolei młodymi, a więc innymi, być się ośmielali, nie dosłyszeli głosu budzącej się wsi i — pogrobowcy powstań — zaledwie z pobłażliwością odnieśli się do tej miłości ojczyzny, co nie z ech epopei, lecz z przywiązania do własnej zagrody i obejścia się wywodzi.

Próby powiązania tradycji legionowej z rzeczywistością dnia bieżącego, próby znalezienia dla grupy rządzącej oparcia w społeczeństwie czynione były kilkakrotnie. Pierwszą z nich podjął co najdziwniejsze właśnie ten, który był obok Piłsudskiego najczystszy przedstawiciel niepodległościowego romantyzmu, człowiek ujmujący nawet przeciwników nie szerokością horyzontów lecz szlachetnością postawy wewnętrznej i gorącą bezkompromisową miłością ojczyzny, pułkownik Walery Sławek. Koncepcje jego, w założeniu szczerze idealistyczne, nie wytrzymały próby życia; spaczyły je utylitaryzm jednych, karierowiczostwo drugich. Nie zabrakło mu odwagi ani decyzji by rozwiązać Blok, który miał skupiać ludzi nowych i świeżych a stał się zbiornikiem odprysków politycznych. Próba następna — Ozon — była tylko ustawianiem na pustej scenie politycznej kulis bogato zdobionych motywami zapożyczonymi czy to z Bloku czy to z ustrojów totalistycznych czy wreszcie z ideologii narodowej. Lecz ornamenty te nie zdołały zastąpić treści wewnętrznej, której brakło. I wreszcie, już tylko na marginesie poczynań ortodoksyjnych reżimu, zarysowały się ponawiane kilkakrotnie usiłowania wicepremiera Kwiatkowskiego do zerwania z tezą o wyłączności władzy i dążenia jego do stworzenia bloku centrowego, obejmującego ugrupowania polityczne narodowe i ludowe.

Próby zawiodły, każda z innych powodów. Polską rządziła nadal w oderwaniu od społeczeństwa jakaś bonapartystyczna arystokracja; pozbawiona kośćca, którym jest własna zakorzeniona tradycja i związaną z ziemią, miała ona już poza sobą bohaterski okres zasług i pławiła się nieraz nadmiernie w przywilejach. Przewrót majowy przekreślił kontrolę jej poczynań od dołu, śmierć Piłsudskiego — kontrolę od góry. Sytuacji tej nie mogły zaradzić ani przerost kontroli formalno-administracyjnej, komplikującej tylko i podrażniającej rządy krajem, ani też jak najbardziej przemyślnie zestawiona ustawa konstytucyjna. Grzechem pierwotnym pierwszej konstytucji było, iż układano ją w głównej mierze przeciw Piłsudskiemu, słabością drugiej iż zakrojona była na jego miarę. Tylko człowiek o ogromnej dynamice woli i gotów do brania na swe barki największych odpowiedzialności mógł wytyczać rządom kierunek, jakiego przy ustroju demokratycznym szukano by w wyrażonej swobodnie woli narodu, przy ustroju monarchicznym w skoordynowanej przez wieki z instynktem tego narodu ciągłości władzy. W Polsce, zwłaszcza w ostatnim roku, gdy prezydent R. P. z uwagi na

upływający okres sprawowania urzędu nie chciał stwarzać faktów dokonanych, a wyznaczony następca nie chciał antycypować swych uprawnień, u szczytu piramidy nie rządził nikt. Ustępliwość i kurtuazja wypełniły formy ulane dla bezwzględności i silnej woli.

Nastąpiło więc co nastąpić musiało. Dyktatora zastąpili dyktatorzy. Dyktatorem biorącym na siebie cały ciężar odpowiedzialności i decyzji był Józef Beck w zakresie polityki zagranicznej; dyktatorem w sprawach wojska i obrony narodowej marszałek Śmigły Rydz; dyktatorem wreszcie gospodarczym, choć o zasięgu ograniczonym dzięki istnieniu osobnego folwarku zastrzeżonego dla chadzającego własnymi drogami ministra Juliusza Poniatowskiego, wicepremier Kwiatkowski. Obok nich poczęli się mnożyć pomniejsi lokalni wielkorządcy. Wojewoda wołyński robił jedną politykę, wojewoda poleski drugą. Wojewoda śląski uzyskiwał dla siebie autonomię jeszcze znacznie dalej idącą niż dla swego województwa. Satrapie terytorialne przecinały się z satrapiami resortowymi. I jak gdyby z grobu powstały upiory przedrozbiorowe, przeżywała Polska znów okres możnowładztwa z jego wybujałym indywidualizmem, z mnogością inicjatyw, a nade wszystko brakiem jedności w działaniu i jasno wytkniętego celu.

Któryś z posłów sejmowych, wysłuchawszy w pełni kryzysu optymistycznego exposé rządowego, postawił na poły humorystyczne zapytanie: więc dlaczego jest tak źle, kiedy jest tak dobrze? Zapytanie to powtarzali sobie nieraz z goryczą i bez uśmiechu ludzie pracujący na niwie państwowej w ostatniej przedwojennej erze Polski. Powtarzali je widząc wkoło siebie, w najbliższym kręgu swej działalności, rozmach myśli i wytrwałość w wykonaniu, widząc ofiarność i dobrą wolę i w wyniku ich nowopowstający przemysł COPu i rozbudowującą się nowoczesną Warszawę, rosnące z roku na rok obroty portu gdyńskiego i nagły skok naprzód poczynił energetycznych i motoryzacyjnych, widząc lepsze zaopatrzenie w sprzęt wojenny każdego pułku i słysząc fanfary zwiastujące rozszerzenie granic państwa. I nawet jeżeli jeszcze jasno nie zarysowywały im się sprzeczności między rozbiorem Czechosłowacji a bezpieczeństwem COPu, między polityką nakręcania koniunktury, robioną przez jeden resort a równania w dół stosowaną przez drugi, między urbanistycznym przepychem nowej Warszawy, a drewnianą Poniatówką wielkopolskiego czy pomorskiego osadnika, między mocarstwowością na zewnątrz a słabością wewnętrzną reżimu, to jednak jedyną odpowiedzią jaką znaleźć mogli na trapiące ich wątpliwości było: Polskę gubi brak jednolitego, jasno wytkniętego kierunku, brak kontroli i koordynacji.

Historia świata zna różne źródła władzy. Monarchię z Bożej łaski zastąpiła rewolucja francuska dobrowolnym układem wszystkich obywateli. Naród jako jedność organiczna o wspólnej przeszłości, wspólnej kulturze i wspólnych przyrodzonych

dażeniach jest mocodawcą rządzących w państwie narodowym. Miejsce woli zbiorowej bierze w dyktaturze wola i instynkt władczy jednostki. Ale próba absolutnych rządów grupowych, czerpiących swe uprawnienia z choćby najbardziej szacownych zasług, poniesionych w przeszłości, podjęta była bodaj w Polsce przedwojennej po raz pierwszy. I zawiodła.

Zawiodła dyktatura bez dyktatora. A może także próba stworzenia ustroju autorytatywnego bez wyraźnej treści narodowej i społecznej?

Kajetan MORAWSKI.

Ambasador R. P.

Polemiki

Lech Maria Borzęcki.

Buenos-Aires, C. Pampa 2056-2.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Przed paru dniami wpadł mi w rękę 7/24 numer "Kultury".

W artykule "Pierwsze władze Polski Podziemnej" p. Stefan Korboński w sposób niezgodny z prawdą przedstawia akcję ś.p. Ryszarda świętochowskiego nazywając ją "sobowtórem" PKP.

Nie chcę posądzać p. Korbońskiego o tendencyjne fałszowanie prawdy historycznej — niemniej jednak wykazuje on w swym artykule zastanawiającą ignorancję i lekkomyślność. W czasie kiedy p. Korboński był jeszcze poza Warszawą po ucieczce w czasie obłężenia wrześniowego, bezpośredni kontakt z osobą Generała Sikorskiego został już nawiązany przez Konsula Myślenickiego i pozostałych w Warszawie urzędników dawnej ambasady włoskiej. Sam osobiście odbierałem pierwsze instrukcje i pełnomocnictwa, które nadesłał na ręce Ryszarda świętochowskiego Gen. Sikorski. W tym czasie również odpowiednie zlecenia nadesłane zostały przez Gen. Sikorskiego dla Ojca mego ś.p. Mariana Borzęckiego. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pełnomocnictwa te i instrukcje w oryginale przechowała moja Matka. Niedawno zwróciłem się do Pani Generałowej Heleny Sikorskiej z zapytaniem co mam z nimi zrobić, jednocześnie zapytywałem o prawo opublikowania niektórych dokumentów.

Najwidoczniej p. Korboński nie był dostatecznie informowany przez Marszałka Rataja o prowadzonych przez niego rozmowach z Ryszardem świętochowskim i moim Ojcem. Sam byłem świadkiem szeregu konferencji na której z ramienia PKP brali udział pp. Niedziałkowski, Dębski oraz Marszałek Rataj, ze strony zaś "sobowtóra", a właściwie jedynej legalnej wówczas "delegatury", pp. świętochowski, b. v-Prezydent Szpotkański oraz b. rektor Kazimierz Drewnowski i mój Ojciec.

Wyraźnie zresztą z artykułu wynika, iż rola, jaką odegrał przedstawiciel delegatury Red. Kwieciński w późniejszym PKP nie była w

żadnym wypadku współmierna do przypisywanej "sobowtórówi" działalności.

Szkoda, że będąc na miejscu w St. Zjedn., pan Korboński nie starał się zetknąć z przebywającym tamże p. Karskim, przed napisaniem swego artykułu, uniknąłby wówczas szeregu rażących pomyłek w rzeczowym naświetleniu istniejącego wówczas w Polsce stanu rzeczy.

Prosząc o zamieszczenie mego krótkiego wyjaśnienia — łączę wyrazy należnego szacunku i poważania.

Lech Maria Borzęcki.

Stefan Korboński

540 West 113th Street
New York, N. Y.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za przysłany mi odpis listu p. Lecha Marii Borzęckiego i spieszę wyjaśnić, co następuje.

Podtrzymuję w całej rozciągłości twierdzenie, że w okresie, kiedy "rząd Generała Sikorskiego uznał, że PKP reprezentuje kraj wobec rządu i z drugiej strony reprezentuje tymczasowo rząd wobec kraju i jest jego organem wykonawczym" (str. 104 wspomnień, *Kultura* Nr. 7/24 z 49 r.), ośrodek, zorganizowany przez śp. Ryszarda Świętochowskiego rozwijał działalność "konkurencyjną", powołując się na rzekome pełnomocnictwa gen. Sikorskiego do reprezentowania go na terenie kraju.

Podtrzymuję także twierdzenie, że gen. Sikorski odciął się od tej akcji, stwierdzając wobec PKP, że nikt poza PKP takich upoważnień nie posiada.

P. Borzęcki utrzymuje, że gen. Sikorski, wbrew temu co twierdzą, nadesłał śp. Ryszardowi Świętochowskiemu pełnomocnictwa i instrukcje, i pisze o możliwości ich opublikowania. Uważałbym to za bardzo pożądane, tak jak i każdą inną akcję, zmierzającą do wyjaśnienia wszystkich ważniejszych faktów, związanych z początkami podziemia.

Pragnę przyjąć z dobrą wiarą, że pełnomocnictwa i instrukcje, o jakich mówi p. Borzęcki, rzeczywiście istnieją, ale sądzę, że dopiero odpowiednie ujawnienie ich pozwoli na zorientowanie się, jaki posiadały charakter. A więc, czy udzielił ich gen. Sikorski, premier i naczelny wódz, czy też Sikorski polityk, zwracający się do swego politycznego przedwojennego współpracownika, jakim był Świętochowski. Czy pozwalała treść pełnomocnictwa przyjąć, że upoważniało ono do reprezentowania w kraju Rządu R. P., czy też było to pełnomocnictwo, udzielone przez polityka do działania w jego imieniu w pewnych określonych kierunkach. Te dwie różne role gen. Sikorskiego należy ściśle rozróżnić. Wreszcie — z punktu widzenia zakwestionowanego fragmentu moich wspomnień, — istotne jest, czy pełnomocnictwo obowiązywało w czasie, gdy funkcjonowało już PKP w określonym na wstępie charakterze, kiedy to — powtarzam — gen. Sikorski stwierdził wobec PKP, że nikt inny nie posiada w kraju prawa do reprezentowania rządu.

Pewne przemilczenia p. Borzęckiego mogą rzucać niejakie światło na sporne kwestie. Jak i kiedy wygasło rzekome pełnomocnictwo "delegata" Świętochowskiego, skoro opuścił on kraj, czego w żadnym razie nie mógł uczynić urzędujący Delegat Rządu na Kraj? Komu i kiedy przekazał on swoją władzę? Dlaczego według urzędowych źródeł śp. Cyryl Ratajski był pierwszym Delegatem?

Te pytania narzucają się każdemu orientującemu się jako tako w

sytuacji. Należy na nie odpowiedzieć opublikowaniem dokumentów, co pozwoli na wyciągnięcie ostatecznych wniosków oraz postawienie kropki nad "i", do czego się chętnie przyczynię.

Wbrew temu, co p. Borzęcki twierdzi, byłem dokładnie informowany przez śp. Marszałka Rataja o treści jego jednego czy dwóch spotkań z Ryszardem Świętochowskim. Głównym ich tematem było żądanie, aby Świętochowski zaprzestał występowania w charakterze reprezentanta rządu i aby nie usurpował sobie także prawa do reprezentowania Str. Ludowego. Dodać tu muszę, że akcja Świętochowskiego, której sekundował dobrze znany "patron" z zagranicy, kierowała się również osobiście przeciwko Marszałkowi Ratajowi, którego prawo do przewodzenia Str. Ludowemu Świętochowski kwestionował na własną korzyść. Mogę p. Borzęckiego zapewnić, że sprawę dobrze znam i z innych stron i np. pamiętam oświadczenie śp. Aleksandra Dębskiego, że podziemne władze Str. Narodowego nie dawały nikomu upoważnienia do reprezentowania tego stronnictwa w "ośrodku" Świętochowskiego. Nie mam nic przeciwko temu, by po opublikowaniu pełnomocnictwa, powrócić do sprawy i wyjaśnić ją bez reszty.

Na zakończenie parę drobiazgów, świadczących, jak głębokim znaczą podziemia z początkowego okresu jest p. Borzęcki. A więc po pierwsze: PKP powstał na posiedzeniu 7 lutego 1940. W tym czasie Niedziałkowski i Rataj byli już aresztowani, nie mogli więc występować z ramienia PKP. Po drugie: Dębski nigdy nie zasiadał w żadnym ciele razem z Niedziałkowskim i Ratajem. Stał się członkiem PKP w tym samym dniu, co i ja. Nie mógł więc występować z aresztowanymi Niedziałkowskim i Ratajem z ramienia PKP. W okresie wstępnym, to jest przed powstaniem PKP, Str. Narodowe reprezentował nie Dębski, a Leon Nowodworski. Po trzecie: Kwieciński nie zasiadał w PKP z ramienia "delegatury", lecz wyłącznie z ramienia Str. Pracy. Ja właśnie zajmowałem się techniczną stroną wprowadzenia go w tym charakterze do PKP. Wreszcie — kto to jest konsul Myślenicki? Czy przypadkiem nie konsul Mikiciński z konsulatu chilijskiego?

Tyle na razie słów odpowiedzi na pełen tupetu i niepotrzebnej agresywności list p. Borzęckiego.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Stefan Korboński

20. I. 1950.

Straty kultury polskiej

Stefan Essmanowski

Właściwie nie umiem napisać wspomnienia o Essmanowskim. Przez kilka ostatnich lat przed wojną byliśmy ze sobą tak blisko, że pewne rzeczy rozumiały się same przez się, wielu nie dotykało się przez męską wstydlivość, niejedna wydawała się nieważna wobec nacisku terażniejszości, wobec myśli wybiegającej naprzód, planującej ufnie i rozrzutnie.

Essmanowski był związany z kilku środowiskami: z Krakowem przez studia, z Poznaniem wczesną pracą literacką, z Warszawą nauczycielstwem i dziesiątkiem rozproszonych działkań. Jest to u niego rys charakterystyczny: ten niepokój, brak skupienia, niedostatek ześrodkowania wokół miejsc, wokół tematów, wokół zainteresowań. W każdym z tych środowisk przebywał spory czas, zostawił jakiś ślad i — zerwał wątek. Brakło mu ciągłości, usilności, siły przebojowej torującej drogę

Wpomnienie przeznaczone do III-go tomu *Strat kultury polskiej 1939 - 44*, których dwa pierwsze tomy ukazały się w r. 1945 pod redakcją Adama Ordegi i Tymona Terleckiego, staraniem i z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej.

Tom III tego wydawnictwa, obejmującego w sumie 1130 stron druku, nie ukazał się do tej pory i nie ma nadziei, aby w obecnych warunkach ujrzał światło dzienne. Jest to karygodne zaniedbanie ze strony ośrodków dyspozycyjnych, które po r. 1945 przejęły agendy Funduszu Kultury Narodowej. Szczególnie obciąża ono nasze zbiorowe sumienie wobec pamięci pracowników kulturalnych zaginionych w Rosji. Ofiary barbarzyństwa niemieckiego zostały w kraju policzone i uczczone ale o ofiarach barbarzyństwa sowieckiego nie wolno tam mówić, jak nie wolno mówić o Katyniu.

Jeśli dokonczenie *Strat kultury polskiej* jest w tej chwili niemożliwe, należy w inny sposób uratować od zatracenia pamięć tych, których pochłonęły sowieckie więzienia, obozy pracy przymusowej i miejsca kaźni. Należy to zrobić czym prędzej, nim się zatrze wspomnienie o nich i wymrą świadkowie ich życia i pracy. *Kultura* otwiera ten dział, prosząc o materiał ewidencyjny, notatki biograficzne, szczególnie dotyczące śmierci i przede wszystkim o osobiste wspomnienia, które stanowiłyby typ opracowania przyjęty przez wydawnictwo *Strat kultury polskiej: 1939-44*.

zainteresowaniom wśród oporów materii. Może jeszcze ciągle fermentował. Ale wszystko czego się tknął, było znakowane cechem nie błyskotliwym, ale solidnym: znakiem dobrej roboty.

Nie wiem gdzie mieszkał wtedy, w Krakowie czy w Poznaniu, gdy się z nim spotkałem — w druku. Było to już po r. 1930 w lwowskim "Świecie Kobięcym", redagowanym przez Konstancję Hojnacką ambitnie i kulturalnie ponad przeciętność. Korespondencje z Warszawy pisała tam Irena Krzywicka, świetna poetka starszego pokolenia Maryla Wolska ogłaszała ostatnie, wspaniale dojrzałe wiersze, ale poza tym drukowali przeważnie mężczyźni. Pani Hojnacka powierzyła mi w "Świecie Kobięcym" dział teatralny zanim jeszcze zająłem fotel recenzencki "Słowa Polskiego". Essmanowski drukował u niej rozmaite rzeczy pod własnym nazwiskiem i wiersze pod pseudonimem Jazgota. Były to utwory może nie rewelacyjne ale zaskanawiały ich kultura artystyczna i precyzja wyrazu. Ogłaszała je później także w "Tygodniku Ilustrowanym", ale nigdy nie wydała ich w zbiorze. Była to jedna z rzeczy niewyjaśnionych między nami, skąd brało się w nim to zahamowanie niewątpliwie bolesne, burzące porządek wewnętrzny, pchające do neurozy.

Osobiście jestem skłonny przypuszczać, że zaciążyła nad Essmanowskim intymna przyjaźń z Zegadłowiczem. Zawiązała się ona w okresie współpracy w poznańskiej "Tęczy" (w latach 1927-35) czy jeszcze wcześniej, bo obydwa, jak mi się zdaje, pochodzili z beskidzkiego regionu, upoetycznionego "Powsinogami". Utrzymała się nienaruszona do końca, do jaskrawych wystąpień literackich i politycznych Zegadłowicza, przetrwała "Zmory" i osławiony zjazd lwowski. Łatwość, mimo wolność liryczna Zegadłowicza mogła działać deprymująco na osobowość uczuciową snującą wątki powoli, opornie, przy ciągłym, czujnym nadzorze intelektu, skłoną do świadomego, kontrolowanego, jakby architektonicznego kształtowania substancji przeżyć. Trudno w tej chwili, bez dostępu do rozproszonych utworów Essmanowskiego, rozstrzygnąć czy utrata była znacząca, czy też w cieniu rośliny silniejszej — okrutnym prawem eliminacji — zmarniała roślina biologicznie słabsza.

Jakkolwiek rzecz się miała, z Essmanowskim odszedł świadek koronny procesu Zegadłowicza. Ten proces trwał niemal przez całą niepodległość, zawikłał się i zaostrzył w ostatnich latach przed wojną. Był on dla fizjologii literackiej tego okresu bynajmniej nie obojętny. Przeciwnie: stanowił jedno z wydarzeń alarmujących, odsłaniających jakieś zawiłości wewnętrzne. Wbrew tym, których horyzont pokrywał się z widnokresem ogarnianym z okien warszawskiego IPS'u, stanowił materiał dla nieistniejącego Instytutu Badania Koniunktury Kulturalnej. Świadectwo Essmanowskiego na pewno dalekie od tego, co miał w tej sprawie do powiedzenia, ogranicza się do artykułów w "Wiadomościach Literackich" z 1932 r. i w

"Tygodniku Ilustrowanym" z 1935 r.

W Warszawie, gdzie go poznałem osobiście, Essmanowski uprawiał działalność literacką dosyć natężoną, ale niesprowadzającą się do jednego mianownika. Z jednej strony miała ona charakter zbytku, z drugiej — przymusu. Była ucieczką od rzeczywistości i wytężonym usiłowaniem, aby sprostać jej twardym nakazom. Hispanistyka i freudyzm, to było jedno. Działalność publicystyczna i praca tłumacza, to było drugie. Jedno i drugie — robione na dalekiej, najdalszej peryferii pracy nauczycielskiej w gimnazjum.

W ostatnich latach Essmanowski robił na mnie wrażenie człowieka startego, zmielonego przez tryby maszyny szkolnej. Myślę, że był to jeden z ciężkich grzechów okresu niepodległości wobec tej wielkiej i społecznie ważnej części inteligencji, jaką stanowi nauczycielstwo, że pauperyzowano ją materialnie ale świadomie lub — co niemal równie źle — bezwiednie pauperyzowano ją także umysłowo.

Szkoła galicyjska nauczyła mnie patrzeć na nauczyciela gimnazjalnego jako na intelektualistę, na człowieka o czynnym, współtwórczym stosunku do rzeczywistości kulturalnej. Pamiętam, że byliśmy osobiście zainteresowani każdym awansem naukowym naszych "belfrów", uważnie śledziliśmy ich drukowane prace, byliśmy pilnymi czytelnikami ich rozpraw, które stanowiły tradycyjną część dorocznego sprawozdania szkoły. I według tego wszystkiego ustawialiśmy ich na drabinie wartości, splecaliśmy im należny trybut szacunku. W szkole niepodległej samodzielna praca intelektualna nauczyciela była źle widziana, brakło na nią miejsca w drobnej sieczce zajęć, wypełniających dzień, wszystkie dni tygodnia, wszystkie myśli. To fizyczne zajeżdżenie ludzi powodowało bierność kulturalną, polityczną, społeczną wielkich odłamów nauczycielstwa. Tylko bardzo ambitni, lub wyjątkowo a rzadko uprzywilejowani mogli przełamać ten krąg fatalny.

Essmanowski go przełamował, ale życie w Warszawie za cenę podnięt kulturalnych zmuszało go do dodatkowych prac zarobkowych. To w pewnej mierze tłumaczy rozproszony, niejednolity charakter jego działalności literackiej. Mimo iż u ich podstawy leżała konieczność zdobycia pieniędzy, współpraca w "Tygodniku Ilustrowanym" za redakcji Wacława Czarskiego i liczne przekłady nosiły znamiona roboty wysokogatunkowej.

W "Tygodniku" Essmanowski pisywał na różne tematy, głównie literackie, ale dziś, z oddalenia, ważniejsze wydają się artykuły o zagadnieniach szkolnych, ogłaszane pod pseudonimem: "Togzaj" (anagram od Jazgota). Dotykał w nich odważnie, prawdomównie, choć ostrożnie, choć polemicznej pasji "Zwrotu" wielu bolesnych miejsc, wielu słabizn systemu szkolnego i praktyki szkolnej. Mam przeświadczenie, że przyszły historyk szkolnictwa polskiego nie będzie mógł ominąć tych

oświetleń powściągliwych, umiarkowanych ale inteligentnych, trafiających w sedno rzeczy.

Nie pamiętam wszystkich przekładów Essmanowskiego, robionych głównie dla firmy "Przeworski". Ale jeden z nich, przekład olbrzymiej "wie romancée" eksperymentalnej, bo pisanej w pierwszej osobie: "I Claudius" Roberta Graves'a jest typowy. Zdumiewa równością oddechu, wytrzymaniem stylu, poziomowi pracy pisarskiej na całej rozciągłości książki. Na tle kryminalnego zagadnienia przekładów, które miało złożyć przyczyny natury kulturalnej, więcej jeszcze natury gospodarczej — Essmanowski stanowił zjawisko dodatnie, niemal wyjątkowe.

Jako publicysta i jako tłumacz nie zarabiał łatwo. Stylizowanie szło mu opornie i powoli, destylowało się przez wiele sit, nim doszło do przejrzystego, spokojnego, zrównoważonego wyrazu, jaki mu był właściwy. Sam mi nieraz mówił, że robi kilka, nawet kilkanaście redakcji jednego artykułu.

Wielkie możliwości rokował Essmanowski jako tłumacz literatury hiszpańskiej. Miał tutaj konkurenta w Edwardzie Boyé, który wolny od obciążeń i skrupułów życiowych pracował szybciej i łatwiej, dał m. in. nowy dobry przekład "Don Qui-xota". Essmanowski górował nad Boyé'm gruntownym przygotowaniem filologicznym i swobodną, wprawną formą poetycką. W lepszej koniunkturze byłby mógł podjąć na szeroką skalę dzieło wspaniałego lwowskiego filologa-poety, Edwarda Porębowicza. Bodaj po raz pierwszy od jego czasów porwał się na poetyckie przekłady z Calderona. Niełatwo jest powiedzieć czy to Essmanowski pobudził Zegadłowicza do tłumaczenia "Circe" czy też Zegadłowicz działał tu jako przykład.

Znałem przekład "Czarnoksiężnika" dokonany przez Essmanowskiego. Ten utwór nazywający się w oryginale "El mágico prodigioso" należy do typu dramatów symbolicznych, jest stawiany obok "La vida es sueño" (Życie snem) i "El principe constante" (Książę niezłomny), którego poetycko uskrzydlił Słowacki. W Anglii "Czarnoksiężnika" przekładał Shelley. Polskiemu przekładowi brakło oczywiście calderonowskiej "fougue", owej popędliwości lirycznej, piętroskiej niebosiężnej metafory, ale miał piękną, dźwięczną dykcję, wierność skojarzoną z prawdziwym pójtem poetyckim. Nie doczekał się wprowadzenia na scenę, choć na to zasługiwał; być może zagroziło mu drogę niezbyt udane doświadczenie Horzycy: "Życie snem" wystawione wprzód we Lwowie, później w Warszawie.

"Czarnoksiężnik" nie dobił się nawet ogłoszenia drukiem. Był złożony w warszawskich teatrach miejskich (tam go czytałem), a potem włączony do biblioteki Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie. Wprowadziliśmy w nim niedługo przed wojną dział nieogłoszonych przekładów sztuk scenicznych. Cały ten księgozbiór, obejmujący bibliotekę dawnej warszawskiej Szkoły Aplikacyjnej, dwie biblioteki prywatne

Adama Zagórskiego i Lucjana Komarnickiego, część biblioteki po Wincentym Rapackim (ojcu) — księgozbiór jedyny w swoim rodzaju, jeden z nielicznych w Europie, nieoceniony, nieodżałowany, spłonął doszczętnie w czasie pierwszej bitwy o Warszawę.

Tuż przed wojną Essmanowski zaczął i zapewne wykonał przekład "Komedii heroicznej" Lope de Vegi "Fuente Ovejuna" (Owce źródło). Miał on być w sezonie 1939/40, w sezonie, którego nigdy nie było, inscenizowany przez Aleksandra Węgierkę w Teatrze Polskim, bądź w Teatrze Narodowym. "Owce źródło" wystawiono dopiero po wojnie, gdy tłumacz i inscenizator już nie żyli. To, że wyszło ono na scenę w spolszczeniu dokonanym przez Ludwika Hieronima Morstina zdaje się wskazywać, że także ta praca Essmanowskiego przepadła bez śladu.

W ostatnich latach spotkaliśmy się i współdziałaliśmy blisko w warszawskim Instytucie Sztuki Teatralnej, ściślej w jego wydziale sztuki reżyserskiej. O ile wydział aktorski miał dawną tradycję i kształt ustalony przed nami, o tyle ten drugi, młodszy wydział był awanturniczą wyprawą w nieznaną, eksperymentem organizacyjnym i pedagogicznym, pierwszym w Polsce i jednym z pierwszych na świecie, czymś stającym się na naszych oczach, kształtowanym naszą obecnością i udziałem.

Akuszerem nowego wydziału był Leon Schiller. Znałem go ze Lwowa, związałem się z nim namiętnym przeżyciem jego lwowskiego epizodu — walką, polemiką, klęską. Oddał się temu dziełu z pasją. Był wobec niego taki sam jak wobec twórczości teatralnej — człowiekiem zuchwałym wziji i maksymalistą drezczonym nieuciszonymi niepokojami. Zamyślił sobie wydział niesłychanie ambitnie, rozrzutnie i nie zaznawał spokoju do końca czy jest dość wszechstronny, dość wysoki, dość europejski. Przyśniwała mu się szkoła teatralna Gordona Craiga pod Florencją, zniesiona burzą pierwszej wojny światowej, tak jak druga wojna miała znieść z powierzchni ziemi ledwie dojrzewający twór polski.

Przez pierwszy rok czy dwa sam jeden towarzyszyłem Schillerowi w pracach organizacyjnych. Przymierzaliśmy marzenia do rzeczywistości, plan ciągle puchnący do ilości godzin, gubiliśmy się w cyfrach, w krótkach papieru, jak w labiryncie. Nie raz żalowaliśmy, że wellsowska fantazja o "bytach równoległych", zatem i "czasach równoległych" jest tylko fantazją: co nie mieściło się w jednym czasie, mogłoby się zmieścić w drugim...

W dalszym biegu rzeczy dołączył Essmanowski, w ostatnich latach przed wojną na trzeciego — Bohdan Korzeniewski. Archiwa Instytutu niszczały w 1939 r. i pewnie już nigdy nie będzie można szczegółowo odtworzyć kolei tego eksperymentu, powolnego, żmudnego procesu, w którym tworzył się nowy organizm, kształtowały się jego człony, wiązały się jego funkcje. W nowych, jasnych choć dość ciasnych salach

domu czynszowego teatrów na ul. Trębackiej embron, osesek z Okólnika zaczął mówić, zdradzać wyraźne właściwości charakteru.

Budowa wydziału sztuki reżyserskiej była to robota laboratoryjna, robiona bez rozgłosu, poza "przedstawieniami warsztatowymi" elewów nieraz rewelacyjnymi, nawet w Warszawie nieznaną. Od czasu do czasu od "lewej" strony niemrawo bąkano o "talencie, który się ma albo się nie ma". Z "prawej" padały rzadkie ale gromkie słowa o "bolszewiźmie". Chyba dlatego, że w tej szkole nie było cienia dyskryminacji rasowych czy narodowościowych, że wypuściliśmy z niej dwu zdolnych Ukraińców.

Atmosferę tworzyło dobrane, malownicze grono starych, znakomych zawodowców teatralnych, jak Stanisława Wysocka czy Stanisławski, świetnych naukowców jak Elzenberg czy Stanisław Ossowski, bezinteresownych entuzjastów i szlachetnych maniaków. Zmuszeni do przeorywania olbrzymich obszarów, umyśliśmy, aby jednemu z nas wyznaczyć rolę "franc-tireur'a" czy "whip'a". Dobraliśmy nie profesora do przedmiotu, ale na odwrót: przedmiot do profesora. Tak znalazł się w wydziale Jerzy Stempowski — Montaigne skrzyżowany z ukraińskim bałagutą, uroczy mędrzec i gawędziarz. Wykładał przedmiot, który zdaje się nosił nazwę: "Tło filozoficzne głównych epok teatru". Dywagował po nim rozkosznie, arcyciekawie, oszałamiająco. Każdy wykład kończył na korytarzu.

Ale obok tych zbyt kownych kaprysów własnych musieliśmy zaspakajać elementarne potrzeby, stwarzać specjalistów. I tak np. wmwiliśmy w Aleksandra Hertza wykłady z socjologii teatru. Powstała z nich książka, bodaj pierwsza i jedyna w swoim rodzaju, drukowana w "Scenie Polskiej" i wydana potem osobno.

Podobnie Essmanowski musiał podjąć trud nowej specjalizacji: objął wykłady z zakresu teorii dramatu. Jest to dziedzina, w której, poza bardzo słabą pracą Życzyńskiego, prawie nie ma u nas wyprzedzeń, nie ma prac przygotowawczych. Essmanowski był do niej wyjątkowo powołany przez typ umysłu i przede wszystkim fakt znajomości języków: dwu klasycznych, które posiadał wspaniale i wykładał w szkole średniej, oraz co najmniej czterech nowożytnych. Pojmował swój przedmiot historycznie, jako ciąg teoretycznych koncepcji dramatu, idących równoległe z jego rozwojem, zmianami, przetworzeniami. Rozszerzył ten zakres o teksty, których dotąd nie uwzględniano, np. angielskie i hiszpańskie. Mówił nie tylko o Arystotelesie, Horacym, Corneille'u, Diderocie, Lessingu i Wiktorze Hugo, ale także o renesansowym Wiochu Castelvetro, o "Essay of Dramatic Poesy" Dryden'a, o "Arte Nuevo de hacer comedias" Lope de Vegi, o abbé d'Aubignac'u czy Congreve'ie.

Wykłady Essmanowskiego były nie błyskotliwe, raczej dość nudne. Flegmatyk z wylupiastymi, niebieskimi oczyma, pływaw-

jącymi w tłustej i połyskującej od tłuszczu twarzy, grasejował je, gardlił powoli, bawiąc się nerwowo niklowym łańcuszkiem od zegarka. Ale nie mniej były one głęboko pobudzające przez jasność, precyzję, rozległość widnokręgów. Koledzy Cwojdziańskiego, który po okresie słabego aktorowania należał do pierwszej ekipy słuchaczy wydziału, utrzymywali, że w swojej twórczości scenopisarskiej wiele zawdzięczał tym wykładom. Rzeczywiście Cwojdziański należy do tej samej rodziny dramatystów, co Scribe i Sardou. Jak oni jest urzeczony mechaniką dramatu. Jak dla nich i dla niego twórczość dramatyczna jest przede wszystkim zagadnieniem konstrukcyjnym, co przy finezji formalnej, wirtuozerii technicznej często pociąga za sobą błażość treściową.

Przed granicą wojny Essmanowski miał całkowicie opanowany kurs teorii dramatu. Sądzę, że dorównywał on ciągle klasycznej książce Barrett'a H. Clark'a "European Theories of the Drama", lub ją przewyższał.

Gdy objąłem redakcję "Sceny Polskiej" wśród innych zarysowaliśmy z Essmanowskim szczegółowy plan uwzględnienia w niej także tego tematu. Plan przewidywał dwie różne formy: przekłady klasycznych reprezentatywnych teorii dramatu i rozdziały dające pogląd na historyczne zmiany poglądów o dramacie.

Z tego obszernego planu Essmanowski zdołał wykonać tylko część pierwszą. W r. 1938 ogłosił w "Scenie Polskiej" własny, pełny przekład ustępu "Poetyki" Arystotelesa o tragedii z komentarzem i wprowadzeniem pt. "Początki europejskiej teorii dramatu". Był to imponujący przykład filologicznej ścisłości, jasności wysłowienia i wiedzy. Strata nieopłacona, że Essmanowski nie zdołał dokończyć tej pracy.

Planowaliśmy jeszcze inne rzeczy. Essmanowski przygotowywał dla "Sceny Polskiej" i związanej z nią zbioru podręczników teatrologicznych "Wiedza o teatrze", szkic, poświęcony dramatowi hiszpańskiemu, który znał jak niewielu ludzi w Polsce. Myśleliśmy też poważnie o opracowaniu "Słownika rzeczy teatralnych" w rodzaju nieznanego nam wtedy, czarującego ale już przestarzałego "Dictionnaire historique et pittoresque du théâtre et des arts qui s'y rattachent" (Paris, 1885) Arthura Pougin. Był to pomysł i ulubiona marota Essmanowskiego.

Tuż przed wojną odwiedził Francję. Wrócił z niej w ostatniej chwili — po śmierć. Wołała go ona głosem, któremu nie mógł się oprzeć: starej matki i kilkunastoletniej córki.

Współczesne doniesienie z kraju mówi o tym z tacytowską rzeczowością: "Wśród ofiar rozstrzelanych z więzienia na Pawlaku w dn. 2 marca 1942 (?) zginęli m. in. niezastąpiony inicjator i organizator teatrów ludowych — jędrzej Cierniak, nauczyciel gimnazjalny, romanista — Stefan Essmanowski".

Tymon TERLECKI.

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
59/61, Hatton Garden — London E.C.1.
Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orła Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Kronika kulturalna

Kronika muzyczna

Rok 1949 przejdzie do historii muzyki przede wszystkim jako "Rok Chopinowski". Stulecie śmierci wielkiego kompozytora zostało zaznaczone na całym świecie przez niezliczoną ilość manifestacji muzycznych, radiowych, literackich i teatralnych, przez niemal zastraszającą ilość publikacji, poczynając od poważnych monografii, poprzez artykuły fachowe aż do rozbijających nieraz swoją naiwnością "impresji" literackich. Masowość tych manifestacji, zwłaszcza w porównaniu ze stosunkowo słabym echem wywołanym przez inne polskie rocznice — Mickiewicza i Słowackiego — wykazała jeszcze raz, iż Chopin, którego polskość już przez nikogo nie jest podawana w wątpliwość, jest i długo jeszcze pozostanie największym propagandowym atutem polskiej kultury wobec świata. Tym niemniej trudno oprzeć się wrażeniu, że przez zbytek gorliwości nieco zaszkodzono muzyce Chopina, gdyż po tak obfitych dawkach najwięksi nawet wielbiciele będą jej mieli na pewien czas dość. "Czcili" Chopina powołani i niepowołani; obok pięknych i poważnych uroczystości nie brak było imprez żenujących nieudolnością; największym błędem była jednak zbyt wielka ilość koncertów.

Wśród imprez muzycznych centralne miejsce zajmował czwarty międzynarodowy konkurs Chopinowski w Warszawie, którego wynik był prawdziwą niespodzianką: w przeciwieństwie do trzech przedwojennych konkursów wygrywanych bezapelacyjnie przez Rosjan, ostatni konkurs zakończył się wielkim triumfem młodych pianistów, a zwłaszcza pianistek polskich. Wprawdzie pierwsza nagroda została przyznana *ex aequo* Polce (Halina Czerny-Stefańska) i przedstawicielce ZSRR (Bella Dawidowicz), w następnej jedenastce znalazło się jednak 7 Polaków i tylko 4 Rosjan. Zaskakującym był natomiast fakt, iż spośród 12 nagród i 5 dyplomów wyróżnienia, ż a d e n nie został

przyznany pianistom z Europy Zachodniej. A przecież, jak można było wnioskować chociażby z wyników ostatnich konkursów genewskich, w Europie Zachodniej nie brak po wojnie pierwszorzędnym młodych sił pianistycznych.

Spośród inicjatyw podjętych z okazji Roku Chopinowskiego należy również zanotować zorganizowanie w Rzymie przez Mateusza Glińskiego "Międzynarodowego Instytutu Fryderyka Chopina", którego celem jest prowadzenie badań chopinologicznych oraz zakrojona na międzynarodową skalę działalność podagogiczna. Staraniem Instytutu ma się ukazać w języku włoskim kompletna korespondencja Chopina oraz ma być zorganizowana w Taorminie na Sycylii stacja artystyczno-naukowa, która przy udziale wybitnych fachowców europejskich będzie co roku dawała miesięczny cykl odczytów i wykładów interpretacyjnych, poświęconych Chopinowi.

W powodzi publikacji chopinologicznych wydanych w ubiegłym roku niewiele pozycji zasługuje na wyróżnienie: Nowe elementy przynoszą jedynie publikacje biograficzne, głównie dzięki uwzględnieniu świeżo odkrytej korespondencji Chopina z Delfiną Potocką. Listy te okazały się tak rewelacyjne, iż próbowano nawet kwestionować ich autentyczność, głównie ze względu na ich rzekomo zbyt frywolny i intymny charakter. Istotnie, porusza w tej korespondencji Chopin niektóre intymne sprawy w sposób bardzo swobodny, ale czyni to z tak charakterystyczną dla niego finezją i w stylu tak podobnym do innych jego listów, iż nie ma powodu ani kwestionować autentyczności tej korespondencji, ani wstydliwie ją ukrywać. Nie tylko bowiem zmusza ona nas do rewizji tradycyjnej biografii sentymentalnej Chopina, odsuwając w cień epizod z Marią Wodzińską i stawiając w odmiennym świetle romans z George Sand, ale przede wszystkim daje szereg nowych i bardzo interesujących danych o muzycznych poglądach Chopina. W tych "frywolnych" listach więcej jest mowy o muzyce i o sztuce niż w całej pozostałej, dotychczas znanej korespondencji Chopina.

Nie pozbawiony pikanterii jest fakt, że dopiero w sto lat po śmierci Chopina zwrócono uwagę na dokumentaryczne sprzeczności dotyczące daty jego urodzenia. Problem ten wywołał ożywioną, a niekiedy wręcz gwałtowną polemikę, która jak dotychczas nie doprowadziła do uzgodnienia poglądów i definitywnego rozstrzygnięcia sporu.

W przeciwieństwie do tych biograficznych problemów, badania nad samą twórczością Chopina nie przyniosły w tym roku jubileuszowym żadnych rewelacji: szereg drobnych przyczynków w fachowych czasopismach, ale żadnej książki, która by znaczeniem mogła dorównać najważniejszym dotychczas pracom w tej dziedzinie jak "Harmonika Chopina" L. Bronarskiego i "Chopin's Musical Style" Geralda Abrahama. (Londyn 1946). Prawdziwą rewelacją natomiast i bodaj największym wydarzeniem roku jubileuszowego było ukazanie się pierwszych zeszy-

tów nowego monumentalnego wydania wszystkich dzieł Chopina, opracowanego przez J. I. Paderewskiego, L. Bronarskiego i J. Turczyńskiego. Forma graficzna wydania przynosi zaszczyt Polskiemu Wydawnictwu Muzycznemu, samo zaś opracowanie, oparte na niezmiernie sumiennym i wnikliwym zbadaniu wszystkich źródeł i oczyszczające tekst muzyczny od tak licznych dodatków, wprowadzonych przez wszelkiego rodzaju poprawiaczy i "interpretatorów", zaopatrzone w bardzo cenne komentarze, godne jest jak największych pochwał. Jest to nie tylko najpiękniejsze i najdokładniejsze ze wszystkich istniejących wydań dzieł Chopina, ale w ogóle jedno z najlepszych wydań krytycznych w muzyce światowej.

Poza stuleciem Chopina uwagę świata muzycznego zajęły w ubiegłym roku dwa wydarzenia: śmierć Ryszarda Straussa oraz 75-letni jubileusz Arnolda Schoenberga. Strauss zmarł w wieku 85 lat; zważywszy, iż pierwszy sukces na miarę światową odniósł on już jako 24-letni młodzieniec, trzeba przyznać, iż przypadł mu niezwykle los w udziale: ponad sześćdziesiąt lat światowej sławy. Przy dzisiejszym tempie zmian artystycznych dało to paradoksalny wynik: człowiek, który przez pół życia był uosobieniem skrajnych zuchwałości muzycznych, przywódcą awangardy, stał się jeszcze za swego życia symbolem tradycjonalizmu i konserwatyzmu. Niektórzy krytycy posunęli się nawet do twierdzenia, iż osobistym pechem Straussa było to, że... za długo żył i komponował. Podczas gdy o dwa lata od niego starszy Debussy "rozsądnie" zmarł w 1918 roku "in odore modernitatis" i dzięki temu przeszedł do historii muzyki z etykietką nowatora, Strauss przez trzydzieści ostatnich lat swego życia był celem ataków i złośliwości postępowców muzycznych, czym się zresztą niezbyt przejmował, gdyż wzamian za to cieszył się u szerokiej publiczności popularnością, którą nie mógł by się poszczycić żaden inny kompozytor współczesny.

W chwili obecnej posiadamy jednak już należytą perspektywę, by obiektywnie ocenić całokształt tej twórczości. Można w niej wyróżnić trzy okresy. Do roku 1900 jest Strauss zuchwałym nowatorem, twórcą "naturalizmu" w muzyce symfonicznej. Przeszczepiając wagnerowskie metody operowe na grunt symfoniczny, wypracował on specyficzną formę programowego "poematu symfonicznego", który przy pomocy symboli i aluzji muzycznych, a niekiedy wręcz przy użyciu imitacji dźwiękowej miał przedstawiać poprzez muzykę treści literackie. Metoda ta stosowana już była często przed Straussem, np. przez Berliozę czy Lisztę; Strauss jednak pokusił się o muzyczne przedstawienie treści na pozór zupełnie do tego celu się nie nadających. Udało mu się to w młodzieńczym "Don Juanie" lub w groteskowym scherzo —największym jego arcydziele symfonicznym— "Till Eulenspiegel". Bezsensowność "naturalizmu symfonicznego" wychodziła jednak na jaw, gdy Strauss wybierał za temat

"Zaraturę" Nietzschego lub gloryfikację własnego życia ("Życie bohatera"). Jeżeli większość poematów symfonicznych Straussa utrzymuje się jeszcze dziś w repertuarze symfonicznym, dzieje się to nie dzięki ich naturalizmowi muzycznemu, lecz przede wszystkim dzięki mistrzostwu faktury muzycznej, a zwłaszcza dzięki wspaniałej instrumentacji.

Strauss zrozumiał zresztą sam, że znalazł się w ślepej uliczce i w drugim okresie swej twórczości wybrał inną drogę: nie zrezygnował z naturalizmu, lecz skierował go na inne tory, jedyne, na których naturalizm muzyczny mógł mieć sensowne zastosowanie: na drogę teatru.

Po dwu pierwszych, jeszcze zbyt wagnerowskich operach, oszalał on świat muzyczny trzema operami o zupełnie innych założeniach artystycznych: "Salome" (1905), "Elektra" (1909) i "Kawaler Srebrnej Róży" (1911). Całe jego mistrzostwo charakterystyki muzycznej, wypracowane w poematach symfonicznych i wzbogacone o jeszcze zuchwalsze i pomysłowsze chwytły, zostaje tu zastosowane do ekspresji teatralnej, dając zupełnie nowy typ dramatu muzycznego o niezrównanej gwałtowności wyrazu. Opery te ugruntowały definitywnie światowy rozgłos kompozytora i stanowiły niewątpliwie największą sensację muzyczną owej epoki.

Jednakże już po "Kawalerze Srebrnej Róży" daje się odczuć pewne zmęczenie twórcze. Daje jeszcze Strauss jedną operę o zupełnie innym charakterze "Ariadnę na Naksos", będącą dziwną zabawą w naśladownictwo stylów muzycznych różnych epok, nie mającą już jednak ani tego polotu, ani świeżości co trzy poprzednie opery. Przez pozostałe 35 lat komponował Strauss jeszcze 11 oper i baletów, wracał wielokrotnie do muzyki symfonicznej i chóralnej, ale nie dał nic, co by nie było powtórzeniem już znanych chwytów, eksploatacją jego niezrównanego mistrzostwa technicznego, ale bez wewnętrzne-go pokrycia. W międzyczasie muzyka szła milowymi krokami naprzód i zuchwałości Straussowskie zostały już od dawna prześcignione przez młodszych kompozytorów. Atakowany przez krytyków i dawnych wielbicieli, Strauss jakby na przekór zmienności losu coraz bardziej zawracał wstecz, celowo rezygnując nawet z własnych dawnych "zuchwałości". Ostatnie jego starcze utwory są w fakturze muzycznej bliższe jego dziełom młodzieńczym niż utworom z okresu środkowego. Chwiejne i niezbyt godne stanowiskó, zajęte przez Straussa wobec reżimu hitlerowskiego, zniechęciło do niego resztę muzyków. Nie przestał on jednak komponować i, pewny zwycięstwa swojej sprawy, nie dawał swoim ostatnim kompozycjom liczby opusu, lecz wydawał je za życia z zaznaczeniem "ze spuścizny pośmiertnej". Był to jednak mimo wszystko najwięcej grywanym kompozytorem współczesnym i mimo wszystko zachował sporo wiernych wielbicieli, zwłaszcza w świecie niemieckim i anglosaskim.

Nie ulega wątpliwości, iż rola, jaką Strauss zajmuje w historii

muzyki współczesnej, była bardzo wielka. Pomimo burzliwych początków jego kariery muzycznej, twórczości tej jednak w żaden sposób nie można uznać za rewolucyjną. Strauss nie stworzył nowych dróg, jak Debussy, Strawiński, Schoenberg; nawet to wszystko, co przerażało w swoim czasie konserwatystów, w pierwszym rzędzie "naturalizm muzyczny", należy do XIX-go wieku. Różnice między Straussem a jego poprzednikami są natury ilościowej, a nie jakościowej. Zarówno w swych poglądach estetycznych jak w swym języku muzycznym nie otworzył on nowej epoki, lecz niejako zamknął epokę poprzednią, dał najpełniejszy wyraz wszystkim tendencjom treściowym i formalnym, jakie nurtowały w XIX-tym wieku, doprowadził do skrajnych konsekwencji wszystkie zalety i wady tego stulecia muzycznego.

Zupełnie odmienny jest los Schoenberga. O dziesięć lat zaledwie młodszy od Straussa, pozostaje on do dziś dnia jeszcze kompozytorem najbardziej dyskutowanym, przywódcą najbardziej radykalnej awangardy muzycznej. Jakkolwiek klimat psychiczny jego twórczości tkwi w XIX-tym wieku znacznie bardziej niż np. muzyka Strawińskiego, faktura, jaką się Schoenberg i jego szkoła posługują, stanowi, przynajmniej w teorii, zupełne zerwanie z dotychczasowymi nawykami muzycznymi. Po utworach młodzieńczych, nawiązujących jeszcze wyraźnie do tradycji wagnerowskich, w tak zw. okresie środkowym (1909 - 1923), wyzwala się Schoenberg całkowicie z kategorii tradycyjnych tonacji muzycznych, tworząc muzykę, którą niezupełnie słusznie nazwano "muzyką atonalną", stosując częstokroć ten nowy termin zupełnie nie *à propos* do wszelkiej muzyki bardzo radykalnej fakturze. Termin był niewłaściwy, gdyż Schoenbergowi nie chodziło o całkowite wyzwolenie języka muzycznego z jakiegokolwiek systemu zależności, lecz o zastąpienie dawnych norm przez nowe zasady zależności pomiędzy dźwiękami. Tych nowych zasad szukał on po omacku i dopiero w "5 utworach na fortepian" (1923) wypracował system, sprwadający całe rusztowanie formalne utworu do tak zwanej "serii", dowolnie ułożonej kombinacji dwunastu tonów chromatycznych, z których żaden nie może się w obrębie serii powtarzać. Kontrapunktyczne przeróbki tej podstawowej, lecz innej dla każdego utworu serii (odwrócenie porządku dźwięków, lub tak zwane "odbicie lustrzane") mają stanowić w y ł a c z n y materiał dźwiękowy utworu. "Seria" więc zastępuje dawne pojęcie tonacji, z tym, że dla każdego utworu "tonacja" jest inna.

Ta technika muzyczna, od posługiwania się dwunastotonalnymi seriami nazwana terminem techniki "dodekafonicznej", stała się podstawą nowej szkoły, nie liczącej zbyt wielu zwolenników, ale za to ożywionej fanatyczną wiarą w nieomyślność nowej drogi. Walka o dodekafonię trwa jeszcze. Szkoła Schoenberga rozszerza swoje wpływy i zdobywa coraz większą ilość fa-

natycznych obrońców, jednakże nie tylko szeroka publiczność, ale nawet większość muzyków zajmują wobec niej stanowisko co najmniej nieufne, jeśli nie wręcz wrogie.

W tych warunkach Schoenberg stanowi paradoksalny przykład kompozytora, o którym bardzo wiele się pisze i dyskutuje, ale którego prawie wcale się nie gra (w przeciwieństwie do Straussa, który od dawna przestał interesować teoretyków, ale którego utwory wypełniają repertuar koncertowy i operowy na całym świecie). Okazało się to ze szczególną wyrazistością z okazji 75-letniego jubileuszu "papieża dodekafonistów". Uczczono tę rocznicę wielką ilością artykułów, dodekafoniści nawet zorganizowali pierwszy swój międzynarodowy Zjazd w Mediolanie, ale wykonano w ciągu ubiegłego roku stosunkowo bardzo niewiele utworów Schoenberga, i to raczej wstydliwie: w radio, na małych koncertach prywatnych, nie odważono się jednak z drobnymi wyjątkami, umieścić jego dzieł w programach wielkich koncertów symfonicznych. Ciekawy szczegół: prawie wszystkie wykonane z okazji jubileuszu utwory należały do wczesnego, albo środkowego okresu, które jeszcze nie były "dodekafoniczne". Na swój sposób uczył jubileusz Schoenberga ZSRR, potępiając oficjalnie twórczość całej jego szkoły jako najjaskrawszy wyraz "drobnomieszczańskiej zgnilizny i dekadencji świata kapitalistycznego", co stanowi zabawne *pendant* do epitetów "bolszewickiego zwyrodnienia", jakich nie zdecydował temuż Schoenbergowi przedstawiciele hitlerizmu.



Jeśli chodzi o innych kompozytorów współczesnych, zanotować należy w 1949 roku pierwsze europejskie wykonanie dwu nowych utworów Strawińskiego: baletu "Orfeusz" i "Mszy". Oba utwory zostały raczej źle przyjęte, "Mszę", wykonaną po raz pierwszy w Skali mediolańskiej, wygwizdano. Osobiście uważam raczej, że na tle powojennej twórczości Strawińskiego, mającej często charakter starczego ascetyzmu i nielitościwej "suchości", te dwa utwory przynoszą nowy powiew świeżości i bardzo specjalnego liryzmu, dowodząc jeszcze raz, iż zbliżający się do siedemdziesiątki Strawiński jeszcze nie powiedział ostatniego słowa i ma w zanadru jeszcze niejedną niespodziankę wysokiej klasy.

Wśród młodszej generacji niezmiennie sukcesy odnosi kompozytor angielski, Benjamin Britten, którego trzecia z kolei opera "The Beggar's Opera" została z wielkim powodzeniem kreowana w 1949 roku w kilku miastach europejskich. Najwybitniejszy bodaj kompozytor średniej generacji, genewczyk Frank Martin, odniósł wielki i zasłużony sukces na prawykonaniu swego oratorium "Golgotha", również muzyce religijnej zawdzięcza nowy triumf jego sławny rodak, Artur Honegger, dorzucając do swego obfitego dorobku jeszcze jedno arcydzieło:

"Św. Franciszek". Uwagę francuskiego świata muzycznego ponownie zajęła postać Dariusza Milhaud, który w 1949 roku powrócił do Francji, po dziewięcioletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych, i o którym ukazały się w tymże roku dwie monografie: jedna — pióra muzykologa belgijskiego, P. Collaer'a, druga zaś będąca zajmującymi wspomnieniami samego Milhaud ("Notes sans musique", Julliard 1949). Wśród prawykonanych paryskich jednym z najoryginalniejszych było oratorium kompozytora włoskiego Giacinto Scelci "La naissance du verbe", przedstawiającej w śmiałej i oryginalnej formie narodziny zorganizowanego języka z chaosu dźwięków.

Jeśli chodzi o współczesną polską twórczość muzyczną, należy stwierdzić, iż zdobywa ona coraz bardziej estrady zagraniczne. Utwory Panufnika, Palestra (między innymi prawykonanie "Requiem" w Brukseli), Szałowskiego, Spisaka, Lutosławskiego, Malawskiego są coraz częściej grywane w Europie i Ameryce. Jako jeden z większych sukcesów zanotować należy wykonanie przez Stokowskiego w Carnegie Hall w New Yorku "Uwertyury tragicznej" Panufnika oraz świetne wystawienie opery Szymanowskiego "Król Roger" w Palermo. Spore sukcesy w Paryżu i Londynie odniósł zupełnie jeszcze młody kompozytor i dyrygent Stanisław Skrowaczewski. W kraju też nie brak zapowiadającego się młodego narybku (Krenz, Baird).

Niestety, istnieją uzasadnione obawy, że w obecnych warunkach polskich rozwój tych wszystkich talentów kompozytorskich, po raz pierwszy tak licznych w dziejach muzyki polskiej, może ulec zwichnieniu lub co najmniej zahamowaniu. Trudności kontaktów z Zachodem stanowiły już od dawna poważny handicap dla młodszego pokolenia kompozytorów. Początkowo jednak pozostawiano im pełną swobodę twórczości i np. utwór o tak śmiałej i nowatorskiej fakturze jak "Kołysanka" Panufnika nie tylko został w Polsce wykonany, lecz spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem prasy. Rok 1949 stanowi jednak przełom w tej dziedzinie i zapowiada radykalną zmianę postawy czynników rządzących. Po "zdemokratyzowaniu" literatury, przyszła kolej na muzyków. Najpoważniejsze polskie pismo muzyczne "Ruch muzyczny", które przez lata potrafiło utrzymać obiektywną niezależność, doczekało się nagany w sowieckiej prasie muzycznej; przy okazji wytknięto również kompozytorom polskim zbytnie zapatrywanie się na prąd płynący z Zachodu i na tkwienie w "bezydeowej atmosferze" okresu międzywojennego. Przekłady artykułów sowieckich zaczęły zajmować coraz więcej miejsca w prasie muzycznej; w maju roku ubiegłego zorganizowano i rozkrzyczano jako najważniejsze wydarzenie muzyczne "Festiwal polskiej muzyki ludowej"; pomimo stosunkowo mizernych pod względem artystycznym wyni-

ków tego Festiwalu, postawiono go za wzór kompozytorom. I wreszcie w sierpniu tegoż roku zwołano do Łagowa na Ziemi Lubelskiej kompozytorów polskich na przeszkolenie ideowo-polityczne. Zjazd był poświęcony dyskusji i wykonaniu szeregu nowych utworów muzycznych. Dyskusja miała jednak charakter bardzo jednostronny: potępienie muzyki europejskiej ostatniego pięćdziesięciolecia jako muzyki formalistycznej, kosmopolitycznej, antynarodowej i ahumanistycznej, jako narzędzia, którym "imperializm amerykański posługuje się... dla stępienia wrażliwości etycznych i estetycznych psychologii ludzkiej, niszczenia twórczości ludowej i nurtu muzyki narodowej, a tym samym obezwładnienia narodów w ich walce o wolność, o sprawiedliwość społeczną, o nowy konstruktywny, jasno zarysowany ład socjalistycznego ustroju". "Muzyka nowej, współczesnej nam epoki, epoki socjalizmu, musi stanowić nie tylko twórcze przewartościowanie najlepszego dorobku minionych epok, lecz przede wszystkim musi być twórczym przeciwstawieniem się — zarówno w treści, jak w środkach wyrazu — atonalnej, aharmonicznej, wyabstrahowanej z ludzkich przeżyć i treści muzyce ostatniego półwiecza". Pomijam już ustawiczne stawianie za wzór "najwspanialszej muzyki świata, muzyki ZSRR", pomijam powoływanie się na Marksa i Lenina jako na największe autorytety muzyczne, pomijam niektóre bardzo zabawne potknięcia się niektórych mówców świadczące o prymitywnej ignorancji w dziedzinie muzyki. Sam problem, rozważany w Łagowie, istnieje: nie będąc narzędziem amerykańskiego imperializmu (od 50 lat!!), przechodzi muzyka współczesna pewien kryzys, którego najjaskrawszym wyrazem jest zatracenie kontaktu ze słuchaczem. Jest to jednak problem poważny i bardzo delikatny, który należy rozwiązać przez równoczesne przygotowanie szerszych rzesz słuchaczy i przez uwolnienie się twórców od niektórych snobistycznych zahamowań, przez osobiste, swobodne i głębokie przetrwanie problemu twórczego. Właśnie na Zachodzie, bez Marksa i Lenina, dokonano już bardzo wiele pod tym względem i kryzys sztuki współczesnej ma już poza sobą okres największego nasilenia. Jest natomiast katastrofą, jeżeli do problemu tego zabierają się ludzie z tak przerażającą naiwnością i ignorancją, jak to czynią dzisiaj czynniki miarodajne w Polsce. A jeszcze groźniejsze jest, iż zamierzają dokonać tego drogą urzędowego przymusu.

Oczywiście nie wszystkie przemówienia w Łagowie stały na tak niskim poziomie; nie brak było wypowiedzi przemyślanych poważnych. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie te głosy zdecydowały o dalszych losach muzyki polskiej. Trudno się zresztą dziwić, że zebrani w Łagowie kompozytorzy musieli się z tymi oficjalnymi wypowiedziami liczyć, że musieli poważnie dyskutować nad bzdurami, że musieli nawet kajać się, iż nie całkowicie jeszcze dorośli do "realizmu socjalistycznego w muzyce". Tragedią ich jest jednak przede wszystkim to, iż nikt

nie wie, na czym ten realizm ma polegać. Okazało się to dobitnie na konkretnych przykładach, gdy w Łagowie zebrani publicznie dyskutowali nad wykonanymi nowymi polskimi kompozycjami. I wtenczas się okazało, że utworami "formalistycznymi i zwyrodniałymi" okazały się po prostu te kompozycje, których obecni na zjeździe dygnitarze, nie mający żadnej kultury muzycznej ani żadnego przygotowania, nie mogli zrozumieć.

Szczególnie drastycznym przykładem była dyskusja nad "Symfonią olimpijską" Turskiego. Turski miał tego pecha, iż "Symfonia" jego otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie olimpijskim w Londynie. Początkowo prasa polska okrzykiwała ten fakt jako wielki sukces. Jednak pochodzenie nagrody nie mogło wyjść na dobre kompozytorowi. Na Zjeździe w Łagowie "Symfonia olimpijska" uznana została za utwór "stanowczo niezgodny w swej treści z duchem naszej epoki; czuje się w niej wprawdzie ładunek emocjonalny, ale jest to emocja człowieka zagubionego, w tym wypadku zapewne w koszmarnych latach okupacji; utwór ten przeraża i dezorientuje słuchacza (czy każdego? — uw. moja); mamy tam dźwięki przechodzące od kwilenia do krzyku, spazmatyczne rytmy, a brak jest jasno określonej myśli" (z opinii min. Sokorskiego). Przedstawiciel "młodzieży partyjnej" oświadczył po prostu, że marsz w III-ej części Symfonii "jest niewart trudu pisania. Ten kawałek partytury można było zastąpić byle czym, grać byle jak — byle uważać na rękę dyrygenta". To są przynajmniej wypowiedzi laików, ale nawet Maklakiewicz, kompozytor, określił Symfonię jako utwór "zalewający pesymizmem", jako "suche wióry" bez wartości.

Takie są kryteria, z którymi muszą się dzisiaj liczyć młodzi kompozytorzy w Kraju. I nie pomogło nic, iż kilku poważnych muzyków odważnie wystąpiło w obronie Turskiego, z całą delikatnością usiłując wytłumaczyć przedmówcom, iż mówili głupstwa... Nie zdołali wytłumaczyć. Zrozumiał to sam Turski, który w przemówieniu swoim zrezygnował z obrony Symfonii. I trudno nie dostrzec gorzkiej ironii w zakończeniu jego przemówienia: "po napisaniu jednego utworu zwykle myślę przede wszystkim o następnym; dlatego bardzo chętnie ujrzał bym wzo-ry, według których mógł bym *meblować* własne kompozycje".

Jeżeli Zjazd w Łagowie pociągnie za sobą konsekwentne zastosowanie podobnej polityki do muzyki polskiej — a wszystko wskazuje na to, że tak się stanie — rok 1949 będzie pamiętnym rokiem czynniki zaś reżimowe wezmą na siebie dodatkową ciężką odpowiedzialność za świadome zmarnowanie najbogatszego w talenty kompozytorskie okresu muzyki polskiej, za zwichnięcie tyłu młodych talentów, tak jak tego już dokonano w Sowietach wobec tak wielkich kompozytorów jak Prokofiew czy Szostakowicz.

Jerzy ZAWADZKI.

Dorobek Kursu Spraw Wschodnich

Wstęp

Można bez przesady stwierdzić, że dorobek naukowy Kursu Spraw Wschodnich, zorganizowanego w Londynie przez Instytut Bliskiego i Środkowego Wschodu "Reduta" jest bardzo poważny, a samo zorganizowanie tego Kursu na tle wyczuwanego w ostatnich dwóch latach bezwładu w polskim ośrodku londyńskim zaliczyć należy do akcji poważnej. Był to poważny wysiłek intelektualny instytucji, która na gruncie londyńskim ujawniła swoją działalność publiczną, zorganizowaniem tego Kursu oraz wydawnictwem kwartalnika "The Eastern Quarterly".

Organizacja Kursu

Jak wynika to ze sprawozdania kierownika Kursu, p. St. J. Paprockiego, Kurs trwał przez dziewięć miesięcy, a ten symboliczny czasokres przyniósł szczęśliwe rozwiązanie w postaci ponad tysiąca stron dużego formatu (woskówki) odbitek wygłoszonych wykładów.

Program Kursu, wypełniony 85 godzinami wykładów i 9 posiedzeniami seminarium, poświęcony był zagadnieniom sowieckim i rusoznawczym na szerokim tle doktryny i praktyki politycznej państwa sowieckiego.

Wykłady objęły cztery podstawowe działy: historyczno-polityczny, ustrojowo-ekonomiczny, narodowościowo-wyznaniowy i kulturalny.

Program ten znalazł swój wyraz w 43 tematach, z których 6 z dziedziny historycznej, 4 z dziedziny politycznej, charakteryzującej stosunki Rosji ze światem zewnętrznym, 9 z dziedziny ustrojowej, 3 — gospodarczej, 11 — wyznaniowo-narodowościowej, 6 — kulturalnej, 3 — sowietyzacji Europy Środkowej i 1 — ogólny pt. "Idea Rosji".

Słuchacze Kursu

Na kurs zgłosiło się 99 słuchaczy, w tym 36 zwyczajnych, 11 nadzwyczajnych i 52 słuchaczy korespondencyjnych. Znaczna ilość słuchaczy korespondencyjnych świadczy o rozproszeniu po dalekiej prowincji, a nawet innych, poza Anglią, krajach ludzi spragnionych wiedzy, potrzebnej dla właściwego określenia zadań polskiej racji stanu.

Wśród słuchaczy zwyczajnych przeważała młodzież (około 75%) pracująca zarobkowo i to nieraz ciężko, bo fizycznie. Frekwencja słuchaczy na wykładach była do przerwy wakacyjnej niemal wzorowa, pomimo, że słuchacze ci często musieli zmieniać miejsca pracy i pokonywać przeszkody czasu, oddalenia, wyczerpania pracą fizyczną itp. Spośród 36 zwyczajnych

sluchaczy kurs zakonczylo 20 i bralo systematyczny udzial w seminariach, skladajac odpowiednie prace na piśmie. Nadmienic tu wypada, ze z okolo 50% wykladow Kursu Spraw Wschodnich korzystali sluchacze Szkoły Nauk Społecznych i Politycznych.

Biorąc więc pod uwagę trudności materialne i techniczne stwierdzić należy, że młodzież polska ujawniła w pełni swój stopień dojrzałości oraz pragnienie wiedzy.

Wykładowcy Kursu

Wykłady wygłosiło na Kursie 22 prelegentów. Wśród nich: 6 profesorów wyższych zakładów naukowych, 7 pisarzy i publicystów, 9 specjalistów - badaczy wschodnich zagadnień.

Oto ich spis: pp. L. Bogdanowicz, H. Buchowiecki, St. Gryziewicz, W. Hryszkiewicz, Z. Jundziłł, J. Kalinowski, S. Klinga, J. Kowalewski, J. Lubecki, J. Łukasiewicz, St. Mackiewicz, S. Mękowski, W. Nanuaszwili, St. J. Paprocki, H. Paszkiewicz, W. Rajkowski, W. Sukiennicki, W. Szyszkowski, W. Weintraub, W. Wielhorski, R. Wraga, K. Zamorski.

Spis ten wskazuje, że do pracy stanęły, co najcięższe siły intelektualne wychodźstwa, specjaliści i badacze zagadnień wschodnich.

Zarząd kursu pozostawił wykładowcom całkowitą swobodę w potraktowaniu przez nich swoich tematów, i pomimo to, całość wykładów (z małymi wyjątkami potwierdzającymi regułę!) stanowi w zakresie treści zwarty, pełny obraz na wysokim poziomie naukowym i bardzo obiektywny.

Poszczególne wykłady

Istotę rzeczy stanowi ów dorobek naukowy Kursu utrwalony w skryptach.

Największą ilość tematów opracowali dwaj wybitni specjaliści — prof. W. Sukiennicki i R. Wraga. Obydwaj wnieśli dużo świeżości i godnych uwagi myśli i przypomnień.

Prof. Sukiennicki opracował historię rosyjskich ruchów rewolucyjnych, społeczno-polityczną doktrynę marksizmu-leninizmu-stalinizmu, partię, jej rolę i znaczenie w ZSRR, ustrój państwa Związku, teorię i metody rewolucji światowej, ustrój społeczny Związku, i wreszcie zagadnienie Polaków w ZSRR. Niektóre z jego wykładów, jak historia ruchów rewolucyjnych i rola oraz znaczenie partii komunistycznej w ZSRR są prawdziwymi encyklopediami, powiązanymi wewnętrznym nurtem myśli badawczej. Wykład jest jasny i przejrzysty, kondensacja faktów wybitna.

R. Wraga jest tym drugim i równorzędnym filarem Kursu. Wyłożył on dzieje Rosji w skrócie, historię Związku Sowieckiego, rozwój terytorialny Rosji, doktrynę państwa i partii w sprawach narodowościowych, rewolucję 1917 r. i powstanie

Związku, omówił losy emigracji rosyjskiej, wreszcie dał pogląd na literaturę sowiecką. Wszystko to poprzedził błyskotliwym wykładem wstępnym pt. "Idea Rosji". W wykładach Wragi ujawniła się jego ogromna wiedza o Związku Sowieckim, jako państwie i bazie rewolucji światowej. Swój znaczny temperament pisarski i dążność do efektywnych uogólnień Wraga podporządkował wymaganiom obiektywizmu naukowego, co dało piękny wynik w takich wykładach, jak "Rewolucja 1917 r. i Związek Sowiecki" i w "Doktrynie sowieckiej w sprawach narodowościowych".

Prof. Wielhorski opracował strukturę narodowościową Europy Wschodniej i Środkowej, omówił stosunki państw bałtyckich i Rosji, wyłożył ustrój agrarny ZSRR. Zrobił to metodycznie, pedantycznie, precyzując terminy i definicje naukowe.

Dr Weintraub w sposób bardzo interesujący omówił zagadnienie Rosji w kulturze europejskiej, zagadnienia kulturalne w ZSRR i dorobek rusycystyki na Zachodzie. Stwierdził stosunkowo słabą pozycję Polski w dorobku innych krajów.

Dział ekonomiczny i gospodarczy Rosji i Związku Sowieckiego omówili pp. H. Buchowiecki, St. Gryziewicz i S. Klinga; prof. Jundziłł zaś ustrój imperium rosyjskiego, przy czym w tym pięknym wykładzie nieco razi psychologiczne podejście autora do tematu dość staroświecką metodą.

Historię stosunków polsko-sowieckich omówił wyczerpująco p. J. Kalinowski, a wykłady jego przynoszą sporo ciekawych przyczynków do początku wojny sowiecko-polskiej w r. 1919 i charakteru ofensywnego tej wojny ze strony Rosji sowieckiej. Pewną nowością jest też omówienie wykonania, a raczej sabotowania ze strony Sowietów klauzul gospodarczych Traktatu Ryskiego. P. K. Zamorski w sposób bardzo interesujący nakreślił zagadnienia polityczno-prawne w Związku Sowieckim i zagadnienia polityki karnej (obozy pracy).

P. St. Paprocki dał zarys struktury narodowościowej Z.S.R.R. i omówił kwestię ukraińską ze ścisłością i umiarem cechującym jego prace. P. J. Lubecki dał obraz zmagania Związku Sowieckiego z religią i Kościołami oraz zarys kościelnej polityki Moskwy, prowadzonej w zakresie globalnym przy pomocy rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. P. S. Mękowski dokładnie ujawnił obraz sowietyzacji kulturalnej Polski, a p. W. Szyszkowski — sowietyzacji prawno-politycznej Polski. P. L. Bohdanowicz ze ścisłością pogłębił temat "Polska i Rosja a świat muzułmański". Wykłady swoje pt. "Cztery pokolenia literatury i publicystyki rosyjskiej" zakończył p. St. Mackiewicz słowami:

"...Z jednego jestem dumny. Oto Rosjanie zabrali mi kraj i włączyli go do swego państwa. Zabrali życie osobom mi bardzo bliskim. Podbili naród, do którego należą i upokorzyli go. To wszystko nie tylko nie przeszkodziło mi mówić o ich literaturze z całkowitym obiekty-

wizmem, lecz często z zachwytem, a nawet z miłością, której się nie wstydzę”.

Ów obiektywizm występuje we wszystkich wykładach i szczególnie odpęda nasuwające się emocje, podyktowane tematem i polityką sowiecką. Wyjątek bodaj stanowi dość stronicza i publicystyczna raczej praca p. W. Hryszkiewicza na temat zagadnienia białoruskiego. Pracę tę równoważy jednak bezstronny, choć krytyczny bardzo w stosunku do przedwojennej polityki polskiej w sprawie białoruskiej wykład prof. Wielhorskiego pt. “Naród białoruski wśród swych sąsiadów”. Pułk. J. Kowalewski jest znanym specjalistą od spraw Bliskiego Wschodu i Europy Południowej i to samo już zapewnia jego wykładom o krajach naddunajskich i bałkańskich odpowiedni poziom.

W tym ogólnie informacyjnym szkicu autor nie mógł pozwolić sobie na dyskusję i bliższą krytykę, choć niektóre wykłady (nieznaczną ich ilość) proszą się tu i ówdzie o znak zapytania i polemikę w szczegółach.

Ale mówimy o całości obrazu i dlatego stwierdzamy, że całość wykładów stanowi poważny dorobek naukowy, jest wkładem o dużej wadze gatunkowej do wiedzy polskiej o Rosji i Związku Sowieckim. Ten szkic informacyjny nie daje też bynajmniej pojęcia o rzetelnej całości tego dorobku. Sygnalizuje jedynie czytelnikowi sam fakt powstania zbioru poważnych opracowań sowieto i rusoznawczych.

Koniec czy początek?

Słusznie nawiązał w swoim sprawozdaniu na zamknięciu Kursu Spraw Wschodnich p. St. Paprocki, do znanego przysłowia “Koniec wieńczy dzieło” i zadał pytanie “czy to jest jednak... koniec?” I sam odpowiedział, że nie. “Jest to bowiem właściwie tylko początek, o ile w kręgu wydarzeń może być początek lub koniec. Zakończyliśmy rzeczywiście zbiorowe dokonanie, ale po to, by zachęcić młodych do badań na tym polu, na którym wielu z nas pracowało niemal całe nasze dotychczasowe życie...” Młodzież uzyskała “bodziec i punkt wyjścia dla badań w tej dziedzinie, od której dokładnego, rzetelnego poznania w polskim badawczo-naukowym wysiłku twórczym w pewnym sensie zależy czy rozwiązywać będziemy właściwie, to znaczy, w pełnej świadomości problemów i zgodnie z naszą racją stanu, sprawy wschodnie Rzeczypospolitej Polskiej. W tym znaczeniu patrząc na dokonania Kursu Spraw Wschodnich, musimy sobie powiedzieć, że to nie koniec, tylko właśnie początek”.

Wiesław ŻYLIŃSKI.

Zarząd Kursu prosi nas o zaznaczenie, że rozporządza nieznaczną ilością skryptów w cenie £ 2 (dwa) za całość. Adres — “Reduta” Institute, 32, Bolton Gardens, London, S.W. 5.

Książki

Lista katyńska

Jest to niesamowita książka. Treścią jej jest jedynie spis jeńców Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska, którzy zaginęli w Rosji. Gdy się jednak bierze do ręki tych 313 stronic, wypełnionych tylko nazwiskami i danymi personalnymi, dopiero uświadamia się sobie właściwe rozmiary jednej z najbardziej ponurych zbrodni naszych czasów. Wrażenie potęguje się, gdy się weźmie pod uwagę, że ta lista obejmuje tylko jeńców trzech obozów i tylko prawie wyłącznie oficerów i policjantów oraz, że spis nie jest bynajmniej pełny. A przecież były jeszcze dziesiątki i setki tysięcy innych obywateli polskich różnych zawodów, wyznań i narodowościowej przynależności, rozsianych po obozach, więzieniach i posiołkach Związku Sowieckiego — i nikt nie zna szczegółów ich losu ani okoliczności ich śmierci. Jedynie wydanie materiałów, zawartych w kartotece dawnego P.C.K. mogłoby odstąpić część tej olbrzymiej tragedii naszego państwa. Ale to wymagałoby całego szeregu książek podobnych do tej, która została opracowana przez majora Adama Moszyńskiego.

Książka zawiera 10.000 nazwisk, w tym ponad 4.000 ofiar mordu katyńskiego. Ogółem z tych obozów zaginęło około 14.000 ludzi, w tym prawdopodobnie ponad 8.000 oficerów i około 6.000 policjantów. W mogile katyńskiej zidentyfikowano ponad 4.000 osób prawie wyłącznie oficerów. Reszta prawdopodobnie leży w jakichś innych analogicznych grobach na terenie Związku Sowieckiego.

Lista Katyńska. — Jeńcy obozów Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków zaginionieni w Rosji Sowieckiej. Opracował Adam Moszyński, “Gryf”, Londyn, 1949 r.

Źródła książki.

Podstawą spisu są przeważnie zeznania ocalonych. Przede wszystkim więc zeznania tych około 400 oficerów, pochodzących ze wszystkich trzech obozów, którzy w kwietniu i maju 1940 roku zostali przywiezieni do Głazowca w Wołogockiej obłasti i tam trzymani aż do umowy Majski-Sikorski w 1941 r. Poza tym jest kilku, czy też nawet kilkunastu oficerów spośród tych, którymi się specjalnie zainteresowały władze centralne i którzy wobec tego zostali z obozów przewiezieni na śledztwo do Moskwy i pomieszani w więzieniach z sowieckimi więźniami politycznymi.

Na zasadzie zeznań ocalonych, Dowództwo Armii Polskiej w Rosji jeszcze w 1941 r. przystąpiło do układania listy zaginionych. W dniu 3 grudnia 1941 r., gdy generałowie Sikorski i Anders odbywali znaną rozmowę ze Stalinem w sprawie zaginionych w Związku Sowieckim oficerów, lista ta liczyła już 3.848 nazwisk. W marcu 1942 r. gen. Anders złożył Stalinowi listę uzupełnioną do 4.518 nazwisk. W okresie późniejszym, po kilkuletnim zbieraniu materiałów przez funkcjonujące przy Dtwie Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie Biuro Opieki nad Rodzinami — lista ta rozrosła się do 9.000 nazwisk. Lista ta stała się też głównym źródłem omawianej tutaj książki.

Drugim źródłem jest niemiecki "Amtliches Material zum Massenmord von Katyn" zawierający wykaz 4.143 zwłok zidentyfikowanych podczas badań wiosną 1943 r. To źródło daje stonkowo najwięcej gwarancji ścisłości, gdyż każda pozycja oparta jest na dokumentach i listach znalezionych przy zwłokach. Możliwość błędów przy identyfikacji zachodzi tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy ktoś posiadał przy sobie dokumenty i listy należące do innych osób. Poza tym pewne trudności powstają w związku z transkrypcją nazwisk na dokumentach wystawionych przez władze obozowe w języku rosyjskim.

Trzecim źródłem jest wykaz sporządzony przez Polaków pracujących w Katyniu przy ekshumacji zwłok. Obejmuje on 2.916 nazwisk i w pewnym stopniu uzupełnia niemieckie sprawozdania. Poza tym, jako korektywa, uwzględnione zostały dodatkowe relacje różnych wiarygodnych osób.

Wady i zalety książki są wadami i zaletami tych źródeł, na których ona jest oparta. Głównym źródłem jest owa lista Biura Opieki nad Rodzinami. Oparta jest ona przeważnie na informacjach udzielonych przez jeńców, którzy uniknęli Katynia. Jest rzeczą znaną, jak ludzie, którzy przeszli obozy i więzienia, tracą pamięć do nazwisk. Zapewne więc jest wiele wypadków, że ten sam jeńiec był zgłaszany przez kilku świadków, i za każdym razem z drobnymi różnicami w pisowni nazwiska; w ten sposób był on zapisywany jako odmienna osoba. Jest całkiem prawdopodobne, że niektóre nazwiska trafiły do listy nie na zasadzie osobistych stwierdzeń informującego, lecz na zasadzie

tego, co mu inni jeńcy opowiadali. Tu również należy przyjąć pewien margines na możliwe błędy.

Kozielsk.

Toteż należy przypuszczać, że lista Kozielska w Księdze uległa dość poważnemu rozděciu. Zawiera ona około 5.200 nazwisk. Tymczasem na początku roku 1940 wśród mieszkańców obozu kozielskiego obliczono zaludnienie obydwu jego części (tzn. klasztoru oraz tzw. "skitu") na ca 4.500 jeńców; w tej liczbie było około 100 podoficerów i szeregowców i około 100 osób cywilnych, przeważnie sędziów i prokuratorów. Mniej więcej na miesiąc przed rozpoczęciem likwidacji obozu szeregowych wysłano do specjalnych obozów pracy, gdzie znaleźli oni znośne warunki. Pozostało więc około 4.400 oficerów, podchorążych i cywilów. Z tych około 150 skierowano do Głazowca, a kilkudziesięciu wywieziono w różnym czasie indywidualnie. Daje to w rezultacie cyfrę około 4.250 oficerów, podchorążych i cywilów, których w kwietniu — maju 1940 roku skierowano do Katynia. Cyfra ta uderzająco zbliża się do cyfry zawartej w niemieckim "Amtliches Material zum Massenmord von Katyn": 4.143 zwłok zidentyfikowanych, szczególnie jeżeli do tej ostatniej liczby dodamy pewną ilość ciał niewydobytych z tzw. grobu Nr VIII, zawierającego przeważnie jeńców wywiezionych w maju 1940 roku. Jeżeli do tego dodamy kilkadziesiąt osób wywiezionych indywidualnie, otrzymamy 4.300 osób jako najbardziej prawdopodobną sumę zaginionych jeńców obozu kozielskiego. Na podstawie więc powyższych obliczeń można postawić hipotezę, że lista zawarta w części pierwszej omawianej książki (Obóz w Kozielsku i Groby Katyńskie) jest niemal o 25 % rozděta i wymaga niezmiernie skrupulatnej, można powiedzieć benedyktyńskiej, analizy, aby ją uzgodnić z rzeczywistością.

Ostaszków.

Część druga książki jest poświęcona informacjom o jeńcach obozu ostaszковского w obłasci Kalinińskiej, u źródeł Wołgi, w którym więzieni byli policjanci oraz około 600 oficerów należących przeważnie do KOP-u. W obozie ostaszkowskiem śledziło około 6.000 osób. Spis tej części zawiera około 1.300 nazwisk, czyli mniej więcej około 25 % ogółu ostaszkowskiem jeńców. Likwidacja tego obozu rozpoczęła się w tym samym czasie co i likwidacja Kozielska i Starobielska, tzn. w kwietniu 1940 r. Należy przypuszczać, że jeńcy obozu ostaszковского leżą w jakiejś innej mogile, której należy szukać gdzieś w rejonie źródeł Wołgi i podgórza Wałdajskiego. Nie jest jednak wykluczone, że zostali oni zatopieni na Morzu Białym i do nich stosują się uporzeczywe relacje w tej sprawie podane w wy-

danej w Londynie książce "Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów" (str. 362 - 364).

Starobielsk.

Trzecia część książki poświęcona jest wiadomościom o jeńcach Starobielska. Był to obóz na Ukrainie, siedzieli tam prawie wyłącznie oficerowie i jego zaludnienie było mniej więcej takie same jak Kozielska, tzn. około 4.500 osób. Likwidacja rozpoczęła się w tym samym czasie co i innych dwóch obozów, tzn. w kwietniu 1940 r. Spis zawiera około 3.000 nazwisk. Istnieją pewne wskazówki, że mogiła Starobielszczan znajduje się gdzieś w pobliżu Charkowa.

Starobielszczanie, którzy byli w Kozielsku.

Na końcu zamieszczony jest spis około 200 osób, które figurują na liście starobielskiej, wówczas, gdy są wskazówki również na to, że byli w Kozielsku lub Ostaszkwie. Spis ten jest podany bez komentarzy; widocznie autor książki nie posiadał dostatecznych podstaw, aby sprzeczność tę wyjaśnić. Nie ulega wątpliwości, że niektóre nazwiska mogły się znaleźć na kilku listach na skutek nieporozumienia. Np. ppłk. Gąsiorek, zastępca dowódcy 77 p.p., który figuruje jednocześnie na liście starobielskiej i kozielskiej, w Kozielsku nigdy nie był, natomiast w Kozielsku były informacje, że on i szereg podległych mu oficerów przebywali w Starobielsku.

Sądzę jednak, że takich błędów jest stosunkowo niewiele. Fakt powtarzania się tych samych nazwisk w wiadomościach dotyczących Starobielska i Kozielska ma swoje uzasadnienie w tym, że dość poważna grupa oficerów starobielskich, która mogła liczyć do 200 osób, została w pierwszych miesiącach istnienia tych obozów przetransportowana do Kozielska. Byli to wyłącznie prawie młodszy oficerowie. Przynieśli oni do Kozielska dość dokładne informacje o obozie starobielskim i twierdzili, że istniała tendencja, żeby sztabowych oficerów zatrzymać w Starobielsku, natomiast młodszych oficerów w wypadku trudności rozmieszczenia — wysyłać do innych obozów.

Sądzę, że ten fakt przysiania pewnej ilości Starobielszczan do Kozielska wyjaśnia sprzeczność, która się zarysowuje pomiędzy twierdzeniem komisji sowieckiej, że w Katyniu leżą jeńcy kozielscy i starobielscy, a twierdzeniem wydanej w Londynie książki "Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów", że w Katyniu leżą tylko oficerowie kozielscy. To ostatnie twierdzenie jest słuszne w tym sensie, że wśród zwłok odkopanych w mogile katyńskiej nie stwierdzono nikogo, ktoby nie był w Kozielsku. Pomiędzy tymi oficerami jest jednak pewna ilość takich, którzy byli poprzednio w Starobielsku, a potem zostali przywiezieni do Kozielska.

Znaczenie tej kontrowersji polega na tym, że jeżeli w mogli-

le katyńskiej leżą przedstawiciele wszystkich trzech obozów — sprawa poszukiwania mogił, w których leżą obozy starobielski i ostaszkowski odpada. Jeżeli w Katyniu leżą tylko ci, którzy byli w Kozielsku (i w tym kilkudziesięciu czy nawet kilkuset takich, którzy do Kozielska zostali przywiezieni ze Starobielska jeszcze na pół roku przed likwidacją) *Rosja winna odpowiedzieć na pytanie: co się stało z jeńcami Starobielska i Ostaszkowa.*

Ile było masowych egzekucji?

Rodzi się pytanie, ile jeszcze zbiorowych mogił pomordowanych przez NKWD Polaków znajduje się na terenie Związku Sowieckiego. Wydana w Londynie "Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów" podaje szereg przykładów zbiorowych mordów i przytacza liczne świadectwa wiarogodnych osób. (Rozdział XII).

Jeszcze na szereg miesięcy przed rozpoczęciem likwidacji Kozielska, zostały stamtąd wywiezione dwie mniejsze grupy, które zniknęły prawie bez śladu. Pierwsza, to kapelani wojskowi: ks. prałat Wojtyński, ks. Skorel, ks. Nowak, ks. Kantak, naczelny kapelan ewangelicko-augsburski, ks. pastor Paszke i inni. Aresztowano ich w noc wigilijną, z 24-25 grudnia, 1939 r. Natychmiast po wyjściu z obozu, na stacji w Kozielsku, wydzielono ks. Kantaka, który był obywatelem gdańskim i powieszono na śledztwo do Moskwy. Po innych ślad zaginał.

Druga grupa, — to był zespół około 30 ludzi, przewieziony do Kozielska w pierwszych miesiącach jego istnienia. Umieszczono ich w jednym z bloków, dookoła którego zbudowano niedużą odrutowaną zonę. Innych jeńców nie dopuszczono do komunikowania się z nimi. Ponieważ jednak w bloku nie było wychodka, co pewien czas, wyprowadzano poza zonę grupy więźniów pod konwojem. Dało to możliwość jeńcom wejść w kontakt z niektórymi członkami tej grupy. Skomunikowano się w ten sposób z płk. Kornilowiczem, zięciem Henryka Sienkiewicza oraz z Czaykowskim, ziemianinem z Podola, a prawdopodobnie również z innymi. Mniej więcej po dwóch tygodniach wywieziono ich w niewiadomym kierunku. Mimowoli nasuwa się hipoteza, że gdzieś, w pobliżu odkrytych już grobów katyńskich, prawdopodobnie w tym samym lasku, jest jeszcze sporo mniejszych mogił, w których leżą ofiary wcześniejszych mordów.

A ile takich mogił jest jeszcze na terenie Związku Sowieckiego? W miarę tego jak coraz więcej materiałów, dotyczących losów zaginionych w Rosji polskich oficerów, jest publikowanych, coraz bardziej narasta wrażenie, że mogiła katyńska nie jest wcale zjawiskiem odosobnionym, lecz tylko fragmentem obszerniejszego systemu, przy którego pomocy likwiduje się wewnętrznych i zewnętrznych przeciwników obecnego re-

żimu. Poza zasłoną tajemnicy, którą jest otoczona praca rosyjskiej policji bezpieczeństwa, dzieją się potworności, o których wyobrażenia nie mają ludzie Zachodu, a o których Rosjanie boją się nawet szeptać do najbliższych przyjaciół.

J. LEBIEDZIEWSKI.

Kampania wrześniowa w krzywym zwierciadle

Szczupła literatura kampanii wrześniowej zwiększyła się ostatnio o książkę pióra Roberta Jarsa, oficera rezerwy wojska francuskiego, prawnika i znawcy języka niemieckiego¹).

Nowa pozycja bibliograficzna nie wzbogaciła jednak, niestety, dotychczasowego stanu wiedzy w tym przedmiocie, przeciwnie nawet — w wielu sprawach zamąciła dorobek dotychczasowy.

Autor postanowił dokonać krytycznego rozbioru kampanii wrześniowej zarówno pod względem strategicznym, jak i operacyjno-taktycznym, lecz w obu kierunkach nie osiągnął celu.

W pierwszej dziedzinie nie powiodło mu się z własnej winy, bo — po pierwsze — postanowił (zapewne dla uproszczenia sprawy) ograniczyć się do rozpatrzenia materiału pod tak zwanym "czysto wojskowym" kątem widzenia, gdy tymczasem strategia bierze początek z polityki, geo-polityki, ekonomii, operuje wielostronnością i nie daje się symplifikować, a już do dziedziny ściśle "wojskowej" wtłoczyć jej żadną miarą nie podobna. W związku ze swoim zamysłem autor zaniechał przestudiowania ogromnej dokumentacji zawartej w światowej literaturze powojennej, dotyczącej stosunków politycznych w okresie 1918-1939 i bezpośrednio poprzedzającej wybuch drugiej wojny światowej. Nawet i tych źródeł, które los mu udostępnił, nie wykorzystał w pełni. Mianowicie z archiwów naczelnych władz wojskowych francuskich ogłosił jeden tylko dokument, związany — jak to dalej zobaczymy — więcej z kampanią niemiecko-francuską niż z wrześniową, natomiast ani słowem nie wspomniął o innych, na przykład tak kapitalnych jak dokumenty stwierdzające istnienie sojuszu wojskowego francusko-polskiego. Jaki użytek uczynił autor ze zbadanych przez siebie niektórych archiwów po-

niemieckich (głównie z Tulonu, gdzie mieściła się ekspozytura dowództwa niemieckiej marynarki wojennej) stwierdzić trudno, ponieważ (poza ogólną wzmianką) w tekście nie ma odsyłaczy do źródeł²).

Przez zaniechanie zbadania lub niekompletne wykorzystanie źródeł odnoszących się do stosunków politycznych, autor podciął wartość wszystkich dalszych swoich wywodów i ocen na temat strategii już choćby dlatego, że nie sposób krytykować polskiego planu wojny, gdy się nie stwierdzi, że jego oparciem i podstawą było istnienie sojuszu wojskowego między Francją a Polską. Błąd autora jest tym dotkliwszy, że przeoranie materiałów polityczno-wojskowych, dotąd właściwie nie zsyntetyzowanych z punktu widzenia problematyki kampanii wrześniowej, mogło być już samo przez się dokonać znacznego postępu historycznego.

Drugą przyczyną chybienia w rozbiórce krytycznym strategii wrześniowej było to, że autor pomimo wszystko wkroczył w dziedzinę polityki, ale niestety nie jako historyk, lecz jako partyzant subiektywnej tendencji politycznej.

Obie przyczyny złożyły się na powstanie szeregu niedorzeczności z jednej strony, a przemilczeń z drugiej, zaś nadbudowa wniosków i konkluzji wzniesiona na takim fałszywym materiale musiała wypaść wadliwie.

Na przykład wina wywołania drugiej wojny światowej leży według autora właściwie po stronie ... polskiej:

Polska — podajemy wywód p. Jarsa w streszczeniu — zmartwychwstała w r. 1919 i od razu musiała wziąć się do odpierania nawały bolszewickiej, którą wstrzymała dopiero w wrót Warszawy dzięki dzielności żołnierza polskiego i (wiadomo co teraz dobry Francuz, ale gorszy historyk powie — przyp. recenzenta) dzięki szczęśliwym zarządzeniom taktycznym, wydanym za poradą członków misji wojskowej francuskiej pod rozkazami gen. Weyganda, wspomaganego przez generałów Billette i Henrys (nowa wersja, odejmująca nieco wawrzynów gen. Weygandowi, przyp. recenzenta). Młoda republika polska urosła — i tu właśnie tkwi zarodek przyszłych konfliktów — Wołyn, Podole i prowincję litewską Wilna, w której, z wyjątkiem samego miasta, Polacy są w mniejszości. Utworzenie "korytarza polskiego" w r. 1920 dało Polsce dostęp do Bałtyku poprzez niemieckie Pomorze i Prusy Wschodnie. Granice nowego państwa wytyczono prawie wszędzie kosztem różnych narodów...

2) Skoro mowa o materiale, na którym autor oparł się w swojej pracy, to trzeba jeszcze dodać, iż korzystał ponadto z wojennej literatury niemieckiej (jak wiadomo przeważnie propagandowej); ze szczupłej polskiej, nieopartej dotąd o szerszą dokumentację; z relacji kilku polskich uczestników wojny (m. in. generałów Piskora i śp. Gąsiorowskiego); ze wskazówek "biura historycznego" w Warszawie, jak i rad niejakiego p. Zussmana z ambasady reżimowej w Paryżu; wreszcie z rzekomej pomocy czynników polskich w Londynie, o czym jednak nic bliższego nie słyszeliśmy.

1) Jars, Robert, officier du cadre de réserve, licencié en droit, diplômé d'Etudes de langue allemande. *La campagne de Pologne* (Septembre 1939). Collection de mémoire, études et documents pour servir à l'histoire de la guerre, Payot, Paris, 1949. Str. 222, szkiców 12.

Na 35 milionów mieszkańców Polski, tylko 3/5 było rdzennych Polaków. Żaden inny kraj w Europie nie przedstawiał takiej mozaiki ras i wyznań co Polska. Lwów był jedynym miastem na świecie, w którym Stolica Apostolska musiała ustanawiać aż trzy arcybiskupstwa: jedno dla obrządku rzymskiego, drugie dla unickiego, trzecie dla ormiańskiego (perla, nie argument — przyp. recenzenta). W roku 1938 jeszcze zwiększono tę mozaikę mniejszościową przez przyłączenie czeskiego Cieszyna. Polska, państwo buforowe pomiędzy Rosją a Niemcami, kraj rolniczy, a mimo wszystko również i przemysłowy, musiała w sposób fatalny przyciągać pożądlivość sąsiadów. Połowiczne rozwiązania różnych problemów polsko-niemieckich i polskorosyjskich przyspieszyły rozpętanie konfliktu, który i tak (!) był nieunikniony...

Na innym znów miejscu autor, omawiając wymaginowany przez siebie polski plan wojny, uzasadnia dlaczegośmy to postanowili się bronić rzekomo samodzielnie. Mówi on (w streszczeniu) co następuje: Gdy starcie z Niemcami zbliżało się, przed Polakami stały do wyboru dwie alternatywy: albo prowadzić wojnę w oparciu o sojusz i pomoc materialową, zaofiarowaną przez Rosję Sowiecką, albo odrzucić tę ofertę i bronić się samodzielnie. Nie chcąc zmienić wrogiej Rosji polityki Becka, który odmawiał przyjęcia tej pomocy, nawet gdyby odmowa miała pociągać za sobą obecność wojska niemieckiego na ziemi polskiej (?) — rząd polski wybrał alternatywę drugą.

Mało tego. Wojna była tuż, a lekkomyślni Polacy zaniedbali na czas zmobilizować się i skoncentrować. Wydali rozkaz mobilizacji, ale odwołali go. W tym miejscu autor wyznaje, że stało się to "... być może nawet na żądanie rządów francuskiego i angielskiego". Autor dostrzega też inną okoliczność łagodzącą, mianowicie, że powodem opóźnienia było może dążenie Polaków do uniknięcia wszystkiego, co mogłoby obciążyć ich odpowiedzialnością za wybuch wojny, ale pod koniec wyводу odwołuje tę względnosc i mówi: "...wiadomo z drugiej strony jak wojowniczo Polacy pisali i wypowiadali się przed wybuchem konfliktu". W nawiasie należy dodać, że mobilizacja i koncentracja polskie, choć nie przeprowadzane w stu procentach, nie były znów wykonane tak katastrofalnie, jak to przedstawił autor. Na 1 września mieliśmy do walki całkowicie zmobilizowanych i w miejscach przewidzianych dywizji piech. nie 17 jak podaje autor, lecz 23 (ponadto dwie częściowo na miejscu), brygad kawalerii nie 6 lecz 8, zaś brygad (zgrupowań) piechoty nie 3 i pół, lecz około 8, a więc mieliśmy w pierwszym rzucie niemal wszystkie siły dlań przewidziane.

W związku z oceną ugrupowania polskiego na zachód od Wisły autor zarzuca planowi polskiemu, że chciał utrzymać za wiele terenu siłami zbyt szczupłymi; jedną z pobudek wysunięcia gros sił ku zachodowi miało być jakoby "usiłowanie mar-

szałka Rydza Śmigłego wywarcia presji na Hitlera przez możliwe najbliższe podsuniecie się do granicy Niemiec".

Według autora plan polski nie przewidział konieczności szybkiego odwrotu na linie obrony rzecznej. Może. Aby jednak być bliższym prawdy należałoby choć raz w książce uprzytomnić czytelnikowi, że Niemcy zaskoczyli Polskę (i cały świat) tempem walki, nie znanym dotąd w historii wojen.

W związku z tym przemilczeniem należy zauważyć, że takie bagatele: jak dojście Hitlera do władzy; jawne przygotowania Niemiec do wojny; polityka zachodu zaspakajania żądań niemieckich; zabory dokonane przez Hitlera; w konsekwencji zyskanie przez Trzecią Rzeszę znacznej przewagi strategicznej i zbrojeniowej, a także możności prowadzenia przez nią "wojny nerwów"; przebieg tej wojny — wszystko to nie znalazło należytego wyrazu w opracowaniu.

Stąd "bardzo zła strategia" wysunięcia tzw. korpusu interwencyjnego pod Gdańsk (sprawa zresztą zagmatwana przez autora i w jego ujęciu daleka od rzeczywistego przebiegu), stąd także archaiczna doktryna wyszkoleniowa polska, i ujemna konkluzja o ogólnej wartości polskich sił zbrojnych — zaakcentowane są przez autora bardzo kategorycznie, choć prawda historyczna, zwłaszcza w ustach Francuza, domaga się tu zastosowania oceny relatywnej. Konkluzję tę przytaczamy w brzmieniu dosłownym:

"Kraj o silnych tradycjach wojskowych jak Polska, mógł liczyć na odwagę i wytrzymałość swych żołnierzy; jednak wartość sił zbrojnych w wojnie nowoczesnej jest funkcją także wielu innych czynników: wojsko polskie 1939 roku nie nadawało się do wytrzymania tempa walki nowoczesnej.

"Dowództwo źle przygotowane do prowadzenia działań, przesłaknięte ideami archaicznymi; wojsko zorganizowane zbyt sztywnie, liczne wprawdzie, lecz niedostatecznie wyszkolone i uzbrojone: lotnictwo modernizujące się, lecz właściwie nie do użytku w starciu grożącym bezpośrednio — oto główne cechy polskich sił zbrojnych w r. 1939".

Jest oczywiście w książce szereg ocen, nie wpływających ściśle z założeń politycznych, a zatem nie do odrzucenia już a priori. Należą do nich uwagi autora, dotyczące organizacji naczelnych władz wojskowych, organizacji dowodzenia operacyjnego i innych spraw.

P. Jars sędzi, że organizacja polskich naczelnych władz wojskowych była bardzo skomplikowana. Ministerstwo Spraw Wojskowych odznaczało się zupełnym brakiem inicjatywy na wszystkich szczeblach, Generalny Inspektorat S.Z. trzymał je zresztą roztępienie w cieniu, mając za szefa drugą osobę w państwie po Prezydencie R. P. Sztab Główny za czasów Piłsudskiego zredukowano właściwie do zakresu wywiadowczego, dopiero marszałek Śmigły odrestaurował jego właściwy zakres działania, niestety zbyt późno.

Organizacja dowodzenia operacyjnego po stronie polskiej odznaczała się według autora brakiem giętkości. Nie było organów dowodzenia na szczeblu pośrednim między Naczelnym Wodzem a armiami, to jest dowództw grup armij, względnie frontów. Naczelnym Wódcą oddawał wprawdzie wielkie jednostki dowódcom armij, ale w rzeczywistości użycie ich zastrzegał dla siebie:

Niemiecki plan wojny jest dla autora wykwittem sztuki wojennej, a jego wykonanie majstersztykiem. Trudno oponować, choć w sprawie drugiej części tego twierdzenia należy się zastrzec, już jeśli nie ze względów humanitarnych, to ze względu na to, że prawie nic dotąd nie wiemy, ani o wewnętrznym funkcjonowaniu niemieckiej maszyny wojennej, ani o kryzysach, przez jakie dowództwo nieprzyjaciela przejść musiało w czasie kampanii. Na marginesie omawiania przez autora planu niemieckiego trzeba podnieść w każdym razie, że Hitler wcale nie zamierzał najpierw likwidować frontu wschodniego, jak to utrzymuje autor, lecz przeciwnie: najpierw planował wojnę na zachodzie, a dopiero od połowy marca 1939 (od chwili zajęcia Pragi) zmienił zdanie i zdecydował się na wymierzenie ciosu na wschodzie, w czym dopomógł mu w następstwie Stalin. Ważne będzie wypełnienie luki pozostawionej przez autora w tym punkcie, jakie też siły pozostawili Niemcy na zachodzie. Otóż od stu-dywizyjnej potęgi francusko-brytyjskiej osłonił się wszystkiego dwudziestu trzema wielkimi jednostkami, w ogromnej większości rezerwowymi, bez żadnej w tym dywizji szybkiej, natomiast trzykrotnie potężniejszą siłę zwrócili przeciw Polsce.

Strategia państwowa polska otrzymała w ocenie autora stopień zdecydowanie zły. Może i w istocie zasłużyła na taki, ale nie dla powodów przytoczonych przez autora: większość zarzutów trzeba kategorycznie odrzucić.

Jeszcze w roku 1949 i tym przykrzej, że właśnie we Francji, związanej z nami serdecznymi węzłami przyjaźni, publikuje p. Robert Jars takie nonsensy: "Polska... nie przestała być jednak członkiem organizacji narodów zjednoczonych. Sztandar biało-czerwony, znaczony dwugłowym orłem, powiewał nad polami bitew w Norwegii, Francji, na Środkowym wschodzie, we Włoszech; następnie wszedł do oswobodzonej Warszawy na czele okrytych sławą pułków odradzającego się wojska polskiego".

Młot i sierp pomieszał autor z dwugłowym orłem. Optycznie, a nawet i merytorycznie, oba symbole są zresztą — przy najmniej dla nas — do siebie podobne. Ale od tej pięknej dygresji powróćmy do roku 1939, mianowicie do kwestii, czy inwazja sowiecka, dokonana w niedzielę 17 września była, czy nie była, decydującym momentem klęski polskiej. Autor nie pomija tego problemu, dziwnym trafem jednak przesuwa datę przekroczenia granicy polskiej przez wojska sowieckie na dzień 18

września i wypowiada się na ten temat w streszczeniu, jak następuje:

"Zniszczenie sił polskich w obszarze na wschód od Wisły dokonano się w ciągu tygodnia 11 — 18. IX. Tego ostatniego dnia zaszły dwa ważne wypadki: jeden to opuszczenie przez rząd polski i marszałka Śmigłego terytorium państwowego i przejście — chciałoby się powiedzieć — ucieczka do Rumunii, a drugie — to przekroczenie granic Polski przez armię czerwoną, przewidziane tajnym układem z Niemcami w dniu 28. VIII. 1939. Czy Rosjanie, wkraczając do Polski, chcieli zapewnić sobie przestrzeń obronną w przewidywaniu przyszłej agresji niemieckiej, czy też po prostu pragnęli wziąć udział w podziale łupu, nie wiadomo, w każdym razie wejście ich o świcie dnia 18. IX. w granice Polski, odbyło się już wtedy, gdy opór polski był złamany. Nie jest słuszne utrzymywanie, że agresja rosyjska uniemożliwiła dowództwu polskiemu utworzenie reducy obronnej w górskich ostępach południowo-wschodniej Polski i zorganizowanie stamtąd w następstwie szerszej akcji partyzanckiej. Polacy nie mieli już ani wojska, ani uzbrojenia i żywności. 18-go września siły polskie praktycznie już nie istniały. Po tej dacie luźne oddziały stoczyły jeszcze kilka pięknych walk pełnych heroizmu, ale to było wszystko".

Nie wdając się w zbijanie tego wywodu, sformułowanego zresztą oględnie, trzeba wszakże zauważyć, że nie zawiera całej prawdy, którą odsłonić mogą dopiero dalsze badania, szczególnie co do stopnia ówczesnego wyczerpania sił niemieckich. Istnieją wskazówki, że było ono bardzo znaczne. Wiadomo dalej, że po stronie polskiej wola walki wcale nie była jeszcze złamana, że sprzyjał teren i bliskość państwa zaprzyjaźnionego, a siły fizyczne, choć podobnie jak u Niemców nadwątlone, wcale były jeszcze pokaźne. Trzeba też dodać, że problem ma również swoje aspekty moralne, nie obojętne ani dla Polski, ani dla świata.

Pod koniec książki autor nawiązuje wreszcie do kampanii niemiecko-francuskiej. Robi to jakby mimochodem, nie dając bynajmniej poznać czytelnikowi, że chodzi tu o dalszy ciąg drugiej wojny światowej, odroczone na długo dzięki oporowi postawionemu przez Polskę. "Niektórzy współcześni wojskowi francuscy — mówi autor — znakomicie pojęli nauki wynikające z tej krótkiej kampanii w Polsce". Autor przytacza dalej tekst tajnych dyrektyw taktycznych naczelnego dowództwa francuskiego, zredagowanego przez gen. Georges'a dla gen. Gamelina na podstawie doświadczeń kampanii w Polsce. Wytyczne noszą datę 14 września 1939 roku, a więc pochodzą z okresu, w którym według stypulacji sojuszu polsko-francuskiego i przewidywań polskiego Naczelnego Dowództwa miał się już być dać odczuć na froncie polskim odciążający wpływ uderzenia alianckiego na zachodzie. Konkluzja do jakich doszedł w tym dokumencie gen. Georges, nazywa autor "proroczymi", choć treść

ch, a tym mniej sam przebieg obrony francuskiej, która miała dojść do głosu w dziewięć miesięcy później, wcale tego określenia nie potwierdza. Gen. Georges mówi, że trzeba do francuskiej doktryny obrony wprowadzić głębsze niż dotąd ugrupowanie obronne i rozmieszczenie schronów na głębokiej przestrzeni, by uniknąć bezpośredniego działania czołgów; możliwie najdalsze wydłużenie ogni dla zatrzymywania czołgów na dalekich odległościach; dezorganizowanie kontratakami Niemców na ich podstawach wyjściowych; stałą czujność OPL przeciw samolotom lecącym nisko; użycie do walki czołgów, potężniejszych od niemieckich.

"Widzieliśmy zatem, wykrzykuje autor, błędy popełnione przez Polaków; przejrzelśmy zasady prowadzenia działań niemieckich i to zarówno pod względem strategicznym, jak taktycznym!" Czyżby? — należy zapytać autora: przecież z zaleceń gen. Georges'a nie zrealizowano podczas kampanii francuskiej bodaj ani jednego. Nie bardzo więc wiadomo dlaczego autor tu chwali, zamiast wytykać.

Z rozbiorem krytycznym przebiegu kampanii pod względem operacyjno-taktycznym sprawa przedstawia się podobnie jak z oceną dziedziny strategicznej: autor oparł się w większości na przesłankach fałszywych i z tego powodu chybić musiał we wnioskach. Na plus jednak zapisać mu trzeba w tym wypadku, że nie stało się to, jak poprzednio, z jego własnej winy, lecz dlatego, że po prostu nie posiadał, i posiadać nie mógł, udokumentowanego opisu przebiegu kampanii, ponieważ wersje dotychczasowe, zarówno polskie jak i niemieckie, opierają się na materiale mocno niekompletnym i często nieodpowiadającym rzeczywistości. Można by zarzucić autorowi, że nie dosyć dokładnie przestudiował istniejące źródła niemieckie i w wielu miejscach błędnie określił ugrupowania poszczególnych armii, jak i ich działania. (Choćby tylko wymienić dla przykładu, że 10. d. panc. w ugrupowaniu wyjściowym nie stała w Prusach Wschodnich lecz na Pomorzu (szkic na str. 55); ugrupowania armii gen. Blaskowitza błędne: stały od północy na południe: 30., 24., 10., 18. d. p. (szkic na str. 57); dywizje pancerne 4. i 1. działały na kierunku Radomska, 4. d. panc. na skrzydle zachodnim, 1. d. panc. na wschodnim, a nie odwrotnie, jak podaje autor (strony 84, 86, 110).

Mijałoby się z celem niniejszej recenzji prostowanie setek uchybień co do przebiegu działań po stronie polskiej, ponieważ wymagałoby to całego tomu. Odkładając skorygowanie ich do innej sposobności, wypada tu podnieść dla przykładu choćby ujęcie bitwy nad Bzurą, które zarówno w jej genezie, jak przeprowadzeniu, nie odpowiada prawdzie. Przede wszystkim działanie to było bitwą, a nie tylko "zniszczeniem sił polskich na

zachód od Wisły", chociaż to drugie było istotnie wynikiem bitwy; nie o samą scholastykę tu chodzi, bo w tejże bitwie również i strona polska zadała nieprzyjacielowi poważne straty, gromiąc co najmniej dwie dywizje niemieckie i powodując groźny kryzys dla wojsk Blaskowitza. Po drugie: rzekome "przyparcie do muru" Naczelnego Wodza przez decyzję powziętą przez jego szefa sztabu (nazywanego przez autora stałym generałem "Stachiewicz-Waślaw")³⁾ wyglądało w rzeczywistości inaczej. Po trzecie: przypisywanie generałowi Kutrzebie ukrytej intencji-uratowania własnej armii kosztem armii gen. Bortnowskiego, jest całkowicie bezpodstawowe.

Na tym muszę urwać, aby jeszcze dać miejsce na ciekawostkę, jak to też autor scharakteryzował naszych dowódców. Według p. Jarsa:

"Marszałek Rydz-Śmigły wykazał się odwagą i niezłomnością już w czasach pierwszej wojny światowej i wojny polsko-sockiej 1920 roku. Wysunięty dla swych zalet patriotycznych i dzięki przyjaźni, jaką darzył go marszałek Piłsudski, na najwyższy szczebel hierarchii wojskowej — nie zdołał stanąć na zawrotnej wysokości drugiej osoby po Prezydencie R. P. i wodza naczelnego sił zbrojnych. Pozostał w dużej mierze "artyką" (był utalentowanym malarzem i dobrym pianistą), nie zdobywając się na "reflexes indispensables à un "grand homme de guerre". Autorytatywny, a raczej "zachciankowy", dawał się łatwo powodować przez otoczenie. Z natury optymistyczny, okazał się w rzeczywistości nieprzewidyujący i z tego powodu spada nań lwia część odpowiedzialności za nieprzygotowanie sił do wojny. Niektórzy z oficerów, znajdujących się przy nim podczas 17 dni wojny, podają, że niemal zawsze bywał zaskoczony przez wypadki; rozmiar klęski przytłoczył go; świadkowie podają że załamał się na wiadomość o inwazji sowieckiej.

Co do dalszych losów marszałka autor notuje trzy pogłoski: na pierwszym miejscu, że powrócił potajemnie do kraju w r. 1943, wziął udział w powstaniu warszawskim w roku następnym i poległ w walkach; na drugim, że powrócił do Polski w r. 1946, a więc już po "uwolnieniu" kraju, miał zostać rozpoznany, zabity i pochowany na miejscu śmierci (za sprawą obecnego rządu polskiego, czy też z rąk prywatnych? — zapytanie autora). Wreszcie, że ma stać obecnie, mimo znanych poglądów antysemickich sprzed 1939 r., na czele wojsk żydowskich w Palestynie.

Gen. Bortnowski został awansowany na generała dywizji bezpośrednio ze stopnia pułkownika. Młody, pracowity, mający opinię zdolnego, był przewidywany na następcę marszałka Rydza-Śmigłego. Zyskał popularność w wyniku dowodzonej przez

3) Okazana przez autora niedbałość w pisowni nazw i słów polskich jest rażąca. W książce roi się od dziwolągów, jak "Związek Malka Czynnej", "Oksywiec", "Oppatowicz" (Opatów), "le marais de Poldie" (Polesie), "Zawich-Ost", etc.

siebie operacji zajęcia czeskiego Cieszyna, co wykonał zresztą małym kosztem. Po porażce części sił na Pomorzu "gen. Bortnowski — pisze autor — wydawał się bardzo przybity ... prócz tego doszły jeszcze nieporozumienia z szefem sztabu armii, któremu gen. Bortnowski zarzucał nieudolność..."

Gen. Sosnkowski był generałem broni, tj. posiadał stopień niezwykle wysoki jak na polskie stosunki. Weteran wojen 1914 - 1918 i 1919 - 1920, znajdował się na emeryturze, nie mniej posiadał w dalszym ciągu znaczny wpływ na koła wojskowe. Sosnkowski uciekł samolotem zagranicę podczas gdy żołnierze jego poszli do niewoli niemieckiej⁴⁾.

Zaznaczyć należy — podaje autor — że wartość gen. Dąb-Biernackiego, jako wojskowego, była bardzo niska. Nie posiadał za sobą żadnej szkoły wojskowej, a dojście do bardzo wysokiego szczebla dowodzenia zawdzięczał jedynie temu, że od początku swej kariery należał do najbliższego otoczenia marszałka Piłsudskiego. Bardzo surowy, bardzo autorytatywny, miał postrach przeprowadzanymi przez siebie inspekcjami, choć podczas nich zwracał uwagę jedynie na szczegóły bez znaczenia, zaniedbywał natomiast sprawy ważne, do których, nie umiał podejść z powodu niemal całkowitego braku kultury wojskowej.

Winą przegrania bitwy pod Piotrkowem obciąża Jars wyłączenie gen. Biernackiego, który "dla przyjemności przeprowadzania działań drugorzędnych, zneglizował zupełnie przygotowanie operacji całością swoich sił".

Dla gen. Kutrzeby ma autor same pochwały, ale wytyka mu, że wykazywał tendencję do zbytniego sentymentalizmu w sprawie możliwie najdłuższej obrony Poznańskiego, gdy jego obowiązkiem był jak najszybszy odwrót.

Gen. Piskor był uważany za zdolnego. Przed wojną zajmował wysokie stanowiska. Obecnie znajduje się w Anglii.



Duża to szkoda dla historii, że pierwsza obszerniejsza publikacja krytyczna na temat kampanii wrześniowej, ogłoszona po francusku, a więc mająca zasięg światowy, nie stała na wysokości zadania. Odrobic jej ujemny wpływ będzie trudno. Wina częściowo spada na nas samych, bo nie zdołaliśmy dotąd dostarczyć badaczom należytego materiału.

Tadeusz WASILEWSKI.

4) Jak wiadomo gen. Sosnkowski w rzeczywistości przedarł się pieszo na Węgry.

O subiektywnym obiektywizmie pewnej książki

Ukazują się od czasu do czasu książki, napisanie sprawozdania z których jest zadaniem niewykonalnym. Potrzeba bowiem albo ograniczyć się do gołosłownych stwierdzeń, zarzutów czy pochwał, albo też trzeba napisać drugą, co najmniej takiej samej objętości pracę, która strona po stronie, zdanie po zdaniu polemizowałaby z analizą i syntezą omawianego dzieła.

Specjalnie dużo takich książek — wydaje mi się — ukazują się w krajach anglosaskich, w krajach gdzie dominuje szkoła rzetelnej, w swym założeniu, obiektywizmu i przedmiotowości. Szkoła ta czy metoda zawodzi i musi zawodzić tam, gdzie do obiektywnego i przedmiotowego przedstawienia tematu brak dostatecznej ilości elementów, albo gdzie pisarz przyjmuje (najczęściej — podświadomie) za obiektywne, przedmiotowe dane i elementy nic z obiektywizmem nie mające wspólnego, służące i mające służyć celom tendencyjnym, czysto praktycznym, traktuje poważnie "fakty" i "konkrety", nie będące w istocie ani faktami ani konkretami, lecz wypadkowymi cudzej, planowanej, ciągłej czy oderwanej, jednorazowej inspiracji.

Pisząc to mam na myśli przede wszystkim literaturę angielską i amerykańską o Rosji. (Dla ścisłości muszę dodać że również i literatura innych narodów zachodnich na ten temat tak samo nie dopisuje, skoro tylko staje na gruncie naukowego czy pseudo-naukowego obiektywizmu). Poważny historyk, ekonomista, socjolog czy pisarz, nie mający skłonności do publicystycznego traktowania tematu nie wyobraża sobie napisania studium historycznego bez oparcia się o pra-źródło, pracy gospodarczej bez oparcia się o statystykę, studium socjologicznego bez sięgnięcia do źródłowych materiałów i dokumentów.

Tymczasem każda próba obiektywnego ujęcia całości czy fragmentu rzeczywistości sowieckiej, oparta na materiale sowieckim oddala, a nie zbliża do rzetelnego pojęcia i oceny tej rzeczywistości. Materiał źródłowy czy dokumentalny sowiecki wymaga zgoła innego traktowania i opracowania, aniżeli każdy, najbardziej tendencyjny czy inspiracyjny materiał zachodnio-europejski.

Książka I. Deutschera: "Polityczny życiorys Stalina"*) wymagałaby napisania drugiej książki, dla wykazania zarówno, że posiłkując się metodą obiektywizmu, przyjętą przez autora, można dojść do zupełnie innych, wręcz przeciwnych wniosków, jak też, że autor już choćby dlatego nie mógł napisać książki obiektywnej, bo cały swój wywód nie oparł na obiektywnej i beznamiennej analizie, lecz odwrotnie, całą swą analizę dopasował do z góry przyjętej sentencji. To drugie zrozumiemy bez trudu jeżeli przyjrzymy się tym źródłom i dokumentom na jakich autor oparł swą pracę. Ale o tym na końcu.

Krótko mówiąc: autor przystępując do napisania książki o Stalinie, miał już w swej wyobraźni wyrozumowany, a co gorsza wynikający również ze stosunku uczuciowego wizerunek bohatera swej pracy. Nie mogło być inaczej. Autor był przez kilka lat czynnym komunistą, i to aktywistą bardzo zaawansowanym. Nie wiem czy też jest to prawdziwe — ale jeden z przyjaciół Deutschera opowiadał mi — że Deutscher miał zamiar, czy też rodzina jego miała zamiar zrobienia go rabinem. Nie trzeba być zbyt biegłym psychoanalitykiem, by zrozumieć że te dwa fakty z życia Deutschera nie mogły nie wywrzeć zasadniczego wpływu na jego stosunek do komunizmu w ogóle, a do stalinizmu w szczególności.

Wydaje mi się również, że nie stwierdzono jeszcze dotychczas jak odmiennie jest podejście do problemów rewolucji, socjalizmu i komunizmu (jak zresztą w ogóle do problemów politycznych i społecznych), u poszczególnych narodowości. Zwłaszcza ideje utopijne, uniwersalne pojmowane są zasadniczo różnie. Ten sam temat w ustach czy pod piórem komunisty Anglika wygląda inaczej niż u Polaka czy u Francuza, a Niemca znów inaczej niż u Włocha czy u Hiszpana. Moskiewskie kierownictwo Kominternu miało niewątpliwie niemało kłopotu przy uzgadnianiu nie tylko formalnej strony wystąpień poszczególnych przedstawicieli partii narodowych, ale przede wszystkim przy sprowadzaniu do wspólnego mianownika pojęć i elementów samej treści. Żydzi są z punktu widzenia socjalizmu i komunizmu środowiskiem najidealniejszym. Są — obok Rosjan — narodem najbardziej spolaryzowanym. Przejścia od najskrajniejszego, najbardziej reakcyjnego nacjonalizmu czy nawet rasizmu, do bezkompromisowego kosmopolityzmu są u nich niesłychanie łatwe i nieoczekiwane. Mają oni ogromną odwagę sięgania do utopii, wielką żarliwość w poszukiwaniu idei uniwersalnych, wyjątkową łatwość do abstrakcji, gorączkową namiętność do rewolucyj, religijny fanatyzm w wierze, przywiązaniach i w nienawiści. Intelpekt rzadko kiedy jest u nich pozabawiony namiętności, emocjonalnej pobudliwości.

W książce Deutschera cechy narodowe autora nie mogły nie wystąpić w całej pełni: książka traktuje o rewolucji, o socja-

lizmie, o komunizmie, o problemach uniwersalnych. U podstawy koncepcji książki leży konflikt pomiędzy uniwersalnym, kosmopolitycznym pojmowaniem rewolucji, socjalizmu i komunizmu a pojmowaniem rewolucji, socjalizmu i komunizmu na terenie ograniczonym, "w jednym państwie". Deutscher i jako Żyd i jako socjalista czy komunista ma wyraźne sympatie: bohaterem jego romansu, jego rewolucji, jego socjalizmu czy komunizmu nie jest Stalin. Nie może nim być Stalin! Stalin jest dla niego zbyt wąski, zbyt ograniczony. "Przeciętna przeciętność"!

Wizerunek Stalina namalowany przez Deutschera uderza swą sztucznością, jednostronnością. Wydaje się że Deutscher nie rozumie czy nie chce zrozumieć istoty stalinizmu. Nie rozumie że stalinizm nie jest koncepcją rewolucji ograniczonej, że jest to koncepcja rewolucji jak najbardziej permanentnej, jak najbardziej uniwersalnej, tylko że kultywowanej i pogłębianej inaczej na wewnątrz obszaru zdobytego a inaczej na zewnątrz. Na wewnątrz — konsolidacja totalizmu państwowego, z coraz większą ilością odstępstw i cofnięć od wczoraj jeszcze proklamowanych haseł socjalizmu i komunizmu, totalizmu coraz bardziej konserwatywnego i reakcyjnego, na zewnątrz zaś — to nieustanna dywersja, nieustanna agresja, nieustanna ofensywa anarchistyczno-wyrotowa, nieustanne przygotowanie strategiczne terenu pod nowe podboje. Na wewnątrz tylko konstrukcja, na zewnątrz żadnej konstrukcji, żadnej akcji pozytywnej, sama negacja, samo zniszczenie, łamanie nie tylko dawnych form życia ale samego życia, jako takiego.

Jedna akcja jest ściśle skoordynowana, zsynchronizowana z drugą. Kontynuowanie jednej bez drugiej — byłoby niemożliwe, byłoby katastrofą samego stalinizmu. Zatrzymanie się w agresji zewnętrznej spowodowałoby katastrofę wewnętrzną, osłabienie koncentracji wewnętrznej — mogłoby spowodować klęskę od zewnątrz.

Wielkim mankamentem Deutschera jest to, że nie zna on Rosji, nie zna jej historii ani psychologii. Nie może przeto zrozumieć czym jest "baza" stalinizmu, ile w niej jest przewagi irracjonalizmu nad logiką. Próbuje wytłumaczyć zjawiska socjologiczne przy pomocy materializmu historycznego i dialektyki; ale nie zdaje sobie sprawy że w Rosji, właśnie w Rosji bolszewickiej nie zagadnienia gospodarcze determinują politykę, lecz odwrotnie — to polityka określa i stuprocentowo podporządkowuje sobie wszystko, m. in. i zagadnienia gospodarcze.

Istotą stalinizmu jest nieustanny, coraz bardziej pogłębiający się konflikt **tyrana z człowiekiem**. Problem człowieka jest w Związku Sowieckim i w stalinizmie problemem najistotniejszym. Tego problemu Deutscher nie widzi i nie chce widzieć. Mimo woli, czytając książkę Deutschera, myśli się o tym jak wielką "deformację profesjonalną" powoduje komunizm w umysłach swych wielbicieli. Studium Deutschera jest tak abstrakcyjne,

*) I. Deutscher: "Stalin. A Political Biography". London, Oxford University Press, 1949, str. IX i 3 nl i 600 i tabl. 8. Cena 25 sh.

tak neglżujące życie i człowieka, jak prace i publikacje najbardziej ortodoksyjnych stalinowców.

Socjalizm czy komunizm wewnątrz państwa sowieckiego w każdorazowych jego granicach nie są celem stalinizmu. Te pojęcia wewnątrz Związku Sowieckiego przestały już istnieć. Pozostały już tylko słowa, ukrywające zupełnie inną treść. Celem stalinizmu na wewnątrz jest państwo i tylko państwo, państwo-maczuga, "dubinka, rien de plus!". Na wewnątrz nie ma partii, partia jest państwem. Rewolucja ma być na zewnątrz. Na zewnątrz jest partia i są agentury. Na zewnątrz rewolucja, socjalizm, komunizm i demokracja zachowują swój sens prawdziwy. Są starannie polerowane, lecz — na Lenina! — ani na sekundę nie wypuszczane z rąk. To tylko państwo sowieckie może mieć na te stałe hasła monopol, i tylko ono jedno.

"Socjalizm w jednym państwie"! Ależ tak, oczywiście. I właśnie w jednym, a nie w "odrębnym" czy w "oddzielnym", tylko w jednym... Nie w dwóch, nie w trzech... Kto myśli że w dwóch — ten jest natychmiast obwołany jako TITO, chociażby ideał jego socjalizmu-leninizmu był najwierniejszym wizerunkiem stalinizmu.

Niechęć jeżeli nie nienawiść Deutschera do Stalina sprawia, że odmawia on mu nie tylko zdolności i możliwości doprowadzenia rewolucji do ostatecznego, zwycięskiego końca, lecz nawet ambicij w tym kierunku. Wniosek: ze Stalinem można się dogadać, można ułożyć się co do podziału świata. Tak pojęty Stalin urasta nawet w książce Deutschera do roli jakiegoś upartego czynnika międzynarodowego pokoju i stabilizacji. Deutscher nie waha się — dla przeprowadzenia swej tezy — bardzo dowolnie dobierać argumenty historyczne. Cała analiza stosunków sowiecko-niemieckich jest nieścista, nie tyle może przez przekręcanie faktów ile przez niekompletność ustalonych już dzisiaj faktów. "Tym gorzej dla faktów" — jest aż nazbyt często metodą konsekwentnego autora.

Jeżeli chodzi o taką tezę, taki wizerunek pokojowego i ugodowego Stalina, Deutscher nie jest oryginalny. Stwierdziłem niejednokrotnie, że cechą wspólną dla wszystkich pisarzy czy publicystów eks-komunistów, zarówno eks-stalinowców jak i eks-trockistów (a przede wszystkim tych ostatnich) jest swoiste lekceważenie Stalina, skłonność do wniosku, że w gruncie rzeczy ani stalinizm jako doktryna ani polityka stalinowska nie mają cech uniwersalnych i nie są zbyt groźne dla reszty świata, są w stadium schyłkowym.

Niechęć jeżeli nie nienawiść Deutschera do Stalina przy jednoczesnym własnym obciążeniu przeszłością komunistyczną, przy jednoczesnym niewyżyciu się z tęsknot rewolucyjnych a tym bardziej — jeżeli się dobrze orientuje — przy zachowaniu przez niego poglądów socjalistycznych, sprawia, że stosunek Deutschera do osiągnięć stalinowskich w Rosji jest ambiwalentny, dwoisty. Z jednej strony nie chce on negować roli i wartości

rosyjskiej rewolucji październikowej, z drugiej strony nie chce czy nie może przyznać stalinowskiemu socjalizmowi pełni praw, tytułu obywatelstwa uniwersalnego.

Deutscher znajduje w tej sytuacji dość dziwne, lecz bynajmniej nie oryginalne wyjście. Formy i metody "stalinowskiej budowy socjalizmu" i ostateczne formy samego socjalizmu przypisuje on bądź konieczności dziejowej bądź warunkom terenowym. Tę formułę, sprowadzającą się do wątpliwego pewnika, że "rosyjski karaś lubi się smarzyć w śmietanie", stosowali już niejednokrotnie europejscy politycy, a przede wszystkim socjaliści z 2-giej międzynarodówki, którzy dla tych czy innych powodów koniunkturalnych musieli usprawiedliwiać czy uzasadniać swoje "dogadywanie się" ze Stalinem czy popieranie polityki sowieckiej. Najlepiej — jak dotychczas — zrobił to mieńszewik F. Dan w swej niezmiernie ciekawej i na wskroś tendencyjnej a oportunistycznej książce "Pochodzenie bolszewizmu" (którą zresztą Deutscher cytuje, ale wyraźnie nie umie wykorzystać). Ale Dan jest o tyle usprawiedliwiony, że musiał taką książką uzasadnić swe odejście od mieńszewików na tory bolszewizmu! Skądże te same chyty u autora, który właśnie zrobił odwrotnie: skreślił z drogi bolszewizmu na drogę socjalizmu uniwersalnego.

Wydawca książki — "Oxford University Press" — dając na obwolucie okładki wstęp reklamowy, twierdzi, że powstała ona w wyniku przeszło dwudziestoletnich studiów wszystkich dostępnych źródeł rosyjskich i innych, co miało zapewnić książce maksymalny obiektywizm, maksymalną przedmiotowość. Wydawca zrobił autorowi i książce złą przysługę, sugerując już nie tylko recenzentom lecz i czytelnikom zwrócenie uwagi na źródła i dokumenty, które autor wykorzystał w ciągu swych "przeszło dwudziestoletnich studiów". Bibliografia, cytowana przez autora zarówno w tekście jak i w oddzielnym wykazie jest niezmiernie uboga. Zawiera ona pozycje wielce różnorodne, dość chaotycznie i dowolnie dobrane.

Zacznijmy od tzw. klasyków marksizmu. Jeżeli chodzi o Marksa i Engelsa, to cytowane są tylko 2 pozycje: "Kapitał" i "Korespondencja K. M. i Fr. E. z rosyjskimi działaczami politycznymi". Pierwsza z tych pozycji, aczkolwiek jest fundamentalną pracą "ojca marksizmu" nie ma prawie żadnego związku z tematem książki, druga zaś b. względny. Natomiast pominięte zostały te prace — przede wszystkim historyczne i filozoficzne — które zaprzętały uwagę Stalina przy konstruowaniu przez niego jego podstawowych tez z dziedziny teoryj: "socjalizmu w jednym państwie", "teorii państwa", "teorii narodowościowej", osławionej "dialektyki materialistycznej", tez w sprawie historiografii powszechnej i partyjnej, koncepcyj "strategii rewolucyjnej" i strategii wojskowej. Jeżeli chodzi o Lenina to autor widocznie nie zna pierwszego, podstawowego dziewiętnastotomowego wydania jego dzieł. Nie ma też śladu zapoznania się

z II-III-cim, trzydziestotomowym wydaniem, w którym są ważne zarówno teksty jak i przypisy.

Bardzo po macoszemu potraktowany jest jako autor Bucharin. To samo — Zinowiew, mimo że Deutscher daje w bibliografii lakoniczną notkę: "Zinoviev, G., Sochinenya, vol. XV. Moscow. 1926." Widać jednak z tekstu książki, że z tych 15-tu tomów nie wiele stało się godnym uwagi autora. Widocznie zasugerowała go pogardliwa i ironiczna ocena Trockiego o Zinowiewie. (Ocena — nawiasem mówiąc — jak wiele ocen Trockiego wprawdzie błyskotliwa i b. plastyczna, ale nie zupełnie trafna a już całkowicie nieobiektywna).

Brak Kamieniewa (a przecież Kamieniew był wspólnie ze Stalinem autorem wielkiego pamfletu przeciwko Trockiemu), Piątnickiego (Kijowskiego) a przede wszystkim K. Radka. Jak można pisać o kształtowaniu się stalinowskiej polityki zagranicznej nie analizując wielkiego dorobku publicystycznego Radka? (Jeżeli chodzi o zagadnienia niemieckie to pominięta jest również książka Ruth Fischer). Tak samo nie znajdujemy nigdzie Pawłowicza (Weltmana), tak ważnego dla zrozumienia polityki Stalina w sprawach wschodnich.

Nie możemy w tym miejscu nie zwrócić uwagi na to że Deutscher nie wykorzystał zupełnie bodaj podstawowej literatury niemieckiej o Sowietach i stalinizmie, zarówno literatury przedhitlerowskiej jak i nazistowskiej, praca naukowa, praca obiektywna nie może sobie pozwalać na tego rodzaju "politykę", tym bardziej skoro konflikt Stalin-Hitler zajmuje w jego pracy tak wielką ilość miejsca.

Spośród nie-bolszewików nie wydaje się nam możliwe pominięcie prac Marłowa, a z obcych Kautskiego, Róży Luksemburg, Bauera, Adlera i in.

Równie daleki od rzetelnego wyczerpania wszystkich "dostępnych źródeł rosyjskich i obcych" jest dział historyczny. Nawet bolszewicy — tak dalecy od obiektywizmu — w swych dzisiejszych pracach historycznych biorą pod uwagę, jeżeli chodzi o okres przedrewolucyjny, prace Rożkowa, Milukowa, Kluczewskiego, Hruszewskiego i in., a jeżeli chodzi o samą rewolucję i wojnę domową, to bezpośrednio czy pośrednio muszą uwzględnić tegoż Milukowa, Kieręńskiego, Denikina, Melgunowa, nie mówiąc już o ogromnej literaturze bolszewickiej z tego okresu (że wspomnę tylko Antonowa Owsiejenkę).

Wiele spornego czy bezspornego materiału wnieśli do tematu "niewozwraszczeńcy". Deutscher wspomina tylko trzech: Barmina, Bażanowa i Krywickiego. Nie ma zupełnie Agabekowa (tak ważnego, obok niewspomnianego również Szejnberga, jeżeli chodzi o problem terroru), Dmitrijewskiego (autora wielce ciekawych książek: o Stalinie i o ludziach z Kremlu). Nie ma również Krawczenki, (który bez względu na to co się o nim i o jego książce myśli, wpłynął ogromnie na ukształtowanie się obecnej opinii o stalinizmie w St. Zjedn. i na Zachodzie).

Tym bardziej nie można, pisząc o Stalinie i stalinizmie, przejść do porządku dziennego nad pracami ogólnymi lub fragmentarycznymi takich pisarzy o stalinizmie jak D. Dallin i B. Nikołajewskij (N.B. gdyby Deutscher nie przeoczył ich prac nie spotkałby się ze słusznym zarzutem pominięcia — a nawet gorzej: bo wypaczenia — w swej pracy tak podstawowego zagadnienia jakim jest praca przymusowa w Sowietach. To pominięcie — lub gorzej: wypaczenie — jest u pisarza opierającego się na marksowskim materializmie, szukającego początku i źródła zjawisk w przyczynach natury ekonomicznej, przejawem nie tylko dziwnym, ale i wręcz zastanawiającym).

Jeżeli już mowa o problemach ekonomicznych to i tutaj ubóstwo źródeł i materiałów jakimi operuje Deutscher, jest zdumiewające. Pomijając już brak zupełnie bibliografii brytyjskiej i amerykańskiej z tej dziedziny, brak kilku wartościowych pozycji francuskich. Nie może nie zdziwić czytelnika zachęconego do książki Deutschera przez wieloobiecującą reklamę tak poważnego i odpowiedzialnego wydawcy, jakim jest Oxford University Press, brak chociażby takich nazwisk jak Jugow, Prokopowicz czy — jeżeli chodzi o kolektywizację — Masłow (a ostatnio — W. Miercałow).

Nie mniej umiejętnie "dwudziestoletnia analiza" autora pominała bibliografię całego tematu związanego ze stalinowską teorią państwa, kamieniem węgielnym "stalinowskiej konstytucji". To pozwoliło oczywiście autorowi ominąć cały problem władzy, całą konstrukcję sowieckiej piramidy i dyktatury biurokracji. Rozumiemy że to pominięcie znacznie ułatwiło autorowi sformułowanie jego teorii o swoistym socjalizmie w państwie Stalina, ale co takie pominięcie ma wspólnego z obiektywizmem i przedmiotowością? Deutscher — i to trzeba stwierdzić — nie lubi z reguły w swej pracy poruszać tematu władzy i walki o władzę. Gdyby był bodaj wykorzystał czy nawet przejrzał ciekawą i rzeczywiście bardzo pracowitą książkę A. Aleksandrowa: "Kto rządzi Rosją Sowiecką?" miałyby zadanie ułatwione. Ale jeżeli nawet dopuścimy jako nienaruszającą obiektywizmu niechęć do korzystania z gotowych, cudzych opracowań na ten temat, to nie możemy dopuścić by obiektywizmem i przedmiotowością nazywano pomijanie podstawowych źródeł do historii partii bolszewickiej jakimi są chociażby prace Bubnowa czy Jarosławskiego, jakimi są poszczególne tomy "Wielkiej" czy "Małej Sowieckiej Encyklopedii", źródła bezcenne a całkowicie dostępne. Już tylko krótka analiza kilku podstawowych haseł zagadnienia leninizmu, rozrzuconych po poszczególnych tomach, które dzieli niejednokrotnie okres kilkunastu lat, mogłaby dać autorowi i czytelnikowi wiele naprawdę wartościowego materiału do analizy i syntezy.

Niepotrzebnie skromny jest autor jeżeli chodzi o materiały dotyczące Kominternu. Nie widzimy w jego bibliografii nie tylko całkiem dostępnych protokołów poszczególnych zjazdów

Kominternu, ale również i przemówień czy artykułów leaderów tego Kominternu: Bucharina, Manuilskiego, Dymitrowa, Piecka, Ercolego (Togliatti'ego) i in. Wskutek tego ewolucja w stalinowskim pojmowaniu roli Kominternu i poszczególnych partii komunistycznych, geneza Kominformu wypadły w książce Deutschera bardzo słabo.

Widzimy na tym przydługim nieco, aczkolwiek w żadnym wypadku niekompletnym przedstawieniu tej strony publikacji Deutschera, że chcąc być obiektywny i oprzeć się na źródłach "bezsportnych", a przede wszystkim na pierwoźródłach sowieckich, autor nie dopełnił warunku podstawowego: nie zrobił całego, obowiązującego go wysiłku wykorzystania bodaj podstawowego "dostępnego" materiału.

Doprowadziło to do pominięcia całego szeregu podstawowych elementów stalinizmu, jak: problem władzy i teoria państwa, zagadnienie narodowościowe, militarizm (całą doniosłą rolę Frunzego w kształtowaniu się stalinowskiej doktryny wojennej Deutscher zastępuje kilkuwierszową anegdotą, zaczerpniętą z książki Trockiego), kwestia terroru, pracy przymusowej, przestawianie Kominternu i partii komunistycznych w agentury jednego państwa, sprzeczności stalinowskiej polityki zewnętrznej i wewnętrznej etc., etc.

Dowolność operowania dostępnym nawet materiałem statystycznym czy historycznym sprawia, że ogromna ilość charakterystyk sowieckiego potencjału gospodarczego jest co najmniej sporna. Równie nie tylko sporne ale wręcz w niektórych punktach fałszywe są stwierdzenia i wywody Deutschera na temat ostatniej wojny światowej, sowieckiego w niej udziału i stalinowskiej strategii. Deutscher jako "zawodowy cywil" winien byłby z natury rzeczy pisać o wojnie wnikliwiej i mądrzej od zawodowych wojskowych. Niestety, niektóre fragmenty jego książki w tej dziedzinie, stoją poniżej poziomu żołtodziubych absolwentów szkół oficerskich.

Myślę że każdy rzetelny krytyk książki Deutschera, który nie pójdzie śladami samego Deutschera i nie da się zafascynować formalną, publicystyczną stroną publikacji (co m. inn. występuje wyraźnie w stosunku Deutschera do Trockiego, kiedy stawia on tegoż Trockiego z istic stalinowskim rozmachem jako pisarza w jednym rządzie obok... Tołstoja, Dostojewskiego i Czechowa), stroną, na prawdę bardzo dobrą, — znajdzie w każdym rozdziale takie czy inne niedociągnięcia wynikające z pominięcia czy unikania podstawowych a jaknajbardziej dostępnych źródeł.

Ryszard WRAGA.

Książka o Kołymie

Kołyma jest tematem niezmiernie wdzięcznym dla pisarza, który chce i umie wykorzystać elementy składowe tego pozornie geograficznego, w istocie zaś gospodarczo-społecznego zjawiska, Możliwość pisarza, który miał okazję zwiedzić Kołymę w charakterze więźnia, są tego rodzaju, że pozazdrościć mu może badacz opierający się tylko na opowiadaniach byłych więźniów i na nielicznych wzmiankach prasowych oraz kilku (dosłownie) publikacjach.

Temat, jakkolwiek ponury, jest właśnie wdzięczny, powiedziałbym frapujący, ze względu na kontrasty, jakie w sobie kryje. Pierwsze w świecie państwo, w którym obalono złotego cielca własności prywatnej przekształca setki tysięcy swych obywateli w niewolników, których obowiązkiem jest wydrzeć tądże złoto. Organ terroru politycznego staje się przedsiębiorstwem przemysłowym mającym określone zadanie gospodarcze. Siłę roboczą — jeden z podstawowych czynników wytwórczości — stanowią prawie wyłącznie więźniowie. Zagadnienie płac praktycznie nie istnieje, wkład kapitału jest znikomy — wszystko odbywa się kosztem życia ludzkiego.

Zjawisko ma miejsce współcześnie, "dzieje się" na naszych oczach. Może dlatego trudno zdać sobie sprawę z jego istoty i historycznego znaczenia. Kołyma bowiem, pomimo ochronnego pancerza tajemnicy, w jaki usiłują ją zakuć winowajcy, znajdzie swe miejsce w historii tak jak budowa piramid egipskich czy transporty niewolników afrykańskich.

Z historią jednak bywa tak jak z Opatrznością: pozostawione same sobie milczą. Co najmniej przez lat dziesięć historia nie zanotowała zjawiska Kołymy, poza wymienieniem jej w atlasach i encyklopediach jako najbardziej na wschód wysuniętej spławnej rzeki Sybiru. W tym czasie jednak tajga kołymska wchłonęła około dwu milionów istnień ludzkich.

Dopiero przed paru laty ogłoszono istotne wiadomości o tym wyjątkowo bogatym obszarze złotodajnym. Pierwsze tego rodzaju wzmianki pojawiły się bodajże w "Sprawiedliwości Sowieckiej" Mory i Zwierniaka. Potem nastąpiły artykuły w emigracyjnym piśmie rosyjskim "Socjalistycznej Wiestnik", wychodzącym w Nowym Jorku, jak też w tamtejszym "New Leaderze", poprzedzające obszerny opis Nikołajewskiego włączony jako jeden z rozdziałów do "Forced Labor in Soviet Russia" Dallina. Odrębny też rozdział poświęcił Kołymie gen. Anders w swym pamiętniku "Bez ostatniego rozdziału". W 1949 roku ukazała się w Waszyngtonie moja broszura "Kołyma, Gold and Forced Labor in the USSR" i prawie równocześnie z nią wspaniała książka "Soviet Gold" Włodzimierza Pietrowa, który przetrwał na Kołymie pięć lat.

Petrow pisze w pierwszej osobie, lecz jego przeżycia stanowią tylko dyskretną kanwę pokrytą starannie wyszywaną wydarzeń, jakie złożyły się na historię nie tylko ludzi, którzy tam już pozostali na zawsze, ale przede wszystkim samego obszaru jako organizmu gospodarczego. Autor nie ogranicza się do rejestrowania zjawisk, lecz kreśli ich wyraźne związki przyczynowe. Pozwala to czytelnikowi poznać dokładnie i zrozumieć istotę Kołymy jako przedsiębiorstwa mającego za zadanie dostarczenie "socjalistycznemu państwu robotników i włościan" setek ton złota kosztem krwi i życia własnych obywateli. Książka napisana bez pretensji i patosu, a jednak barwnie, utrzymuje czytelnika w napięciu do ostatniej czterechset którejś strony. Można darować Pietrowowi usterki konstrukcji i techniki pisarskiej, tym bardziej, że jest to jego pierwsza praca literacka.

Odmiennym typem dzieła jest "Książka o Kołymie" Anatola Krakowieckiego, wydana nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego "Veritas", Londyn 1950 (str. 4 nl i 255 i 1 nl), której ukazanie

się poprzedzła wielomiesięczna kampania sybskrypcyjna prowadzona na łamach katolickiego tygodnika "Życie".

Pan Krakowiecki jest dziennikarzem i pisarzem, który ma w swym dorobku kilka powieści, opowieści dla młodzieży, krotkowile i komedie teatralne oraz pieśni i piosenki. Wszystko to skrzętnie wyliczone w dodatku "Tęgoż Autora" zamieszczonym po spisie rzeczy a przed zbyt obszernym, nawet na warunki emigracyjne (jakkolwiek nie wyczerpującym), wykazem błędów drukarskich.

Pierwsze trzy rozdziały czyta się jak dobry reportaż: gładko i z zainteresowaniem. Czytelnik zbliża się do autora i gotów jest otrząsnąć się z uczucia sztywności, jakie go opanowało przy uroczystym wprowadzeniu go przez potrójne złote wrota. Przez pierwsze, dedykacja pamięci gen. Sikorskiego, przechodzi się w milczeniu i ze zrozumiałym szacunkiem. Drugie są imponujące i patetyczne jak fanfary: "Przed skamieniałym sumieniem świata — składam niniejszym ZEZNANIE następującej treści:". Dlaczego "niniejszym" pyta czytelnik, lecz onieśmielony wielkością problemu staje w porządku przed trzecimi wrotami: "Wszystkie nazwiska — zmyślone, wszystkie postaci i wszystkie fakty — prawdziwe!".

Potem już jest wszystko proste i bezpośrednie, póki nie dojdzie się do niespodzianek i nie zawsze usprawiedliwionych wstawek kursywnych, będących raz osobistymi rozważaniami, innym razem luźnymi epizodami poprzedzającymi lub wyprzedzającymi właściwą akcję. Książka zyskałaby wiele, gdyby usunąć te wstawki. "Ale nie można marzyć wstecz — jak pisze autor w jednej z nich — nie można marzeń zaczynać od słowa: Gdyby!..." Wstawki więc są i rażą szczerym być może, ale przestarzałym patosem. "Nie ma go, nie żyje, umarł. Został w tajdze. Jeśli zakopano go głębiej niż 80 centymetrów"... itd. Niestety, nie jest to odosobniony przykład.

Pan Krakowiecki zdaje sobie sprawę z tych usterek. Należy to zapisać na jego dobro. W ostatnim rozdziale przyznaje skromnie, choć niesłusznie, że książka nie ma żadnej kompozycji. "Napisana w zdenierwowaniu, aby nie użyć bardziej emocjonalnych określeń: w gniewie i męce, z pogardą i obrzydzeniem, jest wyrzuconym z duszy ciężarem". Nie wiem, czy przyznanie to zadowoli "łaskawego czytelnika" i wynagrodzi mu uczucie pewnego zawodu, jakiego trudno nie doznać, mając na uwadze rozmiary reklamy książki. Nie przesądza to jednak faktu, że wielu ludziom podchodzącym do lektury bardziej uczuciowo ten sposób pisania może odpowiadać.

Akcja książki są przeżycia autora oraz szeregu współwzięniów, z którymi zetknął się on w drodze ze Stanisławowa do Magadanu, na co poświęcono jedną trzecią część tekstu. Następnie "rzecz dzieje się" na Kołymie, na wschód od samej rzeki, przy konserwacji jednej z licznych dróg łączących poszczególne pola złotodajne. Przy okazji należy zauważyć, że właściwy obszar złotodajny leży na południe od koła podbiegunowego, w górnym dorzeczu Kołymy, a nie tak daleko na północy, jak to sugeruje mapa wykonana przez p. W. Szomańskiego. (Mapa ta oraz szkic na str. 135 są pod względem graficznym bez zarzutu, reszta prac tego typu pozostawia wiele do życzenia).

Autor odmalował wiernie i plastycznie obozową (czy też "lagierową") rzeczywistość kołymską. Korupcja pracowników administracji obozowej, bardzo osobiste zagadnienia rozumnej gospodarki wartościami kalorycznymi (!), przy ich stopniowej i nieuchronnej utracie, prymityw opieki lekarskiej, zabójczy klimat, zupełne lekceważenie warunków bezpieczeństwa pracy, swoista filozofia życiowa sowieckiego więźnia — są to sprawy, które zrozumie i przyswoi sobie czytelnik bez najmniejszego wysiłku, po mistrzowsku bowiem wplótł je autor w interesującą i dramatyczną akcję "Książki o Kołymie".

Pan Krakowiecki przebył na Kołymie prawie dwa lata, z czego rok po ogłoszeniu amnestii. Jest on tragicznym przykładem nielojalności, z jaką rząd sowiecki wykonał zobowiązanie zwolnienia obywateli

polskich z więzień i obozów. Ten rok nerwowej męki mógł wyprwadzić najbardziej odporny pod tym względem organizm z równowagi. Trudno jest nie śledzić dziejów tego okresu bez szczerzego współczucia dla człowieka, który co dzień spodziewał się uwolnienia, który wiedział, że ma do tego prawo, a któremu dziesiątki i setki dni katorgi nie przynosiły zmiany. Przetrawianie zawdzięcza w dużej mierze szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Komisja lekarska uznała go za niezdolnego do ciężkiej pracy, dzięki czemu nie pracował przy wydobywaniu złota, lecz przy konserwacji drogi i to w luźnych, małych zespołach, w których dyscyplina pracy nie jest tak surowa i pozwala na zaoszczędzenie istotnej dla przetrwania ilości energii.

"Książka o Kołymie" zawiera bardzo mało wiadomości o głównej gałęzi wytwórczości obszaru, o wydobywaniu złota. Autor podaje tylko to co mu opowiadali współwięźniowie sowieccy, względnie co widział przechodząc obok pól złotodajnych lub obozów, w których przebywali więźniowie zatrudnieni przy wyłukiwaniu "złotego metalu" ze zmarzniętej gleby, lecz i te oderwane ustępy dają pojęcie o potworności tego działu "socjalistycznej gospodarki".

Książka jest niewątpliwie wartościowym dokumentem i pożytecznym przyczynkiem do skąpych wiadomości o Kołymie.

Kazimierz ZAMORSKI

The Eastern Quarterly

niezależne pismo w języku angielskim, poświęcone sprawom Europy Środkowej i Wschodniej, Rosji oraz Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Numer za styczeń 1950 r. zawiera m. in. artykuły:

The active and Passive Elements of Russian Power, The Unexploited Resources of Europe, For a Free and Independent Slovakia, The Sovietisation of Polish Cultural Life, Memorandum Addressed by the Political Representatives of Central and Eastern European Countries to the IV General Assembly of the United Nations oraz kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych i przegląd książek.

CENA: 3/- za pojedynczy egzemplarz (post free, Air Mail extra)

Wydawca: The Morven Press Limited, 32, Bolton Gardens, London, S.W.5, England.

Teki Beyruckie

Nakładem Instytutu Polskiego w Bejrucie, wydane zostały w roku 1949 zeszyty A i B "Teki Beyruckiej". W pierwszym zeszycie pomieszczono rozprawy i miscelanea, a w zeszycie B, materiały bibliograficzne.

Jak wiadomo Instytut Polski w Bejrucie jest dziedzicem Towarzystwa Studiów Irańskich (TSIR), zorganizowanego przez prof. Stanisława Kościakowskiego w r. 1942 w Teheranie. Z chwilą gdy uchodźstwo polskie i instytucje polskie na terenie Persji przestały istnieć i z roku 1946 przeniesione zostały do Libanu, Towarzystwo pod nową nazwą kontynuowało i kontynuuje swoją działalność. Prof. Kościakowski opierając się o uznawane przez Rząd Libański Poselstwo stworzył w Bejrucie Instytut Polski, dokoła którego obraca się cała działalność naukowa i część działalności propagandowej uchodźstwa polskiego w Libanie.

Poziom obu zeszytów "Teki Beyruckiej" nie jest równy. Zeszyt A zawiera szereg opracowań, między którymi opracowania naukowe są raczej rzadkie, natomiast przeważa materiał anegdotyczny. Niemniej utrwalenie tych prac dla przyszłych badaczy zagadnień środkowego Wschodu posiada niewątpliwie znaczenie. Zeszyt B dość jednolity jeśli chodzi o materiał, natomiast nie zawsze (jeśli idzie o metodę pracy) posiada większe znaczenie dla celów naukowych. Zawiera on materiały bibliograficzne irańskie, libańskie (najliczniejsze i doprowadzone do ostatniej chwili), irackie, indyjskie i afrykańskie. Brak materiałów palestyńskich i egipskich. Przyczynę tej luki stanowi jeśli idzie o materiały palestyńskie — rozmiar problemu wręcz niesamowity, jeśli idzie o materiały egipskie — brak rejestracji wydawanych poloniców, który uniemożliwił ich zestawienie. Należy się spodziewać, że materiały palestyńskie w swoim czasie staną się jeszcze przedmiotem jakiegoś specjalnego studium. Zeszyt B "Teki Beyruckiej" jest niezbędnym przewodnikiem nie tylko dla badacza, poświęcającego się bibliografii polskiej w okresie drugiej wojny, lecz też — i może w pierwszym rzędzie nawet — dla tego, który usiłować będzie napisać historię uchodźstwa polskiego na środkowym Wschodzie i zilustrować pełnię jego życia kulturalnego i naukowego. Utrwalając w ten sposób poszczególne etapy działalności uchodźstwa polskiego na środkowym Wschodzie, prof. Kościakowski zasłużył się dobrze dla nauki polskiej.

Poza prof. Kościakowskim, który zachował dla siebie niejako redakcję naczelną tekstów, a poza tym opracował pewne działy, współpracownikami jego byli: M. Gołaszewska, R. Zdziński, M. Łagowska, H. Słowikowski, W. Błotnicki, J. Hoffman. Oba zeszyty zakończono streszczeniem w języku francuskim materiałów w nich zawartych co może być pożyteczne dla badacza obcego.

"Teki Beyruckie" wydrukowana została w drukarni, należącej do Instytutu "Reduta", przez kursantów kursu szkolnego drukarskiego, działającego w ostatnich kilku latach przy Instytucie Polskim w Bejrucie.

T. S.

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zainteresowaniem przeglądałem w Nr 8/25 *Kultury* zestawienie Druków Polski Podziemnej i Wydawnictw Powstańczych. Jako jedyny przebywający na emigracji członek Związku Odrodzenia Narodowego pragnąłbym zwrócić uwagę na pewną drobną niedokładność w związku z wydawnictwem "Znak", która się zakradła do drukowanego przez Panów zestawienia.

Jeszcze w roku 1939, wówczas major (później awansowany na podpułkownika) Jan Włodarkiewicz założył TAP (Tajna Armia Polska). W tymże roku z inicjatywy i pod redakcją Lucjana (A. Rościszewskiego) wyszedł pierwszy numer "Znaku" — jako organ TAP'u. W pierwszych miesiącach 1940 nakład "Znaku" dochodził do 6000 egzemplarzy. Wpadka w maju 1940 r. zahamowała wydawnictwo na kilka tygodni, po czym w lipcu lub sierpniu tegoż roku wydawnictwo to ukazało się po raz pierwszy drukiem ze swą charakterystyczną winiętą: po lewej stronie duża tarcza z Orłem Białym, po prawej stronie dużymi literami "Znak", oraz mniejszymi literami "Bóg, Honor i Ojczyzna". W tej szacie "Znak" ukazywał się aż do aresztowania Lucjana (A. Rościszewskiego) w dniu 15 maja 1943 r.

Na wiosnę 1941 r. mjr. Włodarkiewicz wyłączył z Organizacji jej sektor wojskowy, który odtąd pod nazwą Konfederacja Zbrojna wydawał pismo o tym samym tytule. Pismo to wychodziło co miesiąc w nakładzie 4000 egz. aż do stycznia 1942 — tj. do chwili włączenia Konfederacji Zbrojnej do ówczesnego ZWZ. Otóż pisma tego w zestawieniu drukowanym w *Kulturze* nie znalazłem.

Sektor społeczno-polityczny TAP'u przejął Stanisław Dangel (Salicz) i prowadził go pod nazwą "Znak". Pismo pod tymże tytułem redagował w dalszym ciągu Lucjan (A. Rościszewski). W październiku 1942 r. Lucjan usunął się z organizacji i pismo swe co pewien czas wydawał w niezmienionej szacie. Tymczasem organizacja kierowana przez Salicza zmieniła nazwę na Związek Odrodzenia Narodowego, a w listopadzie wydała pierwszy numer swego organu pod nazwą "Polska Odrodzona". Po aresztowaniu i śmierci Salicza, Lucjan z powrotem włączył swe pismo w ramy ZON i redagował oba pisma, wydając je na zmianę, aż do chwili swego aresztowania. Po jego aresztowaniu i śmierci, "Znaku" już nie wznowiono — uważając ten tytuł za zbyt silnie związany z osobą Lucjana, by można było pismo wydawać bez niego.

Po połączeniu się ZON'u z Unią i ze Stronnictwem Pracy, "Polska Odrodzona" z niezmienionym składem redakcji stała się obok "Reformy" organem Stronnictwa Pracy, by w końcu w czasie Powstania stopić się z tą samą "Reformą" i z "Narodem" w "Kurier Stołeczny".

Nakreśliwszy ten szkic historyczny pragnę stwierdzić, że aczkolwiek od samego początku i z pierwszej ręki miałem możność śledzić rozwój zarówno "Znaku" jak i "Polski Odrodzony" — nie wiadomo mi o jakichkolwiek związkach łączących "Znak" (jak i TAP) z Konfederacją Narodu — która, jak wiadomo, była organizacją prowadzoną przez B. Piaseckiego. Z całą stanowczością stwierdzam, że ani powielane ani drukowane wydania "Znaku" nie zawierały w swym tytule określenia: "Konfederacja Narodu" i uprzejmie Pana Redaktora proszę o sprostowanie tej nieścisłości. Nieścisłość tę tłumaczę sobie pomyleniem Konfederacji Narodu z Konfederacją Zbrojną. Jest to możliwe o tyle, że wyszedłszy z jednego pnia, Konfederację Zbrojną łączyły ze "Znakiem" b. bliskie stosunki.

Nigdy również nie słyszałem o istnieniu drugiego pisma o tytule "Znak", ani też by organizacja B. Piaseckiego kiedykolwiek w czasie konspiracji wydawała pismo o tym tytule.

Wreszcie, ten "Znak", który wychodził jako organ TAP, a potem sa-

modzielnie — powstał już w 1939 r., a nie, jak mylnie podano w zestawieniu — w r. 1941.

Mam nadzieję, że Pan Redaktor nie odmówi mi zamieszczenia niniejszego sprostowania, o które proszę ze względu na pamięć tych kolegów, którzy zginęli w konspiracji.

Łączę wyrazy poważania.

Z. OSSOWSKI.

P. S. — Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę, że osoby Andrzeja Rościszewskiego nie należy mylić z szefem "Pobudki" — Witoldem Rościszewskim.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Janty do redakcji "Kultury" radbym dodać, że tak zręcznie przez niego zacytowane zdanie zostało wyjęte z mojej prywatnej korespondencji.

W państwach po tej stronie żelaznej zasłony ciągle jeszcze istnieje tajemnica korespondencji osobistej i nie ma, jak dotąd, zwyczaju publicznego dyskusowania treści listów prywatnych, pisanych do osób trzecich.

Dbalność p. Janty o opinię pisarza niezależnego zasługuje na uznanie. Pisarz powinien być niezależny. Niestety, niezależność pisarska p. Janty uwięczona została wycieczką turystyczną do Polski, przedsięwziętą za łaskawym zezwoleniem administracji bierutowskiej oraz książką, zawierającą tezy całkowicie niezgodne z faktycznym obrazem dzisiejszej rzeczywistości polskiej w Kraju.

Cena, jaką ten czy ów zwolennik "empirycznego" poznania prawdy o Polsce pojałtańskiej, uścił w przedśionku konsula bierutowskiego, niestety, przewyższa wartość poznawczą i "odkrywczą" nawet najpoprawniejszego elaboratu. W rachunku takiej turystycznej tranzakcji figuruje pozycja dla pisarza zabójczo kosztowna: godność ludzka.

Łączę wyrazy szacunku

Tadeusz NOWAKOWSKI.

Londyn, dnia 1. I. 1950.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na portu

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1950.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzempl. pojed.	Prenumerata	
		½ roczna	Roczna
FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV ^e	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
W. BRYTANIA: "GRYF", Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, LONDON E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	30 sh.
WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert ŻABA, Kalkskärsgatan 3/IV, STOCKHOLM.	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: "Universum", (14 a), HEILBRONN, Polish Camp Schwabenhof ..	2,50 DM	15 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Dr Mieczysław SANGOWICZ, FRIBOURG 1, case 155	1,80 sfr.	10 sfr.	18 sfr.
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES	4 peso	24 peso	48 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 400, Palmerstone Blvd., TORONTO/ONT., tel. ME 0609	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Przedstawiciel na Stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave. Brooklyn 15, N. Y. Przedstawiciel na Stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos Campan, DETROIT 11, Mich. Przedstawiciel na Stan Illinois — Józef BIAŁASIEWICZ, 4917 West 24th Place, CHICAGO, 50, Il			
Przedstawiciel na pozostałe Stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 9, Oxford Street, CAMBRIDGE 38, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYŃSKI, 71, Raglan Street, Sydeham, JOHANNESBURG	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY	3 sh.	16 sh.	30 sh.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmuje: Julia BARCINSKA, RIO DE JANEIRO ..	15 cruz	90 cruz	150 cruz

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

WYDAWNICTWA

INSTYTUTU LITERACKIEGO

- ADAM MICKIEWICZ
KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA
- HENRYK SIENKIEWICZ
LEGIONY
- STANISŁAW SZPOTANSKI
PROMETEUSZE
- JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI
MIASTO MOJEJ MATKI
- LEON BLUM
NA MIARĘ CZŁOWIEKA
- PAWEŁ HOSTOWIEC
DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC
- STANISŁAWA KUSZELEWSKA
KOBIETY
- JÓZEF CHAŁASIŃSKI i JAN ULATOWSKI
PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ
- SERGIUSZ PIASECKI
JABŁUSZKO
NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA
SPOJRZE JA W OKNO...
- TADEUSZ FELSZTYN
ENERGIA ATOMOWA
- WACŁAW SIEROSZEWSKI
BENIOWSKI
- ARTHUR KOESTLER
KRUCJATA BEZ KRZYŻA
- ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)
W OCZACH PISARZY
- BOLESŁAW MICIŃSKI
PORTRET KANTA i TRZY ESSAYE O WOJNIE
- JAN BIELATOWICZ
BRYGADA KARPACKA
PASSEGGIATA
- STANISŁAW GRYZIEWICZ
SRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ
- WERONIKA HORT
TUŁACZE DZIECI
- JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI
- MELCHIOR WANKOWICZ
KLUB TRZECIEGO MIEJSCA
- MARIAN KUKIEL
KSIĄŻĘ ADAM

Cena 200 frs.